

# Godzina śmierci

Coulter Catherine

Książka VII z FBI



calibre 0.9.43

**CATHERINE COULTER**

**GODZINA ŚMIERCI**

**TYTUŁ ORYGINAŁU ELEVENTH HOR**

# Rozdział 1

## SAN FRANCISCO

Nick siedziała skulona w ławce pośród nocnej ciemności kościoła, z twarzą ukrytą w dłoniach. Była tutaj, bo ksiądz Michael Joseph błagał ją, by tu przyszła. Błagał, żeby pozwoliła sobie pomóc. Chyba tyle mogła dla niego zrobić? Chciała przyjść nocą, kiedy wszyscy już dawno spali, a ulice były puste, a on się zgodził i nawet się uśmiechnął. Był dobrym człowiekiem i bardzo dbał o swoich parafian.

Będzie czekała? Westchnęła na myśl o tym. Dała słowo, wymógł to na niej, jakby wiedział, że może to ją tutaj zatrzyma. Patrzyła, jak podchodzi, uważnie obserwowała, jak nagle zwalnia kroku, zatrzymuje się na chwilę i kładzie rękę na małej klamce drzwi konfesjonału. Patrząc na niego, odniosła wrażenie, że wcale nie chciał otwierać tych drzwi, nie chciał tam wchodzić. Ale w końcu, jakby przywołał się do porządku, otworzył drzwi i wszedł do środka.

W wielkim kościele panowała całkowita cisza. Powietrze zamarło po tym, jak ksiądz Michael Joseph zniknął w tej ciasnej, dusznej klitce. Ciemne cienie czały się nie tylko po kątach kościoła, ale zakradły się nawet do głównej nawy i pochłonęły także ją. Tylko mała smuga księżycowego światła wdzieriała się nieśmiało przez witrażowe okno.

Zdawałoby się - oaza spokoju, ale wcale tu nie było spokojnie. Coś było w kościele, coś niespokojnego i wcale nie duchowego. Nasłuchiwała uważnie.

Usłyszała, jak drzwi do kościoła otwierają się. Odwróciła się i ujrzała człowieka, który najwyraźniej poczuł nagłą potrzebę spowiedzi i energicznie wkroczył do środka. Wyglądał dość zwyczajnie, był szczupły, miał krótkie czarne włosy i ubrany był w długi trencz. Zatrzymał się, rozejrzał wokół, ale nie mógł zobaczyć jej pośród ciemności. Widziała, jak podchodzi do konfesjonału, gdzie czekał ksiądz Michael Joseph, otworzył drzwi i wśliznął się do środka.

W kościele znowu zapanowała głucha cisza. A ona siedziała tak, wtopiona w cień i spoglądała w stronę konfesjonału pogrążonego w mglistym, niewyraźnym świetle. Ale nic nie usłyszała.

Jak długo może trwać spowiedź? Była przecież protestantką, skąd mogła to wiedzieć? Przyszło jej do głowy, że musi być jakiś związek pomiędzy liczbą grzechów a długością spowiedzi. Nawet ją to rozśmieszyło.

Poczuła nagły powiew zimnego powietrza na długo przed tym, zanim naprawdę się poruszyło. Pomyślała, że to dziwne, i dokładniej okryła się swetrem.

Spojrzała na ołtarz, jakby w poszukiwaniu natchnienia, może jakiegoś znaku i poczuła się głupio. Co powinna zrobić, kiedy ksiądz Michael Joseph skończy spowiadać? Złożyć rękę w jego wielkich dłoniach i wszystko mu wyznać? Jasne, jakby kiedykolwiek wcześniej to robiła.

Podniosła oczy wyżej: łagodny kształt ołtarza rozmazywał się w mglistym świetle, a cienie miękko czały się za jego krawędziami.

Może ksiądz Michael Joseph chciał, żeby posiedziała tutaj całkiem sama. Przyszło jej nawet do głowy, że chciał, żeby ona raczej porozmawiała sobie z Bogiem, a nie z nim. Ale ona nie czuła potrzeby modlitwy. Może była gdzieś w głębi jej serca, ale tam stanowczo nie zamierzała zaglądać.

Tak wiele się wydarzyło, a jednocześnie tak niewiele. Nieznane jej kobiety nie żyły. A ona tak. Przynajmniej na razie. On miał tyle możliwości, tyle oczu i uszu; ale teraz była bezpieczna.

Zdała sobie sprawę, że teraz, siedząc w ciszy i ciemności kościoła, nie była już tak przerażona jak jeszcze dwa i pół tygodnia temu. Stała się bardziej czujna. Przyglądała się twarzom ludzi mijających ją na ulicy. Jedne ją przerażały, inne nie robiły na niej żadnego wrażenia, tak jak ona nie robiła wrażenia na nich.

Czekała. Spoglądała na ukrzyżowanego Chrystusa i doznała dziwnego uczucia bólu, pomieszanego z nadzieją. Czekała dalej. Powietrze jakby się poruszyło, ale nadal panowała martwa cisza, nie słychać było choćby szeptu dochodzącego z konfesjonału.

Tymczasem w konfesjonale ksiądz Michael Joseph powoli i głęboko odetchnął, aby odzyskać równowagę. Nie chciał nigdy więcej widzieć tego mężczyzny. Kiedy ten zatelefonował do księdza Binneya i powiedział, że może przyjść tylko późno w nocy, przeproszał, ale twierdził, że grozi mu niebezpieczeństwo i że musi się wyświadczyć, a ksiądz Binney zgodził się. Mężczyzna powiedział księdzu Binneyowi, że musi widzieć się z księdzem Michaelem Josephem, i tylko z nim - ksiądz Binney zgodził się i na to.

Ksiądz Michael Joseph bał się, bo wiedział, dlaczego ten mężczyzna znowu tutaj przyszedł. Podczas poprzedniej spowiedzi udawał skruszonego, cierpiącego człowieka, który chce przestać zabijać i szuka duchowego wsparcia. Kiedy zjawił się tutaj drugi raz, przyznał się do kolejnego morderstwa, i przyszło mu to z taką łatwością, jakby wcześniej sobie wszystko przygotował, mówił płynnie i bez zająknięcia, ale ksiądz wiedział, że nie żałuje on za grzechy, że... no właśnie - co? Ksiądz nie mógł pojąć, że mężczyzna chciał napawać się świadomością, że ksiądz nie może zrobić nic, by go powstrzymać. Oczywiście ksiądz Michael Joseph nie mógł powiedzieć księdzu Binneyowi, dlaczego nie chciał widzieć tego grzesznika. Tak naprawdę nigdy nie wierzył w ludzkie zło. Aż do strasznych wydarzeń z 11 września i do spotkania z tym człowiekiem. Po raz pierwszy przyszedł dziesięć dni temu, potem w ubiegły czwartek i dziś w nocy znowu. Ksiądz przeczuwał, że ten człowiek był zły, nie miał wyrzutów sumienia, i był pozbawiony ludzkich uczuć. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek naprawdę czegoś żałował. Raczej nie. Ksiądz usłyszał, jak mężczyzna naprzeciw niego głęboko odetchnął, a następnie przemówił łagodnym, jednostajnym głosem:

- Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłem.

Wszędzie rozpoznałby ten głos, nawet w snach go słyszał. Nie wiedział, czy jest w stanie go znieść. Wreszcie przemówił cienkim, słabym głosem:

- Wyznaj swoje grzechy.

Zaczął modlić się do Boga, aby nie usłyszeć wyznania o kolejnym morderstwie.

Mężczyzna zaśmiał się szyderczo, a ksiądz Michael Joseph w tym śmiechu usłyszał obłęd.

- Ja też witam księdza. Wiem, co ksiądz myśli, i to prawda. Owszem, zabiłem tego żalosego fiuta. Udusiłem go garotą. Wie ksiądz, co to jest garota?

- Wiem.

- Próbowałem włożyć ręce pod obrozę, poluzować ją, uwolnić się i złagodzić nacisk, ale drut był tak rozkosznie mocny. Nic nie mogłem zrobić. Trochę go poluzowałem, by dać mu nadzieję.

- Nie słyszę skruchy w twoim głosie, żadnych wyrzutów sumienia, ale zadowolenie z

popelnionego zła. Zrobiłeś to dla przyjemności...

- Ale nie znasz jeszcze całej historii, ojciec - odpowiedział mężczyzna niskim, poważnym głosem.

- Nie chcę już niczego słuchać.

Mężczyzna roześmiał się głębokim, dźwięcznym śmiechem. Ksiądz Michael Joseph milczał. W konfesjonale było zimno i duszno, ciężko się oddychało, cały zlany był zimnym potem, a sutanna przyklejała się do skóry.. Czuł woń własnego potu, strachu i obrzydzenia do tego potwora.

*Dobry Boże, spraw, aby to monstrum teraz odeszło i nigdy nie powróciło.*

- Kiedy tylko poczuł, że poluzowałem drut wystarczająco, aby mógł oddychać, znowu zacisnąłem go mocno, tak szybko, że przeciął jego palce aż do kości. Umarł z rękami zaciśniętymi wokół własnej szyi. Proszę o rozgrzeszenie, ojciec. Czytał ksiądz gazety? Jak nazywał się ten mężczyzna?

Ksiądz Michael Joseph wiedział, o kogo chodzi. Widział relację w telewizji, czytał o tym w gazecie.

- Zamordowałeś Thomasa Gavina, działacza na rzecz chorych na AIDS. Zrobił wiele dobrego dla naszego miasta.

- Spal ksiądz z nim?

Nie był zaszokowany, po ostatnich dwunastu latach nic nie było w stanie go zaszokować, ale był zaskoczony. Mężczyzna nigdy wcześniej nie mówił takich rzeczy. Ksiądz milczał.

- Nie zaprzeczy ksiądz? Nie ma potrzeby, wiem, że ksiądz z nim nie spał, bo nie jest gejem. Ale on niestety musiał umrzeć. Nadszedł jego czas.

- Nie udzielę ci rozgrzeszenia bez żalu za grzechy.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? Thomas Gavin był tylko kolejnym żalonym facetem, którego należało usunąć z tego świata. I wie ksiądz, co jeszcze? On wcale nie był prawdziwy.

- Co to znaczy, że nie był prawdziwy?

- Właśnie to, co powiedziałem. On nie żył tak naprawdę. Egzystował w swoim własnym, małym świecie. A ja pomogłem mu opuścić ten nędzny świat. Wie ksiądz, że w zeszłym roku zaraził się AIDS? Właśnie się o tym dowiedział. Wariował. A ja go uratowałem, wyzwoliłem. To najlepsze, co mogłem zrobić. Pomogłem mu w samobójstwie.

- To było bestialskie morderstwo z zimną krwią. Było prawdziwe, a mężczyzna z krwi i kości nie żyje. Przez ciebie. Nie próbuj usprawiedliwiać tego, co zrobiłeś.

- To była przenośnia, nie usprawiedliwienie. Jesteś surowy, ojciec. Dostanę pokutę? Może odmówię milion razy „Zdrowaś Maryjo”? A może kara chłosty? Nie chcesz, żebym błagał, abys wstawił się za mną u Boga i błagał o wybaczenie?

- Nawet milion „Zdrowaś Maryjo” nic ci nie pomoże. - Ksiądz pochylił się, przysunął bliżej tak, że niemal dotknął złego i poczuł jego oddech. - A teraz posłuchaj: to nie jest sakramentalna spowiedź. Myślisz, że obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi, że nic nie wyjdzie poza ten konfesjonał. To nieprawda. To nie jest prawdziwa spowiedź: nie żałujesz za swoje grzechy, nie pragniesz duchowego rozgrzeszenia, a mnie nie obowiązuje tajemnica spowiedzi. Omówię to z moim biskupem. Jeżeli się ze mną nie zgodzi, jestem gotowy porzucić kapłaństwo, jeżeli będzie trzeba. Wtedy wyjdzie na jaw, co zrobiłeś. Nie pozwolę, abys dalej zabijał.

- Naprawdę wydałbyś mnie glinom? Zaangażowałaś się w tę sprawę, ojciec. Chyba wkurzyłeś się nie na żarty. Nie przypuszczałem, że wykorzystasz lukę w swoim przyrzeczeniu milczenia. Chciałem zmusić cię do błagania i wstawienia się za mną, ale okazałeś się bezsilny. Ale czy można przewidzieć czyjeś zachowanie?

- Resztę swojego marnego życia spędzisz w zakładzie dla obłąkanych.

Mężczyzna stłumił wybuch śmiechu i, próbując przybrać poważną minę, powiedział:

- Sugeruje ksiądz, że jestem niepoczytalny?

- Nie tylko niepoczytalny. Uważam, że jesteś socjopatą. Z nikim się nie liczysz. Potrzebujesz pomocy, chociaż wątpię, by ktokolwiek był w stanie poradzić coś na twoją przypadłość. Przerwiesz to szaleństwo?

- Chce mnie ksiądz zastrzelić?

- Nie jestem taki jak ty. Ale chętnie popatrzę, jak ktoś inny cię powstrzyma. Czas położyć temu kres.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić, żeby ksiądz zawiadomił policję. Staram się trzymać nerwy na wodzy, bo ksiądz nie zachowuje się tak, jak powinien. No dobra, jestem umiarkowanie wkurzony, że nie zachowuje się ksiądz jak należy.

- Co to znaczy: że nie zachowuję się jak należy?

- To nieważne, przynajmniej dla księdza. Ale dał mi ksiądz coś, czego nie doświadczyłem nigdy wcześniej.

- Co takiego?

- Niesamowitą frajdę. Nigdy się tak dobrze nie bawiłem. No, może z wyjątkiem tego...

Począł, aż ksiądz Michael Joseph spojrział na niego przez kratkę konfesjonału. Wystrzelił bez ostrzeżenia, prosto w czoło księdza. Rozległ się cichy odgłos strzału, użył tłumika. Powoli opuścił pistolet, a ksiądz Michael Joseph osunął się po drewnianej ścianie konfesjonału i mógł zobaczyć jego twarz. Nie było na niej śladu zaskoczenia, tylko przeblysł czegoś dla niego niezrozumiałego. Może współczucia? Nie, chyba nie o to chodziło. Co prawda ksiądz nim gardził, ale teraz nie był w stanie zrobić już nic. Nie pójdzie na policję, nie będzie też miał możliwości podjęcia tak radykalnych kroków, jak porzucenie stanu kapłańskiego. Jego usta zostały na wieczność zamknięte. I tajemnica spowiedzi jest zachowana.

Teraz to już nie było zmartwienie księdza. Jego wrażliwe sumienie nie będzie go już dręczyło. Czy niebo istnieje? Jeżeli tak, może ksiądz Michael Joseph patrzy teraz na niego z góry i dalej jest bezradny. A może jego dusza wciąż gdzieś tutaj krąży i zdumiona patrzy na jego ciało.

- Żegnaj ojcze, gdziekolwiek jesteś - powiedział wstając. Kiedy wychodził z konfesjonału, zamykając za sobą wąskie drewniane drzwi, przypomniał sobie wyraz twarzy księdza - wyglądał, jakby zwyciężył. Ale to nie miało sensu. Na czym polegało jego zwycięstwo? Poczciwy ksiądz kupił los za tysiąc dolarów. Ale nie wygrał złamanego centa.

W kościele nie było nikogo, nie żeby się kogoś spodziewał. Panowała tu martwa cisza. Przyjemnie byłoby w tej chwili usłyszeć śpiew chóru kościelnego. Ale nie, był tu sam. Tylko jego kroki odbijały się echem o chłodną posadzkę.

Z czego cieszył się ten cholerny ksiądz? Przecież był martwy, na litość boską.

Pospiesznym krokiem opuścił kościół św. Bartłomieja, przystanął na moment, by odetchnąć świeżym nocnym powietrzem i spojrzeć w górę na rozgwieżdżone niebo. Piękna noc, właśnie taka, jak powinna być. Księżyc nie świecił zbyt mocno, w sam raz. Będzie dziś bardzo dobrze spał. Po drugiej stronie ulicy, pośrodku chodnika, dostrzegł siedzącego pijacznym opartego o młody dąb; jego głowa spoczywała na piersi i wyglądało to dość nienaturalnie, ale kogo to obchodzi? Ten facet na pewno niczego nie słyszał.

Policja nie ma żadnych wskazówek i teraz będzie wiele pytań bez odpowiedzi. Wielka szkoda, że

ksiądz pokrzyżował mu trochę plany. Ale teraz jest już po wszystkim.

Tylko wyraz twarzy księdza nie dawał mu spokoju. Dręczyło go to.

Pogwizdując, szedł ulicą, z góry oświetlony światłem latarni, aż do miejsca, w którym zaparkował samochód, właściwie z trudem wcisnął go pomiędzy dwa inne samochody. To była dzielnica mieszkaniowa i miejsc do zaparkowania było bardzo mało. Ale czego się spodziewać? Przecież to San Francisco.

Musiał jeszcze zajrzeć w jedno miejsce. Miał nadzieję, że ona jest w domu, nie w pracy.



# Rozdział 2

## WASZYNGTON

Mam kłopot, Savich. Muszę jechać do domu. Mój brat zginął ubiegłej nocy - powiedział Dane Carver do swojego szefa, Dillona Savicha.

Była siódma trzydzieści rano, zimny poniedziałkowy poranek, do Nowego Roku zostały zaledwie dwa tygodnie.

Savich podniósł się powoli z krzesła, nie spuszczać wzroku z twarzy Dane'a. Ten wyglądał źle - był cholernie blady i miał podkrążone oczy, jakby za chwilę sam miał umrzeć. W jego oczach widać było ból i szok.

- Co się stało, Dane?

- Mój brat... - Nie mogąc wykrztusić ani słowa więcej, Dane stanął w otwartych drzwiach. Pomyślał, że kiedy wypowie głośno to słowo, stanie się ono niezaprzeczalnym faktem, i obawiał się, że nie mogąc tego znieść, padnie tu trupem. Przełknął ślinę i marzył, aby czas cofnął się do ubiegłej nocy, przed czwartą nad ranem, zanim zadzwonił do niego inspektor Vincent Delion z policji w San Francisco.

- W porządku - powiedział Savich, podszedł do niego i podał mu rękę. - Wejdz do środka, Dane. Zamkniemy drzwi.

Dane zamknął drzwi, popychając je nogą, odwrócił się tyłem do Savicha i próbując opanować drżenie głosu, powiedział:

- Został zamordowany. Mój brat został zamordowany.

Savich był wstrząśnięty. Naturalna śmierć brata to wystarczające nieszczęście, a co dopiero morderstwo?

- Bardzo mi przykro. Wiem, że byłeś blisko ze swoim bratem. Usiądź, proszę, Dane.

Ten przecząco pokręcił głową, ale Savich podprowadził go do krzesła i delikatnie go na nim posadził. Dane siedział sztywno, patrząc tępo przed siebie, za okno, które wychodziło na budynek sądu.

- Twój brat był księdzem? - upewnił się Savich.

- Tak, jest, właściwie był księdzem. Muszę tam pojechać i zająć się wszystkim.

Dillon Savich, szef jednostki dochodzeniowo - śledczej w centrali FBI, siedział na brzegu swojego biurka naprzeciwko Dane'a. Pochylił się, poklepał go po ramieniu i powiedział:

- Wiem, to straszne, Dane. Oczywiście, musisz tam pojechać i o wszystko zadbać. Dostaniesz płatny urlop, nie ma sprawy. To był twój brat bliźniak, prawda?

- Tak. Moje odbicie w lustrze. Różniliśmy się charakterami, ale i tak byliśmy bardzo do siebie podobni.

Savich nie mógł sobie wyobrazić, co się czuje, kiedy traci się brata, w dodatku bliźniaka. Dane



pracował z nim zaledwie od pięciu miesięcy, na własną prośbę został przeniesiony z biura terenowego w Seattle. Ręczył za niego sam Jimmy Maitland, szef Savicha, który polecił mu na początku mieć oko na Dane'a Carvera. Twierdził, że to dobry chłopak, bystry, pragmatyczny, twardy, czasami w gorącej wodzie kąpany, ale niezawodny. Jeżeli Dane Carver coś obiecał, można było uznać to za pewnik.

Savich wiedział, że Dane urodził się w Boże Narodzenie, dwie godziny po północy. Zawsze dostawał masę głupich świąteczno - urodzinowych prezentów podczas przyjęć w biurze na dzień przed Wigilią. Właśnie skończył trzydzieści trzy lata.

- Czy tamtejsza policja wie, co zaszło? Zaraz, ja nawet nie wiem, gdzie mieszkał twój brat.

- W San Francisco. Najpierw zadzwonił do mnie inspektor Vincent Delion z policji w San Francisco, dziesięć minut później moja siostra Eloise, która mieszka w San Jose. Delion powiedział, że został zamordowany w konfesjonale, późno w nocy, prawie o północy. To nie do wiary... - Dane w końcu na niego spojrział, a w jego oczach była wściekłość, która powoli przeradzała się w obłęd. Uderzył pięścią o poręcz krzesła.

- Uwierzysz, że jakiś dupek zabił go w konfesjonale? O północy? Dlaczego spowiadał o północy?

Savich pomyślał, że zaraz Dane wybuchnie. Oddech miał przyspieszony i ciężki, oczy wytrzeszczone, a dłonie mocno zaciśnięte w pięści. Ale nie. Wstrzymał na chwilę oddech, po czym głęboko odetchnął i opanował się.

- Dla nas brzmi to bezsensownie. Ale znajdziemy sprawcę i dowiemy się, dlaczego to zrobił. Poczekaj jeszcze chwilę, Dane. Musimy coś ustalić. Twój brat miał na imię Michael, prawda?

- Tak, ksiądz Michael Joseph Carver. Muszę jechać do San Francisco. Znam tamtejszą policję. Może i są dobrzy, ale nie znają mojego brata. Nawet moja siostra go nie zna. Tylko ja znam go naprawdę. Boże, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to powiem, ale chyba lepiej, że nasza matka umarła w ubiegłym roku. Bardzo chciała, żeby Michael został księdzem, modliła się o to przez całe życie, przynajmniej tak twierdziła. To by ją załamało.

- Wiem, Dane. Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?

- Dwa dni temu. Był zadowolony, bo udało mu się złapać chłopaka, który malował graffiti na murach kościoła. Powiedział, że uczyni z tego chłopca katolika. A kiedy już to się stanie, nigdy już tego nie robi, bo będzie miał poczucie winy

- Dane uśmiechnął i zamilkł.

- Nie wyczułeś niczego niepokojącego? Dane potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Nie, mój brat zawsze był optymistą, nawet wtedy, kiedy dziennikarz pewnej lokalnej gazety próbował go uwieść.

- Dobry Boże, facet?

- Tak, facet.

Savich uśmiechnął się.

- To zdarzało się często, ale zazwyczaj były to kobiety. Michael zawsze był miły, przyciągał do siebie w równym stopniu mężczyzn i kobiety. - Dane zmarszczył brwi i zamyślił się.

- A kiedy teraz o tym myślisz, przypominasz sobie coś?

- Hm, nie jestem pewien. Mówił coś ostatnio o poczuciu bezradności i było mu z tym ciężko. Mówił, że musi coś z tym zrobić.

- A domyślasz się, co chciał przez to powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. Może miał ciężką spowiedź, może chodziło o jakiegoś parafianina, któremu nie mógł pomóc. Ale to przecież nic niezwykłego. Przez lata bycia księdzem wiele razy miewał takie problemy. - Dane zacisnął pięść. - Nie wiem, może coś go przestraszyło. Mogłem drugi raz do niego zadzwonić i spróbować coś z niego wyciągnąć, nie pozwolić mu zamknąć się w sobie. Dlaczego, do cholery, tego nie zrobiłem?

- Zamknij się, Dane. Nie dręcz się poczuciem winy.

- Trudno mi tego unikać. Jestem katolikiem.

- Przecież to nie twoja wina. Musisz tylko dowiedzieć się, kto go zabił, tylko zabójcę można winić za to, co się stało. Teraz poproszę Millie, żeby zrobiła dla ciebie rezerwację. Przypomnij mi, kto prowadzi śledztwo?

- Vincent Delion. Tak jak mówiłem, zadzwonił do mnie w nocy chwilę przed Eloise i powiedział, że wie, że jestem z FBI, że pewnie chciałbym wiedzieć wszystko, co oni wiedzą. Na razie nie wiedzą zbyt wiele. Zmarł natychmiast od strzału w czoło. Kula przeszła na wylot. Z przodu rana wygląda jak czerwona kropka, którą Hindusi noszą na czole. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem.

- Ale z tyłu głowy rana nie wygląda już tak niewinnie. Jezu, to koszmar.

Savich wiedział, że nie może pozwolić, aby Dane dał się ponieść wyobraźni, nie mógł pozwolić mu na wyobrażanie sobie zmasakrowanej przez kulę głowy brata. To tylko pogрузyłoby go w bólu.

Żywo gestykulując, powiedział:

- I zabójca raczej nie zostawił broni na miejscu zbrodni? Dane potrząsnął głową.

- Nie. Dziś jest sekcja zwłok.

- Znam komendanta Kreidera - powiedział Savich.

- W ubiegłym roku występował przed Kongresem w sprawie skutecznych metod zapobiegania zamieszkom na tle rasowym w rejonie zatoki San Francisco. Spotykałem go na strzelnicy w Quantico. Świetnie strzela z daleka. Mój teść jest sędzią federalnym w San Francisco. Zna wielu ludzi. Mogę ci w czymś pomóc?

Dane milczał. Savich wiedział, że był jeszcze zbyt sparaliżowany przez wstrząs i żal, aby mógł zrozumieć to, co właśnie usłyszał. Trzeba dać mu trochę czasu. Pozytywną stroną tej sytuacji było to, że w tym stanie łatwiej mu będzie uporać się z bólem i wściekłością.

- OK, nieważne. Wiesz co? Jedź do San Francisco i pogadaj z Delionem, dowiedz się, co oni robią w tej sprawie. Zobacz, czy tamtejsze nasze biuro może w czymś pomóc. Znasz Berta Cartwrighta, szefa biura terenowego FBI z San Francisco?

- Tak - odparł Dane niskim głosem. - Owszem, znam go.

- Na jego twarzy nagle pojawiła się niechęć, która na chwilę przesłoniła ból.

- Jasne, rozumiem - odparł Savich. - Wy dwaj raczej się nie lubicie.

- Raczej nie. Poradzę sobie bez niego.

- Dlaczego? Co zaszło między wami? Dane potrząsnął głową.

- To nieistotne.

- W porządku, jedź do domu i spakuj się. Tak, jak powiedziałem, Millie zajmie się wszystkimi formalnościami związanymi z twoim wyjazdem. Chcesz nocować na mieście czy zatrzymasz się u siostry?

- Na mieście. Ale na pewno nie na plebanii.

- Dobrze, zarezerwujemy ci hotel w centrum. To hotel rekomendowany przez FBI, więc nie licz

na żadne luksusy. Zadzwoń, jakbyś czegoś potrzebował.

- Jasne. Dzięki, Savich. A sprawy, które prowadzę...

- Dopilnuję, by ktoś się nimi zajął. Idź już.

Uścisnęli sobie dłonie. Savich patrzył, jak Dane przechodził przez wielki gabinet, w którym stały biurka dziewięciu agentów specjalnych. Tylko sześć z nich było w tej chwili zajętych.

Jego żona, agentka Lacey Sherlock Savich, była właśnie na trzecim piętrze w departamencie analiz DNA na spotkaniu z Jerrym Hollisterem. Porównywali próbkę DNA pobraną od ofiary gwałtu i morderstwa w Bostonie z próbką głównego podejrzanego. Jeżeli będą pasować, facet był ugotowany.

Ollie Hamish, jego zastępca, przebywał w Wisconsin i konsultował się z policją z Madison w sprawie serii szczególnie brutalnych morderstw, powiązanych z lokalną rozgłośnią radiową, która grała przeboje z lat sześćdziesiątych.

Savich nienawidził wariatów. A jeszcze bardziej niewyjaśnionych spraw. Zdumiewało go i przerażało, do czego zdolny jest ludzki umysł. A teraz jeszcze sprawa brata Dane'a, księdza.

Wykręcił numer wewnętrzny Millie i polecił jej poczynić przygotowania w związku z wyjazdem Dane'a. Potem w elektrycznym czajniku nastawił wodę na herbatę. Zaparzył bardzo mocną earl grey w wielkim kubku z logo FBI i uruchomił komputer. Zaczął od napisania e-maila do komendanta Dextera Kreidera.

## SAN FRANCISCO

W poniedziałkowe popołudnie o trzeciej trzydziści czasu lokalnego, po trwającym pięć godzin i dziesięć minut locie z lotniska Dulles w Waszyngtonie, Dane Carver wylądował w San Francisco.

Właśnie szedł przez wielki gabinet w stronę zagraconego biurka inspektora Deliona. Przystanął na chwilę i przyglądał mu się. Zobaczył starszego człowieka z lśniąca łysiną i gęstymi, podkreconymi wąsami, zgarbionego nad klawiaturą komputera i zapamiętało coś na niej wystukującego. Dane usiadł na krześle naprzeciwko jego biurka, nie mówiąc nic, tylko obserwując człowieka przy pracy. To miejsce wyglądało jak każdy inny komisariat, w którym dotąd był. Marynarki gliniarzy wisiały na oparciach krzeseł, oni sami mieli poluzowane krawaty i podwinięte rękawy koszul. Na krześle w korytarzu siedział młody Latynos z rękami w kajdankach i drwiącym uśmiechem na twarzy, kilku groźnie wyglądających prawników w trzyczęściowych garniturach - słowem - nic niezwykłego, jak na poniedziałkowe popołudnie. W niewielkiej kuchni na zniszczonym stole stało puste pudełko po pączkach, był tam też ekspres do kawy, który wyglądał, jakby miał ze sto lat, stos papierowych kubków, saszetki z cukrem i karton mleka, którego Dane brzydziłby się tknąć.

- Kim pan jest?

Dane wstał z krzesła i wyciągnął rękę.

- Jestem Dane Carver. Dzwonił pan do mnie w nocy w sprawie śmierci mojego brata.

- Ach, tak, rzeczywiście. - Inspektor wstał i uścisnął dłoń Dane'a. - Nazywam się Vincent Delion. Usiadł i wskazał Dane'owi krzesło.

- Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata.

Bracia byli ze sobą bardzo związani, wiedział to od ich siostry, Eloise DeMarks. Delion widział, że ten człowiek bardzo cierpi. Wszyscy federalni, jakich Delion dotąd spotkał, wydawali się nie mieć żadnych uczuć i nie patrzyli dalej niż czubek własnego nosa. Oczywiście, nigdy wcześniej nie widział żadnego z nich w podobnej sytuacji. Zamordowanie członka rodziny - coś tak osobistego, nad czym w żaden sposób nie mógł zapanować. Chyba nie mogło spotkać go nic gorszego.

- Dziękuję, doceniam to. Co udało wam się ustalić? - zapytał Dane lekkim, spokojnym głosem, jakby przeprowadzał kolejne rutynowe śledztwo.

Delion pomyślał, że musiał mieć w tym sporą wprawę.

- Bardzo mi przykro, ale najpierw musimy pojechać do kostnicy i zidentyfikować zwłoki. Oczywiście nie ma żadnych wątpliwości, że to pański brat, ale takie są procedury. Rozumie pan, prawda? Był pan kiedyś policjantem?

Dane potrząsnął przecząco głową.

- Zawsze chciałem być agentem FBI. Ale owszem, znam procedury.

- No tak, ja zawsze chciałem być policjantem. Doktor Boyd zrobił dziś rano sekcję zwłok, byłem przy tym. Pański brat zmarł na miejscu, tak jak mówiłem panu przez telefon. Lekarz twierdzi, że to był przypadek, jakby to było jakieś pocieszenie. Rozmawiałem z pańską siostrą. Chciała dziś przyjechać, ale powiedziałem jej, że pan tu będzie i zajmie się wszystkim. Porozmawiam z nią za dzień lub dwa. Pomyślałem, że pan lepiej sobie z tym poradzi.

- Tak, rozmawiałem z Eloise. Dziś też z nią porozmawiam. A jeżeli chodzi o broń...

- Na miejscu zbrodni ani w pobliżu nie znaleziono żadnej broni. Ale policyjny patolog znalazł kulę kaliber dwadzieścia dwa w betonowej ścianie za konfesjonałem. Kula przeszła głowę pańskiego brata i ścianę konfesjonału i wbiła się w oddaloną o dwa metry ścianę, niezbyt głęboko, zaledwie kilka centymetrów i była w całkiem dobrym stanie. A nasz balistyk, Zopp, tak, to jego prawdziwe nazwisko: Edward Zopp, natychmiast tam się pojawił. Kula była praktycznie nienaruszona i można było ją dokładnie zważyć i zmierzyć, z czego Zopp był bardzo zadowolony. To niezwykle rzadki przypadek.

Zopp twierdzi, po szczegółowym zbadaniu kuli, że zabójstwa dokonano z broni JC Higgins model osiemdziesiąt lub Hi Standard model 101 - oba są bardzo podobne.

- Owszem i bardzo osobliwe. Nie są też już produkowane, ale nietrudno je kupić. Nie mają zbyt dużej wartości, właściwie to tania broń.

- Otóż to. Zopp też twierdzi, że to dziwne, bo takiej broni używał słynny Zodiak pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Czy to zbieg okoliczności? Biorąc pod uwagę fakt, że nigdy nie znaleziono broni.

- Myśli pan, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane? Delion pokręcił głową.

- Nie, nie sądzę. Ale może nasz podejrzany jest wielbicielem Zodiaka. No cóż, zobaczymy. Mamy kulę, a kiedy znajdziemy broń, z której ją wystrzelono, będziemy mogli porównać ją z danymi w naszej bazie.

Dane rozsiadł się na krześle i wpatrywał się w czubki swoich butów. Bardzo niechętnie, ale musiał zadać to pytanie:

- Pod jakim kątem weszła kula?

# Rozdział 3

Zabójca znajdował się dokładnie naprzeciw pańskiego brata. Patrzyli na siebie. Strzelił przez kratkę konfesjonału.

Mój Boże, pomyślał Dane, i wyobraził sobie Michaela z głową lekko przekrzywioną w jedną stronę, uważnie słuchającego spowiedzi, próbującego wyobrazić sobie, co czuł, próbującego go zrozumieć. Ale tym razem było inaczej, Dane był tego pewny. Jego brat niepokoił się o tego człowieka. A facet po prostu podniósł cholerny pistolet i strzelił mu prosto w czoło. Dane przez chwilę nie był w stanie myśleć, otepiało go przerażenie na myśl o tym, co spotkało jego brata. Pragnął, żeby to otepienie ogarnęło go całego, ale tak się nie stało. Był pogrążony w bólu.

Delion dał Dane'owi trochę czasu, aby mógł się pozbierać. Potem powiedział:

- Sprawdzamy już sklepy z bronią, chcemy dowiedzieć się, czy mają jeszcze taki model lub czy kiedyś go sprzedawali, a jeżeli tak, kto go kupił w ciągu ostatnich kilku lat.

Dane nie mógł sobie wyobrazić, by z takiej broni można było kogoś zastrzelić, szczególnie z broni kupionej tutaj, w San Francisco. Zabójca musiałby być skończonym głupcem, wchodząc prosto w paszczę lwa, no, ale tutaj trzeba było zacząć poszukiwania.

- Kto go znalazł?

- Ktoś zadzwonił na policję jakieś dziesięć minut po tym, jak zginął pański brat.

- A więc jest świadek - powiedział Dane.

- Możliwe. To była kobieta. Twierdzi, że widziała, jak mężczyzna, który zastrzelił pańskiego brata, wychodził z konfesjonału, w rękę trzymając przysłowiowy dymiący jeszcze pistolet. Mówi, że zabójca jej nie widział. Potem zaczęła płakać i rzuciła słuchawkę. Rozmowy są nagrywane, więc jeżeli pan chce, możemy ją odsłuchać. Nie mamy pojęcia, kim jest ta kobieta.

- Nie zadzwoniła ponownie? Delion pokręcił przecząco głową.

- I nie powiedziała, czy byłaby w stanie go rozpoznać?

- Powiedziała, że nie, ale że odezwie się, kiedy coś sobie przypomni.

Dobre i to, pomyślał Dane. Przynajmniej był jakiś świadek. Może znowu zadzwoni.

- A rozmawiał pan z innymi księżmi w parafii? - zapytał. Wtedy Dane po raz pierwszy zobaczył, jak Vincent Delion uśmiechnął się pod gęstym wąsem.

- Doszedłem do wniosku, że sam pan zechce to zrobić. A więc, agencie Carver, jest pan gotowy do akcji?

Dane przytaknął.

- Dziękuję, doceniam to. Na razie oficjalnie jestem na urlopie, więc mam na to czas. Najpierw porozmawiam z księdzem Binneyem. Kiedy ostatnio mailowałem z Michaeliem, wspominał coś o nim.

- Ma to jakiś związek z naszą sprawą?

- Nie jestem pewny. - Dane wzruszył ramionami. - Napisał tylko, że ma problemy z księdzem

Binneyem. I coś jeszcze - dodał Dane, podnosząc głowę i patrząc prosto na wąsy Deliona. - Podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej brat powiedział, że czuje się bezradny i że nie może sobie z czymś poradzić. Mam nadzieję, że ksiądz Binney wie coś więcej.

Okropna prawda dotarła do Dane'a, kiedy w kostnicy przez szklane okno zobaczył ciało brata. Dr Boyd, wysoki, siwowłosy, mężczyzna o głosie skłaniającym do wyznania najcięższych win, poprowadził ich od pancernych drzwi przez wąski korytarz do tego niewielkiego pomieszczenia i odsunął zasłony. Leżał tam Michael, po szyję przykryty prześcieradłem, widać było tylko jego głowę. Dane poczuł tak mocne szarpnięcie bólu, że niemal się zatoczył. Poczul na ramieniu rękę Deliona. Na czole Michaela widniała czerwona kropka, wyglądała tak niesamowicie, jakby została namalowana, jakby ktoś zapomniał zmyć ten element charakterystyki. Chciał nawet zapytać doktora Boyda, dlaczego nikt tego nie zmył, ale się powstrzymał.

- Pański brat zmarł chwilę po tym, jak trafiła go kula, agencie Carver. Nie cierpiał, jestem tego pewien - powiedział łagodnie doktor Boyd.

Dane skinął głową.

- Zrobiliśmy sekcję zwłok: pobraliśmy odciski palców i próbki DNA.

- Tak, wiem.

Delion cofnął się, skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się agentowi Dane'owi Carverowi. Widział, jak bardzo cierpiał. Kiedy skończyli i Dane odwrócił się, by wyjść, Delion powiedział:

- Komendant Kreider chce nas teraz widzieć.

Sekretarka wprowadziła ich do biura komendanta Dextera Kreidera. Nie było zbyt wielkie, ale widok z okna zapierał dech w piersiach. Za ścianą, całą ze szkła, rozciągał się malowniczy widok na most nad zatoką, widać także było gigantyczne logo Yahoo! i neon dietetycznej coca - coli. Stało tam ogromne biurko, dwie okazałe kicowate gabloty, które wywołały chwilowy uśmiech na twarzy Dane'a. W biurach komendantów, jakie do tej pory widział, zawsze była przynajmniej jedna. A tutaj była jeszcze szczypta fantazji: w kącie stał drewniany konik z karuzeli. Praktyczność i fantazja, cóż za połączenie.

Komendant Kreider był postawnym mężczyzną, miał jakieś dwa metry wzrostu i ważył pewnie ze sto dwadzieścia kilogramów. Miał siwe, gęste, obcięte krótko niczym w wojsku włosy, nosił wielkie okulary i wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Nie uśmiechał się.

- Carver? Agent Dane Carver?

Dane przytaknął i uścisnął dłoń komendanta.

- Dobrze, że jesteście. Proszę usiąść. Tina, przynieś nam kawy - polecił sekretarce.

Delion i Dane usiedli przy małym okrągłym stole pośrodku biura. Komendant chodził bez słowa w tę i z powrotem, aż Tina, starsza kobieta, z równą swojemu przełożonemu wojskową precyzją naląła kawy, skinęła głową komendantowi i odmaszerowała. Wreszcie przemówił:

- Dostałem e - mail od twojego szefa w Disneyland East, Dillona Savicha.

- To świetny glina - powiedział Delion.

- Zgadza się. Savich pisze, że jest pan o wiele bystrzejszy, niż powinien i że ma pan świetną intuicję. Prosi, byśmy się panem zaopiekowali. Delion, co myślisz? Chcesz współpracować z federalnymi? - zapytał Kreider.

- Nie - odparł Delion. - To moje śledztwo. Ale zgadzam się, aby Carver prowadził to śledztwo ze mną.

- Nie chcę przejmować tej sprawy - zaprotestował Dane. - Nie o to mi chodzi. Po prostu chcę

pomóc w ujęciu mordercy mojego brata.

- No dobra - powiedział Kreider. - Współpracowniczka Deliona, Marty Loomis, jest teraz chora na półpasiec i nie przyjdzie do pracy przez najbliższych kilka tygodni. Od niedzieli zastępuje ją inspektor Marino. Właśnie coś przyszło mi do głowy - na chwilę zawiesił głos i uśmiechnął się. - Znałem ojca Dillona Savicha, Bucka. Wariat był z niego, i nie przebierając w środkach, umiał pogonić każdego bandziora. Słyszałem, że jego syn nie jest tak narwany jak on, ale jest równie bystry, ma wyobraźnię, i jest profesjonalistą w każdym calu. Szanuję ich obu. A o tobie, Carver, nic nie wiem, ale wierzę na słowo Savichowi, że jesteś niezły.

- Tak, jak powiedziałem - rzekł Delion - nie mam nic przeciwko temu, żeby do nas dołączył. Może nawet wniesie coś cennego do śledztwa.

- Też tak myślę - zgodził się Kreider. Przemaszerował parę razy w tę i z powrotem, po czym zatrzymał się i stanął przed Dane'em. - Czy może woli pan działać na własną rękę?

Dane odwrócił się do Deliona, ale jego spojrzenie niczego nie wyrażało, po prostu tępo na niego patrzył. Dane nie był głupcem, powoli pokręcił głową.

- Nie, wolę pracować z Delionem.

- Świetnie. - Komendant Kreider podniósł do ust swoją filiżankę, pociągnął łyk kawy i odstawił ją. - Przydzielam ci porucznika Marino, Delion. Oczekuję raportu dwa razy dziennie.

Kiedy opuścili biuro i ruszyli do garażu, Delion powiedział:

- Wszyscy zastanawiają się, jak Kreider uprawia seks, bo przecież w kółko chodzi w tę i z powrotem i prawie się nie zatrzymuje. Ciężko to robić, kiedy nie możesz ustać w miejscu.

- Nie widział pan tego starego filmu z Jackiem Nicholsonem: „Pięć łatwych utworów”?

Delion przewrócił oczami i roześmiał się, uruchamiając starego białego forda z granatową tapicerką i wyjeżdżając wprost na koszmarnie zakorkowaną Bryant Street. Delion ruszył na północ, przeciął Market Street, i mijając korek, wjechał na Nob Hill. Cudem znaleźli miejsce do zaparkowania.

- Oficer patrolu terenowy przysłał meldunek z Okręgu Dziesiątego - powiedział Delion. - Powiadomił operacyjnych, a oni mnie i pracowników paramedycznych, a ci zawiadomili lekarza sądowego. To bardzo ważne śledztwo. Doktor Boyd osobiście przyszedł do kościoła. Nie wiem, jak dobrze znasz San Francisco, ale mieszka u nas bardzo wielu gejów. A na Polk Street naprawdę wiele się dzieje. To zaledwie parę ulic stąd.

- Tak, wiem - odrzekł Dane. - A na wypadek gdyby zaprzętało to panu głowę: mój brat nie był gejem.

- To samo powiedziała pańska siostra - przyznał Delion. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał w górę na kościół św. Bartłomieja. - Ten kościół zbudowano w 1910 roku, zaledwie cztery lata po trzęsieniu ziemi. Poprzedni doszczętnie spłonął. Zbudowany jest z cegieł i betonu. Widzi pan tę dzwonnice? Ufundował ją Mortimer Grist, jeden z ówczesnych włodarzy miasta. Jest jeszcze wyższa niż kościół.

- Wszystko wygląda na bardzo zadbane.

- Wejźmy do środka - powiedział Delion. - Obejrzy pan sobie wszystko.

Chciał zobaczyć, gdzie jego brat zakończył życie. Kiedy szedł przez szeroką nawę główną, zbliżając się do miejsca, gdzie został zastrzelony Michael, do trzeciego konfesjonału, jak powiedział mu Delion, każdy krok sprawiał mu ogromny ból. Oddychał ciężko i szybko. To było jeszcze trudniejsze do zniesienia niż widok Michaela leżącego w kostnicy. Nagle poczuł na twarzy błysk



kolorowego światła i zatrzymał się. Spojrzał w górę i ujrzał witraż, który iskrzył się kolorami i rzucał wiązki intensywnego światła dokładnie w miejsce, gdzie stanął Dane. Stał tak bez ruchu, patrząc w górę i ponad witraż na Maryję i Józefa w stajence, z dzieciątkiem leżącym w żłóbku. I anioły, całe zastępy śpiewających aniołów. Bardzo wyraźnie słyszał ich śpiewy. Odetchnął głęboko. Powietrze stało się jakby cieplejsze, a miazdzący ból odrobinę ustąpił. Nie widział konfesjonału. Zamiast żółtej policyjnej taśmy sklecono wysoką czarną zasłonę, która chroniła konfesjonał przed ciekawskimi spojrzzeniami. Delion odsunął ją na bok, odsłonił konfesjonał - stary, z ciemnego drewna, wysoki i trochę wysłużony z parą wąskich drzwi: jedno dla pokutnika, drugie dla księdza. Witraż rzucał snopy kolorowych światła na konfesjonał i sprawiał, że cały lśnił.

Powoli otworzył drzwi, usiadł na twardej ławie i spojrzął przez rozdartą siatkę. Niedawno za tą kratką siedział jego brat, mówił i uważnie słuchał. Mężczyzna raczej nie klęczał na klęczniku, byłoby mu niewygodnie strzelać. Ciekawe, czy Michael wiedział, że ten człowiek zamierza go zabić? Dane wstał i przeszedł na drugą stronę. Otworzył drzwi i usiadł na obitym poduszkami siedzeniu. Nie wiedział, czego oczekuje, siadając na miejscu, gdzie zginął jego brat, bo nie poczuł ani strachu, ani złości, tylko wypełniający go dziwny spokój. Odetchnął głęboko i pochylił głowę.

- Michael - szepnął.

Delion z pewnej odległości obserwował, jak agent Dane Carver wychodzi z konfesjonału. Zobaczył, że jego oczy zaszczyły łzami.

- Chodźmy porozmawiać z ludźmi z plebanii - powiedział Dane.

Obeszli kościół wokół i przeszli na plebanie obsadzoną drzewami eukaliptusowymi i otoczoną wysokim płotem. Było tu ciszej, niż Dane sobie wyobrażał, nie było słychać zgiełku miasta. Plebania była imponującym dwupiętrowym budynkiem, którego ściany z czerwonej cegły oplecione były bluszczem, a w tle słychać było plusk małej fontanny.

Wszystko razem pachniało świeżo.

Michael nie żył, a wszystko pachniało świeżo.

# Rozdział 4

Ksiądz Binney zerwał się z miejsca, by powitać nadchodzących gości. Był niski, wyglądem przypominał krasnala. Dane nigdy u nikogo nie widział tak czerwonych włosów, bez najmniejszego śladu siwizny. Nawet włosy Sherlock nie mogły się z nim równać. Ksiądz Binney miał około sześćdziesięciu lat. Niesamowite.

Wyciągnął rękę do Deliona, ale po chwili cofnął się, jakby zobaczył ducha. Złapał się krawędzi krzesła i spojrzał na Dane'a.

- Ale mnie pan przestraszył. - Położył dłoń na piersi. - Jest pan bratem księdza Michaela Josepha. Dobry Boże, jest pan do niego tak podobny. Proszę, niech panowie wejdą, proszę bardzo. Miło pana znowu widzieć, inspektorze Delion. Musicie być wyczerpani.

- To była długa noc - przyznał Delion, podążając za księdzem Binneyem. - Rozmawiałem już dziś przez chwilę z księdzem Binneyem; to było około ósmej rano, kiedy zespół medycyny sądowej doprowadził kościół do porządku - wyjaśnił Dane'owi.

I ani słowem mi o tym nie wspomniałeś, pomyślał Dane. Byłby jednak zaskoczony, gdyby Delion natychmiast nie przesłuchał wszystkich na plebanii.

- Rozmawiał już ze wszystkimi - powiedział ksiądz Binney. - Nie znalazł pan niczego w pokoju księdza Michaela Josepha, prawda, inspektorze Delion?

- Nie, niczego niezwykłego.

Ksiądz Binney prowadził ich do niewielkiego salonu, potrząsając głową. Pokój wypełniony był chińskimi meblami z ciemnego drewna, starymi i eleganckimi, choć lekko porysowanymi. Na podłodze leżał tradycyjny perski dywan tak postrzępiony, że Dane bał się po nim chodzić. Ciężkie, czerwone zasłony tkane były w czarne smoki.

- Usiądźcie, panowie - powiedział i zwrócił się do Dane'a: - Bardzo mi przykro z powodu pańskiego brata, panie Carver. Wszystkim nam jest przykro. Kochaliśmy Michaela Josepha. To potworne. Wygląda pan zupełnie jak on, to dla mnie szokujące, pomimo że wcześniej widziałem was obu na fotografii. To takie trudne... Jak już powiedziałem dziś rano inspektorowi Delionowi, czuję się winny. Gdybym nie zgodził się, żeby ten człowiek przyszedł tak późno do spowiedzi...

Ksiądz Binney opadł na wyściełane czerwonym brokatowym sukniem krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Były na nich rude włosy. Po chwili spojrzał na przybyłych.

- Wybaczcie mi, proszę. Muszę tylko przyzwyczaić się do pańskiego widoku, panie Carver. Jego strata to najgorsze, co mogło się wydarzyć. I to wyłącznie moja wina.

- To nie księdza wina ani moja, tylko tego szaleńca, który go zabił, i to jego należy za to winić - powiedział Dane niskim, spokojnym głosem. - A teraz niech nam ksiądz powie, co wie o tym człowieku.

To uspokoiło księdza Binneya. Powoli podniósł głowę. Jeszcze raz zadrżał na widok Dane'a.

Dane zauważył, że stopy duchownego ledwie dotykają wytartego dywanu.

- Jak już powiedziałem inspektorowi Delionowi, ten człowiek zadzwonił w niedzielę około ósmej wieczorem. Siedziałem właśnie przy biurku, więc odebrałem telefon. Powiedział, że to pilne, że jest bardzo chory i że jeżeli umrze, zanim porozmawia z księdzem Michaeliem Josephem, może pójść do piekła. Mówił bardzo płynnie, brzmiał wiarygodnie. Rozumie pan, mamy ustalone godziny spowiedzi, ale on nalegał.

- Jak nazywał się ten człowiek? - zapytał Dane.

- Przedstawił się jako Charles DeBruler, powiedział, że dwa razy był już u spowiedzi u księdza Michaela Josepha i że bardzo mu pomógł. Mówił, że wzbudził jego zaufanie - odparł ksiądz Binney.

- Jak zareagował mój brat, kiedy powiedział mu ksiądz o tym telefonie?

Binney zmarszczył brwi.

- Prawdę mówiąc, był wściekły. Powiedział, że zna tego człowieka i że nigdy więcej nie chce z nim rozmawiać. Byłem zdziwiony, powiedziałem, że nie znałem go od tej strony, że nigdy nie odmówił, gdy ktoś prosił go o pomoc. Nie chciał, ale rozumiecie panowie, chyba wzbudziłem w nim wyrzuty sumienia, że nie wypełni swoich obowiązków, jeżeli nie spotka się z tym człowiekiem. Powiedziałem mu też, że nie spodziewałem się, że odmówi komuś, kto prosi o spowiedź, nieważne, o jakiej porze o nią prosił, nieważne, co o nim myślał. Ksiądz Michael Joseph nie chciał dyskutować ze mną o tym człowieku i powiedział, że ten jeden raz jeszcze się z nim spotka. Ostatni raz. Później mówił coś jeszcze o decyzji, którą musi podjąć, decyzji, która na zawsze odmieni jego życie - ksiądz Binney ucichł.

- Co księdza zdaniem miał na myśli, mówiąc o zmianie życia? - zapytał Dane.

- Nie wiem - odparł ksiądz Binney. - Nie mam pojęcia. Dane pokiwał głową.

- Ten człowiek trzy razy chciał wyspowiadać się u mojego brata. Dlaczego? Dlaczego chciał rozmawiać właśnie z nim?

- Ciągle zadaję sobie to pytanie - odrzekł ksiądz Binney. - Trzy razy spotkał się z księdzem Michaeliem Josephem. Dlaczego ksiądz Michael Joseph nie chciał się z nim więcej spotykać? Dlaczego mówił o podjęciu decyzji tak, jakby ta noc miała zmienić jego życie?

- Wydaje mi się, że ten człowiek wcale nie chciał wyznać swoich grzechów - powiedział Delion.

- Możliwe, że przyszedł do pańskiego brata, żeby się przechwalać, może pragnął pochwalić się swoimi zbrodniami przed kimś, kto nie może nikomu o tym powiedzieć. Dlatego pański brat był wściekły i nie chciał go więcej widzieć. Wiedział, że ten człowiek bawi się jego kosztem. Jak pan myśli, Dane? To by wyjaśniało, dlaczego ksiądz Michael Joseph nie chciał się z nim spotykać. Czy to ma sens?

- Nie wiem - powiedział Dane. - Mężczyzna był tu trzy razy. - Zamilkł na chwilę. - Za trzecim razem zabił mojego brata.

Oczy księdza Binneya wypełniły się łzami.

- Ale dlaczego ten człowiek miałby drwić z księdza Michaela Josepha? Po co? - Ksiądz Binney wstał, zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Nigdy więcej go nie zobaczę. Wszyscy są pogrążeni w smutku i gniewie. Biskup Koshlap jest zrozpaczony. Arcybiskup Lugano jest niezmiernie zmartwiony tym zajściem. Dziś rano miał spotkać się z komendantem Kreiderem.

- Tak - powiedział Delion. - Spotkali się. - Zwrócił się do Dane'a. - Orin Ratcher, kościelny stróż, znalazł księdza Michaela Josepha tuż przed przyjazdem policji?

- Zgadza się - potwierdził ksiądz Binney. - Orin ma problemy ze snem i pracuje w dziwnych

godzinach. Mówił, że właśnie zmywał podłogę w zakrystii, wydawało mu się, że usłyszał wystrzał, ale nie zwrócił na to uwagi.

- Widział kogoś?

- Nie - odrzekł ksiądz Binney. - Mówił, że nikogo nie było, tylko głucha cisza, a ksiądz Michael Joseph siedział nieruchomo w konfesjonale z głową opartą o ścianę. Zaraz potem przyjechał policyjny patrol: ktoś zadzwonił z informacją o morderstwie. Pokazał im ciało. Orin jest w bardzo kiepskim stanie, biedny człowiek. Zatrzymamy go przez kilka dni na plebanii, nie chcemy, żeby był sam.

- Już z nim rozmawiałem, Dane. Mówi, że nie widział kobiety, która zadzwoniła z informacją o morderstwie. Jakby zapadła się pod ziemię.

- Czy ma ksiądz może listę przyjaciół księdza Michaela Josepha?

- Tylu ich było - westchnął ksiądz Binney i sięgnął do kieszeni. - Nazbierało się przynajmniej pięćdziesiąt osób, inspektorze Delion.

Delion schował listę do kieszeni.

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknął.

- Czy może nam ksiądz powiedzieć, kiedy dokładnie i o jakich porach mój brat spotykał się z tym Charlesem DeBruler?

Ksiądz Binney, zadowolony, że może w coś pomóc, wyszedł i wrócił po chwili.

- Ksiądz Michael Joseph spowiadał we wtorek do dziesiątej wieczorem i w czwartek do dziewiątej wieczorem.

Dane spytał, czy może rozejrzeć się w pokoju brata, mimo że Delion już go przeszukiwał i nie znalazł nic, co mogłoby naprowadzić na jakikolwiek trop. Był tam stos wydrukowanych e - maili datowanych od początku roku, jakie Dane pisał do brata, a ten je przechowywał. Tak było, odkąd Michael miał dostęp do Internetu i wprost oszalał na punkcie pisania e - maili.

- Czy ktoś zaglądał do komputera mojego brata?

- Tak, nie ma żadnych ukrytych plików na twardym dysku, jeżeli o to panu chodzi.

Rozmawiali jeszcze z dwoma innymi księżmi, kucharzem, pokojówką i trzema pracownikami kancelarii parafialnej. Od nikogo nie dowiedzieli się niczego istotnego. Nikt też nie potrafił powiedzieć, kim jest Charles DeBruler.

- Znał swojego zabójcę - zauważył Delion, kiedy znaleźli się w samochodzie. - Nie mam co do tego wątpliwości. Wiedział, że to potwór, ale nie bał się go.

- Nie - powiedział Dane. - Nie bał się go. Michael czuł do niego odrazę, ale się go nie bał. Charles DeBruler wcześniej rozmawiał z moim bratem dwa razy: w ubiegły wtorek i czwartek wieczorem. - Dane odetchnął głęboko. - Michael był przybity i zdenerwowany spotkaniem z tym człowiekiem; najsensowniejsze wytłumaczenie jest takie, że musiał zrobić coś strasznego mniej więcej w tym czasie, kiedy tu wcześniej przychodził. Delion, czy popełniono w San Francisco jakieś morderstwa w tym czasie lub parę dni wcześniej?

Delion uderzył dłońmi w kierownicę i omal nie potracił pieszego przechodzącego przez ulicę. Ale nie wybuchnął gniewem, tylko spokojnie pogroził mu palcem.

- Tak - potwierdził Delion, skręcając ostro kierownicę, aż facet przed maską samochodu odskoczył na bok. - Cholera, to ma sens. Dlaczego, u diabła, wcześniej na to nie wpadłem?

- Po pierwsze: jesteś zmęczony.

Delion zignorował to i przesunął palcami po wąsach.

- Niech no pomyślę. Mieliśmy tu ostatnio trzy morderstwa, w tym jedno sprzed kilku tygodni. Facet chciał po prostu zgarnąć pieniądze z polisy ubezpieczeniowej swojej żony. Sprawę prowadził Donnie Lunerman. Nie mógł uwierzyć własnym uszom, kiedy przesłuchiwał podejrzanego. W głowie się nie mieści, co niektórzy ludzie są gotowi zrobić dla pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

O, mam. W zeszły poniedziałek - w noc poprzedzającą pierwszą spowiedź - zamordowano siedemdziesięciodwuletnią kobietę. Mieszkała sama w willowej dzielnicy San Francisco, na rogu ulic Irving i Trzydziestej Trzeciej. Została zamordowana w swoim domu. Brak śladów włamania, wybitych okien, niczego nie skradziono. Morderca zatłukł ją na śmierć w jej własnym łóżku. Sprawcy dotąd nie znaleziono.

- Ale nie została zastrzelona - zauważył Dane, chwytając się deski rozdzielczej, kiedy Delion ostro skręcił do policyjnego garażu.

- Nie, została zatłuczona na śmierć. Potem, w środę, dokonano zbrodni, która naprawdę wstrząsnęła tutejszą społecznością. Działacz ruchu gejowskiego został zamordowany przed barem w Castro. Mnóstwo świadków, ale nikt dokładnie nie widział, jak wyglądał zabójca. Nie wiadomo, czy był gejem, był gruby czy może chudy, stary czy młody - żadnych szczegółów. Nie prowadzę tej sprawy. Komendant powołał w tym celu specjalną grupę, zamordowany był bardzo wysoko postawiony.

- Jak zginął?

- Został uduszony.

- Tępe narzędzie, uduszenie, pistolet. Ma facet rozmach.

- Jeżeli to on - zastrzegł Delion. - Nie mamy co do tego pewności. Jeżeli rzeczywiście zabił tych dwoje ludzi i opowiedział o tym pańskiemu bratu, po co by go zabijał?

- Nie wiem - odparł Dane. - Nie ma pojęcia, ale idę o zakład, że nasi psychologowie coś nam podsuną.

- Ta, jasne - mruknął Delion, z piskiem hamując w policyjnym garażu. - Jeszcze tylko federalnych nie miałem na głowie.

- Znają się na swojej robocie, Delion. - Dane zamilkł na chwilę, po czym powiedział: - Myślę o tej kobiecie, tej, która zadzwoniła w sprawie morderstwa mojego brata: co robiła w kościele w niedzielę o północy?

- Tak, wszyscy się nad tym zastanawiają. Nikt nie wie, gdzie jej szukać. Miejmy nadzieję, że jeszcze zadzwoni.

- Ciekawe, co naprawdę widziała.

- Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Nie sądzę, żeby udało nam się ją odnaleźć.

- Może będzie na liście księdza Binneya - powiedział Dane. Delion rzucił na niego okiem.

- Wszystko jest dla pana takie łatwe?

# Rozdział 5

Stała u podnóża schodów paskudnego budynku głównego komisariatu policji na Bryant Street.

Był piękny wtorkowy poranek, cudownie słoneczny i rześki, właściwie typowy zimowy dzień w San Francisco. Powietrze było tak czyste i ostre, że uniemożliwiało oddychanie pełną piersią.

Była tu zaledwie od dwóch tygodni, i każdy dzień był taki sam. Ale ten ranek, niewiarygodnie rześki, słoneczny ranek, był dla niej nawet przyjemny. Powoli zmierzała po schodach w górę, po drodze mijając tłumy spieszących się dokądś ludzi. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Była przerażona, naprawdę przerażona. Nie chciała tu być, ale nie miała wyjścia. Przez jakieś dwie minuty próbowała przekonać samą siebie, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią księdza Michaela Josepha, ale niewiele to pomagało.

Musiała się pospieszyć.

Przeszła przez wykrywacz metalu, przemierzyła zatłoczony korytarz i wjechała windą na czwarte piętro. Wcześniej tylko raz była na policji - kiedy pierwszy raz przyjechała do San Francisco. Miała chwilę słabości i pomyślała, że mogłaby jakby nigdy nic wejść i zwierzyć się komuś, opowiedzieć, co się stało, i być może ktoś mógłby jej pomóc. Ale szybko zdała sobie sprawę, że raczej tak nie będzie. Więc wyszła. Wtedy za pierwszym razem nie zauważyła serii czarno - białych zdjęć, które wisiały na ścianie; wiele z nich zostało zrobionych jeszcze przed trzęsieniem ziemi. Weszła do małej recepcji prowadzącej do wydziału zabójstw. Za wysokim kontuarem nikogo nie było. Zatrzymała się na chwilę, po czym przestąpiła próg. Widziała wiele wydziałów zabójstw w telewizji i ten wyglądał dokładnie tak samo, tylko był mniejszy. Miał jakieś dwanaście metrów kwadratowych, odrapane jasne dębowe biurka połączone po dwa, przy każdym stało ciężkie, stare krzesło. Na każdym biurku stał komputer, sterty rozrzuconych papierów, folderów, książek, telefon, a wszystko razem wyglądało jak góra śmieci. Zdziwiło ją, że było tu dość spokojnie, nikt nie przeklinał, nie krzyczał. Tylko jednostajny cichy szmer kilkunastu jednocześnie prowadzonych rozmów. Po jednej stronie głównego holu były dwa małe pokoje przesłuchań. Nie miały okien i wyglądały jak dźwiękoszczelne trumny. Z jednego z pokoi usłyszała podniesione głosy.

W pomieszczeniu było na oko ośmiu mężczyzn w garniturach; siedzieli przy biurkach lub stali nad nimi, rozmawiali przez telefony, pracowali na komputerach. Nie było tu żadnej kobiety.

Parę innych osób kręciło się po pomieszczeniu, jedni przeglądali jakieś dokumenty, inni przyglądali się swoim dłoniom, niektórzy wyglądali na bardzo zmartwionych. Zastanawiała się, czy byli to adwokaci, czy może przestępcy, a może jedni i drudzy. Młody chłopak o fioletowych włosach i spodniach opuszczonych tak nisko, że widać mu było pępek, spacerował wokół jednego z pokoi przesłuchań, mrugając i cmokając do niej. Musiał być bardzo zdesperowany, pomyślała, pochylając głowę, kiedy przechodziła obok niego.

Nikt poza nim nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Zastanawiała się, czy ktokolwiek zechce

poświęcić swój czas, by jej wysłuchać. Wszyscy wyglądali na udręczonych, zbyt zajętych, by...

- Mogę pani w czymś pomóc? - zapytała policjantka w mundurze. Na jej twarzy nie było śladu uśmiechu. Z drugiej strony, przecież to był wydział zabójstw, mało wesołe miejsce.

- Chciałabym porozmawiać z detektywem, który prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa księdza Michaela Josepha.

Kobieta z dezaprobatą uniosła ciemne brwi.

- Tu, w San Francisco, nie nazywamy ich detektywami, ale inspektorami.

- Nie wiedziałam. Dziękuję za informację. Czy w takim razie mogę widzieć się z inspektorem?

Naprawdę, to bardzo ważne, nie zabiorę mu dużo czasu.

Policjantka zlustrowała ją i ten widok raczej nie zrobił na niej dobrego wrażenia. W końcu powiedziała:

- Dobrze, sprawdzę, czy inspektor Delion jest u siebie, i zaprowadzę panią do niego.

Naprzeciwno biurka inspektora Deliona siedział jakiś mężczyzna, był odwrócony tyłem do niej. Zarys jego ramion i kolor włosów wydawał się jej znajomy. Czyżby był przesłuchiwany w charakterze podejrzanego?

Policjantka zwróciła się do inspektora Deliona:

- Vince, ta pani przyszła w sprawie zabójstwa księdza Michaela Josepha.

- Naprawdę? - Inspektor wyglądał na zmęczonego i zniecierpliwionego, jak wszyscy tutaj. Potem zamilkł, a jego ciemne oczy wpatrywały się w jej twarz. Wiedziała, jak wyglądała. Będzie z niej szydził? Każe jej spadać? Nie, tylko siedział, gapił się na nią i podkręcał wąs. Nic nie mówił, tylko czekał.

- Tak, muszę z panem porozmawiać - odezwała się. Mężczyzna siedzący na krześle tyłem do niej wstał i spojrzał na nią. Wpatrywała się na niego, nie mogąc uwierzyć. Czyżby umarła? Nie było innego wytłumaczenia tej sytuacji. To był on, patrzył na nią. Przecież widziała ślad po kuli na jego czole. A teraz on patrzył na nią.

Krzyknęła i upadła, mdlejąc po raz pierwszy w życiu.

Dane złapał ją, zanim rozbila sobie głowę o kant znajdującego się tuż za nią biurka. Przestraszony inspektor zerwał się z miejsca.

- W porządku, trzymam ją - powiedział Dane.

- Co u licha się z nią stało? - Delion opadł z powrotem na krzesło, uderzając pięściami o biurko.

- Niech to szlag, od samego rana takie rewelacje. Jest dopiero ósma. Zabierzmy ją do biura porucznika, jest na spotkaniu z komendantem Kreiderem, więc jego gabinet jest wolny.

Dane wziął ją na rękę i przeniósł do niewielkiego oszklonego pomieszczenia. Tak jak w pozostałych pomieszczeniach, każdy wolny kąt tutaj był zastawiony starymi, szarymi szafkami na dokumenty, których nie produkowano już od mniej więcej pół wieku. Położył ją na starej zielonej sofie, najohydniejszej, jaką dotąd widział. No, może równie brzydką sofę widział tylko na plebanii w parafii św. Bartłomieja.

- Przyniesie pan trochę wody, Delion?

- Ach, tak, już idę.

Dane przykucnął obok niej. Spojrzał na nią wprawnym okiem gliniarza i dokonał szybkiej oceny sytuacji. Wyglądała na bezdomną: miała na sobie porwane dzinsy, trzy swetry, założone jeden na drugi, wszystkie bardzo zniszczone, nie brudne, ale niemal w strzępach. Nie miała makijażu, ale nic w tym dziwnego. Miała dość długie, lekko kręcone, ciemnoblonde włosy związane gumką w kucyk.



Nawet pod grubą warstwą swetrów można było łatwo ocenić, że była chuda, blada i miała nie więcej niż dwadzieścia siedem - osiem lat. Nie wiodło się jej w życiu, to było jasne. Wyglądała, jakby długi czas spędziła w zamknięciu bez dostępu słońca albo przebywała w schronisku dla bezdomnych. Nosiła wełnianą czapkę, nawet teraz, kiedy była nieprzytomna, kurczowo ścisnęła ją w dłoni.

A więc mieli bezdomną kobietę za świadka?

W tej chwili znał tylko jej powierzchowność. Bardziej istotne było to, co miała wewnątrz, jaka była naprawdę. Ale jeśli jej wygląd w jakikolwiek sposób odzwierciedlał to, co się z nią działo, to spotkało ją coś bardzo złego. Prochy? Agresywny mąż? Alkohol?

Dlaczego zemdląca? Z głodu?

- Proszę, woda. Okazuje już jakieś oznaki życia?

- Daj jej chwilę. - Dane delikatnie poklepał ją po policzku, poczekał, potem znowu poklepał.

Kilku inspektorów zajrzało do gabinetu. Delion machnął na nich ręką.

- Nic jej nie będzie, nie wzywajcie karetki.

- Nie stójcie tak nad nią. Ostatnią osobą, którą teraz powinna zobaczyć, jesteś ty, Delion - powiedziała policjantka.

Kobieta zatrzepotała rzęsami; powoli otworzyła oczy, mrugnęła parę razy i spojrzała na pochyloną nad nią twarz Dane'a.

- O, nie - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. Próbowwała odsunąć się od niego, przywierając mocno plecami do oparcia sofy - Mój Boże, czy ja umarłam?

- Nie, nie umarła pani. I ja też nie umarłem. Znała pani mojego brata, księdza Michaela Josepha, prawda? - zapytał Dane.

- Pańskiego brata?

- Tak, brata bliźniaka. Wyglądaliśmy identycznie. Nazywam się Dane Carver.

- Więc nie jest pan księdzem?

- Nie - powiedział Delion. Nachylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy, cofnęła się, jeszcze bardziej przerażona. Cofając się, Delion rzekł: - Nie, wprost przeciwnie.

- Jest pan przestępcą?

- Nie jestem. To takie policyjne poczucie humoru. Proszę napić się wody.

Podtrzymał ją za tył głowy, pomógł jej się podnieść i podał jej do ust plastikowy kubek z wodą. Wypiła łyk, po czym powiedziała:

- Dziękuję, wystarczy.

Delion przysunął sobie krzesło, usiadł na nim i gestem przywołał Dane'a. Ten wziął drugie krzesło i przysunął je do sofy. Delion zaczął:

- Przyszła pani, by nam powiedzieć coś o księdzu Michaelu Josephie? Wie pani coś na temat jego zabójstwa? To pani zadzwoniła w niedzielę po północy i opowiedziała, co widziała?

- Tak - odpowiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od brata księdza Michaela Josepha. Podniosła rękę, koniuszkami palców dotykała jego policzka, małego zagłębienia w podbródku. Dane siedział nieruchomo. Opuściła ręce, połykając łzy. Dane zauważył, że jej paznokcie były tak postrzępione jak jej tenisówki, a dłonie spierzchnięte.

- Tak bardzo pan go przypomina - powiedziała. - Znałam go zaledwie dwa tygodnie, zawsze był dla mnie miły i naprawdę przejmował się tym, co mnie spotkało. Był moim przyjacielem. Nie jestem katoliczką, ale to było dla niego bez znaczenia. Byłam w kościele tej nocy, kiedy ten człowiek go

zastrzelił.

- Dlaczego natychmiast nie zgłosiła się pani na policję? Mój Boże, kobieto, jest wtorek rano - zirytował się Delion.

- Tak, wiem, przepraszam. Musiałam zadzwonić z budki telefonicznej, dwie ulice od kościoła w końcu znalazłam telefon, który działał. Zadzwoniłam na policję i opowiedziałam telefonistce, co widziałam. Ale nie mogłam powiedzieć nic więcej. Po prostu nie mogłam. A dziś uświadomiłam sobie, że powinnam przyjść i o wszystkim opowiedzieć. Może będę mogła w jakiś sposób pomóc, chociaż wątpię.

- Dlaczego w niedzielę w nocy nie mogła pani powiedzieć nic więcej?

- Byłam taka przerażona.

- Dlaczego?

Nic nie powiedziała, tylko potrząsnęła głową.

- W porządku - powiedział Delion, odpuszczając na chwilę.

- Proszę głęboko oddychać, wziąć się w garść. A teraz proszę opowiedzieć nam po kolei, ze szczegółami, co zdarzyło się w niedzielę w nocy. Wszystko. Może pani to zrobić?

Przytaknęła i zamknęła oczy, by z bólem i strachem przypomnieć sobie szczegóły okrutnej śmierci księdza Michaela Josepha.

Dane patrzył, jak długimi, bladymi palcami mięła starą czapkę z czerwonej wełny. Wpatrując się w nią z pochyloną głową, powiedziała:

- Tak, opowiem wszystko po kolei. Siedziałam w bocznej ławce z przodu kościoła, czekałam, aż ksiądz Michael Joseph skończy spowiadać.

- Więc przyszła pani, kiedy ten człowiek był już w konfesjonale? - zapytał Delion.

- Nie. Rozmawiałam wcześniej z księdzem Michaeliem Josephem i poprosił, żebym zaczekała, aż skończy tę spowiedź.

- Czy ktoś jeszcze był wtedy w kościele? - zapytał Dane.

- Nie, tylko my dwoje. Było bardzo ciemno. Po tym, jak zamienił ze mną parę słów, ksiądz Michael Joseph wszedł do konfesjonału.

- Widziała pani mężczyznę, który wszedł do kościoła?

- Tak, widziałam go. Niezbyt dokładnie, ale mogę powiedzieć, że był szczupły, miał gęste, ciemne włosy i był ubrany w ciemny, długi płaszcz. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Widziałam, jak wszedł do konfesjonału.

- Słyszała pani, co mówili?

- Nie, zupełnie nic. Było absolutnie cicho, jak to w nocy w kościele. Minęło sporo czasu, zanim usłyszałam odgłos strzału. Od razu wiedziałam, że to strzał z pistoletu.

- Skąd pani wiedziała, że to pistolet? - zapytał Delion.

- Większość ludzi nie od razu kojarzy odgłos strzału z wystrzałem z broni palnej.

- Często chodziłam na polowania z moim ojcem, kiedy jeszcze żył.

- I co było dalej? - zapytał Dane.

- Chwilę potem mężczyzna wyszedł z konfesjonału. Wydaje mi się, że się uśmiechał, ale nie jestem pewna. W rękę trzymał wielki pistolet.

# Rozdział 6

Wypiła kolejny łyk wody, próbując się pozbierać. Trzęsa się tak bardzo, że rozlewała wodę z kubka na czapkę, którą trzymała w ręku. Wpatrując się w nią, przełknęła łyk wody.

- W porządku? - zapytał Dane.

- Chyba tak - odparła.

- Myśli pani, że panią widział?

Pokręciła przecząco głową.

- Byłam w cieniu, skulona w ławce. Nie mógł mnie widzieć.

- Czy jest pani gotowa opowiedzieć nam resztę? - spytał Delion.

- Kiedy usłyszałam wystrzał, ukryłam się pod ławką. Byłam przerażona, bałam się, że kiedy stamtąd wyjdzie i mnie zauważy, zginę. Rozejrzał się wokół, ale, tak jak mówiłam, jestem pewna, że mnie nie zobaczył. Widziałam, jak odkręcał tłumik od broni - zrobił to bardzo szybko, jakby miał w tym dużą wprawę - i schował wszystko do kieszeni płaszcza. Potem zrobił coś dziwnego, co śmiertelnie mnie przestraszyło. Znowu wyjął broń z kieszeni i trzymał ją w ręku. Wychodząc z kościoła, gwizdał. Przez długi czas tkwiłam pod ławką, byłam zbyt przerażona, by się poruszyć. Bałam się, że czeka przyczajony przed bocznymi drzwiami by sprawdzić, czy ktoś wychodzi, i wtedy zabije mnie szybko i bez trudu, jak przed chwilą zabił księdza Michaela Josepha.

W końcu odważyłam się zajrzeć do konfesjonału - przełknęła ślinę i na chwilę przymknęła oczy - patrzyłam na jego twarz. Jego oczy były szeroko otwarte i było widać, że umarł. Mój Boże, miał takie piękne oczy, ciemne i dobre, widział tak wiele. Ale jego spojrzenie było bez wyrazu, mętne, nieobecne, a w jego czole była mała czerwona dziura. Wyglądała tak niewinnie, taka mała, a jednak on nie żył. Było coś dziwnego w wyrazie jego twarzy. Nie strach czy przerażenie przed czekającą go śmiercią, to było coś innego. Wyglądał, jakby był zadowolony. Jak to możliwe? Ale na litość boską, niby z czego?

- Zadowolony? - zdziwił się Delion. - Dziwne. Jest pani pewna?

Przytaknęła

- A może jakby w końcu coś go ucieszyło. Przepraszam, po prostu nie jestem pewna.

- W porządku, proszę mówić dalej.

- Potem usłyszałam, jak ktoś wychodzi z zakrystii. Zamarłam. Boże, myślałam, że to morderca wraca na miejsce zbrodni. Bałam się, że mnie zobaczy, bo nie byłam już ukryta w cieniu. Wiedziałałby, że widziałam, jak zabijał księdza Michaela Josepha i mogłabym go rozpoznać i wrócił, by mnie też zabić. Ile sił w nogach podbiegłam do bocznych drzwi, odsunęłam zasuwę i wymknęłam się z kościoła prawie bezszelestnie. Zaczekałam, to trwało całą wieczność, ale nikogo tam nie było. Później poszłam szukać telefonu.

- A potem? - zapytał Delion.

- Wróciłam do schroniska na Ellis, niedaleko Webster, Schroniska pod wezwaniem Jezusa Chrystusa.

- To dość daleko od kościoła św. Bartłomieja - powiedział Delion.

- Rzeczywiście. Ksiądz Michael Joseph był bardzo zaangażowany w działalność schroniska i pomagał ludziom, którzy tam trafiali. Tam go poznałam. Bardzo interesował się historią, zwłaszcza trzynastym wiekiem. Jego idolem był Edward I.

- Dużo pani o nim wie - powiedział Dane i poczuł, jak głos uwiązał mu w gardle. Opanował się, wiedział, że na niego patrzą. Pasjonował się historią. Ja nigdy nie miałem pamięci do dat, Michael przeciwnie. Pamiętam, jak zanudzał mnie na śmierć ciągłymi opowieściami o wyprawach krzyżowych, zwłaszcza o tej, którą dowodził Edward.

- To bardzo interesujące - powiedział Delion. - Ale wróćmy do sprawy, dobrze? - Patrzył na Dane'a, rozczulonego wspomnieniami o bracie i lekko poklepał go po ramieniu.

- Czy na pewno nie widziała pani nic więcej? - zapytał Delion. - Czy to już wszystko?

- Niestety, tak. Morderca księdza Michaela Josepha zastrzelił go w konfesjonale. W nocy w kościele zwykle jest ciemno i naprawdę niewiele widać. Wszystko pogrążone było w ciemnościach.

Dane pokiwał głową.

- Tak to wyglądało. Przykro mi, ale niezbyt dokładnie go pamiętam: ciemny płaszcz, ciemne włosy, to wszystko.

- Proszę coś dla mnie zrobić: niech pani na chwilę zamknie oczy i wyobrazi sobie, że jest w kościele. Czy widzi pani ten niesamowity witraż, który przedstawia scenę narodzenia Chrystusa? Ten zaraz za konfesjonalem? - zapytał spokojnie Dane.

- Tak, widzę go. Wiele razy mu się przyglądałam i zastanawiałam się, jak coś zrobionego ze szkła może wyglądać tak prawdziwie.

Świetnie, pomyślał Dane zadowolony, a więc znała dobrze ten witraż.

- Ja zobaczyłem go wczoraj po raz pierwszy, podziwiałem go i wydawało mi się, że wszystkie te kolory przenikają moją duszę, przybliżają mnie do czegoś wiecznego, wielkiego i czynią bardziej świadomym.

- Ja czułam podobnie.

- Mogę sobie wyobrazić, nawet jeżeli w kościele jest zupełnie ciemno, dokładnie tak ciemno, jak pani opisywała, że ten witraż lśni pośród tej ciemności jak światełko w tunelu i tylko odrobina światła dostaje się przez niego do wnętrza. Ale ta odrobina jest w stanie rozświetlić wszystkie ciemności, rozproszyć cienie i sprawić, że nie jest już ciemno. Widzę to, a pani?

- Tak - odpowiedziała, nie otwierając oczu. - Ja też to widzę.

Dane pochylił się na krześle, z dłońmi splecionymi pomiędzy nogami, mówił głosem niskim, kojącym.

- Czuje się pani jakby skąpana w tym świetle, sprawia ono, że jest pani ciepło i bezpiecznie. Teraz widzi pani wszystko wokół dużo wyraźniej.

- Tak, dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak cudowne jest to światło.

- Tak. W której ręce trzymał pistolet?

- W prawej.

- A lewą ręką odkręcił od niego tłumik?

- Tak.

- Był młody?

- Nie, raczej nie. Nie poruszał się jak młody człowiek, jak pan. Był trochę starszy, ale niezbyt stary, mniej więcej w wieku inspektora Deliona, tylko szczuplejszy. Był drobnej budowy ciała, miał sylwetkę wyprostowaną niczym struna. Stał na baczność jak wojskowy, a głowę miał przekrzywioną na prawą stronę.

- W co był ubrany?

- W długi cienki płaszcz, dokładnie taki sam, jak nosił mój ojciec.

- Jakiego koloru?

- Ciemny, bardzo ciemny, może czarny. Aż tak dokładnie go nie widziałam.

- Był wysoki?

- Niezbyt, miał może metr siedemdziesiąt. Na pewno mniej niż metr osiemdziesiąt.

- Był łysy?

- Nie. Tak jak powiedziałam, miał gęste, ciemne włosy, bardzo ciemne, może nawet czarne, zaczesane lekko na bok. Nie miał żadnego nakrycia głowy.

- Miał brodę?

- Nie. Jego skóra była bardzo jasna, najjaśniejsza z całej postaci, wręcz lśniła swoją jasnością pośród mroku kościoła.

- Wspomniała pani, że się uśmiechał?

- Tak.

- Jak wyglądały jego zęby?

- Były proste i nieskazitelnie białe, przynajmniej w ciemności tak mi się wydawało.

- A kiedy szedł, jego krok był zdecydowany czy raczej szedł, utykając? Czy chodził cicho?

- Szedł szybko, długimi krokami. Pamiętam, jak poły jego płaszcza łopotały pomiędzy jego nogami. Szedł bardzo szybko, poruszał się z gracją. Zapamiętałam, jaki był elegancki.

- Schował broń z powrotem do kieszeni?

- Nie, trzymał ją w opuszczonej wzdłuż ciała dłoni.

Jej oddech przyspieszył. Dane zbliżył się i pogłaskał ją po rękę. Jej skóra była sucha i szorstka. Zaczęła gwałtownie mrugać powiekami, zdziwiona, że tak dokładnie wszystko zapamiętała, że widziała. A teraz patrzyła na brata księdza Michaela Josepha.

- Pan jest Dane Carver? - upewniła się.

Pokiwał głową.

Delion odczekał jeszcze chwilę, a kiedy zobaczył, że seans jest skończony, powiedział z uznaniem:

- No nieźle, jestem pod wrażeniem.

- Sporo pani widziała - powiedział Dane, pochylił się i delikatnie dotknął jej ramienia. Jego dotyk dodawał jej otuchy, uspokajał ją, a on najwyraźniej o tym wiedział i dlatego to zrobił. - Naprawdę nam pani pomogła. Inspektor Delion teraz wezwie rysownika policyjnego. Opisz mu pani jeszcze raz tego mężczyznę?

- Oczywiście. Ale nie wydaje mi się, żebym była w stanie go rozpoznać, nawet gdybyście go złapali.

- Zaraz, zaraz - powiedział Delion. - Co robiła pani w kościele o północy?

- Ksiądz Michael Joseph powiedział mi, że musi spotkać się z pewnym człowiekiem, który przyjdzie, żeby się wypowiedzieć. Poprosił, żebym zaczekała, chciał ze mną porozmawiać, spróbować wyciągnąć mnie z tego bagna.

- O czym pani mówi? Potrząsnęła głową.

- Może my pani pomożemy - powiedział Dane. Znowu potrząsnęła głową, zaciskając usta.

- Wie pani - powiedział Delion - życie często nas zaskakuje: być może ktoś, komu dziś pani nie ufa, niedługo stanie się pani powiernikiem.

- Proszę posłuchać - powiedziała - nie chcę żadnej pomocy. Nie zamierzam opowiadać wam, o czym chciałam rozmawiać z księdzem Michaeliem Josephem. I proszę mnie więcej o to nie pytać, dobrze?

- Ale może moglibyśmy jakoś pomóc - upierał się Dane.

- Nie. Koniec tematu albo wychodzę.

Delion i Dane spojrzeli na siebie. Dane zgodził się.

- Umowa stoi: żadnych więcej pytań o pani sytuację.

- W porządku.

Nagle zaczęła płakać. Łzy bezgłośnie spływały jej po policzkach. Delion wyglądał jakby chciał uciekać.

Dane wziął kilka papierowych chusteczek z biurka porucznika i podał jej.

- Bardzo przepraszam, ja...

- Nic się nie stało. Sporo pani ostatnio przeszła - powiedział Dane.

Wytarła chusteczką twarz i oczy.

- Przepraszam - powtórzyła, dławiąc się łzami. Ściskając chusteczkę w prawej dłoni, podniosła się, usiadła i opuściła nogi. Wzięła głęboki oddech i spojrzała w dół. Przez chwilę siedziała nieruchomo, pociągnęła nosem, głośno przełknęła ślinę i w końcu powiedziała: - Ta sofa jest naprawdę paskudna.

Dane roześmiał się. Gdzieś w głębi jego duszy była jeszcze odrobina wesołości.

- Tak, to najbrzydsza sofa, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Bardzo śmieszne - powiedział Delion, podsuwając swoje krzesło w stronę Dane'a, usuwając je sobie z drogi, co było nietrudne na tak małej przestrzeni. - Mamy dużo do omówienia, pani... właściwie nawet nie znamy pani nazwiska.

- Nazywam się Jones - odpowiedziała błyskawicznie.

- Jones - powtórzył powoli Delion. - A jak ma pani na imię, panno Jones?

- Nick.

- Nick Jones. Nick to zdrobnienie od Nicole?

Kiwnęła głową, ale Dane pomyślał, że kłamała. Co tu się działo? Może była poszukiwana przez policję w innym mieście? A może nawet tu, w San Francisco? Może dlatego Michael chciał jej pomóc. Zawsze umiał wyczuć ludzi, którzy mają kłopoty, i zawsze chciał im pomagać. Przyglądał jej się długo, ale nic nie powiedział.

- Cóż, panno Jones - rzekł Delion. - Mógłbym panią aresztować, rozesłać pani odciski palców i dowiedzieć się, co ma pani na sumieniu.

- Tak - odparła. - Mógłby pan.

Dane pomyślał, że byłaby z niej świetna pokerzystka. Delion poddał się pierwszy.

- No dobrze, zostawmy to. Żadnych więcej pytań o pani pochodzenie i życie osobiste. Umowa stoi. Czy znała pani innych znajomych księdza Michaela Josepha?

Kobieta pokiwała głową.

- Tak, znałam jeszcze jedną kobietę której próbowałam pomóc. Nazywała się Valerie Striker.

Myślę, że jest prostytutką. Była w kościele, kiedy tam przyszedłam. Wpadła na chwilę zamienić kilka słów z księdzem Michaeliem Josephem. Wyszła może pięć minut przed tym, jak przyszedł zabójca.

- Cholera. Ciekawe, czy go widziała? - ożywił się Delion.

- To całkiem możliwe - powiedział Dane.

- Czy widziała ją pani po wyjściu z kościoła, panno Jones? Pokręciła głową.

- Valerie Striker - powtórzył Delion i zapisał to nazwisko w swoim notesie. - Sprawdzimy ją.

Może coś widziała.

- A może on ją widział - powiedziała Nick - Dobry Boże, oby nie.



# Rozdział 7

Bardzo mi przykro, że stracił pan brata, panie Carver - powiedziała Nick. Dane odruchowo zacisnął dłonie na kolanach.

- Dziękuję - powiedział, nie podnosząc wzroku. Po chwili milczenia zapytał: - Mówiła pani, że byliście przyjaciółmi. Jak dobrze się znaliście?

- Jak już panu mówiłam, poznaliśmy się zaledwie dwa tygodnie temu. Ksiądz Michael Joseph odwiedził schronisko parę dni po tym, jak do niego trafiłam. Rozmawialiśmy o historii średniowiecza. Prawdę mówiąc, nie pamiętam, jak zaczęliśmy na ten temat. Ojciec Michael Joseph był bardzo miłym i niezwykle czytany człowiekiem. W trakcie dyskusji wyznał, że jest, a właściwie był, zafascynowany królem Anglii Edwardem I, a szczególnie jego ostatnią krucjatą do Ziemi Świętej, która doprowadziła do zawarcia traktatu w Cezarei. - Wzruszyła ramionami, próbując wyglądać lekceważąco, ale Dane nie dał się oszukać. Kim ona była?

- Zaprosił mnie na kawę do małej kawiarni nieopodal Mason. Nie obchodziło go, jak wyglądam, nie dbał o to, co pomyślą inni, oczywiście nie był to jakiś luksusowy lokal.

Spojrzała na Dane'a, wlepiała w niego wzrok i znów zaczęła płakać. Dane nic nie mówił, nie mógł nic powiedzieć, żal ścisnął mu gardło. Chciało mu się płakać, ale nie mógł sobie na to pozwolić, nie w tej chwili. Jedyne, co teraz mógł zrobić, to czekać. Kiedy na chwilę przestała szlochać, zapytał:

- Czy mój brat dał pani coś na przechowanie?

- Czy coś mi dał? Nie, nie przypominam sobie. A dlaczego pan pyta?

- Szkoda.

Delion wszedł do biura porucznika i powiedział:

- Valerie Striker mieszka na Dickens Avenue. Pójdę tam. Chcesz iść ze mną, Dane?

Nick zerwała się na równe nogi.

- Proszę mi pozwolić iść z panem. Poznałam Valerie, jest piękna i naprawdę bardzo miła. Była nieszczęśliwa, pogubiła się, nie wiedziała, co robić. I ten człowiek, który jej groził. Proszę wziąć mnie z sobą. Może, jeśli mnie zobaczy, zgodzi się z panem rozmawiać.

- To jest zadanie dla policji. Na litość boską, pani nie jest policjantką, po prostu pani nie może.

- Proszę - powtórzyła Nick i schwyciła Deliona za rękaw. - To dla mnie bardzo ważne, proszę. Obiecuję, że nie będę panu przeszkadzać, inspektorze, nie odezwę się słowem...

- Ja też jestem tu obcy, Delion - powiedział Dane. - Ona może być pomocna, jeśli panna Striker nie zechce z nami rozmawiać.

W ten sposób wyraźnie dał Delionowi do zrozumienia, że panna Jones może im znowu zniknąć.

- Jeśli byłoby to śledztwo FBI, pozwoliliby jej pan wlec się za sobą? - szepnął Delion do Dane'a

- Oczywiście.

- Ta, jasne - westchnął i powiedział do Nick: - W porządku, panno Jones, tylko ten jeden raz. Dane, jesteś za nią odpowiedzialny.

- Oczywiście, nie ma problemu.

- Zanim udamy się do mieszkania Valerie, poczekajmy na rysownika policyjnego, bo panna Jones zdąży zapomnieć rysopis mordercy.

Godzinę później Jenny Butler, jedna z dwóch rysowników policyjnych, miała już gotowy szkic portretu. Teraz wszyscy mogli go obejrzeć.

- Czy to on, panno Jones? - zapytał Delion. Nick powoli pokiwała głową.

- Na tyle, na ile mogłam go zapamiętać. Czy to pomoże?

- To się dopiero okaże. Dziękuję, Jenny. Jak tam Tommy?

- Jest po prostu uroczy, Vince. Im starszy, tym bardziej niesforny. - A do Nick i Dane'a powiedziała: - To mój mąż. Do zobaczenia, Vince.

- Dziękuję, panno Jones. Szkic będzie wydrukowany i rozesłany. Pani dane nie zostaną ujawnione.

Delion chwycił swoją marynarkę i wyszedł na dwór, Nick i Dane ruszyli za nim.

Piętnaście minut później zaparkował policyjnego forda o jedną przecznicę od miejsca, do którego zmierzali, na Dickens Avenue.

Cała trójka zatrzymała się na moment, przypatrując się staremu, wiktoriańskiemu domowi, w którym mieszkała Valerie Striker. Delion spojrzał na pannę Jones - bezdomną kobietę, która podała fałszywe nazwisko, i powiedział:

- Świetnie, po prostu świetnie. Idę przesłuchiwać świadka, a towarzyszą mi federalny i zwykła obywatelka. Bomba!

- Szaleje z radości - powiedział Dane do Nicki. Obserwowali, jak Delion pokonuje sześć stopni schodów do drzwi wejściowych wiktoriańskiego domu, pomalowanego na cztery odcienie zieleni. Odwrócił się.

- Hej, proszę kończyć tę pogawędkę. Zobaczmy, co Valerie ma nam do powiedzenia.

- Ten dom wygląda imponująco - powiedział Dane, dotykając bladezielonego, pokrytego patyną rzygacza, jednego z trzech unoszących się ponad drzwiami wejściowymi i patrzących na nich z góry. - Musi im się powodzić.

- Rozmawiałem z jednym z policjantów z Vice; powiedział, że mieszka tu osiem prostytutek. Wszystko bardzo dyskretnie, porządnie, nie jestem pewny, czy sąsiedzi cokolwiek wiedzą. Tu jest tylne wejście; to się nazywa intymność. Delion nacisnął dzwonek mieszkania 4B.

- Na każdym piętrze znajdują się cztery mieszkania - wyjaśnił.

Nikt nie otwierał. Zadzwoił ponownie. Nadal nic.

- Jest jeszcze wcześniej - powiedział Dane. - Na pewno jeszcze śpi.

- Możliwe, obudzimy ją dzwonkiem. - Delion nacisnął kciukiem i przytrzymał dzwonek.

Trzy minuty później zadzwonił do mieszkania 4C.

- Kto tam? O co chodzi?

- Bardzo uprzejmie, bardzo grzecznie - wyszeptał do siebie Delion, a dalej mówił przez domofon: - Tu inspektor Vincent Delion z policji. Wiem, że panią budzę, ale musimy z panią porozmawiać. Nie chcemy pani aresztować, nic z tych rzeczy. Nie jesteśmy tu z pani powodu, po prostu chcemy zadać pani parę pytań.

Po chwili usłyszeli chrzęst zamka.

Staromodne wiktoriańskie wejście, ciemnoczerwony dywan - gruby i kosztowny. Rzeczywiście, wszystko było ekskluzywne.

Dane ukradkiem spojrzął na Nick Jones. Wyglądała na urzeczoną. Pewnie nigdy nie była w burdelu. Pomyślał chwilę i doszedł do wniosku, że dla niego to też pierwszy raz. Interes najwyraźniej kwitł, pomyślał, przeciągając ręką po pięknym rzeźbionym słupku balustrady.

Weszli po schodach na pierwsze piętro, skręcili w prawo. Tam też leżał puszysty dywan. Ściany szerokiego korytarza pokryte były wysokiej jakości boazerią.

W otwartych drzwiach lokalu 4C stała kobieta w pięknym czarnym kimono. Była młoda.

Rozczochrane, czarne włosy opadały na ramiona, była prawie bez makijażu. Delion przyglądał jej się uważnie i pomyślał, że mniej niż pięćset doliczając nie bierze, to nie ulegało wątpliwości.

- Panna...?

- Elaine Books. O co chodzi? Hej, ona nie jest z policji, to bezdomna! Wiem, Valerie mi o tobie opowiadała. Mówiła, że jesteś z tych, co chowają się, kiedy ktoś się pojawia, że ty rozmawiasz tylko z tym księdzem. A ty - wskazała na Dane'a - nie jesteś stąd. Spójrzcie tylko na te buty, dużo lepsze niż tutaj się nosi. Jesteś adwokatem? Co tu się dzieje?

Delion uspokoił ją.

- W porządku, oni są ze mną. Naprawdę uważa pani, że jego buty wyglądają na droższe od moich? Dobra, nieważne. Chcemy porozmawiać z Valerie Striker, pani sąsiadką z 4B. Dzwoniliśmy do drzwi, ale nikt nie odpowiada. Czy widziała ją pani dzisiejszego ranka?

- Nie. - Panna Books zmarszczyła brwi. Stukając paznokciami ozdobionymi francuskim manicure o framugę drzwi, powiedziała: - Widziałam Valerie kilka dni temu. Czy coś jej się stało?

- Denerwuje mnie ten odgłos, Delion - powiedział powoli Dane.

- Panno Books, niestety będziemy musieli otworzyć drzwi mieszkania pani sąsiadki. Chcemy żeby pani przy tym była - powiedział Delion.

- O Boże, myśli pan, że coś niedobrego stało się Valerie? Tak?

- Mam nadzieję, że nie, ale jesteśmy zaniepokojeni i chcemy to sprawdzić.

Delion zapukał do 4B. Nikt nie odpowiadał. Nacisnął klamkę.

- Zamknięte - powiedział.

Przycisnął bark do drzwi 4B i mocno pchnął, próbując otworzyć. Nie drgnęły.

- Solidne drewniane drzwi - powiedział.

On i Dane cofnęli się, po czym obaj z rozpędu uderzyli w drzwi. Wleciały do środka, uderzając o ścianę.

*Piękne mieszkanie* - pomyślała Nick, rozglądając się. *Widne i przestronne, słońce wpadało przez okna.*

Gdzie się podziała Valerie Striker?

Dane gwałtownie się zatrzymał. Stał nieruchomo. Odwrócił się i bardzo cicho, ale stanowczo, powiedział:

- Panno Jones, proszę tu zostać. Dziękujemy, panno Books. Rozejrzemy się tutaj.

- Co tak śmierdzi? - Elaine Books gwałtownie odwróciła głowę. - O Boże, o mój Boże!

- Proszę się cofnąć - powiedział Delion i zwrócił się do Dane'a: - Proszę ich tu nie wpuszczać, dobrze?

Ale było już za późno. Zanim Dane zdążył wyprowadzić je z mieszkania, Nick zobaczyła dwie białe nogi zwisające ze stojącej pośrodku salonu sofy, bardzo ładnej białej sofy, z równie białymi

rozrzuconymi po niej poduszkami. Na tej bieli widać było ciemne plamy, tak jakby ktoś zanurzył rękę w farbie i rozchlapał ją wszędzie wokół.

- O nie - powiedziała Nick - to nie jest farba. Co to jest?

- Nie - odrzekł Dane - to nie jest farba. Proszę się stąd nie ruszać, rozumie pani?

Delion podbiegł do sofy i ukląkł przy niej. Gdy się wyprostował, widać było, że nie wygląda na zadowolonego. Był zły i przygnębiony.

- Myślę, że znaleźliśmy Valerie Striker. Została uduszona. Zabójca użył garoty. Nie żyje przynajmniej od kilku dni.

Skinął na Dane'a, który trzymał dwie kobiety na korytarzu. Słyszał, jak Delion przez telefon rozmawia z sanitariuszami. Elaine Books oparła się o ścianę korytarza i zaczęła płakać.

- Tak mi przykro - powiedziała Nick. - Była pani przyjaciółką. Tak bardzo mi przykro. Polubiłam ją, była dla mnie taka miła, bez względu na mój wygląd.

Nick powoli objęła kobietę i pozwoliła jej płakać w swych ramionach.

Nick spojrzała na Dane'a.

- Zabił ją. Musiał ją widzieć. Zaniepokoił się, że kiedy dowie się o zabójstwie księdza, przypomni sobie, że go widziała. Wiedział też, kim była, albo się dowiedział i przyszedł tu podczas niedzielnej nocy i zabił ją. Dokładnie tak było, prawda?

Dane skinął głową.

- Tak, najprawdopodobniej tak było.

Elaine Books nie przestawała szlochać, wtulona w ramiona Nick Jones.

Valerie Striker nie żyje. Była szansa, że coś widziała, ale w tej chwili to nie miało już żadnego znaczenia. Teraz już nic im nie powie.

Nick zamknęła oczy, ciągle służąc oparciem Elaine Books i pomyślała: *To ja powinnam nie żyć, a nie ona.* Gdyby tylko poczekała na policję i powiedziała, że widziała Valerie Striker, policja przyjechałaby tutaj, może zanim pojawił się morderca. Mogli ją ocalić.

To była jej wina.

# Rozdział 8

Ona nie może zostać w schronisku - powiedział Dane. - Zna pan jakieś bezpieczne miejsce, w którym moglibyśmy ją ukryć?

- Znam - odparł Delion - ale nie wiem, czy porucznik pozwoli jej tam zostać. W tej chwili nie ma dla niej realnego zagrożenia.

- Myli się pan, Delion. Kiedy podejrzany zobaczy rozwieszony po mieście swój portret pamięciowy, a założę się, że go zobaczy, na pewno będzie chciał się dowiedzieć, kto go podał. Będzie też miał świadomość, że jeżeli zostanie złapany, ona go zidentyfikuje. W schronisku będzie wystawiona jak kaczka na strzelnicę.

- Gdyby tylko podała nam swoje prawdziwe nazwisko i adres, moglibyśmy posłać jej mały tyłek do domu.

Dane spojrział w kierunku małej kuchni, gdzie stała panna Nick Jones, maczając torebkę herbaty w jednorazowym kubku pełnym gorącej wody. Postrzępiony ściągacz grubego czerwonego swetra zakrywał jej palce. Po jej policzkach wciąż spływały strużki łez.

- Dane - powiedział Delion - jest pan policjantem, i wie pan, że ona nie jest małolatą na gigancie, ale ucieka przed czymś lub przed kimś. Albo jest narkomanką - to bardziej prawdopodobne. Jak pan myśli, dlaczego nosi takie swetry? Prawdopodobnie ukrywa ślady po ukłuciach igły.

- A może włożyła go, by nie zmarznąć. Jedno jest pewne: nasza panna Jones nie ma szczęścia w życiu. Wydaje się całkiem rozgarnięta i mówi do rzeczy. Jest wykształcona. Miała to nieszczęście, że była w kościele Świętego Bartłomieja w niedzielną noc, jeśli wierzyć w historię, którą opowiedziała nam tłumacząc, dlaczego tam była.

Dane nic nie odpowiedział. Nadal spoglądał na Nick Jones.

- Ma bardzo ładne zęby - powiedział. - Widać, że są zadbane.

- Tak, też to zauważyłem. A to znaczy, że nie jest bezdomna zbyt długo. Jak myślisz? Kilka tygodni? Założę się, że mniej niż miesiąc. Nie śmierdzi, a jej ubrania nie lepią się od brudu.

- Właśnie.

- Ma pan rację, Dane. Porozmawiam z porucznikiem. Na tę chwilę mamy cztery morderstwa, prawdopodobnie popełnione przez tego samego sprawcę. Mamy jego dość dokładny rysopis. Teraz musimy dociec, dlaczego to zrobił.

- Podejrzewam, że zaplanował pierwsze trzy zabójstwa: staruszki, działacza gejowskiego i wreszcie mojego brata. Valerie Striker była po prostu w złym miejscu o złej porze.

- Tak i w tym jedynym przypadku znamy motyw. Jedźmy porozmawiać z komendantem, opowiedzmy mu o Valerie Striker. Może zamordował ją jeden z jej klientów.

- Chyba sam pan nie wierzy w to, co mówi.

- No dobra, nie wierzę.

- Jeśli lekarz medycyny sądowej określi czas jej morderstwa na niedzielną noc, to mamy dziewięćdziesiąt osiem procent pewności, że zabił ją ten sam facet - powiedział Dane. - Kiedy pan porozmawia z komendantem, ja spróbuję wyciągnąć coś więcej z panny Jones.

- Zawsze zastanawiam się, dlaczego ludzie nie mogą wymyślać sobie lepszych pseudonimów. Jones, na litość boską...

- Może jednak Nick to jej prawdziwe imię - powiedział Dane. - Ale to nie jest zdrobnienie od Nicole.

- Dał się pan nabrać na to kłamstwo, co?

- Po prostu głośno myślę.

Kilka minut później Dane przechadzał się po małej kuchni. Zniknął ten samotny pączek, który tu leżał. W końcu spadł? Czy może panna Jones była tak głodna, że go zjadła? Miał nadzieję, że nie. Sądząc po jego wyglądzie, mógłby spowodować gigantyczne zatrucie pokarmowe.

- Ma pani ochotę na orzeszki? Inspektor Delion mówi, że są tu jakieś przekąski. Ale ja tylko widziałem jeden zmaltretowany pączek, który wyglądał, jakby zdechł w zeszłym tygodniu.

Dobrze, nie zjadła go.

- Mam nadzieję, że lekarz sądowy już tu jedzie. Orzeszka? Potrząsnęła przecząco głową, nie przestając moczyć torebki herbaty w wodzie.

- Jest prawie czarna.

- Lubię mocną herbatę - powiedziała, ale wyjęła torebkę i wrzuciła do otwartego kosza na śmieci. - Chcąc napić się naprawdę mocnej herbaty, trzeba ją sobie samemu zaparzyć.

- Wie pani, że nazywam się Dane Carver i jestem bratem księdza Michaela Josepha. Jest coś jeszcze, czego pani chyba o mnie nie wie. Jestem agentem FBI.

Upuściła kubek. Gorąca herbata obryzgała wszystko wkoło, jego i orzeszki.

- No nie, niech pan patrzy, co narobiłam. - Chwyciła papierowe ręczniki i upadłszy na kolana, zaczęła wycierać jego i podłogę. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - powiedział, odrywając z rolki kolejny papierowy ręcznik i pomagając jej. - W porządku, Nick. Jestem jedynym poszkodowanym.

- Ale to nie pana wina - powiedziała, wpatrując się w przesiąknięty herbatą ręcznik leżący na podłodze.

- Hej - zawołał inspektor, wyłaniając się zza rogu. - Kto zjadł ostatniego pączka?

Dane roześmiał się mimo woli. Ona się nie śmiała.

\*\*\*

- Nie możemy nic zrobić - powiedziała porucznik Purcell, stając w drzwiach swojego gabinetu. - W tej chwili nic jej bezpośrednio nie zagraża. Delion, przecież wiesz, że przekroczyliśmy już limit budżetu. Przykro mi, musi sama o siebie zadbać.

Dane zastanawiał się, dlaczego podjęto taką decyzję. Dlatego, że była bezdomna i mniej wartościowa niż ktoś, kto ma pracę i jakąś pozycję społeczną? Nic nie powiedział. Wiedział, że nie usłyszy odpowiedzi, wiedział też, co powinien teraz robić.

Nie mógł dopuścić do tego, by stracić Nick Jones z oczu. Wyglądała zupełnie tak, jakby chciała uciekać. Po wyjściu porucznika wróciła do małej kuchni. Wciąż ścierała herbatę z blatu.

- Dość - powiedział. Złapał ją za rękę i pociągnął w stronę biurka Deliona. Delion był w gabinecie pani porucznik i przez szybę widać było, że rozmawiając z nią, żywo gestykułuje. Dane posadził Nick na krześle i przykucnął obok niej.

- Proszę mi powiedzieć, czego się pani przestraszyła, kiedy powiedziałem, że jestem z FBI.

- Byłam po prostu zaskoczona. Pana brat był księdzem. A pan żyje w zupełnie innych realiach.

Jest pan jakby po drugiej stronie.

Miała czas, by przygotować sobie odpowiedź, zresztą całkiem niezłą.

- Jak się pani naprawdę nazywa, Nick?

- Nazywam się Nick Jones. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej, zobaczy pan, że jest tam bardzo wielu ludzi o tym nazwisku. Na pewno więcej niż o nazwisku Carver.

- Od jak dawna przebywa pani w San Francisco?

- Niedługo.

- Dwa, trzy tygodnie?

- Coś koło tego. Dwa i pół tygodnia.

- Skąd pani pochodzi? Wzruszyła ramionami.

- Raz stąd, raz stamtąd. Lubię dużo podróżować. Ale jest zima, więc najlepiej jest zostać w mieście, gdzie nie czuć tak zimna.

- Ile ma pani lat?

- Dwadzieścia osiem.

- Gdzie chodziła pani do szkoły?

Nic nie powiedziała, patrzyła tylko na dłonie, popękane i suche z obgryzionymi paznokciami. Dane usiadł obok niej na krześle. Skrzyżował ręce na piersi. Odezwała się po chwili:

- Zawrzyjmy układ: nie będziemy rozmawiać o mnie. Obieca mi to pan, agencie Carver? Żadnych więcej pytań albo wynoszę się stąd. Uważam, że mnie pan potrzebuje, więc zostawmy to. Dobrze?

- Szkoda, że tak to pani odbiera - powiedział Dane. - Za mną stoi FBI, a pani była znajomą mojego brata. Jeśli ma pani kłopoty, mogę pomóc.

Spuściła głowę. Chyba na chwilę znieruchomiała, choć trudno było ocenić przez te warstwy swetrów, które miała na sobie. W końcu powiedziała.

- Pański wybór, agencie Carver.

- W porządku.

- Pana celem jest znalezienie zabójcy księdza Michaela Josepha. Czy w Kaliforni obowiązuje kara śmierci?

- Tak.

- Doskonale. On zasłużył na śmierć. Bardzo polubiłam księdza Michaela Josepha, chociaż znałam go niezwykle krótko. Dbał o każdego z nas. Nieważne, czy człowiek był bogaty czy biedny, on dbał o wszystkich.

Wszedł Delion i skinął głową w kierunku Dane'a.

- Muszę spróbować jeszcze raz. Nie odpuszczę. Dane zwrócił się do Nick:

- Inspektor Delion sugeruje, że nie jest pani bezpieczna w tym schronisku. Z tego względu stanowczo twierdzą, że powinna się pani udać w bezpieczne miejsce. Zabiorę panią ze sobą do hotelu, w którym mieszkam. Zostanie pani ze mną do czasu, aż znajdziemy mordercę.

- Jest pan stuknięty - powiedziała Nick. - Jestem bezdomna. Nikt nie pozwoli mi przekroczyć progu żadnego hotelu. Na miłość boską, spójrzcie na mnie. Wyglądam jak bezdomna. Poza tym, nie chcę mieszkać w hotelu. Jest mi dobrze tu, gdzie jestem.

- Pod opieką FBI niewątpliwie będzie najbezpieczniej - powiedział Delion.

- Ale nie chcę ich w to angażować. I pan też by tego nie chciał, Delion, proszę mi wierzyć.

- No dobrze. Nie chcemy, by panna Jones skończyła jak Valerie Striker. Teraz idę na spotkanie z komendantem. Organizujemy specjalną grupę. Będziemy mieć do dyspozycji więcej ludzi, by złapać tego padalca.

Dane poczekał, aż Delion oddali się tak daleko, by nie słyszał, co powie.

- W tej chwili jest pani bezpieczna, panno Jones, ale jeśli człowiek, który zamordował mojego brata i trzy inne osoby uświadomi sobie, że mamy jego rysopis, wie pani równie dobrze jak ja, że będzie próbował panią dopaść. Chce pani w schronisku czekać, aż nadejdzie? Tam nie ma nikogo, kto mógłby pani pomóc.

Zbladła, zrobiła się biała niczym koszula, którą miał na sobie.

- Wyjadę z San Francisco, pojadę na południe.

- Nie, ucieczka nie jest rozwiązaniem. Jeśli nie będzie pani współpracować, aresztujemy panią jako istotnego dla sprawy świadka.

Ale Delion najwyraźniej słyszał, o czym była mowa. Zatrzymał się i rzucił przez ramię:

- To oczywiste, że wpakowała się pani w największe gówno w swoim życiu, panno Jones. Ja na pani miejscu skorzystałbym z pomocy federalnych. Niech pani przyjmie ich pomoc - Delion machał rękami. - Nie musi się pani martwić, nie będziemy już zadawać więcej pytań na temat pani przeszłości. W porządku?

- Nie - odpowiedziała. - Głupio zrobiłam, zostając tutaj tak długo. Powiedziałam wam, co wiem. Muszę już iść.

Zerwała się z krzesła i błyskawicznie rzuciła do drzwi. Delion próbował ją schwycić. Wymknęła mu się.

- Szybko biega - westchnął Dane, odwracając się. Jeden z inspektorów zawołał:

- Musiała nauczyć się tego w slumsach.

Dane ruszył za nią. Przed oczami mignął mu jej czerwony sweter, widział, jak mija windę i biegnie w kierunku schodów. Złapał ją, zanim zdążyła dobiec do wyjścia z trzeciego piętra.

Nie wiedział, czego się spodziewać, ale walczyła z nim tak zajadle, jakby od tego zależało jej życie. Kopała, waliła na oślep pięściami, próbowała się uwolnić, ale nie wydała przy tym z siebie żadnego dźwięku.

Dlaczego nie wrzeszczała na niego?

W końcu udało mu się ją okiełznać, wykręcając jej rękę do tyłu. Przycisnął ją tak mocno, że nie mogła się ruszyć.

- Nie ruszaj się, po prostu się nie ruszaj!

Oddychała ciężko, ale nie przestawała szarpać się, rzucać i wrywać. Była silna. Trzymał ją z całych sił. Nie była w stanie się uwolnić, ale nadal próbowała.

Kilku policjantów wyszło na klatkę schodową trzeciego piętra.

- Co tu się dzieje? - spytał jeden.

- Jestem Dane Carver z FBI - rzekł Dane. - Próbowwała uciec. Zawołajcie Deliona, jest na górze w wydziale zabójstw.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie - odpowiedział Dane. - Ale szkoda, że nie przyszliście pięć minut wcześniej.

- Tak, widzę, że masz kłopoty ze sprawcą, który jest od ciebie dwadzieścia kilo lżejszy. Chcesz, żebyśmy wezwali Deliona? Delion to twardziel. Zatrzyma każdego sprawcę, choćby był nie wiem jak wielki.



- Nie, już sobie z nią poradziłem.

Była już trochę spokojniejsza, ale w chwili, kiedy wypowiadał te słowa, znowu wróciły jej siły. Zaskoczyła go, ostro wykręcając się do wewnątrz tak, że stała tyłem do niego i jego uścisk trochę się rozluźnił. Wtedy z całej siły uderzyła go łokciem w brzuch. Kiedy zakaszał gwałtownie, korzystając z okazji, uwolniła się.

- Ta, jasne, już ją miałeś. - powiedział drwiąco jeden z oficerów.

Dane złapał ją ponownie na drugim piętrze w chwili, gdy usiłowała wbiec do damskiej toalety.

- Dość tego, wystarczy! - Przywarł plecami do ściany i szarpnięciem przycisnął jej plecy do siebie. - Przećwiczmy to jeszcze raz. To był dobry chwyt, ten obrót. Gdzie się tego nauczyłaś?

Próbowała złapać oddech. Nic nie odpowiedziała, stała ze spuszczoną głową, ciężko dysząc. Długo nie chciała mówić, ale Dane był cierpliwy. Po jakimś czasie zapytał:

- Boisz się, że ktoś z mediów mógłby zrobić ci zdjęcie lub sfilmować?

- Jeszcze jedno słowo na mój temat i naprawdę znikam. Nie ma pan prawa pytać o mnie. Nigdy więcej, agencie Carver, nigdy więcej.

Nie było mu łatwo, ale musiał to powiedzieć. Potrzebowali jej. Dane westchnął.

- Wie pani, że w życiu nic nie przychodzi łatwo? Przecież mogłaby pani znaleźć sobie jakąś miłą i zwyczajną pracę. Na przykład w sklepie z bielizną.

- Byłam miła i zwyczajna - powiedziała, a kiedy uświadomiła sobie, że wygadała się, zagryzła usta.

- Naprawdę? Może pracowała pani w nieruchomościach?

Albo w reklamie? A może była pani mężatką i mąż panią maltretował? No dobrze, więcej już nic nie powiem - dokończył, widząc jej minę.

- Jasne, tylko czekam, żeby się panu zwierzyć. Nie ma mowy. - Pochyliła się i z całej siły ugryzła go w rękę tak mocno, że Dane aż krzyknął.

Natychmiast zbiegło się kilkanaście osób, połowa z nich to policjanci. Ona była bezdomna. Nie było wątpliwości, kto w tym sporze miał rację.

Jeden z oficerów złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu.

- Nieomal odgryzła ci kawałek ręki. Potrzebujesz pomocy?

- Tak, mogę prosić o kajdanki?

Oficer podał mu kajdanki bez pytania o legitymację i Dane wiedział, że to nie z niedbalstwa. On po prostu wyglądał jak glina. Chwycił ją z tyłu za nadgarstki i założył kajdanki.

- No - odetchnął z ulgą. - Teraz może mnie już nie pogryzie. Kajdanki zostawię na trzecim piętrze u inspektora Deliona.

- Nie ma sprawy. Z takimi ludźmi trzeba uważać. Lepiej odkazić tę rękę, nie wiadomo, czy nie wdało się zakażenie.

- Dzięki, tak zrobię.

- Sukinsyn - wycedziła Nick przez zęby ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie, mam rodowód. Pomyślmy teraz, co by tu z tobą zrobić, Nick Jones?

- Proszę mnie wypuścić. Wrócę, przysięgam.

- Nic z tego, panno Jones, od tej pory jesteś na mnie skazana. Jestem pani osobistym ochroniarzem. Po prostu musi pani się z tym pogodzić, jasne?

Kiedy mówił, chwycił jej podbródek i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. Na nosie miała piegi, których wcześniej nie zauważył, teraz bardzo wyraźne na tle jej bladej twarzy. Ale w jej oczach

dostrzegł porażkę. Wyglądała na złamaną i wyczerpaną.

Chwytał ją za ramiona i delikatnie potrząsnął.

- Proszę mnie posłuchać: nie pozwolę nikomu pani skrzywdzić, obiecuję.

- Jest pan zupełnie taki jak on.

- Tak, wiem, ale ja i mój brat to dwie różne osoby. Bardzo różne. Nie we wszystkim się różniliśmy, ale w bardzo wielu rzeczach tak.

- Może i tak - odpowiedziała. - Ale on też obiecywał, że nie pozwoli, aby ktokolwiek mnie skrzywdził. - Przygryzła usta. - A teraz nie żyje. Ale to nie moja wina, prawda?

Stała tak z rękoma w kajdankach, a łzy spływały jej po policzkach.

- Nie - rzekł stanowczo Dane. - To nie pani wina. Jedno wiem na pewno: morderstwo Michaela nie ma z panią nic wspólnego. Naprawdę.

- Cholera - powiedział Delion, stając jak wryty kilka metrów przed nimi. - Jeszcze tego brakowało.

# Rozdział 9

Jaki rozmiar pani nosi? - Nie chcę nowych ciuchów. Proszę posłuchać, agencie Carver, nie chcę niczego zmieniać w moim życiu. Po prostu tak musi być, rozumie pan?

- Będzie pani bezpieczniejsza, jeżeli będzie pani przyzwoicie ubrana, a nie wyglądała jak żebraczka. To zwyczajny, niedrogi sklep, inspektor Bates mi o nim powiedziała. Dostaniemy tu rzeczy, jakie noszą zwykli ludzie. Proszę nie protestować, panno Jones. Jestem tak wykończony, że mógłbym spać na stojąco, i wie pani, że potrzebuję pani pomocy. To nie jest przysługa dla policji. Proszę pomyśleć, że robi to pani dla mojego brata, człowieka, którego pani lubiła i podziwiała. Chcę, żeby pomogła mi pani złapać jego zabójcę.

Wiedział, że w końcu trafił w czuły punkt. Sprawił, że czuła się winna, że jeżeli teraz ucieknie, to będzie z jej strony szczyt egoizmu. Chciała pomóc w złapaniu potwora, który zabił jego brata. W końcu znalazł na nią sposób, chociaż trochę mu to zajęło. Może wreszcie przestanie obwiniać się za śmierć jego brata.

Co nie było takie złe z uwagi na fakt, że jej potrzebował.

- No dobrze, więc chodźmy po jakieś niedrogie rzeczy.

- A potem po jakieś lepsze rzeczy.

- Wydawało mi się, że jest pan zmęczony.

- Bo jestem. Ale zatrzymałem się w dobrym hotelu, w Bennington, przy Union Square. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi. Gdybym przyprowadził bezdomną kobietę, wszyscy pomyśleliby, że kawał ze mnie zbrojeńca.

- A już na pewno pomyśleliby, że nie ma pan zbyt dużo pieniędzy.

Dane niespodziewanie uśmiechnął się.

Pół godziny później wychodzili z The Rag Bag, sklepu z końcówkami kolekcji ubrań dla kobiet, na rogu ulic Taylor i Post, nieopodal hotelu Bennington. Zresztą San Francisco to małe miasto i wszędzie było blisko. Nick ubrana była w przyzwoite dżinsy, białą bluzkę i granatowy sweter z dekoltem w kształcie litery V. Nie miała na głowie czapki, a jej włosy były gładko zaczesane i spięte z tyłu głowy.

Nikt w hotelu Bennington nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi; ani obsługa, ani inni goście. Kiedy już byli w pokoju Dane'a na trzecim piętrze, powiedział:

- Dalej nie wygląda pani najlepiej. Ale przynajmniej widać jakąś poprawę. Chce pani wziąć prysznic i umyć włosy czy może najpierw zjemy obiad?

Nie zdziwił się, kiedy wybrała obiad. Kiedy dwadzieścia minut później przyniesiono posiłek, zasiedli przy małym, okrągłym stoliku.

- Chyba wyglądam przyzwoicie, nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Będę nosić te ciuchy dotąd, aż złapie pan mordercę.

- Naprawdę? A później wróci pani do schroniska? Czy będzie żebrała na Union Square?

- Coś wymyślę.

- Wyrzuciłem wszystkie pani stare ubrania. Posłała mu długie, obojętne spojrzenie.

- To bardzo źle pan zrobił. Te ubrania były wszystkim, co miałam.

- Kiedy to wszystko się skończy, nie wróci pani do schroniska. - Nadgryzł swoją kanapkę, rozsiadł się wygodnie na krześle i popatrzył na nią z troską. - Nie robi tego pani w żadnym wypadku, prawda? Przecież miała pani zamiar opuścić miasto?

Nie podnosząc głowy, powoli i spokojnie zjadała frytki ze stojącego przed nią talerza.

Były bardzo smaczne, rumiane i chrupiące, właśnie takie, jak lubiła.

- Ma pan rację. Kiedy będzie po wszystkim, wyjadę stąd. Może na południowe wybrzeże? Zimą jest tam naprawdę ciepło.

- Przynajmniej teraz mówi pani prawdę. Smaczne frytki?

- Dawno takich nie jadłam. Są wspaniałe.

- Michael też uwielbiał frytki. Twierdził, że pomagały mu skupić się na boisku i sprawiały, że dziewczyny myślały, że jego woda po golaniu ładnie pachnie. Może coś w tym jest?

Podniosła głowę.

- Mogę skorzystać z łazienki?

Skinął głową, dokończył swoją kanapkę i patrzył, jak ona zjada jeszcze jedną frytkę i odsuwa talerz. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Są takie pyszne, ale jestem już pełna. Nie wiedziałam, że ksiądz Michael Joseph też lubił frytki. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Pewnie by się do tego nie przyznał. Chce pani wrócić do schroniska i może coś stamtąd zabrać?

- Nie. W takim miejscu, jeśli ma się coś wartościowego, trzeba to do siebie przypiąć. Albo po chwili ktoś inny to sobie przywłaszczy.

- Jak części do samochodu w parszywej dzielnicy?

Zastanawiał się, co ona miała przypięte pod ubraniem. Dokumenty, które ujawniłyby jej prawdziwą tożsamość? Przed kim lub przed czym uciekała?

Słuchał plusku spływającej wody. Wstał i podszedł do telefonu. Prawie już wykręcił numer swojej siostry, ale powoli odłożył słuchawkę. Nie mógł wyobrazić sobie, że zostawia Eloise z panną Jones. Byłoby to nie fair w stosunku do ich obu. Eloise by się denerwowała, panna Jones by się bała. Bardzo niebezpieczne połączenie. Chyba wymagałby od swojej siostry zbyt wiele. Musiał zaufać Nick Jones i zostawić ją w hotelu samą, kiedy on będzie zajęty z Delionem. Ostrożnie zawinął w chusteczkę szklankę, z której piła wodę. Był na niej wyraźny odcisk linii papilarnych jej kciuka.

Kiedy blisko godzinę później wyszła z łazienki, Dane z wrażenia nieomal upuścił filiżankę z kawą, którą trzymał w ręku. Bezdomna kobieta znikła. Nick Jones była czysta, miała umyte i ułożone włosy, a nowe ciuchy bardzo dobrze na niej leżały.

Wyglądała schludnie niczym uczennica liceum. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz, kiedy jej włosy były czyste, wydawały się jaśniejsze. Miały wiele różnych odcieni blondu i brązu, były lekko kręcone i zebrane z tyłu głowy. Jasne oczy były koloru szarzielonego. Uświadomił sobie, że wyglądała całkiem ładnie.

- Teraz wygląda pani dobrze - powiedział zadowolony, że okazał umiarkowany zachwyty. Nie mógł dopuścić do tego, żeby się go przestraszyła. - Muszę wracać na komisariat. Proszę, żeby pani tu została. Może pani obejrzeć telewizję albo zejść na dół i kupić sobie coś do czytania. Tylko proszę

nie opuszczać hotelu, dobrze?

Zostawił jej pięćdziesiąt dolarów, a kiedy nie chciała ich przyjąć, wcisnął banknot do kieszeni jej spodni. Ale nie odpowiedziała na jego prośbę.

Ponownie powiedział:

- Proszę mi obiecać, że nie opuści pani hotelu.

- No dobrze, obiecuję - powiedziała w końcu.

Miał nadzieję, że nie kłamała.

Po drodze na Bryant Street zadzwonił z komórki do siostry, aby omówić przygotowania do pogrzebu ich brata.

Michael nie żył. Właśnie rozmawiali o zakopaniu go. Dane nie mógł tego znieść. Zamiast na komisariat, na prośbę siostry udał się do parafii św. Bartłomieja, by sprawdzić, jak radzą sobie z przygotowaniem. Rozgorączkowany ksiądz Binney z trzęsącymi się bladymi, żyłastymi rękoma rozmawiał z biskupem Koshlapem i arcybiskupem Lugano. Wszystko było gotowe, wszyscy powiadomieni. Pogrzeb księdza Michaela Josepha miał odbyć się w najbliższy piątek popołudniu w kościele św. Bartłomieja. A czuwanie przy zmarłym miało trwać od środy wieczór.

- Tak mi przykro - powtarzał w kółko ksiądz Binney. - Gdybym nie namawiał go na spotkanie z tym człowiekiem, z tym potworem, żyłby. Tak mi przykro.

Dane chciał, żeby ksiądz Binney w końcu pojął, że to nie była jego wina, a mordercy, który zabił w sumie cztery osoby w San Francisco, ale nie miał już siły tego powtarzać.

Jechał w stronę komisariatu tak szybko, że po drodze zatrzymał go patrol na motocyklu. Kiedy pokazał swoją odznakę FBI, policjant spojrzał na nią, zaśmiał się i zapytał:

- Sprawa niecierpiąca zwłoki? Dane przytaknął.

- Tym razem panu daruję, agencie Carver. Proszę nie przekraczać dozwolonej prędkości.

Dane podziękował policjantowi i z nie mniejszą prędkością dalej jechał na komisariat, pomimo ogromnego korka.

Pojawił się w pomieszczeniu oddziału specjalnego, zaadaptowanego z sali konferencyjnej obok gabinetu komendanta. Od Maggie, asystentki Kreidera, dowiedział się, że komendant chce być informowany ze szczegółami o rozwoju akcji.

W małym pokoju siedziało stłoczonych piętnaście osób. Dane wszedł do środka, oparł się o tylną ścianę i słuchał, jak Delion kończy swój wykład.

- ... tak więc wszyscy znają zasady. Człowiek, który właśnie wszedł i stoi przy drzwiach, to agent FBI, Dane Carver. Ksiądz Michael Joseph był jego bratem. Nie jest tu jako agent FBI, ale jest częścią drużyny. Ktoś chciałby coś dodać? Nie? A więc to wszystko.

Dane spojrzał na fotografie zamordowanych osób przypięte pinezkami do ściany. Wychodząc, komendant Kreider ścisnął ramię Dane'a.

Delion podszedł do Dane'a.

- Założę się, że nawet mamy naszych chłopaków są zaangażowane w śledztwo - powiedział. - Zobacz pan, że złapiemy gada. Teraz mamy spotkanie z ekspertem medycyny sądowej. Doktor Boyd obiecał, że najpierw zajmie się Valerie Striker. A jak ma się panna Jones?

- Dobrze. Obiecała mi, że nie opuści hotelu.

- I pan jej uwierzył? - Delion uniósł brew.

- Nie miałem wyjścia. Nie chciałem zamykać jej na klucz.

- Doprowadził ją pan do porządku?

- Tak, wygląda teraz jak studentka.

- Studentka? Może naprawdę nią jest? Wygląda na całkiem mądrą, wypowiada się składnie.

Dane pokręcił głową.

- Jest niezwykle bystra, ale zbyt przerażona, by to ukryć. Na studentkę jest trochę za stara, ale kto wie?

Delion powiedział:

- Moja siostra jest profesorem antropologii na Uniwersytecie Davis - powiedział Delion. - Twierdzi, że w środowisku akademickim pojawia się wielu niebezpiecznych typów, bardziej bezwzględnych niż w świecie biznesu. Oczywiście ona nie ma pojęcia o prawdziwym świecie, ale to ciekawe. Może nasza dziewczyna ucieka przed złym profesorem?

- Możliwe - odpowiedział Dane i nie mogąc się powstrzymać, wybuchnął śmiechem. - Profesor - zabójca. Podoba mi się pana koncepcja, Delion. Sprawdźmy, czyje odciski palców są na tej szklance.

- Panny Jones?

- Tak, piękny odcisk kciuka. Jeżeli nie powie nam, kim naprawdę jest, może jej odciski palców są w kartotece. Nigdy nie wiadomo. I dzięki, że mnie pan rozbawił, Delion.

- Zawsze do usług.

W kostnicy czekał na nich doktor Boyd.

- Valerie Striker została uduszona - powiedział. - Ni mniej, ni więcej.

- A jakieś szczegóły? - zapytał Dane.

- Moim zdaniem to stało się w niedzielę w środku nocy.

- To nam wystarczy.

- Ten sam sprawca, który zabił księdza Michael Josepha? - zapytał doktor Boyd.

- Prawdopodobnie tak, jeżeli to stało się w niedzielę w nocy. Dziewczyna marnie skończyła. - Delion pokiwał głową.

- A teraz coś optymistycznego, panowie. Panna Striker walczyła do końca. Za jej paznokciami są kawałki jego skóry, prawdopodobnie to skóra z szyi.

- DNA - powiedział Delion, radośnie podrygując.

- To tylko kwestia czasu i mamy faceta, inspektorze Delion.

Patrzyli, jak doktor Stephen Boyd oddala się, by porozmawiać z jednym ze śledczych, a następnie znika w swoim biurze.

- Ostry z niego gość - powiedział Delion. - Nikt nigdy nie śmiał z niego żartować. Nie nazywał go konowałem ani Doktorem Śmiercią, nic z tych rzeczy. Jest bardzo zasadniczy i zawsze robi to, co mówi. Nawet kiedy napięcie wzrasta i atmosfera jest naprawdę gorąca, doktor Boyd nigdy nie panikuje i robi, co do niego należy.

- To bardzo dobrze - odpowiedział Dane. - Z drugiej strony nawet gdyby panikował, denat leżący na stole raczej nikomu by o tym nie powiedział.

- Racja. Jeżeli udało się pobrać próbkę DNA, oznacza to pierwszy poważny krok do przodu w naszym śledztwie.

# Rozdział 10

## CHICAGO

Nigdy w życiu Nick nie była tak szczęśliwa. No, może tylko wtedy, gdy podczas podniosłej uroczystości otrzymała doktorat z filozofii, ale wtedy poczuła raczej ogromną ulgę niż prawdziwe, niczym niezmacone szczęście. Przyczynił się do tego jej narzeczony, John Kennedy Rothman, senator z Illinois.

- Nie jestem spokrewniony z prezydentem Kennedym - powiedział na powitanie skromnej wolontariuszce, przyjmując ją przed trzema laty do pracy przy swojej kampanii wyborczej. Było to wtedy, zanim jego żona, Cleo Rothman, uciekła z jednym z jego doradców, Todem Gambolem.

Ponieważ wszyscy wiedzieli, jak bardzo kochał swoją żonę, jako porzucony mąż wzbudził ogromne współczucie, co przysporzyło mu wielu głosów poparcia i wygrał stosunkiem głosów 58 do 42 procent. Został ponownie wybrany, pokonał swojego przeciwnika, który uchodził za liberała w polityce podatkowej stanu Illinois i kraju, chociaż to nie była do końca prawda. Tak naprawdę obezwładniający urok Johna i jego umiejętność przekonania każdego, że czeokolwiek spróbuje, będzie w tym doskonały, ostatecznie zdecydowały o jego zwycięstwie.

A teraz ona miała go poślubić. Upajała się tą myślą. Było między nimi prawie dwadzieścia lat różnicy, ale nie przeszkadzało jej to. Nie miała rodziców, którzy mogliby nie akceptować jej decyzji, a jedynie dwóch młodszych braci; obaj byli pilotami wojskowymi stacjonującymi w Europie.

Wiedziała wszystko o prowadzeniu kampanii wyborczej, wiedziała, jak to jest żyć na świeczniku. Media jeszcze jej nie wytropiły i modliła się, żeby przynajmniej nie nastąpiło to, zanim się pobiorą. Po ślubie będzie mogła po prostu kroczyć za nim, uśmiechając się i pozdrawiając wyborców.

Była ciemna noc, wiatr smagał ją po twarzy i rozwiewał włosy. W końcu to było Chicago. Kiedy idzie się ulicą pośród strzelistych wieżowców, wręcz płynie się między nimi i wiatr wieje znad jeziora Michigan, czuje się taki nagły przyływ chłodu, który sprawia, że szcękają zęby i brzęczą kości. Pochyliła głowę i szła dalej. Dlaczego nie wzięła taksówki? Nie, to bez sensu. Kiedy dotrze do domu, usiądzie na podłodze przed swoim niewielkim kominkiem, wyciągnie się na grubym chodniku, który jej mama utkała osiem lat temu, i zacznie czytać wypracowania napisane przez jej studentów.

Rozejrzała się - wokół nie było żywego ducha. Weszła na ulicę. Później wszystko potoczyło się tak szybko, że nie była pewna, co właściwie działo się do czasu, jak bezpiecznie dotarła do domu. Wielki czarny samochód zamiatał ulicę, miał wyłączone światła i jechał prosto na nią. Zauważyła, że nie zwalnia i nie zjeżdża z drogi. Przeciwnie, dalej jechał prosto na nią i wyraźnie zamierzał w nią uderzyć.

Odskoczyła gwałtownie w bok. Uderzyła w hydrant i z łoskotem upadła na bok. Czowała gorące powietrze, wdychała kwaśną woń opon przejeżdżającego obok samochodu. Leżała tak, zastanawiając

się, dlaczego nikogo nie ma w pobliżu, a ból przenikał jej biodro. Nikt nie był na tyle głupi, by w taką pogodę wychodzić z domu. Boże, czy ten samochód wróci?

Wstała i próbowała biec, ale była w stanie jedynie kuśtykać przez ulicę. W bocznej uliczce obok swojego mieszkania dostrzegła włóczęgę. Musiał widzieć całe zajście.

- Wariat! - powiedział mężczyzna, podnosząc do ust butelkę i pociągając solidny łyk.

Szarpała się z zamkiem w drzwiach wejściowych do swojego bloku, w końcu udało jej się je otworzyć i wpadła do holu tak przerażona, że zamarła na chwilę, opierając się o ścianę i ciężko oddychając. Stała tam jej sąsiadka, pani Kranz. Starsza pani, wdowa po strażaku z Chicago, pomogła jej dojść do mieszkania, podała aspirynę i posadziła przed kominkiem, w którym rozpałała ogień.

- Co się stało, moja droga?

Dobry Boże, nie była w stanie mówić ani przełknąć śliny.

- Ktoś... ktoś próbował mnie przejechać - wykrztusiła w końcu.

Pani Kranz poklepała ją po ramieniu.

- Ale nic ci nie jest, prawda?

Nick skinęła głową, bo dalej nie mogła mówić.

- Pijany kierowca? Tak? Nick potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie jestem pewna.

Pijany? Czowała w kościach, że ten ktoś chciał zrobić jej krzywdę. Może nawet zabić. Nieprawdopodobne? Raczej nie, ale to nie zmieniało tego, jak się czuła. Pijany? Może i był pijany. Szlag by to trafił.

Podziękowała pani Kranz, zapomniała o pracach, które miała sprawdzać, i położyła się spać. Dygotała pod kołdrą, przemarznięta do szpiku kości.

Kiedy w końcu zasnęła, we śnie zobaczyła wielki czarny samochód, potem następny i kolejny, ze wszystkich stron otaczały ją czarne samochody. Widziała kierowców wszystkich, każdy z nich miał kominiarkę naciągniętą na twarz i obłęd w oczach, jednak nie rozpoznawała żadnego z nich. Było ich tylu, że nie wiedziała, gdzie ma patrzeć. Kręciła się w kółko, otoczona przez jadące w jej kierunku samochody. Obudziła się zrana potem, krzycząc i ciężko oddychając. Zerwała się gwałtownie i usiadła na łóżku. Siedząc tak pośród ciemności, ciągle widziała te oczy błyskające zimnym światłem szaleństwa, i pomyślała, że wydają jej się jakby znajome. Kiedy udało jej się trochę uspokoić, wstała z łóżka, poszła do łazienki i pochylając się nad umywalką, napiła się wody z kranu. Nie, to wszystko było bez sensu. Komu zależałoby na tym, by ją skrzywdzić? Przecież nie miała żadnych wrogów, może z wyjątkiem jednego sędziwego profesora na uniwersytecie, który uważał, że kobiety nie znajdują się na historii średniowiecznej, a już na pewno nie powinny jej uczyć. Biodro bolało ją tak bardzo, że każdy krok przyprawiał ją o jęk. Wzięła trzy aspiryny i powlokła się z powrotem do łóżka.

Udało jej się zdrzemnąć godzinę, potem obudziła się półprzytomna z bólu. Wzięła więcej aspiryny i z przerażeniem popatrzyła na swoje odbicie w łazienkowym lustrze. Była blada, wyglądała na chorą, jakby była ofiarą poważnego wypadku. Pijany kierowca, powiedziała głośno do swojego odbicia w lustrze. To musiał być pijany kierowca. Zdjęła piżamę, popatrzyła na ogromny, krwisty siniak na prawym biodrze i marząc o czymś silniejszym niż aspiryna, weszła pod prysznic. Dziesięć minut później czuła się już trochę lepiej. To musiał być pijany kierowca, nie stary profesor i nie szalony małolat, który chciał ją przestraszyć. Nie, to na pewno był pijany kierowca, przypadkowy pijany kierowca. Te oczy, ten obłęd, to tylko zły sen. Urojenie.

Nie złoży doniesienia na policji. Nie widziała nawet tablic rejestracyjnych samochodu. Co



mogłaby zrobić policja? Powiedziała o wszystkim Johnowi, a on przytulił ją mocno, głaszcząc po włosach. Powiedział dokładnie to, co pani Kranz.

- To musiał być jakiś pijany wariat. Już dobrze, Nicola, teraz jesteś bezpieczna.

Od tamtej nocy nie sypiała dobrze, aż do swojej pierwszej nocy w schronisku dla bezdomnych w San Francisco, kiedy leżała zawinięta w koc na twardym, wąskim rozkładanym łóżku.

## SAN FRANCISCO

W środowy wieczór, po całym dniu niekończących się przesłuchań, bez powodzenia szukając jakiegoś związku pomiędzy zamordowaniem działacza gejowskiego, starej kobiety i swojego brata, Dane doszedł do wniosku, że zabierze Nick na stypę. Była z nim przez większość dnia, głównie dlatego, że jej nie ufał i nie chciał zostawiać samej w hotelu. Nie była uciążliwym towarzyszem, mówiła bardzo niewiele, a na obiad, na który zatrzymali się w knajpie przy Ghiradelli Square, zamówiła frytki.

Zanim jednak zabierze ją na stypę, musieli wstąpić do domu towarowego Macy przy Union Square i kupić jej czarną sukienkę. Mogłaby ją włożyć dziś i w piątek na pogrzeb. Potrzebowała też czarnych butów. Żadne z nich nie miało ochoty na zakupy, ale mus to mus.

Według miejscowej tradycji stypa odbywała się przed pogrzebem. Zwykle była gwarna i hałaśliwa, pełna gromkiego śmiechu, z mnóstwem jedzenia i morzem alkoholu. Można było na niej usłyszeć wiele mrozących krew w żyłach historii o zmarłym. Ta stypa nie należała jednak do tradycyjnych. Byli tu praktycznie sami posępni, ubrani na czarno mężczyźni, których Dane nie był w stanie zliczyć, i tylko dwie kobiety: panna Jones i Eloise DeMarks, jego siostra. Obie ubrane były w proste, czarne sukienki, obie były blade.

Ksiądz Binney powitał ich stłumionym szeptem, i nie omieszkał poinformować, że przybyli nawet arcybiskup Lugano i biskup Koshlap. Dane'owi było to obojętne, ale najwidoczniej ksiądz Binney uważał, że dla Michaela to wielki zaszczyt. Niech i tak będzie.

Eloise, wysoka i chuda, z ustami pomalowanymi jaskrawą szminką, o zbyt bladej twarzy, miała ciemne włosy i ciemne oczy, jak jej bracia. Była cicha i przygarbiona, zupełnie jak ich matka, zanim definitywnie odeszła od ich uganiającego się za innymi kobietami ojca. Dane zastanawiał się, czy ojciec wiedział, że jeden z jego synów nie żyje. Nie mogli go znaleźć. Matka zmarła wskutek ataku wyrostka robaczkowego podczas safari w zachodniej Afryce. Od tamtej pory nie mieli od ojca żadnych wieści.

Dane nie chciał znowu oglądać ciała brata. To było ponad jego siły. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, czekał z tyłu kaplicy, marząc, aby już było po wszystkim.

Jego brat nie żył. Na chwilę zdołał o tym zapomnieć, ale wspomnienia wróciły. Brutalna ostateczność i nieodwracalność tej sytuacji, świadomość, że nigdy już go nie zobaczy. Michael nigdy już do niego nie zadzwoni, nie napisze e - maila, nie opowie kolejnego głupiego dowcipu o księdzu, rabbim i pastarze...

Jak można poradzić sobie z takim bólem?

Nick stała za nim. Podniosła jego dłoń i pogładziła zaciśniętą pięść. Jej dłoń była szorstka, ale ciepła.

- To wszystko na cześć księdza Michaela Josepha, oni to robią, by uczcić jego pamięć, ale to takie przykre, prawda?

Dane nie był w stanie wykrztusić ani słowa, tylko skinął głową. Czuł, jak jej palce głaszczą jego rękę, przynosząc mu ulgę.

- Chcę go po raz ostatni zobaczyć - powiedziała Nick. Dane nic nie powiedział, nie patrzył na nią, aż wróciła i stanęła obok niego.

- Wygląda pięknie i spoczywa w pokoju. Tam jest tylko jego ciało, nie dusza. Wierzę, że niebo istnieje, a ksiądz Michael Joseph był tak dobrym człowiekiem, że na pewno tam trafił i teraz patrzy na nas z góry i jest szczęśliwy, że jest pan tutaj, bezpieczny. Wie, jak bardzo pan go kocha, nie mam co do tego wątpliwości. I wie, jak bardzo pan teraz cierpi. Tak bardzo mi przykro.

Nie wiedział, co powiedzieć. Uścisnął jej dłoń.

- Zaledwie trzy tygodnie temu, podczas świąt Bożego Narodzenia, to było tak niedawno... Razem z Michaelem pojechaliśmy do San Jose odwiedzić naszą siostrę. Michael podarował mi piłkę z autografem Jerry'ego Rice'a. Leży na moim kominku. Teraz Jerry gra już w drużynie Oakland Raider. Michael chciał mi zrobić kawał. Jerry w barwach Oakland Raider. Od tamtej pory go nie widziałem.

- A co pan podarował bratu na Gwiazdkę?

- Dałem mu frisbee. Powiedziałem, że chcę zobaczyć, jak jego sutanna powiewa, kiedy się za nim ugania. Podarowałem mu też książkę „Rękopisy znad Morza Martwego”, ta tematyka zawsze interesowała Michaela.

Dane zamilkł i zastanawiał się, co stanie się z rzeczami Michaela. Musi zapytać o to księdza Binneya. Chciał obejrzeć książkę, którą dotykał i czytał Michael, i jeszcze raz spojrzeć na dedykację na okładce. Napisał coś mądrego, ale dokładnie nie pamiętał, co to było.

Michael powinien dożyć co najmniej osiemdziesiątki. Może zostałby arcybiskupem, jak Lugano, czcigodny staruszek z burzą białych jak śnieg włosów. Ale teraz nie żył, bo jakiś wariat postanowił go zabić. Z sobie tylko znanego powodu.

Dane stał oparty plecami o ścianę plebanii, patrzył na Nick, która stała obok niego i w milczeniu trzymała go za rękę. Wyglądało na to, że przyszli wszyscy księża z San Francisco, po kolei podchodzili do Dane'a i każdy mówił coś miłego, i że to był szok, jak bardzo jest podobny do Michaela.

Przez ten cały czas Dane zastanawiał się, jak uda im się złapać mężczyznę, który zabił jego brata i pozostałe osoby. Prawdę mówiąc, na razie szanse na to były nikłe, dotąd nie wpadli na żaden ślad, chociaż komendant Kreider powiedział mediom, że przeszukają każdą uliczkę, i brzmiało to bardzo wiarygodnie. Delion mruknął, że to taki policyjny bełkot i żeby nie dawał się nabrać.

Podszedł do niego Delion, skinął głową Nick i stanął obok Dane'a. Cała trójka była ubrana na czarno i wyglądali prawie jak księża.

- Tak się zastanawiałem: trzy morderstwa w San Francisco i nikt nie może dopatrzeć się żadnego związku pomiędzy ofiarami - powiedział Dane do Deliona.

- No niestety. Ale to nie znaczy, że nie ma między nimi powiązania. Musimy je tylko znaleźć.

Dane spojrzął w stronę trumny brata, otoczonej płonącymi świecami.

- To wygląda na precyzyjnie zaplanowaną akcję. Żadnych błędów. To mnie zastanawia. Myśli pan, że ten mężczyzna wcześniej zabijał?

- To znaczy, czy zrobił coś takiego w innym mieście? - zapytał Delion, marszcząc brwi.

- Tak.

- Seryjny morderca? Przyjeżdża do miasta i przypadkowo wybiera ofiary, po czym przenosi się w inne miejsce?

- Nie, niezupełnie tak - powiedział Dane. - Zaplanował zabójstwo mojego brata, nie mam co do tego wątpliwości, może nawet zanim zabił staruszkę i działacza gejowskiego. Może oni byli

przypadkowymi ofiarami. A pani jak myśli? - zwrócił się do Nick.

Otworzyła szeroko oczy; wyglądała na zaskoczoną, że pytał ją o zdanie.

- Jeżeli to prawda, to ksiądz Michael Joseph musiał być w centrum zainteresowania, prawda? Może chodzi o to, że facet powiedział mu, co zrobił, rzucił mu wyzwanie i czekał, jak zareaguje. Może prowadził jakąś grę i dlatego wybrał księdza Michaela Josepha, jeszcze zanim zrobił te wszystkie okropne rzeczy. Nie wiem. Mówił pan o tym wcześniej, dużo o tym myślałam i wydaje mi się, że ma pan rację.

- I nadal tak uważam. Że chodziło mu o księdza. Taki miał plan. Mój brat czy jakikolwiek inny ksiądz. Wybór padł akurat na Michaela - powiedział Dane.

- Więc facet pewnego dnia postanawia: zamorduję księdza, ale najpierw zabiję kilka innych osób i wyznam to księdzu na spowiedzi. Będę patrzył, jak ten się skręca, bo obowiązuje go tajemnica spowiedzi. Uważacie, że nasz podejrzany jest aż tak odrażający? - zastanawiał się Delion.

Dane zauważył, że Delion skierował to pytanie także do Nick. Wyglądała na skupioną, jakby intensywnie myślała. Nie wiedział dlaczego, ale podobało mu się to.

- Może właśnie tak było - powiedział Dane.

- Jezu, Dane, teraz będziemy musieli poszukać innych morderstw, w których ofiarami byli księża.

- No nie wiem. To brzmi mało prawdopodobnie - powiedziała wolno Nick, unosząc brew.

Nikt nic więcej nie powiedział. Dane patrzył, jak arcybiskup Lugano stoi nad jego bratem, modląc się. Potem przeżegnał się i kończąc rytuał, pochylił się i ucałował Michaela w czoło.

Dane poczuł, jak lzy zasnuwają mu oczy. Skinął głową do Deliona i gwałtownie odwrócił się, a Nick nadal trzymała go za rękę.

- Po prostu dłużej już nie wytrzymam - powiedział, a ona zrozumiała.

Przeszli obok zastępów czarnych zgarbionych księży i razem opuścili kaplicę.

CHICAGO

Oczy Nick były szeroko otwarte, wiedziała, że były otwarte, ale nic nie widziała. Była w jakimś pomieszczeniu, ciemnym, prawie czarnym. Mogła niemal poczuć gęstość tej ciemności, ciężar, z jakim ścieliła się wokół niej, bez najmniejszego śladu światła. Leżała na plecach, patrząc w sufit, którego i tak nie mogła zobaczyć, zastanawiała się, co właściwie się stało, i miała nadzieję, że nie umarła.

W Listach czuła kwaśny posmak i miała ochotę je zacisnąć, wiedziała, że nie może tego zrobić, bo się udusi. Ale przynajmniej żyła.

Miała coś w ustach, coś leżało na tylnej ścianie jej gardła. Teraz sobie przypominała.

Był piękny grudniowy wieczór, kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, niezbyt zimny, prawie bezwietrzny, a śnieg nie padał przez ostatnie trzy dni. Wspaniała okazja, doskonale zaplanowana, tak naturalnie, wszystko zorganizował osobisty asystent Johna. Kolacja urodzinowa Albi miała odbyć się we wspaniałym apartamencie Johna przy Rushton Avenue z widokiem na jezioro Michigan. To nie było przyjęcie tylko dla ich trojga. Miał być tam też Elliott Benson, facet, którego nie lubiła i któremu nie ufała. Był bogaty i czarujący, ponoć był przyjacielem Johna i znali się od czasów studenckich. Ale za każdym razem, kiedy musiała spędzić z nim czas, potem miała ochotę natychmiast iść do domu i wykąpać się. Tak naprawdę miała ochotę spędzić ten wieczór tylko w towarzystwie Johna i Albi, bez doradców i innych ważnych ludzi, którzy pomagali lub potencjalnie mogli pomóc Johnowi w karierze. No ale Albia chciała, żeby on tu był.

Albia była starszą siostrą Johna, wytworną, elokwentną kobietą, właścicielką dobrze

prosperującej sieci butików z odzieżą męską. Albia była jedyną rodziną Johna, kiedy ich matka umarła, John miał zaledwie szesnaście lat, a Albia dwadzieścia trzy. Właśnie kończyła pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądała na co najmniej dziesięć lat młodszą. Wyszła za mąż, kiedy przekroczyła trzydziestkę, zaledwie rok później owdowiała. Albia była powściągliwa, pełna rezerwy wobec wszystkich pomocników w kampanii wyborczej, ale odkąd John zaczął spotykać się z Nick, stała się znacznie bardziej otwarta. Nick czuł się z nią bardzo związana, Albia wręcz stała się jej powierniczką.

Dzisiejszy wieczór był tak ekscytujący; suto zastawiony stół, cudowna brylantowa bransoletka na nadgarstku Albi, którą John dał w prezencie siostrze, błyszcząca w łagodnym świetle świec płonących na stole. Elliott Benson uwodził i czarował Albię, prawil jej komplementy i podarował jej brylantowe kolczyki, które śmiało mogły rywalizować z bransoletką od Johna. Miała je w uszach, były piękne. Elliott wyraźnie próbował przebić Johna, to było oczywiste, przynajmniej dla Nick. Dlaczego właściwie Albia chciała, żeby przyszedł?

Nick podarowała Albi jedwabną apaszkę z nadrukiem obrazu Picassa, którą kupiła w Barcelonie. Albia, zachwycona śliczną apaszką, powiedziała:

- Pamiętam, że mama miała apaszkę bardzo podobną do tej. Uwielbiała ją nosić...

Jej głos nagle załamał się niczym osuwający się klif. Nick, zadowolona, że jej prezent sprawił radość Albi i że apaszka przypominała jej o matce, powiedziała:

- John, nigdy nie wspominałeś o swojej matce.

Zaniepokojony John spojrzał na siostrę. Nieznacznie potrząsnęła głową, jakby w geście przeprosin, i dalej wpatrywała się w swój talerz.

- No właśnie, John - wtrącił Elliott. - Nigdy nie spotkałem twojej matki. Czy ona nie umarła wiele lat temu?

- To prawda - powiedział oschle John. - Nicolo, wiedziałaś o tym, prawda? Zginęła w wypadku samochodowym wiele lat temu. Rzadko o tym mówimy.

- Wypadek samochodowy? - zdziwiła się Nick. - Och, nie wiedziałam. Tak mi przykro. To musiał być szok dla was obojga.

- Ale nie dla naszego ojca - powiedział John.

Elliott chciał coś powiedzieć, ale w zamyśleniu przeżuując cielejącą eskalopkę, zagapił się na jeden z obrazów wiszących na ścianie jadalni.

- To był dla nas bardzo ciężki czas. Podasz mi fasolkę, Nicolo? - poprosiła Albia.

Elliott opowiadał historie z czasów studenckich. Wszystkie dotyczyły dziewczyn, które obaj chcieli zdobyć. Jego opowieści były zabawne, urocze, wiele razy wychodził w nich na głupka.

- Na przykład weźmy taką Melissę - mówił Elliott. - Albo nie, nie rozmawiajmy dziś o niej. Wybacz, John. Lepiej wnieśmy toast: Za Albię, najpiękniejszą damę w Chicago!

Kiedy pił ten toast, patrzył na Nick, a ona miała ochotę dać mu w twarz za ten wazeliniarski wyraz na jego przystojnej twarzy.

Podczas deseru złożonego z *creme brulee* Nick poczuła nagły skurcz żołądka, potem kolejny, silniejszy i bardziej bolesny. Musiała opuścić towarzystwo i pójść do łazienki. Tam zwymiotowała, po czym poczuła się tak źle, tak beznadziejnie, że miała ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Ból był koszmar, jej wnętrzności skręcały się nieznośnie. Wreszcie, dręczona drgawkami, trzęsąc się i wijąc z bólu, zwymiotowała. Pamiętała tylko, że wisiała nad sedesem, a bezradni Elliott, John i Albia stali wokół niej. W końcu Albia zarządziła:

- Myślę, że powinniśmy wezwać pogotowie, John. Z nią jest naprawdę niedobrze. Elliott, idź na dół i czekaj na karetkę. No dalej, pospieszcie się!

I tak oto znalazła się na szpitalnym łóżku. Zrobili jej płukanie żołądka. Pamiętała, jak pielęgniarka jej o tym mówiła, zanim zasnęła po zabiegu, dziękując za ulgę, jaką jej przynieśli. Wreszcie w jej wnętrznościach zapanował spokój. Czuła pustkę w żołądku, jakby bardzo dokładnie wyskrobano z niego wszystko do cna i skurczył się do minimalnych rozmiarów. Bolał, ale to był tępy ból, jakby od bardzo dawna nic nie jadła. Przypomniała sobie, jak po płukaniu żołądka leżała na szpitalnym łóżku i czuła się, jakby dotkliwie pobita kijem bejsbolowym. Ciągłe jeszcze w błogim półśnie pod wpływem narkozy, oczami wyobraźni widziała te wszystkie pary szalonych oczu patrzących na nią zza kominiarek, czuła zapach spalin wielkiego czarnego samochodu, który niemal zrównał ją z ziemią.

Było bardzo ciemno. Odwróciła lekko głowę i zobaczyła migające czerwone światło. Co to było? Usłyszała jakiś szmer, jakby ruch. Ktoś tu był, bardzo blisko niej. Wstrzymała oddech.

Ledwie mogąc mówić z powodu rurki tkwiącej w gardle, wyszeptwała:

- Kto tu jest?

To był mężczyzna, wiedziała to na pewno. Jego oddech był bardzo blisko, za blisko.

- To ja.

Dzięki Bogu, to był John. Dlaczego przez chwilę pomyślała, że to Elliott Benson? Czemu miałby tu być? Mimo woli wybuchnęła płaczem. Poglaskał ją po ramieniu.

- Już dobrze, Nicolo. Teraz już nic ci nie grozi, tylko przestań płakać.

Ale nie mogła. John nacisnął dzwonek przywołujący personel szpitalny. Po chwili drzwi otworzyły się, wypełniając salę światłem z korytarza. Ktoś zapalił górne światło.

- Coś się stało, panie senatorze?

- Zaczęła płakać i jeżeli ktoś nie wyjmie jej tej rurki z gardła, udusi się.

- Tak, skoro już się obudziła, można ją wyjąć. - Pielęgniarka pochyliła się nad Nicolą. - To nie jest zbyt przyjemne, prawda? Teraz będzie jeszcze nieprzyjemniej, ale to potrwa tylko chwilę.

Po wyjęciu rurki poczuła palący ból w gardle.

- Gardło może panią boleć przez kilka dni, ale po tym, co się stało, to normalne - powiedziała pielęgniarka, po czym papierową chusteczką wytarła oczy i twarz Nicoli. - Teraz już wszystko będzie dobrze, obiecuję.

W końcu udało jej się opanować łzy. Oddech uspokoił się, serce zaczęło bić wolniej.

- Co się stało? - zapytała.

- Prawdopodobnie to było zatrucie pokarmowe - odparł John. - Musiałaś zjeść coś nieświeżego, ale w porę odwieźliśmy cię na pogotowie.

- A ty i Albia? Jak wy się czujecie?

- Z nami wszystko w porządku, z Elliottem też.

- Wygląda na to - powiedziała pielęgniarka, badając tętno Nicoli - że tylko pani zjadła coś nieświeżego. - Odłożyła jej rękę z powrotem pod kołdrę. - Senator twierdzi, że to mógł być malinowy sos vinegrette. Teraz musi pani odpoczywać. Senator Rothman wszystkiego przypilnuje.

Zastanawiała się, dlaczego John, Albia i Elliott nie zatruli się jedzeniem.

John ucałował ją w czoło, nie w usta, ale nie miała o to do niego pretensji. Marzyła tylko o tym, żeby pozbyć się tego nieznośnego bólu, ale czuła się tak słaba, że nie mogła wykrztusić ani słowa i przymknęła oczy.

Słyszała, jak John rozmawia z pielęgniarką.

- Rano przyjdę porozmawiać z lekarzem i zapytać, czy można ją zabrać ze szpitala. A, nie, jutro nie mogę, mam spotkanie z burmistrzem. Przyślę kogoś z moich ludzi, aby wszystkiego dopilnował.

Rozmowę kontynuowali przyciszonymi głosami na korytarzu. Światło zostało zgaszone, a drzwi zamknięte.

Znowu została w ciemności. Tym razem jednak była sama, całkiem sama w dusznej szpitalnej sali, nic nie zakłócało jej spokoju, nic oprócz jednej dręczącej ją myśli: zatrucie pokarmowe malinowym sosem vinegrette? To absurd. Przecież zjadła tak niewiele, nie była w stanie niczego przełknąć, podekscytowana urodzinami Albi, prezentem, który jej podarowała. Tak rozpaczliwie pragnęła, aby Albia była jej przyjaciółką, by ją zaakceptowała. Zасыpiając, zastanawiała się, co by było, gdyby zjadła więcej. Pewnie by umarła.

Wcześniej już raz zatrula się jedzeniem - kiedy była na polowaniu z ojcem i zjadła nieświeże mięso. Wtedy jednak czuła się zupełnie inaczej.

Następnego ranka lekarze nie potrafili jednoznacznie stwierdzić, co jej zaszkodziło. Pobrali jej próbki krwi i zawartości żołądka, zrobili szczegółowe badania, zbadali też senatora i jego siostrę, ale niczego nie znaleźli.

Niestety, gosposia Johna, pani Beasley, zdążyła wyrzucić resztki jedzenia i umyć wszystkie naczynia. A więc wszystkie możliwości zostały wyczerpane. W końcu Nicola została wypisana do domu.

Nieomal umarła. Po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

## SAN FRANCISCO

Nick dotykała palcami gardła, przypominając sobie, jak bardzo bolało ją przez dobre dwa dni po wyjściu ze szpitala w Chicago. Przewróciwszy się na drugi bok, zobaczyła zarys sylwetki Dane'a leżącego na wąskiej, o wiele za krótkiej sofie, zaledwie kilka metrów od niej. Westchnęła i wreszcie zasnęła w łóżku w hotelu Bennington. Bała się, przerażała ją wizja tych szalonych, mrocznych oczu świecących pośród ciemności tuż ponad jej głową, krążących nad nią, nieosiągalnych. Modliła się, aby nigdy więcej nie nawiedzały jej żadne koszmary.

Dane, nie budząc się, przeciągnął się na sofie. Kiedy obudził się o siódmej rano, zobaczył Nick Jones ubraną w niebieskie dżinsy i białą koszulę, które jej kupił, przechadzającą się boso po pokoju. Uświadomił sobie, że spał niezwykle twardo, co było o tyle dziwne, że ta cholerna sofa była za krótka i twarda jak podłoga. Telewizor był włączony, kolorowe refleksy odbijały się w lustrze toaletki, ale dźwięk był wyłączony.

Dobrze, że pan już wstał. Odkąd pamiętał, zawsze kiedy się obudził, natychmiast był gotowy do działania. Nie inaczej było i teraz.

- Coś się stało?

Głęboko odetchnęła, wyciągając ręce przed siebie. Podeszła bliżej do niego, mówiąc:

- Już wiem, co się dzieje. Wiem.

# Rozdział 11

Dane usiadł, opuścił nogi i szybko wstał z sofy. Koc, którym był przykryty, osunął się na podłogę.

- Czyli co się dzieje? - Spodnie od dresu, które miał na sobie, zjechały poniżej poziomu brzucha.

Szybko podciągnął je do góry. Złapał ją za ręce. - Co takiego, Nick? Coś wiesz?

- Tak. Wczoraj zasnął pan jak dziecko. Obudziłam się, nie mogłam znowu zasnąć, więc włączyłam telewizor. Jest taki program, na pierwszym kanale, zupełnie nowy, zaczęli go nadawać prawdopodobnie kilka tygodni temu. Leci o jedenastej, ma tytuł „Superagent”. Mowa była o tych morderstwach w Chicago i o tym, jak agent federalny je rozwiązał. To było coś w rodzaju „Z archiwum X”, takie historie, od których człowiek dostaje gęsiej skórki i później boi się nocą wyrzucić przez okno. Program nie przykuwał zbytnio mojej uwagi do momentu, aż pojawił się przerażający gość w konfesjonale. Mówił księdzu o tym, co zrobił i drwił z niego, opowiadając o ludziach, których zabił. Gdy ksiądz prosił go, by przestał, facet roześmiał się i strzelił mu prosto w czoło. I wtedy mnie olśniło. To nie było o morderstwach popełnionych w Chicago, to było zupełnie jak morderstwa popełnione tu, w San Francisco.

Dane zmarszczył czoło i zanurzył palce we włosach, w końcu powiedział:

- Próbuje mi pani powiedzieć, że jakiś dupek zamordował mojego brata, bo postępował tak, jak w scenariuszu jakiegoś idiotycznego programu telewizyjnego?

- Tak. Kiedy program się skończył, przeczytałam wszystkie napisy końcowe i zapisałam, co tylko się dało.

Dane ponownie schwycił się za włosy, wziął głęboki oddech i powiedział:

- Teraz zamówię kawę, a później opowie mi pani wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Jasna cholera! Zadzwońię do Deliona. Jest pani pewna tego, co mówi, Nick?

- Absolutnie. Po prostu nie mogłam w to uwierzyć. Chciałam nawet pana obudzić, ale doszłam do wniosku, że w środku nocy niewiele może pan zrobić. Do tego był pan bardzo zmęczony.

- Rzeczywiście.

LOS ANGELES

O dziewiątej rano wylądowali w Los Angeles. Nick została przepuszczona przez bramki, mimo braku dokumentu potwierdzającego tożsamość po tym, jak Delion wypełnił w trzech egzemplarzach dokumenty i rozmawiał z dwoma zwierzchnikami. Po pół godzinie inspektor Delion, agent specjalny Carver i kobieta nieposługująca się żadnym tytułem, przedstawiana przez współtowarzyszy jako panna Nick Jones, weszli do biura producenta Franka Pauleya. Narożne okno jego gabinetu wychodziło na Pico, jedną z najbiedniejszych dzielnic w Los Angeles, zamieszkaną głównie przez emigrantów, w głębi widać było ocean. Był ledwie widoczny, bo nad miastem zawisł ciężki, szary smog, ale widać było pole golfowe. Pan Pauley był wysokim, szczupłym mężczyzną, o przyjaznym wyglądzie. Był też bardzo blady. Coś tu jest nie tak, pomyślała Nick.

Czy nie każdy w Los Angeles powinien być opalony od stóp do głów? Wyglądał na czterdzieści parę lat. Kiedy ich zobaczył, uśmiechnął się miło, choć nieco nerwowo. Nie mogła mieć o to do niego pretensji.

Podał im po kolei dłoń na powitanie, zaproponował kawę i wskazał szarą sofę, długą na sześć metrów. Naprzeciwko sofy stały krzesła, wszystkie szare i trzy stoliki do kawy dzielące przestrzeń.

Frank Pauley powiedział, machając ręką w kierunku sofy:

- Jestem tu nowy. Odziedziczyłem to biuro i wszystkie te szarości po poprzednim producencie. Mówił, że duża kanapa jest mu potrzebna do castingów. - Szeroko uśmiechnął się do Nick, która nie odwzajemniła jego uśmiechu, i powiedział:

- Zadzwoił pan do mnie, inspektorze Delion, bo uważa pan, że morderstwa, pokazywane ostatniej nocy w programie „Superagent”, przypominają morderstwa popełnione w San Francisco w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Zgadza się - potwierdził Delion. - Zanim zaczniemy omawiać problem, chcielibyśmy zobaczyć ten program, porównać okoliczności, podjąć decyzje. Jak na razie, tylko panna Jones go widziała.

- To rzeczywiście bardzo niepokojące. Proszę chwilę poczekać.

Frank Pauley odwrócił się do szarego telefonu i wystukał numer.

- Dzięki Bogu, zostały wyemitowane tylko dwa odcinki programu - skomentowała Nick.

- Obejrzymy oba odcinki, panie Pauley - powiedział Dane.

- Jeśli chcemy je porównać do wydarzeń z San Francisco, musimy sprawdzić, czy były popełnione zbrodnie wzorowane na pierwszym odcinku. Nie mamy sposobu, by dowiedzieć się, czy morderca będzie dalej zabijał, jeśli przestaniecie emitować kolejne odcinki programu. Ale przypuszczam, że studio ogłosi zakończenie emisji programu?

Frank Pauley odchrząknął.

- Powiem wprost: nasi prawnicy zdecydowali, że natychmiast przerywamy program i przystajemy na współpracę z wami. Oczywiście jesteśmy wstrząśnięci tym, że jakiś szaleniec rzeczywiście mógł to zrobić pod wpływem programu. Sprawdzimy, czy ten odcinek odpowiada morderstwom w San Francisco.

- Doceniamy to. Oczywiście, może pan mieć wątpliwości dotyczące kwestii prawnych - powiedział Dane.

- Zawsze je mamy - odparł Frank Pauley. - Czekają na nas w pokoju pięćdziesiąt jeden.

- Pięćdziesiąt jeden? - zapytała Nick.

- To dowcip, panno Jones, mały filmowy dowcip. To jest nasze własne, prywatne kino. Jeśli państwo chcą, to zaraz możemy obejrzeć pierwszy i drugi odcinek.

- Później przydałoby się zobaczyć trzeci odcinek - wtrącił Delion.

- Nie ma sprawy - powiedział Pauley, machając lewą dłonią ozdobioną czterema diamentowymi pierścieniami.

Dane czuł się zdegustowany. Może dały mu je cztery żony, tutaj, w Los Angeles, nigdy nic nie wiadomo.

Usiedli w małym, zaciemnionym kinie i oglądali drugi odcinek programu „Superagent”.

Miasto Chicago, kościół świętego Jana, ksiądz Paul. Dane patrzył, jak ksiądz Paul słucha człowieka opowiadającego mu o morderstwie, które właśnie popełnił - zatłukł na śmierć pałąk pewną starą kobietę. I nie obnosił się z tym. Ale zaraz, ona była kolejną straconą duszą z parafii księdza Paula, czyż nie? Dwie noce później, czarny aktywista został uduszony garotą przed wejściem



do klubu, tak, kolejna stracona dusza z parafii księdza Paula. Co z tym zrobi ksiądz? Morderca drwi z przekonań księdza, ma pretensję do Kościoła, że jest doskonałym schronieniem dla ludzi, którzy nie są w stanie stawić czoła prawdziwemu życiu, że ksiądz jest tylko tchórzem, który musi trzymać język za zębami, ponieważ obowiązują go jakieś zupełnie bezsensowne zasady. Czy tak nie jest? Podczas czwartego i ostatniego spotkania, po dwóch morderstwach, ksiądz załamuje się. Szlocha, wstawia się za mordercą, wściekły na Boga, że pozwala, by taki potwór istniał, wściekły na swoją własną głęboką wiarę, nienawidząc swojej bezsilności.

Morderca, śmiejąc się szyderczo, mówi mu: żyjesz jak tchórz i umrzesz jak tchórz i strzela księdzu w czoło.

Dane pochylił się i wyłączył projektor. Zwrócił się do Pauleya:

- Pana scenarzyści popełnili tu błąd. Ksiądz jest zobowiązany zachować tajemnicę pod warunkiem, że jest to prawdziwa spowiedź, czyli wtedy, kiedy przystępujący do spowiedzi czuje prawdziwą skruchę. W sytuacji takiej jak tu, gdzie facet kpi z sakramentu, ksiądz nie jest zobowiązany dotrzymać tajemnicy spowiedzi.

- Ale ja myślałem... - zaczął Pauley.

- Wiem - powiedział Dane. - Wszyscy tak myślą, ale Kościół czyni tu wyjątek. A teraz, proszę mi wybaczyć, będę na korytarzu.

Tak naprawdę nie zniósłby kolejnej minuty programu. Oparł się o ścianę, zamknął oczy, próbował wziąć się w garść. Ale wciąż widział faceta strzelającego księdzu w czoło.

Poczuł jej dłoń na swoim ramieniu. Długo stali w bezruchu, nic nie mówiąc. W końcu Dane wziął kilka głębokich oddechów i podniósł głowę.

- Dziękuję - powiedział.

W odpowiedzi skinęła głową. Delion wyszedł z sali kinowej.

- Wiele pan nie stracił. Mamy jeszcze superagenta, nadętego ważniaka z jakiejś fikcyjnej agencji w Waszyngtonie. Przyjeżdża do miasta - facet jest naprawdę wrażliwy, rozumie cierpienie ludzi i cały ten syf; robi tu porządek, bo lokalni gliniarze są głupi, mało bystrzy i brak im intuicji. Wszystko skończyło się dobrze, z wyjątkiem tych pięciu trupów.

- To znaczy, że w programie zabił dwie osoby więcej niż później w San Francisco - zauważył Dane.

- Tak. A to może oznaczać, że pański brat nie pasował do scenariusza i dlatego facet zastrzelił go po tych dwóch morderstwach. Pamięta pan, pański brat mówił księdzu Binneyowi, że musi podjąć decyzję, która na zawsze zmieni jego życie. Jest tylko jeden powód, dla którego ten facet mógł zastrzelić pańskiego brata.

- Tak - powiedział Dane. - Michael powiedział zabójcy, że opowie o wszystkim policji.

- I facet nie miał innego wyjścia, jak tylko zastrzelić go. Ksiądz Michael Joseph zepsuł mu scenariusz. Powstrzymał go - powiedziała Nick.

- Pański brat musiał mu powiedzieć w tę niedzielną noc, co zamierza zrobić, a facet nie miał innego wyboru, jak tylko go zabić. Pozostałych dwoje ludzi w programie, to był właściciel piekarni i ważny biznesmen. Oprócz księdza Michaela Josepha, mogą być jeszcze dwie ofiary w San Francisco.

- Facet twierdził, że ksiądz Paul stracił kolejną duszę ze swojej parafii - powiedział Dane.

- Wiemy, czy te dwie ofiary w San Francisco należały do parafii Świętego Bartłomieja?

- Nie było ich na liście parafian - odparł Delion. - Ale jeśli facet postępował według scenariusza, są spore szanse, że czasami przychodzili do kościoła. Wtedy mieliby ze sobą coś

wspólnego, prawda?

- Prawda - potwierdził Dane - ale to dla nas żadne ułatwienie.

Delion potrząsnął głową.

- To nie do wiary. Cholerny scenariusz. Facet jest seryjnym mordercą wzorującym się na scenariuszu programu telewizyjnego.

- Nie mógł wzorować się na tym programie - powiedział Dane. - Przecież morderstwa miały miejsce, zanim program został wyemitowany. Pewne jest przynajmniej to, że facet musiał być jakoś zaangażowany w ten program, w jakiś sposób w nim uczestniczyć. Byle kto nie znalazłby tak dobrze scenariusza.

Savich pisał na ekranie MAX-a: *Odcinek pierwszy „Superagenta”*; *miejsce akcji: Boston; trzy morderstwa: sekretarka, bukmacher, agent ubezpieczeniowy; czas akcji: dwa - trzy tygodnie temu.*

- Dane, sprawdzę to. Zaraz, zaraz, poczekaj chwilę. Sherlock, która zagląda mi przez ramię, właśnie powiedziała, że morderstwa nie były popełnione w Bostonie, a w Pasadenie, w Kalifornii, dwa i pół tygodnia temu.

- Bingo! - powiedział Dane. - Powiem Delionowi, że może powiadomić kolegów w Pasadenie. Miło i blisko do Los Angeles.

- No to do roboty, Dane. Formalnie zajmujesz się tą sprawą z ramienia FBI. Jeśli potrzebujesz biura w San Francisco, zadzwoń do Berta Cartwrighta i uzgodnij to z nim. Pamiętaj, że zajmujesz się częścią śledztwa, która leży w kompetencji federalnych. W porządku?

- Tak, jasne. Rzecz w tym, Savich, że zabójca musi być tutaj, w Los Angeles, to ktoś pracujący dla studia, przy tym właśnie programie lub ktoś, kto ma do niego dostęp.

- Tak, oczywiście, masz rację. Zawiadomię Gila Raineya, szefa biura FBI w Los Angeles. Z nim wszystko uzgodnisz, ale pamiętaj: to ty dyktujesz warunki. Dopilnuję, żeby dla wszystkich było to jasne.

- Dzięki, Savich.

Na chwilę zapadła cisza. Po niej dało się słyszeć zdławiony śmiech.

- To oznacza, że masz do dyspozycji MAX-a.

- To znaczy, że przyślesz mi go tutaj? - W głosie Dane'a słychać było niedowierzanie

- Opanuj się, Dane. Zejdź na ziemię. Nie, po prostu powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja osobiście dopilnuję, żebyś to dostał.

- A więc nie udało mi się wykorzystać twojej chwili słabości.

Nie bywam aż tak słaby - przerwał na chwilę, po czym dodał: - Trzymasz się, Dane?

- Pogrzeb Michaela jest w piątek po południu.

Te słowa brzmiały ostatecznie i stały się wyjątkowo zimnym podsumowaniem rozmowy.

- Zadzwoń, jakbyś czegoś potrzebował - powiedział po chwili Savich.

- Dziękuję, Savich. - Dane schował telefon komórkowy i wszedł do komisariatu w zachodnim Los Angeles na Butler Avenue. To był wielki betonowy kloc z jasnym punktem w postaci jaskrawopomarańczowego napisu nad wejściem - najwyraźniej ktoś miał taki pomysł, by ożywić to miejsce. Prawdę powiedziawszy, budynek był stary i brzydki, ale ogromny, prawie jak wieżowiec z okazałym parkingiem na policyjne samochody.

Po drugiej stronie ulicy znajdował się kolejny plac i stacja obsługi samochodów. To była stara część miasta, wokół było mnóstwo chwastów, starych domów i zieleni.

Dane pokazał odznakę funkcjonariuszom stojącym przy recepcji, skinął głową do jednego z nich i

poszedł w kierunku schodów. Zanim zobaczył ludzi, usłyszał głośny gwar ich głosów.

Poznał Patty, miłą starszą panią, recepcjonistkę wolontariuszkę, która na wielkim talerzu trzymała ciastka czekoladowe i wskazywała drogę detektywom. Powiedziała im, że w wydziale zabójstw pracuje trzech detektywów, a detektyw Flynn jest u siebie z dwojgiem gliniarzy z San Francisco.

Dane zakładał, że byli tam Delion i Nick.

Wszedł do dużego pomieszczenia, o wiele większego niż biuro wydziału zabójstw w San Francisco. Wszyscy detektywi pracujący w tym pomieszczeniu byli wyposażeni w szumiące komputery i jaskrawopomarańczowe szafki stojące naprzeciw wejścia.

Patty powiedziała mu, że biurko detektywa Flynna stoi w trzecim rzędzie. Przeszedł obok faceta, któremu ze spodni wystawała koszula, kobiety krzyczącej do detektywa: zamknij się, kurwa, aż dotarł do detektywa Flynna - powiedziano mu, że nie sposób przeoczyć Flynna, i to była prawda. Dostrzegł też Nick siedzącą cicho w kącie, czytającą gazetę. W zasadzie jej nie czytała, tylko trzymała. O czym myślała?

Dane podszedł do Deliona i powiedział:

- Morderstwa z pierwszego odcinka „Superagenta” zostały popełnione w Pasadenie. Dwa, dwa i pół tygodnia temu.

Detektyw Mark Flynn, nie czekając, aż ktoś go przedstawi, podniósł słuchawkę i zaczął wybierać numer. Dziesięć minut później odłożył słuchawkę. Miał około pięćdziesiątki, był czarnoskóry i wyglądał, jakby jakiś tydzień temu porzucił karierę zawodowego koszykarza

- Pan to pewnie agent Carver - powiedział.

Podali sobie dłonie. Flynn ruchem głowy przywołał Nick, która podeszła do jego biurka, gdy pojawił się Dane.

- Morderstwa w Pasadenie miały miejsce przed, podczas i zaraz po wyemitowaniu programu. Bardzo przypominają morderstwa z pierwszego odcinka - powiedział Flynn.

- To może oznaczać - powiedział Delion - że nasz podejrzany podróżował do San Francisco i z powrotem, może nawet latał w tę i z powrotem kilka razy. Lub jechał samochodem, żeby uniknąć kolejek na lotniskach. Musimy porównać dokładne czasy morderstw w obu miastach.

- A później sprawdzimy linie lotnicze - powiedział Flynn. - Wygląda na to, że ugrzęźliśmy w naprawę paskudnej sprawie. Proponuję, żebyśmy wrócili do studia i zgarnęli wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego ze scenariuszem. Założę się, że szefowie studia srają ze strachu w gacie, bojąc się wytoczenia im procesów przez rodziny ofiar.

- Zapewnili nas, że będą z nami współpracować - powiedział Delion.

- To już coś - odparł Flynn. - Swoją drogą, dobrze mieć za sobą federalnego. Da się nam pan bardzo we znaki?

- Nie, raczej nie.

- Świetnie, bo ja nie pozostanę dłużny - rzekł Flynn.

- Będę koordynował naszą współpracę z miejscowymi funkcjonariuszami. Panna Jones jest świadkiem, dlatego też jest tu z nami. Chcemy, by przyjrzała się każdemu, kto miał cokolwiek wspólnego z tym programem. Może po prostu będziemy mieli szczęście - powiedział Dane.

- Ja twierdzę, że to scenarzysta. - powiedział Delion. - On to wszystko wymyślił. Kto inny mógłby to zrobić?

Detektyw Flynn spojrzał ponuro na Deliona.

- Przepraszam synu, ale scenarzysta, biedny palant - on mógł stworzyć koncepcję programu, mieć

kilka pomysłów, nawet napisać roboczy scenariusz pierwszego odcinka, ale czy on jest naszym podejrzanym? Widzisz, przy takim programie zaangażowanych jest wiele osób, pewnie z tuzin scenarzystów brało w tym udział. Do tego cała reszta: reżyser, asystent reżysera, ludzie od scenariuszy, producenci, aktorzy i nie wiadomo, kto jeszcze. Wiem to, ponieważ tu mieszkam, a mój syn jest aktorem. Wkrótce wystąpi w paru programach - powiedział detektyw Flynn, wstając. Wydawał się jeszcze wyższy, jeżeli to było możliwe. - Jest komikiem.

- W jakich programach? - zapytała Nick.

- Występował w „Przyjaciołach” i „Ja się zastrzelę”.

- To wspaniale. - Nick z uznaniem kiwnęła głową. Flynn uśmiechnął się do niej z perspektywy swoich prawie dwóch metrów wzrostu i powiedział:

- Zastanawiam się, ile jeszcze odcinków „Superagenta” zdążyliby wyemitować, zanim ktoś by to zauważył.

- Ciężko powiedzieć. Wstrzymali emisję programu - powiedział Dane.

- Szefowie studia mogą być aż takimi kretynami - sarknął Flynn - ale nie ich prawnicy. Założę się, że dostali ataku furii po tym, jak zadzwoniliście i zarządziliście natychmiastowe odłączenie kury znoszącej złote jajka.

- W jaki sposób wybierają, który odcinek jest wyświetlany co tydzień? Nadają je w ustalonej kolejności? - zapytała Nick.

- To nie jest serial opowiadający o życiu bohaterów - odparł Flynn. - Więc myślę, że kolejność nie jest aż tak ważna. Zazwyczaj chyba puszczają je w kolejności kręcenia. Ustalimy to.

- To oznacza, że nasz podejrzaný wie, który odcinek będzie wyemitowany jako następny. A to znaczy, że na pewno jest tutaj, w Los Angeles - powiedział Delion.

- Tak, na pewno krąży gdzieś po Premier Studios - dodał Flynn.

# Rozdział 12

Premier Studio znajdowało się na West Pico Boulevard, prostopadłej do Alei Gwiazd. Naprzeciwko było pole golfowe. Dane był zaskoczony silną ochroną obiektu. Budka wartownika przy bramie wejściowej, uzbrojeni ochroniarze, psy obwąchujące wnętrza samochodów. Droga za budką wartownika była wyłożona białymi betonowymi progami zwalniającym, by ograniczyć prędkość pojazdów.

Detektyw Flynn pokazał odznakę i oznajmił, że Wielka Szycha spodziewa się ich. Strażniczka uśmiechnęła się, sprawdziła na swojej liście i odpowiedziała:

- Może pan wejść, detektywie.

Na ścianach studia widniały gigantyczne malowidła: Marilyn Monroe w filmie „Słomiany wdowiec”, Luke walczący z Darthem Vaderem w „Gwiezdnym wojnach”, Julie Andrews śpiewająca w „Dźwiękach muzyki” i postaci z kreskówki „Simpsonowie”. Były też reklamy nowych produkcji. Nick przystanęła na chwilę, przyglądając się gigantycznym portretom Marilyn Monroe i Cary’ego Granta.

- Oni są nieśmiertelni - powiedział Flynn. - Gustowny, prawda?

Biuro współwłaściciela Premier Studios, drugiego po Bogu, magnata Milesa Burdocka, mieszczące się na zajmowanym przez zarząd czwartym piętrze nowoczesnego budynku, nie wyglądało zbyt okazale i znajdowało się blisko wejścia na parking studia.

Wielka Szycha nazywał się Linus Wolfinger i, jak im powiedział Pauley podczas spotkania w jego biurze na trzecim piętrze, nie był mężczyzną. Był zaledwie dwudziestoczteroletnim chłopcem. Uważał się za geniusza, i miał, arogancki dupek, rację.

- Czy to oznacza, że go pan nie lubi? - zapytał Delion.

- To aż tak widać?

- Nie, po prostu jestem spostrzegawczy - odparł Delion.

- Problem w tym - powiedział Frank Pauley, gestykulując dłonią z sygnetami - że Dupek jest naprawdę dobry, jeśli chodzi o pomysły i Bóg jeden wie, ile ich ma każdego sezonu. Potrafi wybierać aktorów i właściwe godziny emisji programów. Czasami się myli, ale niezbyt często. To wszystko jest bardzo przygnębiające, szczególnie, że ciągle chwali się wszystkim, jaki jest świetny. Nikt go nie lubi.

- Jasne - powiedział Delion. - Nawet ktoś tak subtelny jak ja, widzi, dlaczego.

- Dwadzieścia cztery? Naprawdę tyle ma lat? - upewniał się detektyw Flynn.

- Ta, trzeba to jakoś przełknąć - powiedział Frank Pauley.

- Z drugiej strony, większość zarządu studia pracuje tu dość krótko: trzy, może cztery lata. Przez ten czas pewnie zajmują się głównie tym, żeby napełnić swoje portfele, zanim ich wyrzucą z roboty. Tu się robi kasę. Nie ma żadnych skrupułów. Producent regularnie dostaje wypłatę, a za to, że poleci

komuś zrobić program, weźmie kolejną wypłatę. Tu chodzi tylko o własne ego i pieniądze.

- Dlaczego pan nam o tym wszystkim mówi, panie Pauley?

- zapytał Flynn.

Frank Pauley uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce.

- Po prostu z wami współpracuję. Daję wam wskazówki, żebyście mieli pojęcie, co motywuje tych wszystkich ludzi.

- Reżyseruje pan programy, panie Pauley? - zapytała Nick.

- Trafiła pani. Czasami też zarabiam na wprowadzaniu zmian do scenariusza.

- A więc dostaje pan trzy wypłaty? - upewniła się Nick.

- Tak, każdy orze jak może. Wie pani, co w tym jest najlepsze? Za reżyserię i pisanie biorę honoraria autorskie lub tantiemy. Nie mam powodów do narzekania.

Flynn przewrócił oczami i powiedział:

- Muszę się upewnić, czy mój syn też tak postępuje.

- A więc pana zdaniem pieniądze, władza i własne ego tu, w mieście grzechu, są najważniejsze?

To wstrząsające - podsumował Delion.

Pauley uśmiechnął się.

- Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, bo to cyniczne, ale chcę być z wami zupełnie szczery. Mamy naprawdę poważne kłopoty. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, a jestem przekonany, że tak będzie, nie chcę nawet myśleć, co się może stać. Media mieszają nas z błotem. Nikomu o tym nie mówiłem, tak jak prosiliście. Według mojej wiedzy, nikt z obsady „Superagenta” nie wyjechał z miasta, rano była tu policja. Wolfinger czeka na was na czwartym piętrze. To tam urzęduje ten Dupek. Zresztą, zanim pan Burdock go zatrudnił, sam miał tam swoje normalne biuro.

- Co ma pan na myśli, mówiąc „normalne” biuro? - zapytała Nick.

- Zobaczy pani.

- Proszę nam coś opowiedzieć o Milesie Burdocku - poprosił Delion.

- Lubi, jak wszyscy myślą, że to on wszystkim kieruje, że jeśli program mu się nie podoba, spada z anteny, ale jeśli mam być szczery, to tak naprawdę Linus Wolfinger tu rządzi. Pan Burdock prowadzi zbyt wiele interesów naraz, większość międzynarodowych, my jesteśmy zaledwie kroplą w morzu jego interesów. On bardzo lubi Linusa Wolfingera. Spotkał go tu w studio, obserwował go przez kilka miesięcy, gdy Linus prawie samodzielnie zaplanował i zrealizował jeden z naszych programów nadawanych w czasie największej oglądalności, bo producent i reżyser okazali się niekompetentni. Po tym awansował go, oddał mu pod kontrolę ten cały cyrk, ot tak. - Frank Pauley pstryknął palcami. - Wtedy wywołało to ogromne poruszenie.

Minęli trzy sekretarki, wszystkie powyżej pięćdziesiątki, profesjonalistki w każdym calu, z pozapinanymi pod szyję koszulami, bez epatowania długimi nogami i pomalowanymi na krwistą czerwień paznokciami.

Frank Pauley pomachał do nich i poszli dalej szerokim korytarzem.

- Idę o zakład, że żaden szanujący się szef studia nie zatrudniłby takich sekretarek - powiedział Flynn.

- Ma pan na myśli ich wiek? Linus zwolnił pozostałe, dużo młodsze w dniu, w którym się tu wprowadził. Fakt, każdy potrzebuje niewolników, którzy będą pracować po osiemnaście godzin dziennie bez biadolenia. To znaczy młodych, i zazwyczaj sekretarki mają nie więcej niż trzydzieści lat. To dlatego Linus zatrudnił aż trzy. Proszę mi wierzyć: wszystko teraz sprawniej działa.

- Od jak dawna pan Wolfinger tu pracuje? - zapytała Nick.

- Na obecnym stanowisku prawie dwa lata, wcześniej chyba sześć miesięcy. Nie przesadzę, jeśli powiem że to najdłuższe dwa lata w moim życiu.

Mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, tak umięśniony, że prawdopodobnie nie był w stanie się wyprostować, zastąpił im drogę. Wyglądał, jakby zębami mógł kruszyć kości.

- To jest Arnold Loftus, ochroniarz Linusa - powiedział Pauley, wstrzymując oddech. - On nigdy nic nie mówi i wszyscy się go boją.

- Ma piękne, rude włosy - zauważyła Nick. Pauley dziwnie na nią spojrział.

- Państwo do pana Wolfingera? - odezwał się Arnold Loftus, krzyżując ręce na wielkiej klatce piersiowej.

- Tak, Arnoldzie, jesteście umówieni - powiedział Flynn. Arnold Loftus wskazał im młodego człowieka, który szedł w ich kierunku. Nie, „kroczył” jest lepszym słowem. Był ubrany w szary, doskonale skrojony garnitur od Armatniego. Zatrzymał się i, podobnie jak ochroniarz, skrzyżował ręce na piersi. Wkroczyli na jego teren.

- Panie Pauley - powiedział, uklonił się i spojrział na trzech mężczyzn i idącą za nimi kobietę.

- Jay, przyszliśmy tu spotkać się z panem Wolfingerem. Państwo są z policji i FBI. To bardzo ważne. Mówiłem ci.

- Proszę usiąść. Sprawdzę, czy pan Wolfinger może już państwa przyjąć - powiedział Jay.

Sześć minut później, kiedy Delion gotów był wtargnąć do gabinetu, drzwi otworzyły się, a asystent skinął do nich.

- Pan Wolfinger jest bardzo zapracowanym człowiekiem, ale teraz jest do waszej dyspozycji.

- Ciekawe, czy będzie zainteresowany, kiedy mu powiemy, co doprowadza do szału prawników studia? - zastanawiał się Frank - Ale to cały on. Lubi pokazać, że jest górą.

Weszli do biura Linusa Wolfingera.

A więc to był pałac Dupka, pomyślał Dane, rozglądając się. Pauley miał rację. To nie było zwykle dyrektorskie biuro. Nie było tam choćby odrobiny chromu, szkła czy skóry. Żadnych nagromadzonych dokumentów, żadnych pamiątkowych przedmiotów ani niczego osobistego. Było to naprawdę duże, kwadratowe pomieszczenie z drewnianą, wypolerowaną na wysoki połysk podłogą, bez dywanów, z oknami wychodzącymi na dwie strony: z jednej na pole golfowe, z drugiej na ocean, i dużym biurkiem pośrodku. Na blacie stały komputery warte majątek. Za biurkiem stało tylko jedno krzesło bez oparcia.

Linus Wolfinger nie patrzył na przybyłych gości, wpatrzony był w jeden z monitorów i nucił melodię z „Przeminęło z wiatrem”.

Asystent głośno chrząknął.

Wolfinger spojrział na wszystkie przyglądające mu się osoby i jakby się uśmiechnął. Wyszedł zza ogromnego biurka, pozwalając im oswoić się z faktem, że w istocie wyglądał trochę głupkowato w białej koszuli z krótkim rękawem i z wetkniętymi w jej kieszeń długopisami, z wystającą pod szyją czarnym podkoszulkiem i w spodniach wiszących na chudym tyłku.

- Od naszych prawników wiem, panie Pauley, że mamy problem z „Superagentem”. Ktoś naśladuje morderstwa z pierwszych dwóch odcinków - powiedział.

- Tak - potwierdził Frank. - O to właśnie chodzi.

- Przypuszczam, że wszyscy państwo jesteście z policji.

- Tak, i z FBI. - dodał detektyw Flynn. - Jest jeszcze panna Nick Jones.

Wolfinger wyciągnął z kieszeni koszuli pióro i zaczął gryźć jego końcówkę.

- Czy Frank powiedział wam, że program został już oficjalnie zdjęty? - zapytał.

- Tak, między innymi - powiedział Delion. - Najpierw chcielibyśmy pana zapytać, czy ma pan jakiś pomysł, kto w prawdziwym świecie może być mordercą. To jest najprawdopodobniej ktoś blisko związany z programem.

- Mam parę pomysłów - powiedział Wolfinger i schował pióro z powrotem do kieszeni. Otworzył szufladę biurka, gdzie była mała lodówka, i wyciągnął dietetycznego Dr. Peppera. Otworzył puszkę i pociągnął spory łyk.

- Może przejdziemy do sali konferencyjnej? - zaproponował Dane. - Na pewno jest tu jakaś sala.

- Oczywiście. Mam siedem minut - rzucił Wolfinger, wypił więcej napoju i głośno beknął.

- Znając bystrość pana umysłu - powiedział Flynn - powinno wystarczyć nam pięć.

- Mam nadzieję - odparł Wolfinger i zaprowadził ich do długiej, wąskiej, komfortowej sali konferencyjnej. Przygotowaniem kawy i talerzyków ze słodyczami zajmowała się jedna z trzech sekretarek, pani Grossman.

Wszyscy zostali poczęstowani kawą.

Kiedy usiedli, Linus Wolfinger oparł się o krzesło i zapytał:

- Czy widzieliście trzecią część programu, tę, której emisja planowana była na ten wtorek?

- Jeszcze nie - odpowiedział Delion.

- Opowiada o dwóch szczególnie okrutnych morderstwach, które miały miejsce w zachodniej części Nowego Jorku. Jest tam jeszcze więcej niewyjaśnionych okoliczności niż w pierwszych dwóch częściach - rzekł Linus Wolfinger. - Ofiary zostają porąbane na kawałki. To dość przerażające. DeLoach uwielbia takie gówno. Jest w tym bardzo dobry.

Dane i Delion spojrzeli na siebie. Kiedy pierwszy raz usłyszeli nazwisko scenarzysty, osłupieli.

- Po co głupek tak to reklamuje? - zastanawiał się głośno Delion.

- DeLoach? Główny scenarzysta nazywa się DeLoach? - zapytał Dane.

Wolfinger przytaknął.

- Tak, jest bardzo błyskotliwy. Pomysły wychodzą z jego głowy jak zastępy małych żołnierzyków. Doskonale wie, jak manipulować widzom. Chociaż jestem pewien, że wcześniej znaliście nazwisko głównego scenarzysty.

- Możliwe - powiedział Delion.

- Chyba wysoko go pan ceni - zauważył Flynn. Wolfinger wzruszył ramionami.

- A dlaczego mam go nie cenić? Jest twórczy, ma łeb na karku i co najważniejsze, jest uczciwy.

Dlaczego nazwisko DeLoach zrobiło na was takie wrażenie?

Delion nie widział powodu, dla którego miałby o tym nie mówić.

- DeBruler to pseudonim, jakiego użył nasz podejrzany, przedstawiając się przez telefon księdzu w San Francisco.

- Brzmi bardzo podobnie - powiedział Wolfinger, stukając piórem w blat biurka. - Ale pomimo zbieżności nazwisk, DeLoach nie może być tym, kogo szukacie.

- Dlaczego? - zapytał Flynn, unosząc brew.

- DeLoach to mięczak. Pewnego razu widziałem, jak wyrzucił lody, bo latała koło nich mucha. On jest totalnie oderwany od rzeczywistości, zupełnie niedzisiejszy. Żyje w świecie własnych fantazji i to wychodzi naszemu studio na dobre. Tak, jak wcześniej powiedziałem, jest uczciwy, więc wszystko, co robi, przynosi nam korzyść. Ale czy jest zdolny do popełnienia brutalnych morderstw?



Nie, z całą pewnością to nie DeLoach.

- Możliwe, że DeLoach jest niebezpiecznym mięczakiem, którego fantazje w końcu wyszły poza jego umysł i przeniknęły do realnego świata - powiedział Dane. - Proszę powiedzieć nam o nim coś więcej. Czy to on wpadł na pomysł zrobienia „Superagenta”?

- Tak - powiedział Wolfinger. - Tak, to był jego pomysł. Jego pełne nazwisko brzmi Weldon DeLoach. Zrobił dwa najpopularniejsze programy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jest bardzo szanowany, choć już niemłody.

- - Co to znaczy „niemłody”? - zapytał Flynn.

- Ma trzydzieści parę lat, może trochę więcej.

- Rany boskie - mruknął Delion. - Powinien już odejść na emeryturę!

- Czy po tym, co powiedziałem, nadal uważacie go za głównego podejrzanego? - zapytał Wolfinger.

- Pasowałby - odparł Delion. - Musimy sprawdzić każdego. Potrzebujemy listy pracowników, wszystkich scenarzystów pracujących przy programie, techników, każdego, kto miał z nim cokolwiek wspólnego.

- DeBruler i DeLoach. Kimkolwiek był zabójca, musiał znać jego nazwisko. To niewiele znaczy - powiedział Dane, rzucając Linusowi Wolfingerowi zamyślane spojrzenie. Delion pokiwał głową.

- To by było zbyt łatwe. Świadczyłoby o głupocie DeLoacha, a przecież pan Wolfinger powiedział, że jest bystry. Rozwiązania rzadko bywają takie proste. Ale porozmawiamy z nim, tak jak z innymi scenarzystami i ludźmi zaangażowanymi w program. Tymczasem proszę o listę pracowników, panie Wolfinger. Moi ludzie są gotowi do działania. Jutro FBI przyśle agentów do przesłuchań, zbadania okoliczności, sprawdzenia alibi i temu podobnych.

Linus Wolfinger pokiwał głową. Stukał piórem o blat stołu. Dane wiedział, że to było inne pióro niż to, które obgryzał w swoim biurze, bo nie było na nim śladów zębów.

- Nie zapytaliście, kto według mnie za tym stoi?

- Nie, nie zapytaliśmy - odparł Flynn. - A więc, co pan wie na ten temat?

# Rozdział 13

Mam mówić przy wszystkich?

- Jasne, a dlaczego nie? - powiedział Flynn. - Proszę pokazać, na co pana stać, panie Wolfinger.

Linus Wolfinger uśmiechnął się do wszystkich, jeszcze raz uderzył piórem o stół i powiedział:

- Myślę, że to Jon Franken. Jest asystentem reżysera „Superagenta”. Jest zbyt idealny, by być prawdziwym, musi coś ukrywać. Taki z niego Mr Hollywood od czubka głowy aż po włoskie mokasyny z frędzlami. Zna wszystkich z branży, najważniejsze nazwiska przemysłu filmowego. Wiem, że musi być z nim coś nie tak. Nikt tak dobry nie jest tym, kim się wydaje, rozumiecie?

Delion wstał, pozostali razem z nim.

- Dziękujemy, panie Wolfinger - powiedział. - Przyjrzymy się dokładnie Jonowi Frankenowi. Osobiście nie znoszę gości, którzy są tak dobrzy w swojej pracy. To dla mnie powód, żeby go pognębić.

- Panie Wolfinger, gdyby sobie pan coś jeszcze przypomniał lub odkrył coś, co może być dla nas przydatne, proszę skontaktować się ze mną, inspektorem Delionem lub agentem Carverem - powiedział Flynn.

Potem wszyscy podali Wolfingerowi swoje wizytówki, ale on ich nie wziął. Leżały porozrzucone przed nim, obok wciąż stukającego pióra, które doprowadzało wszystkich do szału.

Odezwał się Dane, który w tej chwili pragnął wytarosić tego małego głupka za frak, a jego cholerne pióro wyrzucić przez okno:

Byłoby prościej, gdyby morderca został w tym samym mieście, ale tak nie jest. Przynajmniej kolejne odcinki programu nie będą wyemitowane.

- Właśnie uzupełniłem ramówkę o program „Wiwaty na cześć”, kolejny nowy program o zwycięzcach loterii i ich dalszych losach - powiedział Wolfinger.

- Brzmi to całkiem niewinnie - odrzekł Flynn.

- Może ktoś chce zaszkodzić programowi - powiedział Pauley. - Jestem w tym biznesie od lat, zdołałem już narobić sobie wrogów. Może to jest ktoś, kto mnie nienawidzi, chce zemsty i wie, że darzę ten program szczególnym sentymentem. Mam wiele do stracenia.

- Myśli pan, że facet zabiłby osiem osób, jak do tej pory naliczyliśmy, by się na panu zemścić? - spytał z niedowierzaniem Dane.

- Nie brzmi to zbyt wiarygodnie - mruknął Pauley.

- Czy były problemy z rozpoczęciem tego programu, panie Pauley? - zapytał Flynn. - Ktoś w tym przeszkadzał?

- Zawsze są problemy - powiedział Wolfinger, unosząc dłoń, by uciszyć Pauleya - ale tym razem było ich mniej niż zwykle. Pan Pauley ma rację, mówiąc, że ma wiele do stracenia. Dziewczyna „Superagenta” z programu jest jego żoną. Zrobił z niej gwiazdę. Jeśli program przestanie istnieć, jego

gwiazda też. - Z tonu Wolfingera wynikało, że nie jest mu z tego powodu ani trochę przykro.

Dane spojrział na Pauleya i wiedział, co ten myśli o Dupku.

- To prawda, zakończenie programu może niekorzystnie wpłynąć na moje życie rodzinne. Jestem pewien, że Belinda to zrozumie. Ale wrzawa w mediach wokół mordercy ze scenariusza będzie katastrofą dla reputacji mojej i studia. Nie wspominając już o procesach - odpowiedział Pauley.

- Z pewnością reputacja wszystkich wisi na włosku - podsumował Flynn.

- Niestety, tak - westchnął Wolfinger. - Ufam, że wy, panowie, będziecie nakłaniać każdego, z kim przeprowadzicie rozmowę, do zachowania milczenia w tej sprawie. - Zaśmiał się. - Zresztą, nieważne. To zbyt ciekawy temat, by zachować go w tajemnicy. Będzie żyć własnym życiem. - Wolfinger spojrział na swoje pióro, zamyślił się na chwilę i dodał: - Jest jeszcze Joe Kleypas, gra główną rolę. Ciekawy człowiek. Awanturnik, lecz mimo to świetny aktor. Może chcecie go umieścić na swojej liście podejrzanych?

- Po co miałyby zabijać ludzi tak, jak w programie, w którym występuje? - zapytał Delion. - Pewnie ma świadomość, że program zostanie zdjęty.

Wolfinger wzruszył ramionami.

- Jest bardzo skryty, nigdy nie wiadomo, o czym myśli. Może ma problemy z psychiką.

- W porządku, porozmawiamy później, panie Wolfinger. Dziękujemy za informacje i poświęcony nam czas - powiedział Flynn.

Wyszli dokładnie po siedmiu minutach.

- Ciekawy człowiek. Uważam, że nie zachowywał się jak gówniarz. Choć to stukające pióro było nie do zniesienia - powiedziała Nick.

- Wylansowany gówniarz - zakończył Pauley.

Frank Pauley zatrzymał się przed wiszącą na ścianie, oprawioną w ramy czarno - białą fotografią Greta Garbo. Ostrożnie ją poprawił i skinął głową.

- Ma pani rację. Zachowywał się jak dorosły. Widziałem to już wcześniej. Ale widziałem też, jak rzucał w ludzi puszką po napoju, kiedy mówili coś, co nie przypadło mu do gustu.

- Panie Pauley, czy dalej kręcone są kolejne odcinki? - zapytał Dane.

- Nie. Osiem powstało podczas ubiegłego lata i wczesną jesienią. To działa tak: jeśli program cieszy się dużą popularnością i sieć stacji telewizyjnej zdecyduje się kręcić kolejne odcinki, znowu zbierają wszystkich i kręcą kolejnych sześć do trzynastu. Decyzja zazwyczaj zapada po trzech, czterech odcinkach. Jeśli oglądalność jest wysoka, płacą nam za napisanie kolejnych. Jeśli program okaże się dużym sukcesem, praktycznie mamy wolną rękę i wszystko toczy się naprawdę szybko. Aha, i wezwałem dla was asystenta reżysera, Jona Frankena.

- Tego, którego Wolfinger uważa za psychopatę?

- Tak, Wolfinger jest sprytny. Możecie uwierzyć, że cholerny szef studia mówi takie rzeczy? Rzuca oskarżenia? Co więcej, Wolfinger robi to, na co ma ochotę, im większy skandal wywoła, tym lepiej. Jeśli chodzi o Frankena, facet twardo stąpa po ziemi, umie wycisnąć pieniądze nawet z chodnika, a jeśli potrzebujesz czegoś na wczoraj, jest to człowiek, który się tym zajmie. Jest godny zaufania, to niespotykane w LA, dlatego ludzie przychodzą go uszczypnąć, by sprawdzić, czy jest prawdziwy. Facet haruje jak dziki osioł.

- Czym dokładnie zajmuje się w programie? - zapytał Dane.

- Właściwie, Franken wie więcej na temat tego programu niż ktokolwiek inny, łącznie z kierownikiem produkcji. Zarządza ustawieniem planu, koordynuje wszystkich, którzy będą

występować, ustala harmonogram zdjęć, pilnuje realizacji budżetu. Wysłuchuje żaligwiast na temat reżyserów lub szlochów nad ich ostatnim nieudanym romanssem, i tak dalej. Ma na wszystko oko. O tak, Franken jest naprawdę wielki, nie z tego świata, i lubi to, co robi. On i DeLoach są w tym względzie podobni.

- Czy wspólnie tworzyli ten program? - zapytał Dane.

- Nie jestem tego pewien. Wiem, że zawsze współpracowali ze sobą.

- Mam nadzieję, że ma więcej niż dwadzieścia cztery lata - powiedział Delion.

- Tak, pracuje tu od dawna. Może mieć ze czterdzieści lat, lub coś koło tego. W każdym razie jest dorosły. Od dzieciństwa bywał na planach filmowych. Czeka na nas.

Zastali Jona Frankena w studiu dźwiękowym podczas pracy nad nową komedią o wiele mówiącym tytule „Gruba ryba”. Rozmawiał z jednym z aktorów, żywo gestykułując.

Z odległości kilku metrów widzieli, że był zadbany, opalony i ubrany bardzo po hollywoodzku w luźne lniane spodnie i zwiewną koszulę, a na bosych stopach miał włoskie mokasyny. Wyglądał na około czterdzieści lat.

Pauley pomachał do niego, a on po kilku minutach dołączył do nich. Był grzeczny, uprzejmy, a gdy zapytali go o kolejność emisji odcinków, uniósł brew.

- Słyszałem jakieś plotki, coś o morderstwach podobnych do tych, które miały miejsce w jednym z odcinków „Superagenta”. Czy to prawda?

- Czyli wszyscy już wiedzą - podsumował Delion. Jon Franken spojrział na nich z niedowierzaniem.

- Naprawdę wierzyliście, że uda się utrzymać to w tajemnicy? To jest studio telewizyjne. Nikomu w promieniu trzech kilometrów nie udało się utrzymać niczego w sekrecie.

- Tak, ma pan rację - przyznał Dane. - Potrzebujemy pana pomocy. Frank Pauley powiedział, że wie pan wszystko i zna wszystkich.

Franken był zbulwersowany.

- Kierownictwo musi robić w gacie ze strachu. Morderca, który wzoruje się na programie telewizyjnym? Niesamowite. - Pokręcił głową. - Że znam wszystkich? Bez przesady, tylko w Hollywood. Zrobię, co w mojej mocy.

- Dziękuję - odparł Dane. - Wiemy, że zna pan dobrze DeLoacha. Jaką część scenariusza napisał?

- Zależy od odcinka. Pierwsze dwa to w dziewięćdziesięciu procentach dzieło Weldona, to był jego pomysł. O Jezus, nie mogę w to uwierzyć!

Czy odcinki były pokazywane w określonym porządku? zapytała Nick.

Tak, tak to zazwyczaj się robi. To są zwykle jednodcinkowe historie, co tydzień jest nowa, więc tak naprawdę nie ma to znaczenia, ale tak, odcinki pozostały w kolejności, w której zostały sfilmowane.

- Widział się pan z nim ostatnio, panie Franken? - zapytał Flynn.

- Nie, nie ma go w pracy. Zadzwoił do mnie kilka dni temu, mówił, że jest zmęczony i potrzebuje trochę wolnego. Powiedział, żeby nie spodziewać się go zbyt szybko. Zdarzało się tak już wcześniej, więc nikt nie robi z tego afery. On nikomu się nie zwierza i raczej nikt nie wie, gdzie jest. Proszę posłuchać, nawet jeśli pierwsze dwa odcinki były napisane przez Weldona, to nie znaczy, że mógł zrobić coś tak potwornego. To nie w jego stylu.

- Czy ten sam odcinek pokazywany jest tego samego dnia i w przybliżeniu w tym samym czasie, na terenie całego kraju? - zapytał Dane.

- Pierwsze dwa odcinki „Superagenta” były emitowane wszędzie we wtorkową noc - powiedział Franken. - Ale Wolfinger różnicował nieco ramówkę na terenie kraju. Poczynając od trzeciego odcinka, to już w małym stopniu robota Weldon. Zgadzasz się ze mną, Frank?

- Masz absolutną rację - odparł Pauley.

- A kto może nam powiedzieć, gdzie w poprzednim miesiącu wyjeżdżał Weldon? - zapytał Delion.

- Może Rocket Hanson. Ona zajmuje się wszelkimi przygotowaniem w tej materii dla scenarzystów i dla wszystkich pozostałych.

- Rocket? - zauważyła Nick. - To cudowne imię.

- Owszem, jakieś trzydzieści lat temu próbowała szczęścia w branży filmowej, myślała, że to niezwykle imię pozwoli jej się przebić. Niestety, nie udało się.

- Czy Weldon DeLoach ostatnio opuszczał miasto? - zapytał Flynn.

Franken potrząsnął głową.

- Przez ostatnich kilka miesięcy nie pracowałem bezpośrednio z nim. Musicie zapytać kogoś innego. Kiedy wspólnie nie pracowaliśmy, często wymienialiśmy e - maile i rozmawialiśmy przynajmniej raz w tygodniu. Słyszałem, jak ktoś mówił, że pojechał spotkać się z krewnymi, gdzieś w środkowej Kalifornii, ale nie jestem tego pewien.

- A ci krewni raczej nie mieszkają w okolicach Pasadeny? - zastanawiał się Dane.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę, mylicie się co do Weldon. Wiem, nie wygląda to najlepiej, ale to błędny trop.

- Nad czym ostatnio pracował Weldon? - zapytał Dane.

- Od czterech miesięcy nad scenariuszem programu „Staruszkowie z Bostonu” - odpowiedział Franken.

Delion wyglądał na udrczonego. Franken, kiwając głową, powiedział:

- Zgadzasz się z panem, inspektorze. To idiotyczny program, ale z jakiegoś powodu zyskał popularność. Same cycki, białe zęby i płaskie dowcipy, które budzą obrzydzenie nawet w kamerzystach. To żenujące. Weldon próbował dla hecy przemycić tam trochę dziwacznych scen, na przykład, że Marsjanie lądują na trawniku przed bostońskim ratuszem, ale zostały odrzucane.

Frank Pauley pokiwał głową.

Rozmawiali jeszcze z kilkunastoma scenarzystami. Była to grupa naprawdę barwnych postaci, którzy, zdaniem Dane'a, nie mieli życia poza pracą. Jednak nie dowiedzieli się niczego, co mogłoby im pomóc.

- A, tak, to prawda - stwierdziła ze śmiechem jedna ze scenarzystek. - Naszym zadaniem jest siedzieć tutaj i prześcigać się w pomysłach. Mamy tu wszystko potrzebne do życia: jedzenie i kibel. Niedługo wstawią nam tu łóżka.

- Nadszedł czas na wielkie, miłe spotkanie integracyjne federalnych z tutejszymi gliniarzami. Przed nami dużo pracy - powiedział Dane, kiedy wracali do swoich zaparkowanych nieopodal samochodów.

Flynn pokiwał głową, a kiedy zobaczył dzieciaki grające w kosza, kusiło go, żeby do nich dołączyć, ale w porę się opanował.

# Rozdział 14

## KOŚCIÓŁ ŚW. BARTŁOMIEJA, SAN FRANCISCO

Dane i Nick usiedli w drugiej ławce, Nick wpatrzona w trumnę księdza Michaela Josepha, Dane w wielki drewniany krzyż, zawieszony wysoko nad główną nawą.

Oboje w milczeniu czekali, aż kościół wypełni się ludźmi i ceremonia rozpocznie się. Poprzedniego wieczoru przyjechali z Los Angeles.

W San Francisco było pochmurne, wczesne popołudnie, zwykły, zimowy dzień. Było tak zimno, że Dane włożył swój ocieplany płaszcz.

Niebiosa powinny płakać, jak powiedział ksiądz Binney, bo ksiądz Michael został tak bezwzględnie, tak bestialsko zamordowany.

Wcześniej Dane ponownie zabrał Nick do domu towarowego Macy's na Union Square. W dwie godziny zbliżyli się do limitu wydatków z karty kredytowej.

- Nie potrzebuję tego - powtarzała Nick. - Przeze mnie będzie pan miał ogromny debet. Proszę, chodźmy stąd. Mam więcej, niż potrzebuję.

- Cicho, Nick, musi pani przecież mieć płaszcz. Dzisiaj jest zimno. Nie można iść na... - urwał w połowie, nie mogąc wymówić tego słowa, więc powiedział: - Nie można iść do kościoła bez płaszcza.

Wybrała najtańszy płaszcz, jaki udało jej się *znaleźć*. Dane odłożył go na bok i podał jej inny, z miękkiej wełny. Później kupił jej jeszcze rękawiczki i kozaki, dwie pary dżinsów, parę czarnych spodni, dwie koszule nocne i bieliznę - jedyną rzecz, której nie pomógł jej wybierać. Po prostu stanął obok manekina ubranego w seksowne czerwone figi i koronkowy stanik i czekał.

W południe Nick miała już dość. Byli na głównym piętrze działu z kosmetykami. Wokół nich kłębił się rój sprzedawców. Kiedy jakaś kobieta zbliżyła się do niej, chcąc ją skropić perfumami, Nick powiedziała do Dane'a:

- Wystarczy. Mam już dość. Chcę iść do domu. Chcę się przebrać, iść do kościoła i pożegnać księdza Michaela Josepha.

Dane, który nigdy w swym dorosłym życiu nie robił zakupów z kobietą dłużej niż osiem minut, powiedział:

- Do tej pory była pani bardzo dzielna. Teraz zajmijmy się makijażem.

- Nie potrzebuję żadnego makijażu.

- Wygląda pani blado, jak manekin w dziale z bielizną, ten z karminowanymi ustami i w czerwonych majtkach, na widok którego nieomal dostałem zawału serca. Kupmy przynajmniej szminkę.

- Jasne, założę się, że nawet nie zauważył pan tej bladości - powiedziała Nick i podążyła w kierunku stoiska Elizabeth Arden.

Chwilę później Dane przyglądał się trzem różnym odcieniom szminki.

- Ta. Ma bardzo delikatny odcień. To jest to - zdecydował w końcu.

Dane odwrócił się w kościelnej ławce, by się rozejrzeć. Tylu ludzi, pomyślał. Dzisiaj przyszli już nie tylko księża, ale też wielu parafian i przyjaciół, z którymi za życia zetknął się Michael. Arcybiskup Lugano i biskup Koshlap zatrzymali się i mówili coś do Dane'a. Przypuszczał, że pewnie chcieli go pocieszyć. Był wdzięczny za ich troskę, ale wcale nie czuł się pocieszony.

Parzył, jak biskup Koshlap stał przed trumną Michaela, i wiedział, że oczy ma utkwione w jego twarzy. Pochylił się nad nim i pocałował w czoło, po czym wyprostował się, przeżegnał i powoli oddalił się z pochyloną głową.

Dane opuścił wzrok, myśląc sobie, jak to dobrze, że udało im się zamaskować dziurę po kuli w czole Michaela.

Michael odszedł na zawsze, a jego ciało leżało w trumnie z przodu kościoła. Wielkie naręcze białych róż, ułożonych przez Eloise, przykrywało zamkniętą już trumnę. Michael kochał białe róże. Dane miał nadzieję, modlił się o to, żeby Michael wiedział, że te róże tam są i na pewno uśmiechnąłby się, gdyby mógł je zobaczyć, żeby wiedział, jak bardzo kocha go jego brat, siostra i wielu innych ludzi.

Dane pomyślał, że dłużej tego nie znieśie. Skupił wzrok na butach, próbując nie dać upustu rozpacz.

DeBruler, DeLoach - nie mógł wyrzucić tych nazwisk z głowy, nawet teraz, na pogrzebie brata. Niesmaczny dowcip? Jego złość skupiła się na mordercy, który był gdzieś w Los Angeles, wzorując się na tym cholernym programie telewizyjnym. Odwrócił się, gdy usłyszał za sobą głos Eloise. Wstał z miejsca, ucałował ją i uściskał, potem uścisnął jej męża i siostrzeńców. Usiedli cicho w ławce za nim.

Przemawiał arcybiskup Lugano, jego głęboki głos docierał w najdalsze zakątki kościoła. Poruszającymi słowami mówił o duchowości, wychwalając życie Michaela, jego miłość do Boga i znaczenie jego kapłaństwa. Były też nieodłączne w takiej chwili słowa o przebaczeniu człowiekowi, który go zabił. Nagle spojrzał w dół i zobaczył dłoń Nick obejmującą jego dłoń. Nic nie mówiła, patrzyła przed siebie. Przez chwilę spoglądał na jej profil, dostrzegł łzy płynące po twarzy. Wziął głęboki oddech i z całych sił uścisnął jej rękę.

Przemawiali też inni księża i parafianie. Jakaś kobieta opowiadała, jak ksiądz Michael Joseph nie tylko ocalił jej życie, ale i dusze. W końcu ksiądz Binney skinął w jego kierunku.

Poszedł na środek kościoła w stronę trumny Michaela, wzbudzając poruszenie wśród zgromadzonych w kościele. Patrząc na niego, ludzie nie mogli pojąć, że to nie jest Michael. Wszedł na podwyższenie. Dopiero wtedy zobaczył, że kościół jest przepełniony. Ludzie stali wszędzie, wypełniając środek i boczne nawy, reszta przed drzwiami świątyni.

Dane zastanawiał się, czy może jest pośród nich morderca, stoi gdzieś tutaj ze spuszczoną głową, nierozpoznany przez nikogo i napawa się tym widokiem? Przyszedł, by zobaczyć, do czego doprowadziło jego szaleństwo i rozkoszować się tym? Dane zapomniał powiedzieć Nick, by miała oczy szeroko otwarte, tak na wszelki wypadek. Potem dostrzegł swoich przyjaciół, Savicha i Sherlock. Dane poczuł ogromną wdzięczność. Skinął do nich głową.

Spojrzał w dół, na trumnę swojego brata, zasłoniętą przez białe róże. Odchrząknął i utkwiał wzrok gdzieś w przestrzeni, bo nie był w stanie mówić, patrząc wprost na zgromadzonych.

- Mój brat uwielbiał grać w futbol. Grał na pozycji łapacza i potrafił złapać każdą piłkę, którą

rzuciłem. Pamiętam jeden z naszych ostatnich licealnych meczów. Przegrywaliśmy czternaście do dwudziestu. Pozostało niewiele ponad minutę do końca meczu, kiedy jeszcze raz dostaliśmy piłkę. Wszyscy kibice wstali z miejsc, kiedy Michael złapał piłkę. Byliśmy na linii osiemdziesiątego jardu, dziesięć sekund do końca, musieliśmy zdobyć punkt. Posłałem piłkę Michaelowi w róg pola. Udało mu się doskoczyć i zdobyć decydujący punkt. Michael wygrał ten mecz, niestety, doznał przy tym kontuzji.

Leżał tak, śmiejąc się od ucha do ucha, jak głupi, wiedząc, że prawdopodobnie nigdy więcej nie zagra. Powiedział do mnie: „Dane, nic mi nie jest. Czasami złe rzeczy, które nas spotykają, nie mają takiego znaczenia jak rzeczy dobre. Wygraliśmy, nie mogło być lepiej”.

Głos Dane’a załamał się. Słyszał pojedyncze, ciche śmiechy. Ponownie spojrzął na róże. Nagle poczuł ciepło na twarzy, obejrzał się i zobaczył, jak oślepiające promienie słońca przedzierają się wprost przez witraże w oknach. Poczul, jak ciepło światła ogrzewa go całego aż do wnętrza. Mówił dalej, teraz pewnym głosem:

- Michael doceniał dobro w każdym, radował się nim. Rozumiał też, że słabość jest częścią natury ludzkiej i również to akceptował. Ale była jedna rzecz, z którą nie mógł się pogodzić, było nią zło, wiedział, że jest obecne tu, wśród nas. Znał odór zła, nienawidził ogromnych tragedii, które sprowadziło na świat. Tej nocy, gdy został zastrzelony, wiedział, że zobaczył twarz zła. Stanął z nim oko w oko i to zło go zabiło. Michael i ja mieliśmy wiele podobnych cech: niedzielne mecze futbolowe i cierpliwość.

Dane przerwał na chwilę, w tym czasie przyjrzał się wszystkim twarzom wokół siebie. Półgłosem, z rozpaczą i nadzieją, powiedział:

- Znajdę to zło, które zniszczyło mojego brata. Nie spocznę, dopóki tego nie zrobię.

Zapadła całkowita cisza.

Po chwili rozległ się miękki odgłos wystrzału. Nawet tak lekki dźwięk jak ten, odbił się echem pośród martwej ciszy, rozbrzmiewając w każdym kącie kościoła. Jakiś mężczyzna wykrzyknął:

- Tej kobiecie coś się stało!

Ludzie kłębili się, próbując zobaczyć, co się stało.

- O Boże to on, Dane! Próbował mnie zabić! To on! - krzyknęła Nick.

Dane zobaczył stróżkę krwi spływającą po jej twarzy. Na chwilę sparaliżował go strach. Po chwili rzucił się z podwyższenia, na którym stał, w stronę Nick, która próbowała przecisnąć się przez tłum zdezorientowanych żałobników, krzycząc:

- Zatrzymajcie go! Jest ubrany w czarny płaszcz i czarny kapelusz. Zatrzymajcie go!

Ludzie chwyтали każdego w czarnym, ale prawie każdy był tak ubrany, włączając w to kilkudziesięciu księży. Panował chaos, ludzie pchali się i krzyczeli.

Dane przebił się do Nick, spojrzął na stróżkę krwi płynącą po jej twarzy i krzyknął:

- Niech to szlag! Nick, jesteś cała?

- Nic mi nie jest, nie martw się. To tylko draśnięcie. Musimy go złapać. Dane, szybciej, widziałam, jak uciekał w tamtą stronę.

Dane’owi wydawało się, że widzi biegnącego szybko człowieka, przedzierającego się przez tłum. Miał opuszczoną głowę, kierował się ku bocznym, wąskim drzwiom kościoła.

Dane usunął sobie z drogi dwóch księży, zobaczył, jak mężczyzna znika w bocznych drzwiach, które zamykają się za nim. Omal nie pękł z wściekłości. Drań przyszedł tu, na pogrzeb jego brata, prawdopodobnie śmiejąc się w duchu, pełen szyderstwa i triumfu. I próbował zabić Nick.



Dane przedostał się do drzwi, odpychając kilka osób, które stały mu na drodze, i wypadł na zewnątrz. Widział niewyraźny zarys sylwetki Savicha, który biegł bardzo szybko, widział, jak skacze z wyciągniętą lewą nogą, gładko i swobodnie, i jak mocno kopie uciekiniera w nerkę. Mężczyznę ścięło z nóg, machał rękami, próbując odzyskać równowagę. Rzucił się na swojego napastnika, próbował odpierać atak, ale to był błąd. Savich uderzył go trzy razy, w kark i głowę. Mężczyzna zawył z bólu, na jego pobladłej twarzy rysowało się zaskoczenie, po czym opadł bezwładnie na ziemię. Savich ukląkł obok niego, sprawdził mu puls i krzyknął:

- Mam go!

Dane nie mógł w to uwierzyć. Nikt nie mógł, Delion i Nick, którzy stali nad mężczyzną, też.

- Nick, czy to on? - zapytał Dane.

- Myślę, że tak - odpowiedziała. - Możecie go odwrócić? Savich przewrócił mężczyznę na plecy i zdjął mu kapelusz.

- To jest Dillon Savich, mój szef z FBI. Savich, to jest Nick Jones, nasz jedyny naoczny świadek - Dane dokonał prezentacji.

Savich kiwał głową.

- Facet jest nieprzytomny. Lepiej obejrzyj tę ranę na jej głowie. No dalej, zajmij się nią, Dane. Miło cię poznać, Nick. - Savich spojrzał na swoją żonę, posłał jej szeroki uśmiech. Sherlock położyła rękę na jego ramieniu.

- To było imponujące - powiedziała, uśmiechając się do niego. - Całe szczęście, chłopcy, że nie włożyliście butów na wysokich obcasach.

Poklepała go po ramieniu i spojrzała na Dane'a.

- To jest ten szaleniec, który zabił twojego brata? To jest człowiek, który nieomal zastrzelił Nick? Dobry Boże, dziewczyno, co ty masz na twarzy?

Sherlock wyciągnęła chusteczkę z kieszeni płaszcza, podała ją Dane'owi i patrzyła, jak delikatnie wyciera czoło Nick.

- Wygląda, jakby kula tylko cię drasnęła, rana krwawi, ale chyba nie jest tak źle. Jestem Sherlock.

Delion przyjrzał się twarzy Nick i pokiwał głową. Spoglądał na Savicha, który wciąż był przy mężczyźnie. Z niedowierzaniem kręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Złapał Savicha za rękę i potrzasał nią.

- Zawsze myślałem, że federalni to tchórze. Świetna robota. Savich ponownie sprawdził puls faceta, podniósł się i otrzepał kurz ze spodni.

- Pan musi być inspektorem Delion. Czy ktoś wezwał policję?

- Tak, już tu jadą - odpowiedział Delion.

Zobaczyli nadchodzącą grupę ubranych na czarno księży, z arcybiskupem Lugano na czele, krzyczącym donośnym głosem:

- Moja kuzynka pracuje w Agencji do Walki z Narkotykami. Też jest bardzo sprytna. Świetna robota, dziękuję panu.

Savich tylko pokiwał głową.

- Dane, zetrzyj krew z oczu Nick i zobacz, czy jest w stanie rozpoznać tego drania.

Dane spojrzał na wąską bruzdę, którą wyłobiła jej kula powyżej skroni wzdłuż linii włosów. Nadal lekko krwawiła. Ponownie wyjął chusteczkę, którą dała mu Sherlock, złożył ją i podał

dziewczynie.

- Nick, przyciśnij to mocno do rany. Za chwilę zabierzemy się do lekarza - powiedział.

- Pozwól mi jeszcze raz przyjrzeć się temu facetowi, Dane. - Wciąż ciężko oddychała, patrzyła na leżącego nieprzytomnego mężczyznę, mordercę księdza Michaela Josepha, a w oczach miała furję. - Siedziałam tam, słuchałam cię, a kiedy przez witraże w oknach do wnętrza wpadło słońce, wiedziałam, że zaraz się rozplącę. Pochyliłam głowę, w tej samej chwili poczułam uderzenie gorąca na twarzy. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, jak promień słońca wpadający przez okno świeci wprost na tego faceta. Patrzył na mnie, i wtedy już wiedziałam, po prostu wiedziałam.

Delion przeszukał jego kieszenie.

- Nie ma broni. Przecież musi gdzieś tu być. - Przywołał dwóch umundurowanych policjantów, którzy właśnie przyjechali, nakazując im rozpoczęcie poszukiwań.

Mężczyzna jęczał, próbując podnieść się na kolana. Jeden z mundurowych złapał go za lewe ramię, drugi za prawe. Skuli go i pociągnęli do stojącego nieopodal radiowozu.

- Popatrz na ten tłum. Czy kiedykolwiek uda nam się znaleźć pistolet? - zastanawiał się Dane.

- Myślę, że mogę pomóc - powiedział biskup Koshlap. Odrzuciwszy głowę w tył, krzyknął: - Proszę o uwagę! Gdzieś tu jest pistolet i trzeba go znaleźć. Proszę, pomóżcie księżom tworzyć grupy poszukiwawcze. Jeśli ktokolwiek z was widział, jak ten mężczyzna strzela do tej kobiety, proszę tu podejść.

Dane przyglądał się ludziom. Przynajmniej czterystu z nich zebrało się w ciszy i spokoju, by wypełnić zadanie powierzone im przez biskupa, bardzo ważne zadanie. Patrzył, jak arcybiskup Lugano mówi do księży, jak tłum dzieli się na grupy i zabiera do pracy. Dane spojrzał na Nick, zmarszczył brwi i zabrał jej chusteczkę i sam przyłożył ją do rany na jej twarzy.

- Nie przyciskałaś bezpośrednio rany - skarcił ją. - Nieważne, już prawie nie krwawi. Nie wygląda to źle, dzięki Bogu. Wiesz co, Nick? Mój brat byłby z tego bardzo zadowolony.

- Nie jestem pewien, czy znajdziemy pistolet - powiedział Savich do Deliona. - Gdybym to ja strzelał, robiłbym to z pomocnikiem. Po wszystkim po prostu oddajesz mu pistolet.

- Tak, wiem. - Delion wiedział, że Savich ma rację, ale na wszelki wypadek musieli jej poszukać.

Usłyszał dźwięk syren i szybko podbiegł do Nick.

- Karetka jest już blisko. Na pewno zaraz za nimi przyjadą dziennikarze. Chcę, żebyś pojechała karetką z powrotem na Bryant Street. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to twoje zdjęcia na okładkach brukowców. Tam się spotkamy.

- Ale Dane, muszę pojechać na cmentarz - protestowała Nick.

- W porządku, Nick - powiedział Dane. - Delion ma rację. Jeśli reporterzy cię zobaczą, zaczniesz się koszmar. Zobaczymy się na komisariacie. - Przerwał na krótką chwilę, lekko dotykając palcami rany na jej czole. - Przykro mi.

# Rozdział 15

Kiedy Delion zarządził koniec poszukiwań, wszyscy żałobnicy podążyli w procesji na oddalony o ponad kilometr cmentarz Golden Gate. Słońce świeciło, chociaż dzień był chłodny, a w powietrzu czuć było zapach oceanu. Dane spoglądał w dół na żyzną ziemię, która teraz pokrywała trumnę z ciałem jego brata.

- Złapiemy go, Michael. Obiecuję ci to - powiedział.

Na chwilę zastygł w bezruchu, patrząc na grób. Michael odszedł na zawsze, nigdy już nie usłyszy, jak się śmieje, jak opowiada o pijanym mężczyźnie, który próbował ukraść biskupią mitrę i skończyło się na tym, że schował się w konfesjonale.

Nie podszedł do siostry, nie mógłby znieść tego bólu w jej oczach, nie był w stanie powiedzieć niczego pocieszającego. Zresztą, Eloise stała przytulona do męża i dzieci, tak było najlepiej. Kiedy w końcu Dane odwrócił się od grobu brata, zobaczył, że Sherlock i Savich stoją po obu jego stronach. Nic nie mówili, po prostu tam stali i wspierali go.

Dane udał się swoim wypożyczonym samochodem na komisariat przy Bryant Street, za nim Savich i Sherlock. Delion co prawda chciał, żeby Savich natychmiast po mszy pojechał z nim do miasta, ale ten tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Najpierw załatwiam sprawy najważniejsze - powiedział, wziął żonę za rękę i pojechał za Dane'em na cmentarz.

Kiedy dwie godziny później Dane wszedł do gabinetu w wydziale zabójstw, zobaczył Nick siedzącą na krześle obok biurka Deliona. Kiedy zawołał ją po imieniu, odwróciła się.

- Z tym bandażem na głowie wyglądasz jak jeniec wojenny.

- Nie jest aż tak źle. Nawet nie trzeba było zakładać szwów. Sanitariusze byli tak podekscytowani tym, co się stało, że nie umieli poradzić sobie z zawiązaniem bandaża.

- Teraz spróbuj trochę odpocząć, dobrze? Przytaknęła.

- Nadal mam wyrzuty sumienia, że nie chroniłem cię lepiej. Gdybyś dokładnie w tamtej chwili nie pochylila głowy, mogłabyś już nie żyć. Wybacz mi, Nick.

Nick doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co ją mogło spotkać. Jeszcze w pełni to do niej nie dotarło, ale to może lepiej. Gdyby tak się stało, prawdopodobnie drżąc i dygocząc, leżałaby skulona w damskiej toalecie.

- Chciałabym, żebyś przestał się za to obwiniać. Przecież to nie twoja wina, Dane. Może po prostu Bóg chce, żebym jeszcze trochę pożyła.

- Myślisz, że twój czas jeszcze nie nadszedł? Wierzysz w przeznaczenie?

- Tak.

- Ja nie wiem. Ale naprawdę cieszę się, że mu się nie udało.

- Pochyliłam głowę, bo zaczęłam płakać i nie chciałam, żebyś to widział.

Przełknął ślinę, ale nie powiedział nic więcej.

- To, co mówiłeś o księdzu Michaelu Josephie, było takie poruszające, Dane. Czy on naprawdę tak nieszczęśliwie upadł? Naprawdę doznał poważnej kontuzji kolana?

Dane pokiwał głową, ledwie panując nad emocjami.

- Tak. Wiesz, jeżeli interesuje cię temat przeznaczenia, i jeżeli masz ochotę, możemy kiedyś wypić po kilka drinków i pogadać o tym.

Zauważył, że uśmiechnęła się lekko, i to go bardzo ucieszyło.

- Tak - odpowiedziała. - Podoba mi się ten pomysł. Podeszła do nich porucznik Linda Purcell. Wyglądała na zrezygnowaną.

- Znaleźliśmy kulę. To dobra wiadomość. Niestety, uległa deformacji, uderzając o betonową ścianę. Nie ma możliwości ustalenia, czy z tej samej broni zastrzelono księdza Michaela Josepha. Nieważne. Może śledztwo to wykaże. Delion się tym zajmuje. Możecie tu zostać i posłuchać, ale nie wtrącajcie się. Postanowiliśmy dać facetowi trochę czasu, żeby zastanowił się nad tym, co zrobił. Dopiero go tu przywieźliśmy i zostawiliśmy samego na dole w „akwariium”. Niestety nie mamy żadnej sali z lustrami weneckimi, więc nie zbliżajcie się do drzwi, bo może was zobaczyć.

Dane przyglądał się facetowi, który postrzelił Nick. Siedział z opuszczoną głową między ramionami opartymi o porysowany stół. Głośno szlochał, słychać było jego stłumione łkanie, jakby uświadomił sobie, że życie, jakie do tej pory prowadził, skończyło się. I tu się łajdak nie mylił, pomyślał Dane.

Prawie wszyscy inspektorzy kręcący się po wydziale zabójstw byli dość blisko, by słyszeć wszystko, co działo się w pokoju przesłuchań. Wszyscy byli przejęci i podenerwowani. Dane pomyślał, że ten widok łudząco przypominał biuro FBI. Szczególnie kobiety agentki nie były wzruszone widokiem mordercy, który załamywał się i wybuchał płaczem. To trochę dziwiło Dane'a, kiedy rozpoczynał pracę w FBI, ale przez lata zdążył się do tego przyzwyczaić.

Delion w milczeniu siedział naprzeciw łkającego mężczyzny, przyglądał mu się z założonymi rękami. Cierpliwy, jakby miał przed sobą całą wieczność. Przyglądał się swoim paznokciom, delikatnie pogwizdywał pod wąsem, koniuszkiem palca badał pęknięcia w stojącym między nimi starym drewnianym stole. Mordercy zdjęto ciemny wełniany płaszcz, kapelusz i rękawiczki i został w szarej sportowej bluzie i pomiętych czarnych spodniach. Dane miał wątpliwości, czy mężczyzna wyglądał tak, jak go wcześniej opisała Nick. Ale, tak jak mówiła, był drobnej budowy ciała, miał około czterdziestki i gęste czarne włosy. I bez trudu rozpoznała go z daleka w kościele. W końcu, ciągle łkając, mężczyzna podniósł głowę i powiedział:

- Zostałem zatrzymany, nikt mi nie powiedział dlaczego, a teraz zamknęliście mnie w tej małej gównianej klitce, gdzie z każdej strony gapią się na mnie gliniarze. Czego ode mnie chcecie? Dlaczego ten wielki facet próbował mnie zabić? Podam go za to do sądu. Pożałuje tego.

Sherlock zachichotała.

Dane i Nick westchnęli jednocześnie. Facet był bardzo blady, jakby od bardzo dawna nie przebywał na słońcu. Dokładnie tak, jak opisała Nick.

- Wcześniej pytaliśmy, czy potrzebuje pan adwokata i powiedział pan, że nie. Czy nadal go pan nie potrzebuje, panie...? No właśnie, nie znamy pana nazwiska - zauważył Delion.

Mężczyzna odchylił do tyłu głowę, jakby próbował okazać Delionowi pogardę.

Pociągnął nosem, przełknął ślinę i ręką wytarł ciekący nos.

- Przecież znacie już moje nazwisko. Wiele godzin temu zabraliście mój portfel, a mnie

zostawiliście na pastwę losu.

- Więc jak brzmi pana nazwisko?

- Nazywam się Milton - Milt McGuffey. Nie potrzebuję adwokata, bo nic nie zrobiłem. A teraz chcę stąd wyjść.

Delion podniósł się i ująwszy przedramię mężczyzny, lekko nim potrząsnął.

- Proszę mnie posłuchać, panie McGuffey, mężczyzna, który pana uderzył, to policjant. Próbował powstrzymać pana przed ucieczką z miejsca zbrodni. Po prostu zrobił to, co do niego należało, i to bardzo skutecznie. I proszę mi wierzyć, wcale nie chce pan go podać za to do sądu. A teraz proszę mi powiedzieć, dlaczego podczas mszy żałobnej księdza Michaela Josepha próbował pan zabić Nick Jones?

- Wcale nie próbowałem zabić Nick Jones! Chodzi o tę kobietę, która zaczęła krwawić? Ja tylko stałem i słuchałem, a potem nagle zrobiło się zamieszanie i usłyszałem jej krzyk. Po prostu chciałem się stamtąd wydostać, więc otworzyłem boczne drzwi i wybiegłem przez nie. A potem ten wielki facet próbował mnie zabić.

- Rozumiem - powiedział Delion. - A powiedz mi, Milton, dlaczego przyszedłeś na pogrzeb księdza Michaela Josepha? Może jesteś byłym księdzem?

Mężczyzna wytarł nos, osuszył rękę o rękaw swetra i wymamrotał coś pod nosem.

- Nie usłyszałem, Milton - powiedział Delion.

- Nie lubię być tak nazywany. Moja matka tak do mnie mówiła, kiedy biła mnie po głowie. Powiedziałem, że lubię pogrzeby. Masa ludzi usiłująca udawać, że nieboszczyk ich obchodził.

Savich dotknął ramienia Dane'a, aby powstrzymać go przed wejściem do pokoju.

- Spokojnie - szepnął Dane'owi do ucha. - Spokojnie.

- Rozumiem - powiedział Delion. - A więc wstąpiłeś do kościoła Świętego Bartłomieja jak do kina, nie zważając na to, jaki film grają?

- Zgadza się. Ale na pogrzeb nie sprzedają biletów. Brakowało tylko popcornu.

- A więc nie znałeś głównego bohatera tego przedstawienia? Milt potrząsnął głową, w jego oczach nie było już śladu łez.

- Gdzie pan mieszka, panie McGuffey?

- Na Feel Street, właściwie na Panhandle.

- To bardzo blisko Haight Ashbury, zgadza się?

- Tak.

- Od jak dawna pan tam mieszka, panie McGuffey?

- Od dziesięciu lat. Pochodzę z Saint Paul, moja rodzina nadal tam mieszka. Głupcy, tyłki przemarzają im każdej zimy.

- Moja była żona pochodzi z Saint Paul - powiedział Delion. - To całkiem przyjemne miejsce.

Czym się pan zajmuje?

Milton McGuffey spuścił wzrok i patrząc na swoje ręce, mruknął coś pod nosem. Chyba miał taki nawyk.

- Nie dosłyszałem, Milt.

- Jestem niepełnosprawny. Nie mogę pracować. Żyję z zasiłku.

- Na czym polega pana niepełnosprawność, panie McGuffey? Widziałem, jak pan biega, chciał się pan bić. Jest pan bardzo zwinny.

- Przestraszyłem się. Ten facet był naprawdę wielki i próbował mnie zabić. Nie miałem wyjścia.

Mam słabe serce. Tak, jednak skorzystam z adwokata z urzędu; zamierzam pozwać tego gościa - jest niebezpieczny dla otoczenia.

- Skąd pan wziął tłumik do pistoletu?

- Nie miałem żadnej broni. I nawet nie wiem, jak wygląda tłumik - odpowiedział po chwili milczenia.

- Znajdziemy tę broń, Milt, to nie ulega wątpliwości. Czy z tej samej broni z tłumikiem zastrzeliłeś księdza Michaela Josepha?

Gwałtownie podniósł się z krzesła, ale po chwili osunął się na nie, potrząsając głową.

- Nie zabiłem żadnego księdza! Jestem pacyfistą. Najważniejsza jest miłość i wzajemny szacunek.

- Bardziej podobało ci się strzelanie czy zatłuczenie staruszki na śmierć pogrzebaczem?

- Człowieku, nie wiem, o czym mówisz. Jaka staruszka?

- A pamiętasz ten drut? Może to lubisz najbardziej, Milt? Zaciskanie go coraz mocniej i mocniej, aż jest tak ciasny, że przecina ciało do kości?

- Przestań, człowieku, mówiłem już, że jestem pokojowo nastawiony. Nie jestem w stanie skrzywdzić nawet muchy. Myślicie, że postrzeliłem tę kobietę w kościele? Nie, to nie ja.

Delion przewrócił oczami i wyszeptał bezgłośnie w stronę otwartych drzwi: *Bezczelny dupek*.

- Za co siedziałeś w więzieniu, Milt?

- Taki mały grzech młodości, dawno temu. Niewielkie włamanie, to wszystko.

- Podczas tego włamania rozbiłeś głowę jednemu facetowi, nie pamiętasz?

- To była pomyłka. Po prostu mnie poniosło; tego dnia miałem za dużo cukru we krwi.

Odsiedziałem za swoje. Teraz jestem niegroźny. Nic nie zrobiłem.

- Oglądasz taki program „Superagent”?

- Pierwsze słyszę. - Facet podniósł wzrok i wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem. Autentycznie zaskoczonego. Najwyraźniej nie miał pojęcia, co to jest „Superagent”. Niech to szlag. Albo był doskonałym aktorem, ale niestety intuicja podpowiadała Delionowi, że w tym przypadku było inaczej. Jasna cholera. To była niemiła niespodzianka.

Delion pochylił się i delikatnie pogładził swoje wąsy palcem wskazującym.

- To jest o mordercy, który zabija ludzi, a potem opowiada o wszystkim księdzu podczas spowiedzi, a ksiądz nie może wydać go policji. Potem zabija księdza, Milt. To naprawdę kawał sukinsyna.

- Nigdy o tym nie słyszałem. Nie lubię brutalnych filmów i programów.

Delion podniósł wzrok i spojrzał na Dane'a, potem na Savicha, i skinął do niego głową.

Savich wszedł do niewielkiego pokoju przesłuchań, usiadł obok Deliona i zapytał:

- Jak się pan czuje, panie McGuffey? Mężczyzna wyprostował się na krześle.

- Wiem, kim pan jest. Tym wielkim facetem, który próbował mnie zabić.

- Wcale nie próbowałem pana zabić - powiedział Savich z uśmiechem, który był w stanie przstraszyć każdego. - Proszę mi wierzyć, gdybym chciał pana zabić, teraz leżałby pan w kostnicy rozciągnięty na zimnym stole i nawet pies z kulawą nogą by o panu nie pamiętał. Co pan zrobił z bronią?

- Nie miałem broni.

- Owszem, miał pan i oddał innemu facetowi. Niestety, Milt, widziałem cię. Przyglądałem się tłumowi, takie polecenie dostałem od porucznika - patrzeć, czy wśród ludzi nie ma przypadkiem faceta, który zabił księdza Michaela Josepha, dumnego i zadowolonego z tego, co zrobił. No i

przyszedłeś. Ale nie przyszedłeś tylko dlatego. Chciałeś zabić Nick Jones, która mogłaby cię zidentyfikować. Byłeś bardzo szybki. Zaledwie kilka dni temu podała twój rysopis policyjnym rysownikom i twój portret trafił do gazet. Jak poznałeś, że to Nick Jones?

- Posłuchaj, człowieku, widziałem rysunek z gazetach, owszem, ale nie wiedziałem, kim jest ten facet. Zaraz, wy naprawdę myślicie, że to ja? Przecież zupełnie go nie przypominam. Podły sukinsyn, pomyślałem, kiedy zobaczyłem jego portret i przeczytałem tę historię.

- Tak, jasne, Milt - powiedział Savich. - Zrobiłeś jeden sprytny ruch: pistolet wraz z tłumikiem oddałeś swojemu partnerowi, kiedy przechodziłeś obok niego. On schował go do kieszeni płaszcza. Ty nawet nie zwolniłeś kroku. To była precyzyjnie zaplanowana i bardzo sprawnie przeprowadzona akcja. Pech chciał, że ja to widziałem. Tu szczęście cię opuściło.

Savich pochylił się do przodu, aż jego nos niemal dotknął nosa McGuffeya, po czym powoli powiedział:

- Widziałem, jak to zrobiłeś. A twojego współnika już szukają. Podałem jego bardzo dokładny rysopis. Sprowadzą go tutaj i skończą się twoje żarty.

Savich spojrzął w stronę drzwi, wiedział, że lada chwila stanie w nich Sherlock. McGuffey też spojrzął w tamtym kierunku.

Sherlock stanęła w drzwiach, szeroko uśmiechnęła się do Savicha, z zadowoleniem pokiwała głową i uniosła kciuk.

- Ach - powiedział Savich. - Nareszcie. Nie zajęło to chłopakom zbyt wiele czasu, prawda? Zaledwie jakieś dwie godziny. Mówiłem, że podałem bardzo dokładny rysopis. Już go mamy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie! Ja nic nie zrobiłem, słyszycie? Nic! Nie mogliście nikogo złapać, bo nie było żadnego współnika.

Savich nagle wstał.

- Teraz możesz wracać do swojej celi, Milt. Jesteś męczący, mruyczysz coś pod nosem, płaczesz. Spójrz tylko na biednego inspektora Deliona. Przysypia, tak znudziły go twoje kłamstwa. Dostaniesz nauczkę, Milt. Dziś się nie popisalesz.

Savich pochylił się i oparł dłonie o stół, jego twarz znalazła się dokładnie naprzeciw twarzy McGuffeya.

- Zamierzamy zatrzymać cię za usiłowanie zabójstwa Nick Jones. Kiedy przesłuchamy twojego współnika, a on na pewno nam wszystko wyśpiewa, Milt, prokurator okręgowy będzie miał przeciw tobie niezbity dowód popełnienia wielokrotnego morderstwa. Z rozkoszą postawi cię przed ławą przysięgłych i totalnie cię pogrąży. Ma nawet świadka, znasz ją, to Nick Jones. Widziałeś ją, jak stoi tam na zewnątrz, prawda? To ta kobieta z bandażem na głowie. Na pewno cię widzi i uwierz mi, ona wie, kim jesteś.

Tak, prokurator na pewno się ucieszy. Wiesz, co wspaniałego jest w Kalifornii, Milt? Obowiązuje tu kara śmierci. Nie ma absolutnie żadnego usprawiedliwienia dla zabicia księdza i staruszki - ani trudne dzieciństwo, ani nadmiar cukru, ani brak równowagi chemicznej w mózgu. Trafisz prosto do więzienia San Quentin. Po kilku latach możesz wnieść apelację, ale w końcu wyczerpiesz wszystkie możliwości, jakie ma ci do zaoferowania nasz wspaniały system prawny, i jesteś ugotowany.

Savich pstryknął palcami przed oczami McGuffeya.

- Tak skończysz. Wszyscy będą naprawdę szczęśliwi, kiedy nie będziesz już wolno chodził po ziemi. Do zobaczenia na twoim procesie, Milt, będę do ciebie machał z pierwszego rzędu.

Pogwizdując, Savich skierował się do drzwi.

McGuffey zerwał się z miejsca i wrzasnął:

- Zaraz! Do cholery, zaczekaj! Nie możesz tak po prostu wyjść!

Savich machnął tylko ręką w stronę McGuffeya, nie odwracając się.

- Zaczekaj!



# Rozdział 16

Savich uśmiechnął się do Dane'a i powoli odwrócił się, unosząc czarną brew, wyraźnie zniecierpliwiony.

- To kłamca, sprzedałby własną matkę. Ja nic nie zrobiłem, słyszycie mnie? Nie wiercie w ani jedno jego słowo. Stary Mickey to człowiek bez zasad, nie ma pojęcia, co jest dobre, a co złe. - McGuffey mówił bardzo szybko, niemal potykając się o własne słowa

- Mickey wydaje się w porządku - powiedziała Sherlock, stając w drzwiach obok Savicha. - Rozmawiałam z nim dobre dziesięć minut. Wydaje się uczciwy, nie ma w nim ani krzty fałszu. Myślę, że wszyscy uwierzą w to, co mówi, panie McGuffey. Bo ja mu uwierzyłam.

- Nie, nie, proszę mnie posłuchać. Nie zabiłem ani księdza, ani starej kobiety, ani żadnego geja. To Mickey mnie wynajął, a nie ja jego. Nie chciałem jej zabić, tylko zrobić trochę szumu. Miałem ją tylko porządnie nastraszyć i upewnić się, że ucieknie na drugi koniec świata. Ja nigdy nikogo nie zabiłem! Musicie mi uwierzyć, musicie. - McGuffey rzucił się na krzesło, próbował usunąć z drogi stół i utorować sobie drogę do Savicha.

Delion tylko położył swoją wielką dłoń na ramieniu McGuffeya i powiedział cicho:

- Spokojnie, Milt, zostań na swoim miejscu.

- Mickey Stuckey to cholerny kłamca! Nie wiercie mu! On to wszystko zaplanował - wrzasnął McGuffey do Deliona.

- Pan Stuckey twierdzi, że to pan go wynajął, żeby był pana pomocnikiem, miał na wszystko oko i wziął od pana, cokolwiek pan mu da. Twierdzi też, że nie miał pojęcia, co pan ma zamiar zrobić. I nie strzeliłby do kobiety - powiedziała Sherlock, po czym zamilkła i cofnęła się.

McGuffey pobladał jeszcze bardziej. Próbował wyrwać się Delionowi, ale ten mocno ścisnął go za ramię i nie miał zamiaru puścić.

- Nie, musicie mnie wysłuchać! Mówiłem już, że Mickey to kłamca!

Savich głęboko westchnął, skrzyżował ręce na piersi i marszcząc brwi, powiedział:

- No dobra, teraz chciałbym posłuchać twojej wersji zdarzeń. Ale nie próbuj mi wmawiać, że to Mickey strzelał, bo widziałem, że to ty oddawałeś mu broń. I lepiej mów, jak było naprawdę, bo powiem ci, Milt, że raczej skłaniam się do wersji Stuckeya, mimo że jeszcze jej nie słyszałem.

- W porządku. Powiem wam prawdę.

- Chwileczkę, Milt - powiedział Delion. - Chciałbym to nagrać, nie masz nic przeciwko temu?

- Nie.

Delion włączył magnetofon. Podał swoje nazwisko, datę, nazwisko McGuffeya i rozpoczął przesłuchanie

- Składasz zeznanie dobrowolnie, bez żadnego przymusu? - spytał.

- Tak, do cholery. I chcę już zacząć!

- Nie chcesz, żeby był przy tym adwokat?

- Nie, chcę tylko, żebyście usłyszeli prawdę!

Delion przypomniał mu o jego prawach jako zatrzymanego, zapytał, czy je rozumie, na co Milt, zanim potwierdził, że rozumiał, odpowiedział stekiem wyzwisk o wiele bardziej wulgarnych niż do tej pory.

- W porządku, Milt, opowiedz nam, co zaszło.

- Słuchajcie, Stuckey zadzwonił do mnie parę dni temu i powiedział, że jeden gość z Los Angeles chce, żebym przestraszył jedną babkę na pogrzebie księdza. Stuckey powiedział, że dostanę za to dziesięć tysięcy, ale muszę zrobić to w trakcie mszy, w obecności setek ludzi. Wydawało mi się to trochę głupie, ale twierdził, że tak to ma wyglądać. Nie chciałem tego zrobić, ale miałem dług wobec Stuckeya. Wisiałem mu kasę, niewłaściwe decyzje inwestycyjne, rozumiecie? Miałem dwa wyjścia: wykonać dla niego to zlecenie albo on połamie mi nogi. Ale to nie miało być morderstwo, o nie. Stuckey dał mi pistolet z tłumikiem i powiedział, że to właśnie ja mam strzelać. Kiedy zapytałem go dlaczego, zaśmiał się i powiedział: „Wyglądasz odpowiednio, nadajesz się idealnie, Milt”, tak właśnie powiedział, „Jesteś idealny do tej roli, po prostu idealny”, cokolwiek to znaczy, do cholery.

Dane pomyślał, że rzeczywiście wyglądał odpowiednio. Doskonałe fizyczne podobieństwo. Cholera, nic nie było łatwe.

- I ja mam w to uwierzyć? - Znudzony Savich wyciągnął się na niewygodnym krześle.

Milt wyprostował się i złożył przed nim ręce jak do modlitwy.

- Proszę posłuchać, inspektorze, tak, jak panu powiedziałem, musiałem zdobyć te pieniądze. Musiałem spłacić dług wobec Stuckeya albo wpadłbym w gówno po uszy. Nie płaciłem czynszu i ten palant, właściciel mieszkania, chciał mnie z niego wyrzucić. Jeszcze trzy dni i wylądowałbym na Union Square naprzeciwko hotelu Saint Francis, żebrząc o pieniądze. Musiałem wziąć tę robotę, żeby przeżyć.

Delion rozparł się na krześle, założył ręce i uśmiechnął się sarkastycznie.

- I mamy uwierzyć w to, że jakiś gość powiedział właśnie Stuckeyowi, że to masz być ty, bo wyglądasz odpowiednio? I nadajesz się idealnie do tej roli?

- Przysięgam, że tak było. Stuckey powiedział, że ten gość z Los Angeles nazywał się DeFrosh. Dziwne nazwisko, ale łatwo je zapamiętać.

Stuckey powiedział, że facet przesłał mu faksem zdjęcie tej kobiety, którą miałem przestraszyć, lekko zranić, ale nie zabić. Nigdy bym tego nie zrobił. Powiedział też Stuckeyowi, że ta babka była bezdomna, ale w kościele wcale nie wyglądała jak bezdomna, ale cóż miałem zrobić? A skąd to wiedział facet z Los Angeles? Stuckey nic więcej mi nie powiedział, przysięgam.

Dane spojrzał na Nick, która była tak blada jak biustonosz, który wybrała podczas ich dzisiejszego szaleństwa zakupowego. To było zaledwie dziś rano. Niesamowite.

- Co zrobiłeś z tym przesłanym faksem zdjęciem kobiety?

- Stuckey mi je pokazał i zaraz zabrał.

- Jak wyglądała kobieta?

- Wychodziła z tego posterunku policji z tym mężczyzną, który stoi tam za drzwiami. Posterunek nie przypominał innych, jakie do tej pory widziałem w San Francisco. Zdjęcie zrobił Stuckey. Ślicznotka z niej, jej twarz zapamiętałem bardzo dobrze. Tak jak powiedziałem, w kościele nie wyglądała na bezdomną, więc przez chwilę nie byłem pewien, czy to ona.

Dane nie mógł w to uwierzyć: sukinsyn zrobił zdjęcie w Los Angeles.

- A więc rozpoznałeś brata księdza?

- Tak, słyszałem, jak ludzie mówili, jak bardzo jest podobny do księdza Michaela Josepha, niektórzy byli tym wstrząśnięci. Ludzie w skupieniu słuchali, co mówił brat księdza. Wielu z nich przy tym płakało. Wtedy akurat musiała się poruszyć - po prostu opuściła głowę właśnie w chwili, kiedy nacisnąłem spust. Jezu, mogłem ją zabić. Ale dzięki Bogu wyszło tak, jak miało być. Kula tylko ją drasnęła.

- Powiedz nam coś więcej o tym gościu z Los Angeles.

- Zazwyczaj nie robię interesów z ludźmi, których nie znam. Taką samą zasadę wyznaje Mickey Stuckey. Twierdził, że zna faceta, że ten dobrze płaci. Dał mi nawet pięć tysięcy z góry. Powiedział, że nazywa się DeFrosh - to już mówiłem. Naprawdę dziwne nazwisko.

Milton McGuffey opuścił głowę i, opierając ją na skrzyżowanych ramionach, znowu zaczął płakać. Wszyscy słyszeli, jak łkając, mówił:

- Nie chcę iść do więzienia, ale chyba się od tego nie wywinę. - Podniósł głowę. - Oby Stuckey też poszedł siedzieć. Nigdy nie powinienem zgadzać się na zrobienie tego w kościele.

- Nie podejrzewałeś, że będzie tam policja? - zapytał Delion.

- Stuckey twierdził, że może być tam kilku gliniarzy, ale jeżeli wszystko zrobię na czas, uda mi się uciec stamtąd bez problemu. Cholerny dupek z tego Stuckeya. Niech zgnije w pierdłu, to wszystko był jego pomysł.

- Jasne, że pójdzie do pierdła, Milt, jak tylko go złapiemy

- powiedział Savich, uśmiechając się pod wąsem. McGuffey wpatrywał się w Savicha szeroko otwartymi oczami.

- Niech to szlag! - powiedział. Po czym zaczął krzyczeć:

- Żądam adwokata!

Delion spojrzał na Savicha, rozmawiającego z porucznik Purcell. Słyszeli, jak mówiła, że rozesłali już portret pamięciowy Mickey Stuckeya, znanego również jako Bomber Turkel, to był najbardziej pomysłowy z jego pseudonimów.

- Ten facet jest naprawdę wyjątkowy, Dane. To twój szef?

- Tak, od pięciu miesięcy.

- Załatwił faceta bez mydła - powiedział z podziwem Delion. - Myślałem o tym, żeby tobie powierzyć przesłuchanie Milтона, ale on wiedział, że nie jesteś gliną, więc to by się raczej nie udało. Wtedy nadszedł Savich, wydawał się chętny, nawet zadowolony, i wiedziałem, że ma coś w zanadrzu. Spisał się dobrze, co?

- Jasne.

- A jego żona naprawdę ma na imię Sherlock?

- Tak, są nierozłączni - potwierdził z uśmiechem Dane.

- Wiesz - powiedział Delion - bywałem na rozprawach, które prowadził ojciec Sherlock. To twardy, stanowczy i nieustępliwy facet. Prawnicy obrony serdecznie go nienawidzą. Psioczą, kiedy spotka ich wątpliwa przyjemność obcowania z jedynym sędzią w San Francisco, który jest strażnikiem prawa i porządku. Rzecz jasna, gliniarze go uwielbiają.

- To prawda - przyznał Dane. - Szkoda, że Milton McGuffey nie jest odrobinę głupszy. Prokurator będzie miał kłopot z udowodnieniem usiłowania zabójstwa. Musimy dopaść Stuckeya. Milt przynajmniej potwierdził, że facet, który go wynajął, mieszka w Los Angeles i nazywa się DeFrosh. I chyba tylko to z jego zeznań możemy uznać za prawdę. Jasna cholera, Delion, Milton nie jest zabójcą.

- Tak, wiem, wróciliśmy do punktu wyjścia, Dane. Zadzwońię do Flynna i opowiem, co się stało. Spodoba mu się, że facet, który tym wszystkim kieruje, powiedział Miltonowi, że nazywa się DeFrosh.

- Może nie uważa nas za zbyt bystrych - powiedział Dane. - DeFrosh rymuje się z DeLoach. Co on właściwie próbuje udowodnić? Czyżby chciał nam coś wytknąć? A może chce, żebyśmy uwierzyli, że to Weldon DeLoach jest zabójcą?

Dane zamilkł, kiedy dostrzegł, że Nick opiera się o szarą gablotę.

- Nick, wszystko w porządku?

- Nie czuję się tak źle, jak wyglądam. Nic mi nie jest, muszę tylko odpocząć - odrzekła Nick, delikatnie dotykając palcami bandaża na głowie.

- No nie wiem, Nick - powiedział Delion. - Samym wyglądem budzisz współczucie. Jeżeli teraz poprosiłabyś o schronienie, idę o zakład, że porucznik bez problemu by ci je przydzieliła.

- Nie, ona zostaje ze mną - powiedział stanowczo Dane.

- Jutro jedziemy do Los Angeles. Jedziesz z nami, Delion?

- Jestem krok przed tobą, chłopcze - powiedział Delion z satysfakcją. - Dzwoniłem już do Frankena. Twierdzi, że Weldon nadal nie dał znaku życia. Kazał swoim ludziom go szukać, ale szczerze wątpi, czy go znajdą. Policja też go szuka, więc może jest jakaś szansa, że się znajdzie. Jutro o dziesiątej rano mamy spotkanie z Frankenem w studiu. Ma dla nas film z Weldonem DeLoachem.

- Nareszcie zobaczymy, jak facet wygląda - zauważyła Nick.

- Owszem - zgodził się Delion. - Musimy zapytać Flynna o wiele spraw. Ma całą armię ludzi zajmujących się ustalaniem tożsamości, przesłuchaniami, sprawdzaniem alibi i motywów.

I my mamy mu wiele do przekazania.

Spojrzał na Savicha i Sherlock i wzruszył ramionami.

- Coraz więcej federalnych. Zaczyna się zwykle od jednego

- przyjeżdża na zwiady i ani się człowiek obejrzy, a już jest ich cała gromada, rozmnażają się jak króliki i wkrótce są wszędzie i przejmują kontrolę. Niedługo pojawi się tu sam Mueller, szef FBI. On stąd pochodzi, wiecie? A wy, jedziecie z nami do Los Angeles?

- Jedziemy - potwierdziła Sherlock, stając obok Nick.

- Co to za historia, że pistolet, z którego zastrzelono brata Dane'a, mógł być jednym z tych dwóch, których używał legendarny morderca Zodiak? - zapytał Savich. - To sprawa sprzed ponad trzydziestu lat.

- To chyba jakiś kawał - podsumował Delion. - Kiedy usłyszał o tym Zopp, nasz balystyk, stwierdził, że to dla niego smakowity kąsek i zaczął opowiadać jeden dowcip o blondynkach za drugim. - Kiedy Sherlock znacząco uniosła brew, uśmiechnął się. - Zopp ciągle opowiada dowcipy o blondynkach, twierdzi, że pomagają mu się odprężyć. Ale z bronią to musi być zbieg okoliczności.

- Hm - mruknęła Sherlock. - Być może to zbieg okoliczności, ale bardzo dziwny.

- Sherlock, jesteś tak twarda jak twój ojciec? - zapytał Delion.

- On tak uważa - powiedziała Sherlock i uśmiechnęła się szeroko.

Trzech inspektorów stojących obok niej wpatrywało się w nią jak w obraz.

- Miejscowi gliniarze ją uwielbiają - powiedział Savich, potrząsając głową.

Facet jest z niej dumny, pomyślał Delion.

- Nie macie nic przeciwko temu, jeżeli zabierzemy się z wami do Los Angeles, Delion?

- Im nas więcej, tym weselej - podsumował Delion. - Poruczniku, czy są już jakieś wiadomości o

Stuckeyu?

- Jeszcze nie, ale złapiemy go. - Porucznik Linda Purcell spojrzała na zgromadzonych inspektorów wydziału zabójstw. - Czy wszyscy widzieli, jak Savich rozpracował gościa? Jak wyciągnął z niego nazwisko Stuckeya?

Wszyscy wzniesli wiwaty na cześć Savicha. Niektórzy obrzucili go orzeszkami.

Zanim Dane wyszedł, Delion wziął go na stronę i powiedział, że odcisków palców Nick nie było w kartotece.

- Przynajmniej wiemy, że nie jest przestępczynią.

- Sam też już na to wpadłem - mruknął Dane.

# Rozdział 17

## LOS ANGELES

Nie mogliśmy znaleźć żadnych zdjęć, ale, tak jak mówiłem panu przez telefon, inspektorze Delion, znaleźliśmy coś lepszego - powiedział Jon Franken, asystent reżysera „Superagenta”.

Włączył magnetowid, przewinął do odpowiedniego momentu i zatrzymał.

- To jest Weldon, drugi od lewej, ten stojący z boku ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i patrzący na wszystkich jak na idiotów. Obserwuje wszystko, stojąc z boku, pozostaje w cieniu wydarzeń, twierdzi, że to daje mu pomysły. Cokolwiek by mówić, kapitalne.

- Proszę zatrzymać - powiedział Dane i spojrzał na Nick w momencie, gdy ruchoma scena zmieniła się w zdjęcie. Wyglądała na przestraszoną. Musiała się bać, patrząc na człowieka, który najprawdopodobniej wynajął Milтона McGuffeya, by ją zamordował, człowieka, który być może zabił jego brata. Dane delikatnie dotknął palcami jej przedramienia.

- Nick?

- Nie wiem, po prostu nie wiem. - Odwróciła się, by spojrzeć na Dane'a. - Może sylwetka wygląda podobnie. - Wzruszyła ramionami. - To przerażające.

- Wiem. Nick, teraz chcę, żebyś zapomniała o włosach, opaleniznie, oczach, to mogła być kosmetyka. Przyjrzyj się jego twarzy, jak się porusza, jak gestykuluje, mówiąc.

- Może to on, nie wiem. Nie jestem pewna. Wygląda zupełnie inaczej - powiedziała po jakimś czasie.

- A Milton McGuffey? Czy zwróciłabyś na niego uwagę, gdyby cię nie postrzelił? - zapytał Delion.

- Odpowiedź brzmi - nie jestem pewna. Możliwe. Ale prawdopodobnie tak.

Flynn powiedział:

- Z tego, co tu usłyszałem, można wysnuć następujący wniosek: nasz podejrzany wybrał McGuffeya dlatego, że jest do niego bardzo podobny - zauważył Flynn. - Panie Franken, wciąż nie wiadomo, gdzie może przebywać Weldon DeLoach?

Franken potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale, jak już wcześniej mówiłem, pojawi się, kiedy zechce. Jeśli jest w Los Angeles, niedługo da znać. Tego jestem pewien.

- Panie Franken - powiedziała Nick - czy pan DeLoach zawsze wyglądał tak, jak teraz? Mocno opalony, bardzo jasne włosy?

- Właściwie tak - odparł Franken. - Odkąd go znam, czyli od prawie ośmiu lat. Dlaczego pani pyta?

- Jeśli rzeczywiście naszym zabójcą jest DeLoach, to kiedy go zobaczyłaś, najpewniej nosił perukę. Co do zamaskowania opalenizny, nie jestem pewien, jak to było zrobione, prawdopodobnie

miał nałożony makijaż - tłumaczył Dane Nick.

- Ale po co by to robił? - zastanawiała się Nick. - Na pewno nie spodziewał się, że będę siedziała w kościele.

- Tak, ale podczas pobytu w San Francisco spotkałby wielu ludzi. Może przebranie było na wszelki wypadek.

Franken pocierał podbródek długimi, eleganckimi palcami.

- Nie wierzę, że Weldon DeLoach jest mordercą. To nie jest typ, który zabiłby kogokolwiek. Jak wcześniej panom mówiłem, to po prostu do niego nie pasuje.

Dane pamiętał, że Wolfinger nazwał DeLoacha mięczakiem.

- Czy to znaczy, że myśli pan, że on jest tchórzem?

- Nie, nic z tych rzeczy. To po prostu nie on, nie Weldon.

- Zabójca chciał, żeby McGuffey wyglądał jak on, dlatego go wynajął, by mnie zabił. Więc musiał mieć ciemne włosy i bladą skórę - powiedziała Nick.

- Pewnie masz rację, Nick. - Dane poprosił, żeby Franken zrobił powiększenie ujęcia z bliska Weldona DeLoacha. Wolfinger twierdził, że DeLoach ma około trzydziestki. Nie wyglądał na trzydzieści lat, ale na czterdzieści, może więcej. Wyglądał, jakby ciężko pracował i żył w ogromnym stresie. Z tego, co mówili jego współpracownicy, inni scenarzyści, w przeszłości nie stronił od kokainy.

Ciemna opalenizna DeLoacha kontrastowała z białą koszulą i białymi spodniami. Miał jasnoniebieskie oczy. Jego cienkie włosy był niemal białe.

- Czy macie fragment, na którym Weldon DeLoach mówi? - zapytał Dane.

- Po co? - zapytał Delion. - Nick nigdy nie słyszała jego głosu.

- Może rozpozna któryś z gestów, które wykonuje, gdy jest ożywiony i mówi. Poza tym, też chcę usłyszeć jego głos.

Franken przewinął do przodu film, zatrzymując na DeLoachu wznoszącym toast na przyjęciu urodzinowym. Miał najłagodniejszy głos, jaki Nick kiedykolwiek słyszała, miękki i kojący, bez wyraźnego akcentu. Przyglądała mu się uważnie, analizowała sposób, w jaki poruszał rękami, zaciskał i rozluźniał dłonie wokół kieliszka, wznosząc toast, sposób, w jaki trzymał głowę.

Gdy film się skończył, potrząsnęła głową.

- Przykro mi, nie jestem pewna. Jeśli policja z San Francisco złapie Stuckeya, to może on rozpozna głos DeLoacha.

- Dobry pomysł - powiedział Dane i zanotował to w swoim małym notesie.

- Czy może nam pan dać kopię tej taśmy?

- Nie ma problemu. - odpowiedział Franken. - Naprawdę myślicie, że Weldon DeLoach jest szaleńcem, który morduje według scenariusza „Superagenta”?

- Na razie pewne jest - powiedział Delion, pochylając się do przodu - że kiedy go znajdziemy, chcemy z nim usiąść i odbyć miłą pogawędkę. Zobaczymy.

- To nie Weldon - upierał się Jon Franken.

- Panie Franken - zwrócił się do niego Flynn - mówił pan, że pierwsze dwa odcinki „Superagenta” były napisane prawie wyłącznie przez pana DeLoacha, prawda? - Dane zauważył, że gdy Flynn się koncentruje, jego lewa ręka zawsze porusza się tam i z powrotem, jakby kołował piłką do koszykówki.

- Tak - odpowiedział Franken. - DeLoach był naprawdę podekscytowany tą serią. - Jego telefon

komórkowy zadzwonił, przeprosił i wyszedł. Gdy wrócił, powiedział: - To była moja asystentka. Powiedziała mi, że od jednego z przyjaciół Weldon właśnie się dowiedziała, że Weldon wyjechał nad jezioro Niedźwiedzie spędzić trochę czasu ze swoim ojcem. Powiedział, że chce tam zostać przynajmniej przez trzy tygodnie i łowić ryby. Jego ojciec mieszka w Lakeview, domu dla emerytowanych policjantów.

- Ojciec jest emerytowanym policjantem? - zainteresował się Delion.

- Na to wygląda - przyznał Franken. - Wiem, że jest tam od dawna. Kiedyś Weldon powiedział mi, że jego ojciec żyje w swoim świecie.

- Wiemy już, że Weldon nie prosił nikogo tutaj w studiu o pomoc w rezerwacji biletu lotniczego. Jeśliby gdzieś poleciał, znaleźlibyśmy ślad, nagrywamy rozmowy ze względów bezpieczeństwa - powiedział Flynn.

- Jezioro Niedźwiedzie - zamyślił się Delion. - To jest w Parku Narodowym Los Padres? W Hrabstwie Ventura?

- Tak - odparł Flynn. - To tylko godzina jazdy na północ, obok Tejon Pass. No może więcej, biorąc pod uwagę nasze potworne korki.

- A to znaczy, że DeLoach, kiedy tylko chciał, łatwo mógł dojechać do San Francisco i Pasadeny - dodała Nick.

- Tak, to prawda - potwierdził Flynn.

- Dziękujemy, panie Franken - powiedział Delion, wstając. - Ludzie detektywa Flynna przesłuchali już wszystkich pozostałych scenarzystów i pracowników zatrudnionych przy produkcji „Superagenta”. Panie Franken, gdzie pan był przez ostatni tydzień?

Jon Franken delikatnie machał stopą we włoskich mokasynach z frędzlami, pozwalając im opadać raz na jedną raz na drugą stronę. Zmarszczył brew, ale odpowiedział ochoczo i z uśmiechem:

- Byłem tutaj, inspektorze Delion. Całymi dniami pracuję teraz przy serialu „Buffy, postrach wampirów”.

Delion mruknął coś pod nosem, odwrócił się i spytał jeszcze przez ramię:

- A jak się nazywa żona Franka Pauleya? Ta, która gra jego dziewczynę w „Superagencie”?

- Belinda Gates.

- Będziemy chcieli z nią rozmawiać. I z gwiazdą programu, Joe Kleypasem.

- Oczywiście. Proszę na niego uważać, inspektorze. Joe nie zawsze jest spokojny, szczególnie, kiedy pije. Ma temperament. Jeśli oskarży go pan o morderstwo, raczej nie będzie miał zadowolonej miny. - Zmierzył wzrokiem Savicha i Dane'a, uśmiechnął się i dodał: - Chętnie przyjrzałbym się waszemu spotkaniu.

Jon Franken zabrał Savicha i Sherlock na obiad do bufetu.

- W tym tygodniu Belinda gra w serialu - powiedział, przeżuując powoli frytkę. - Taki gościnny epizod. Były jakieś problemy, dlatego wiem, że dzisiaj miała zdjęcia. Może ją tam zastaniecie. Jeśli nie, zabiorę was do niej. Większe gwiazdy rzadko tu przychodzą. Większość czasu spędzają w swoich przyczepach. Prawdopodobnie zauważyliście je ustawione na parkingu. - Potrząsnął głową. - Co ma się z życia, siedząc w przyczepie?

- Przyznam, że spodziewałam się wielkiego bufetu - powiedziała Sherlock, rozglądając się po wielkim, prostokątnym pomieszczeniu. - Podobają mi się te malowidła na ścianach w stylu lat trzydziestych.

- A mnie podobają się postacie z filmu „Planeta małp” ustawione wokół tego pomieszczenia -



dodał Savich. - Wyglądają naprawdę jak żywe.

- W końcu jesteśmy w Hollywood - powiedział Jon. - Na każdym kroku reklamujemy się i klepiemy nawzajem po dupach. W rzeczywistości jednak nasza stołówka jest niczym w porównaniu z tą w Universal Studios. To bardzo luksusowe miejsce, można tam spotkać naprawdę wielkie gwiazdy.

Belinda Gates przysłała jakieś dziesięć minut później.

- Boże, Dillon, ona ma wałki na włosach, duże termoloki

- zauważyła Sherlock. - Pamiętasz, ostatnio użyłam ich, by wyprostować sobie włosy? A ty pomagałeś mi je nawijać - powiedziała, owijając długi rudy lok wokół palca. - Zróbmy to jeszcze raz. Było zabawnie.

Sherlock przerwała na moment; bardzo dobrze pamiętała, co robili po zdjęciu wałków.

- To naprawdę jest Belinda Gates? - zapytała Frankena.

- Jest bardzo piękna.

- Tak, to ona - potwierdził Franken i uśmiechnął się, przeżuwając kolejną frytkę. - Jest piękna, i co ważniejsze, kamera kocha jej twarz.

Savich i Sherlock w jednej chwili domyślili się, że Jon Franken sypia z nią.

- Proszę nam trochę o niej opowiedzieć - poprosiła Sherlock. Franken zjadł następną frytkę i wzruszył swoimi eleganckimi ramionami.

- Belinda jest przeciętną aktorką. Pilnie uczy się swojej roli, przyjmuje uwagi reżysera i ma wystarczająco talentu, by graniem zarobić na życie. Oczywiście, odkąd złowiła Franka Pauleya, nie musi się tym martwić. Pracuje wtedy, kiedy chce, czyli wtedy, kiedy bardzo jej się nudzi. Rzecz w tym, że nie ma w niej woli walki, ciśnienia, nie kopie pod nikim dołków, nie gra nieczysto. Jeżeli podejrzewacie ją, że zrobiła to w przebraniu faceta, moim zdaniem nie byłaby najlepsza w tej roli. Jeśli podejrzewacie o morderstwo Franka Pauleya, może Belinda powie wam coś obciążającego go. Pauley może i jest zdolny zrobić coś takiego. Ale nie rozumiem, po co miałby niszczyć swój własny program.

- A pan? Umie pan walczyć bezpardonowo? - zapytał Savich, wyjadając marchewkę z ogromnego talerza z sałatką.

- Oczywiście. Gdyby nie moja determinacja i ciągła chęć awansu, nadal zamiatałbym tu podłogi. Moim głównym celem było wtedy wspinanie się po szczeblach kariery.

Znowu się uśmiechnął i wytarł dłonie w papierową chusteczkę.

- Przedstawię was i zostawię z Belinda. Parę lat temu miała jakieś problemy z policją, więc pewnie nie od razu się do was przekona.

Jon Franken wstał.

- Zapomnijcie o tym, co powiedziałem o Franku Pauleyu. Nawet jeżeli stoi za tym jego najgorszy wróg, myślę, że nie miałby na tyle odwagi czy wyobraźni, żeby pogrążyć go w tak zawilży i okrutny sposób. O, Belinda bierze jedzenie na wynos. Dobrze trafiliśmy. Sprawdziłem - najbliższą godzinę ma wolną.

Sherlock i Savich spotkali się z Belinda Gates na zapleczu, obok sceny widowiskowej. Nie była zbyt przyjaźnie nastawiona. Patrzyła na nich podejrzliwie, miała zaciśnięte usta. To dopiero wyzwanie, pomyślała Sherlock, uśmiechając się do niej i pamiętając, co mówił o niej Franken. Przedstawiła siebie i Savicha, starannie prezentując Belindzie Gates ich odznaki.

- Oboje z FBI?

- Tak - odpowiedział Savich, rozsiadając się wygodnie. W tej pozycji nie mógł jej obezwładnić, więc miał nadzieję, że Belinda się odpręży.

- Partnerzy?

- Czasami - powiedziała Sherlock, wyciągając rękę tak, że Belinda Gates musiała ją uścisnąć. - Właściwie jesteśmy partnerami w życiu i w pracy: jesteśmy małżeństwem i agentami FBI. Nieźle, co?

- Naprawdę jesteście małżeństwem? - zapytała zdziwiona Belinda, patrząc na nich na zmianę.

- Tak - potwierdziła Sherlock. - I mamy małego synka, ma na imię Sean. Ma niespełna rok. Próbuje już chodzić, ale raczkuje szybciej, niż ja chodzę. Poza tym, że jesteśmy dobrymi rodzicami, jesteśmy też dobrymi agentami. Przyjechaliśmy tu po to, by schwytać mordercę, i potrzebujemy pani pomocy. Na pewno słyszała pani o tej sprawie, panno Gates.

Belinda pochyliła się w stronę Sherlock, już mniej podejrzliwa i nieufna.

- Oczywiście. Pani mąż idealnie pasuje wyglądem do głównej roli w najnowszym serialu Franka. Opowiada o prawniku specjalizującym się w sporcie, przystojniak z niego i kawał chłopca, silniejszy niż większość z jego klientów - sportowców. Przez nich zawsze wpada w kłopoty. - Belinda odchrząknęła. - Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc wam odnaleźć tego mordercę. Naprawdę ma pani na imię Sherlock?

- Naprawdę.

- Świetne imię.

- Dziękuję - odparła Sherlock. - Cieszymy się, że możemy porozmawiać z kimś, kto orientuje się w sytuacji i zna wszystkich aktorów. Jestem pod wrażeniem pani roli w „Superagencie”. Co prawda, widziałam tylko pierwsze dwa odcinki, ale była pani naprawdę dobra. Grana przez panią Ellie James była wiarygodna, budząca współczucie i piękna, to jasne - przerwała na chwilę, a Belinda uśmiechnęła się. - Wielka szkoda, że program został zdjęty, przynajmniej do czasu, kiedy złapiemy szaleńca, który wywołał całe to zamieszanie. Mam nadzieję, że podsunie nam pani coś nowego.

# Rozdział 18

Oczywiście, będę się starać, ale ja naprawdę nic nie wiem - mówiła Belinda, kiwając głową. - Wiem, że biedny Frank jest zmartwiony zawieszeniem emisji programu, ale co może na to poradzić? Powiedział mi, że DeLoach, lub inny scenarzysta, jest zamieszany w zabójstwa, które pasują do morderstw popełnionych w pierwszych dwóch odcinkach programu. Frank zaczął go nawet nazywać „Morderczym programem”.

- Chwytny tytuł - powiedziała Sherlock. - Tak, o to mniej więcej chodzi.

- Myślę, że tak naprawdę Weldon DeLoach wymyślił ten tytuł, ale szefostwu się nie spodobał, wybrali tytuł „Superagent”. Bo brzmiał modniej, wie pani, co mam na myśli?

- Wiem - odpowiedziała Sherlock. - Bardziej Manhattan niż Brooklyn.

- Właśnie - przyznała Belinda, uśmiechając się. - Frank też twierdził, że lepiej się przyjmie. Jest w tym biznesie od dawna. We wczesnych latach osiemdziesiątych był aktorem, nigdy nie zyskał sławy, ale to dobrze, bo wtedy uświadomił sobie, że chce zająć się produkcją programów, a nie być w nich gwiazdą. Nigdy nie chciał kręcić filmów. Kocha telewizję. Był najszcześniejszy, pracując za kulisami - przygotowując scenariusze do aktualnie realizowanych programów, sprzedając czas antenowy, kalkulując wydatki, ustawiając aktorów i reżyserów. I trzymając wszystko w garści, żeby biznes się kręcił i mieścił się w budżecie.

Pierwszym programem, jaki wyprodukował w połowie lat osiemdziesiątych, był „Delta Force”, emitowany przez prawie cztery lata. Może oglądaliście powtórki?

- To był dobry program - przyznał Savich.

Belinda Gates rozpromieniła się, posłała mu szeroki uśmiech i ściągnęła z włosów jeden z wielkich wałków. Długi, gruby lok opadł ciężko w dół.

- Powtórzę mu pana słowa. Wie pan, Frank mówi mi o wszystkim, więc prawdopodobnie wiem o tym mordercy tyle samo, co on.

- Jest pani bystrą kobietą, panno Gates, zna pani sprawę. Wiemy, że ma pani własne przemyślenia na jej temat. Potrzebujemy pani pomocy. Czy domyśla się pani, kto to wszystko mógł zorganizować? - zapytała Sherlock.

Belinda ściągnęła kolejny wałek, delikatnie prowadząc palec wokół wielkiego loka, sprawdzając, czy wystarczająco ostygł. Pokiwała głową i powiedziała:

- Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że to Dupek, wiecie, Linus Wolfinger. Jest bardzo przebiegły. Ale do tego potrzeba czegoś więcej. - Przerwała na chwilę. - Wygląda to tak, jakby każdego dnia musiał udowodnić, że jest najmądrzejszym facetem na ziemi, szefem wszystkich szefów. Cokolwiek robi, musi być w tym najlepszy, najszybszy, najmądrzejszy i każdy musi to docenić i wychwalać go w nieskończoność.

Savich wyprostował się, zacisnął dłonie na kolanach i powiedział:

- Zostawmy w spokoju jego manię wielkości. Jaki, pani zdaniem, mógłby mieć powód, by postępować według scenariusza programu telewizyjnego i mordować ludzi?

- Bo to coś dziwnego, coś innego, właśnie dlatego. Dupek naprawdę lubi wymyślać takie rzeczy, by pokazać ogrom swoich umiejętności, które są o wiele bardziej imponujące niż pana czy moje. Morderstwa byłyby dla niego nowym rodzajem wyzwania.

Jeśli to on zabija tych ludzi, musi wiedzieć, że policja wkrótce go złapie. Założę się, że nawet próbuje naprowadzić policję na swój ślad, żeby byli tuż obok niego, a on mógł być w centrum wydarzeń. Czy to ma sens?

- Niezupełnie - powiedziała Sherlock.

Kolejny wałek opadł, a Belinda przeczesowała włosy.

- Oczywiście, że nie ma. Próbowałam być złośliwa. Jeśli naprawdę miałabym kogoś wskazać, byłby to Jon.

- Jon Franken? - upewnił się Savich, wyraźnie zaskoczony. Uznał to za pomyłkę. W tym cholernym studiu każdy był podejrzany. Tylko Jon Franken nie pasował do tej chaotycznej układanki, bo był taki... właściwie jaki? Był zbyt ułożony, skupiony. Bardzo hollywoodzki, tak, taki był, normalny w tym specyficznym środowisku. Savich nie mógł sobie wyobrazić, że może on być mordercą.

- Dlaczego uważa pani, że to Jon Franken? - zapytał Belinę.

- Jon jest jednym z najseksowniejszych facetów, którzy nie są aktorami w Los Angeles. Sypiał z większą liczbą kobiet, niż Frank zdołał poznać, a wiercie mi, Frank znał tu niemal wszystkie. Dzięki swojej sprawności seksualnej Jon wyrobił sobie kontakty niemal ze wszystkimi liczącymi się postaciami w Los Angeles. Znał każdego, kto był w czołówce najlepiej zarabiających gwiazd przez ostatnich dziesięć lat, bo ze wszystkimi z tej listy sypiał. Wiedział rzeczy, o których nie powinien był wiedzieć, znał wszystkich aktorów, większość z nich intymnie, włączając w to mnie, bynajmniej nie dlatego, że jestem wielką aktorką, jak możecie pomyśleć. Seks jest potężną siłą. Może czasami potężniejszą niż pieniądze.

Savich pomyślał, że to prawda. Zawsze, kiedy patrzył na Sherlock, bez względu na to, gdzie byli lub co robili, pragnął jej tak samo mocno. Przez ostatni tydzień nie kochali się w domu.

Robili to oparci o ścianę garażu. Ale przypadkowy seks, zawdzięczenie mu pozycji zawodowej, kariera i wyrabianie kontaktów przez łóżko, seks, jako narzędzie pozwalające dostać to, co się chciało - nie, nie byłby w stanie tak żyć.

- Wiem, że z tego, co mówię, wynika, że Jon jest prawdziwym hollywoodzkim drapieżką, i tak jest, ale używam słowa „drapieżka” w pozytywnym tego słowa znaczeniu - powiedziała Belinda.

Sherlock zaśmiała się.

- Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby ktoś był opisywany jako drapieżka w pozytywnym sensie.

- Jako osoba dobrze zorientowana - powiedziała Belinda, bynajmniej nieurazona. Chwilę później zmarszczyła brwi. - Ale jest też druga strona Jona. Bywa bardzo złośliwy i pamiętliwy.

- Proszę nam opowiedzieć o jego złośliwości. Nie zauważyliśmy jej - powiedziała Sherlock.

- Zauważyłam, kiedy przestałam z nim sypiać, bo to ja chciałam zerwać, nie on. Zwykle to Jon kończy romans, ale zawsze robi to bardzo delikatnie. Nie zostawia kobiety chcącej uciąć mu... kobiety nie pragną się na nim zemścić. Nie. Rozstaje się tak, by jego były kochanki pozostawały jego przyjaciółkami.

Proszę mnie źle nie zrozumieć, ode mnie też by odszedł, ale zanim tak się stało, poznałam Franka.

- Belinda pochyliła się do nich. - Wciąż przerażamnie myśl o tym. Powiedziałam Jonowi prawdę. Pamiętam, że stał tam, naprzeciwko mnie, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Nie uderzył mnie. Po prostu powiedział tym swoim miękkim głosem, że zachowałam się jak dziwka i że żadna kobieta dotąd go nie rzuciła. Ktoś przedziurawił mi opony, ale nie przyłapałam go na gorącym uczynku i nie jestem pewna, czy to on. Nie potrafię tego udowodnić. Uznałam, że to zemsta.

- Ja też bym tak pomyślała - powiedziała Sherlock. - Ale to nie koniec, prawda?

- Tak. Potem była Maria James, młoda, naprawdę ładna dziewczyna i bardzo utalentowana. Nie wiem, co między nimi zaszło, ale cokolwiek się stało, Jon dopilnował, żeby wyrzucono ją z programu. Podobno była w ciąży. Czy z Jonem? Nie wiem, ale wyjechała z Los Angeles.

Sherlock zanotowała wszystko, co Belinda powiedziała o Marii James.

- Potem był facet, który pokonał Jona w konkursie na asystenta reżysera nowego programu - ta posada naprawdę mu się marzyła. Program miał tytuł „Twardziel”, był emitowany przez cztery lata. Tak czy owak, facet skończył ze złamanymi nogami, nie mógł podjąć tej pracy. Jon ją dostał. Czy to była jego sprawka? Oczywiście, nie było żadnego dowodu.

- Czy zmartwiła się pani, kiedy zdjęto „Superagenta”? - zapytał Savich.

Belinda uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami, zdjęła kolejny walek i przeczesowała włosy.

- Biedny Frank. On jedyny naprawdę się zmartwił. To było jego dziecko. Włożył w ten program dużo wysiłku.

- Czy przychodzi pani do głowy ktoś, kogo mogło ucieszyć zakończenie programu? - zapytała Sherlock.

Belinda ściągnęła ostatni walek i odrzuciła go. Wszyscy troje patrzyli, jak toczy się po podłodze.

- Ucieszyć do tego stopnia, że mordował ludzi zgodnie ze scenariuszem? Nikt taki nie przychodzi mi do głowy - powiedziała, patrząc na walek. Raz po raz zanurzała palce we włosach. Zdaniem Sherlock jej włosy nie potrzebowały czesania. Były zmierzwiłone, gęste i absolutnie piękne, miały nieskończenie wiele odcieni blondu.

- A pamiętacie ochroniarza Wolfingera? - zapytała Belinda, jej głos brzmiał cicho i tajemniczo. - To ten wielki facet, który nigdy nic nie mówi. Nazywa się Arnold Lotus. Myślę, że on i Wolfinger sypiają ze sobą.

- Twierdzi pani, że Wolfinger jest gejem? - zapytał Savich. Belinda wzruszyła ramionami.

Chłopak, który miał problemy z cerą, podszedł do nich.

- Czekają na panią na planie zdjęciowym, panno Gates - powiedział.

Belinda poprawiła jeszcze raz włosy, spojrzała na swoje odbicie w lustrze, wstała i uśmiechnęła się do nich.

- Ma na imię Sean? Chciałabym mieć synka - powiedziała, skinęła głową im obojgu i wyszła.

- Wiesz, Sherlock, zainspirowały mnie jej wałki. Może kupimy sobie takie? - zaproponował Savich.

- Takie naprawdę wielkie?

- Tak - odpowiedział. - Większe niż te, których wcześniej używaliśmy.

Sherlock roześmiała się.

CHICAGO

- Moje biedactwo, jak się czujesz?

Nicola podniosła wzrok i spojrzała na Johna Rothmana, zza uchylonych drzwi usłyszała głosy jego trzech doradców, rozmawiających na szpitalnym korytarzu. Jego twarz była rumiana od ostrego

chicagowskiego wiatru i zimnego powietrza, a oczy były bardziej niebieskie niż letnie niebo. Pomyślała, że najpierw zakochała się w jego oczach, które mogły przenikać ludzkie dusze, przynajmniej na tyle głęboko, że zawsze wiedział, co powiedzieć podczas kampanii wyborczej.

- Już mi lepiej, John, tylko boli mnie gardło i czuję, jakbym miała wydrażony żołądek.

- Zabiorę cię do domu. Wiesz, Nicolò, zastanawiałem się, może powinnaś już wprowadzić się do mnie. Ślub planowaliśmy na luty, może warto go przyspieszyć?

Dotąd z nim nie spała. Jednej nocy, kiedy już była na to gotowa, przyłapano ich przed jednym z ulubionych klubów Johna, *The High Hat*, jego język w jej ustach, jego dłoń na jej pupie. Ich bardzo żenujące zdjęcia ukazały się w *National Enquire*. Po tym incydencie pocałował ją tylko lekko w policzek.

- Jeżeli się do ciebie wprowadzę, wszyscy się o tym dowiedzą. Pamiętasz, co nas ostatnio spotkało? - zapytała Nicola.

John wzruszył ramionami.

- No dobrze. Więc przyspieszmy ślub. Co powiesz na koniec miesiąca?

Milczała.

- Nicolò, chcę, żebyśmy jak najszybciej rozpoczęli wspólne życie. Chcę się z tobą kochać.

Nadal milczała.

- Widziałem cię już nagą. Jesteś naprawdę piękna.

Ujął jej dłoń i lekko uściśnął, a ona uśmiechnęła się do niego.

- Kiedy widziałeś mnie nagą?

- Parę tygodni temu przyszedłem po ciebie. Zadzwoiłem do drzwi, ale nie otwierałaś. Miałem klucz, więc wszedłem do środka. Usłyszałem szmer wody pod prysznicem i zobaczyłem, jak spod niego wychodzisz i wycierasz się. Nie wiedziałaś, że tam jestem. Nie wiem, po co teraz ci o tym mówię, po prostu chciałbym cię taką oglądać. Chciałbym całować cię całą.

Może z powodu zupełnej pustki w żołądku nie powiedziała głośno tego, co na pewno wyznałaby z lubieżnym uśmiechem dwa tygodnie wcześniej: *A ja nie pozostałabym ci dłużna*. Zamiast tego powiedziała:

- Jestem bardzo zmęczona, John. Zbyt zmęczona, by zebrać myśli. Chcę wrócić do domu, położyć się we własnym łóżku i pozbierać się. Potem możemy o tym pogadać. Czy lekarze powiedzieli ci coś więcej o tym zatruciu?

- Po długich rozmowach ustaliliśmy, że tylko ty jadłaś malinowy sos vinaigrette.

- Zatrulałam się sosem? John wzruszył ramionami.

- Chcesz, żebym przyjechał później i zabrał cię do domu?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jeden z doradców Johna stanął w drzwiach.

- Przepraszam, senatorze, ale dzwonił burmistrz. Chce z panem rozmawiać - oznajmił.

- Idź, John, dam sobie radę. Pochylił się i pocałował ją w policzek.

- Jesteś taka blada - powiedział i delikatnie dotknął palcami jej policzka. - Może podać ci błyszczyk do ust z torebki?

Pokiwała głową.

Potem patrzyła, jak podszedł do małego stolika stojącego pod przeciwległą ścianą szpitalnej sali, otworzył jej torebkę i wyjął błyszczyk. Spojrzał na niego i zmarszczył brwi.

- Jest bardzo jasny - powiedział. - Potrzebujesz czegoś o intensywniejszym kolorze, żebyś wyglądała zdrowiej.

- Jak już będę w domu, zrobię sobie porządny makijaż. Zobaczymy się później?

- Niestety, wieczorem mam spotkanie z ważną grupą lobbystów. Odłożyłem obiad z burmistrzem i udało mi się tu do ciebie na chwilę wpaść. Albia przyjedzie, by zabrać cię do domu. Zobaczymy się jutro.

Patrzyła, jak wychodzi, wysoki, smukły, taki elegancki. Co ciekawe, cieszył się w równym stopniu poparciem mężczyzn, jak kobiet. Słyszała, jak otaczający go szmer głosów oddala się i cichnie w końcu korytarza.

Albia przyjechała dwie godziny później, wpadła do sali, w której leżała Nicola, a za nią dwie pielęgniarki, ale nie po to, by ją upomnieć, ale żeby zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Albia tak działała na ludzi. Była księżniczką, a może zważywszy na fakt, że była po pięćdziesiątce, raczej królową. Była taka dostojna, zdecydowana i pewna siebie, że czasami nawet John ustępował pod wpływem jednego słowa siostry. Prowadziła mu dom, zanim ożenił się z Cleo, i potem, kiedy ta uciekła z Todem Gambolem. Doskonale kierowała jego kampanią wyborczą.

Rzadko kiedy dziennikarze ośmielali się zadawać jej bezczelne pytania.

- Albia - ucieszyła się na jej widok Nicola.

Albia Rothman pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Moja biedna dziewczynka - powiedziała i pogładziła jej policzek. - To okropne, tak mi przykro.

- Przecież to nie twoja wina, Albio.

- Ale jest mi niezmiernie przykro, że stało się to podczas mojej urodzinowej kolacji.

- Dziękuję.

Albia wyprostowała się, podeszła do okna i spojrzała przez nie na jezioro Michigan.

- Bardzo ładna sala. John nie musiał nawet się starać. Przywieźli cię tu prosto z ostrego dyżuru. - Przez chwilę patrzyła na Nicolę, potem znowu wyjrzała przez okno. Albia była bardzo taktowną osobą.

- Wcześniej miałam już zatrucie pokarmowe, Albio. Wtedy czułam się zupełnie inaczej.

Albia wysoko uniosła cienką brew.

- Naprawdę? To dziwne. Myślę, że objawy zatrucia mogą być różne.

- Nie mogę tylko zrozumieć, co takiego zjadłam, że się zatrula.

- Chcesz drażnić temat?

Nicola poruszyłaby niebo i ziemię, gdyby to w czymś pomogło, ale wiedziała, że to nie miało sensu. Potrząsnęła głową.

Albia przysunęła krzesło do łóżka Nicoli i usiadła na nim. Założyła nogę na nogę, jej wspaniałe nogi obleczone były w pończochy i dziesięciocentymetrowe czarne szpilki od Chanel.

- John twierdzi, że chce cię poślubić tak szybko, jak to możliwe. Opowiadał mi o tym samochodzie, który nieomal cię potrafił, a teraz to. Chce zapewnić ci poczucie bezpieczeństwa, a dla mężczyzny - dla Johna - oznacza to, że mieszkać razem, śpicie razem, a on opiekuje się tobą.

- No nie wiem, Albio, czy powinniśmy przyspieszać ślub - powiedziała bez namysłu Nicola.

- Co się dzieje? John to doskonała partia. Więcej kobiet się nim interesuje - tutaj i w Waszyngtonie, jest dla wszystkich czarujący, ale wybrał cię. Dla mnie to prawdziwy cud.

- Cud? Dlaczego?

- Kochał Cleo tak bardzo, prawie do szaleństwa. Kiedy odeszła, był kompletnie zdruzgotany; myślałam, że nigdy się nie pozbiera. Bardzo się o niego martwiłam.

- Pamiętam. Było mi go bardzo żal, tak samo jak wszystkim pracownikom jego sztabu.

Nicola pamiętała, jaki spokój zachowywał, ilekroć ktoś wspominał o jego żonie, jaki był silny i potrafił utrzymać dystans.

- I pomyśleć, że Cleo uciekła właśnie z Todem Gambolem. Jasne, przystojniak był z niego i o wiele młodszy od Johna. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego zostawiła dla niego Johna - mówiła Albia, z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Ciekawe, gdzie są teraz - zastanawiała się Nicola. - Już od trzech lat nie ma o nich żadnych wieści.

- Tak. Pamiętam, jak się poznali. Był na wakacjach, co zdarzało mu się bardzo rzadko, właściwie to był długi weekend. A ona pracowała w hotelu, w którym się zatrzymał, była kierownikiem. W jego pokoju wybuchł pożar, a ona przyszła przeprosić. No i tydzień później wzięli ślub. Byłam bardzo zaskoczona, wszyscy byli. Zrobili to w tajemnicy.

- Spędzili razem pięć lat - powiedziała Nicola. Dobrze pamiętała głos Cleo Rothman, jej niewiarygodny talent organizacyjny i zdolności kierownicze. Ludzie ze sztabu ją uwielbiali.

- Pamiętam, jak zastanawiałam się, dlaczego John wcześniej się nie ożenił. Dobiegał czterdziestki, prawda?

- Tak. Kiedy ożenił się z Cleo, miał skończone trzydzieści dziewięć lat. Nie opowiadał ci? Na studiach zakochał się w dziewczynie. Miała na imię Melissa, mieli się pobrać po skończeniu studiów. Oczywiście ojciec był temu przeciwny, zupełnie inaczej zaplanował życie Johna. W czasie jego studiów prawniczych ojciec chciał znaleźć mu odpowiednią kandydatkę na żonę, ale John nie przyjmował tego do wiadomości. Chciał być z Melissą i nie miał zamiaru czekać.

- I co się stało?

- Zginęła w wypadku samochodowym pod koniec ostatniego roku studiów. John oszalał z rozpaczy, przez lata nie mógł dojść do siebie. Właściwie, wydaje mi się, że stało się to dopiero, kiedy spotkał Cleo. A tu popatrz, Nicolo, minęły zaledwie trzy lata i chce ożenić się z tobą. To cud. Musi cię bardzo kochać, nie sądzisz?

- To straszne - powiedziała Nicola. Chciało jej się płakać, gardło bolało ją tak bardzo, że nie była w stanie wymówić ani słowa więcej. Była tak głodna, że miała ochotę wgryźć się we własny łokieć. Chciała już stąd wyjść, wrócić do domu i położyć się we własnym łóżku. I nie chciała, żeby ktokolwiek wchodził do jej mieszkania i widział ją nagą pod prysznicem.

- Jestem bardzo zmęczona, Albio. Mam nadzieję, że niedługo mnie wypuszczą.

Albia wstała.

- Tak, już się tym zajęłam. Jeśli chcesz, zabiorę cię prosto do domu.

- Dziękuję ci. Bardzo chcę. Ale Albio, chcę jechać do mojego mieszkania. Nie jestem jeszcze gotowa, by wprowadzić się do Johna.



# Rozdział 19

## JEZIORO NIEDŹWIEDZIE, KALIFORNIA

Dane zaofiarował się, że spędzi dwie godziny w samochodzie w drodze nad jezioro Niedźwiedzie i sprawdzi, czy mogą dowiedzieć się czegoś o Weldonie DeLoachu od personelu i miał nadzieję, od jego sędziego ojca.

- Nie wiem, czy uda ci się wywabić starego Weldona z ukrycia - stwierdził Flynn z powątpiewaniem.

Dane wjechał właśnie na autostradę, kiedy zwrócił się do Nick.

- Zapomniałem ci powiedzieć: Flynn zdobył nakaz rewizji i przeszukał dom DeLoacha. Niestety, nie znaleźli niczego, co mogłoby wskazywać, że jest zamieszany w tę sprawę, albo chociażby wskazać miejsce jego pobytu. Zanim wyjechaliśmy, Delion rozmawiał z porucznik Purcell. Nie udało im się jeszcze złapać Stuckeya, więc nie mają broni. W mieszkaniu Miliona McGuffeya też nie znaleźli niczego, co mogłoby nas doprowadzić do Stuckeya. Ale to dopiero początek.

Nick pokiwała głową i przez chwilę wpatrywała się w swoje splecione dłonie. Miała poobgryzane paznokcie i zaczęło ją to martwić.

- Chcę ci powiedzieć, że jest mi bardzo przykro, że nie mogłam być z tobą na cmentarzu. Bardzo chciałam pożegnać księdza Michaela Josepha, ale tak mnie ponaglali, że nawet nie miałam okazji ci o tym powiedzieć.

- Też żałuję, że cię tam nie było. Przynajmniej media cię nie dopadły. Ale na pewno znaleźli się jacyś pomysłowi, którzy nie odpuszczą i będą węszyć. Długo nie uda się utrzymać wszystkiego w tajemnicy. Wkrótce informacje wyciekną ze studia, o ile już tak się nie stało. Nie będzie łatwo, a ty znajdziesz się w centrum wydarzeń.

Popatrzyła na niego przerażona.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że to poważna, międzynarodowa sprawa. Na litość boską, Nick, jesteś jedynym naocznym świadkiem morderstwa mojego brata - powiedział zniecierpliwiony Dane.

- Jakoś do tej pory za bardzo nie pomogłam.

- To się jeszcze okaże. A jeżeli chodzi o media, przed nimi nie uciekniesz. Może jednak powiesz mi w końcu prawdę o sobie?

- Nie powiem. - Nadal nie postanowiła, co dalej robić. Wiedziała, że do końca życia nie mogła być bezdomną, bo to żadne rozwiązanie, ale nadal nie wiedziała, co zrobi. - Zawarliśmy umowę. Obiecałeś, że nie będziesz zadręczał mnie pytaniami.

Zlekceważyła go, i wiedziała, że go tym poważnie rozdrażniła. Dane zmienił pas, aby nie wpaść pod koła ogromnej ciężarówki. Spojrzał na Nick z poważną miną.

- Przykro mi, ale na pewno będzie z tego niezła chryja. To nieuniknione. No dobrze, nie będę więcej pytał. Ale daj znać, jeśli będziesz chciała mi o tym opowiedzieć.

Nick nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w deskę rozdzielczą.

- Naprawdę jestem ci wdzięczny, Nick. Za to, że byłeś przy mnie przez te ostatnie dni. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłaś.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Trudno uwierzyć, że minęło tak niewiele czasu. Na pewno jest ci ciężko.

- Tak. - Dane nie powiedział nic więcej, nie chciał się rozkleić. To było takie cholernie trudne. - Tobie też na pewno jest ciężko.

Potem powiedziała coś, co go zaskoczyło.

- Pamiętam śmierć mojego ojca. To był wypadek podczas polowania w górach w północnym Michigan. Jakiś idiota wziął go za jelenia. Zmarł tak nagle, niespodziewanie i bardzo trudno było się z tym pogodzić.

- Znam ten ból. Ile miałaś lat, kiedy zginął? - zapytał Dane, nie odrywając wzroku od drogi przed sobą.

- Prawie dwadzieścia dwa. Było mi bardzo ciężko, bo zaledwie dwa lata wcześniej zmarła mama. Oczywiście miałam mnóstwo przyjaciół, ale to nie to samo.

- Nie myślałem o tobie jak o przyjacielu - powiedział powoli Dane.

Zabolały ją te słowa.

- Wydawało mi się, że przeszliśmy razem wystarczająco dużo, żeby być przyjaciółmi.

- Nie rozumiałaś mnie - powiedział Dane. - Jesteś kimś więcej - byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałem, rozumiałaś mnie bez słów.

Przez chwilę milczała, Dane'owi wydawało się, że minęły wieki, zanim się odezwała:

- Może nawet się z tobą zgodzę.

Dane uśmiechnął się i zwolnił, kiedy zobaczył samochód wjeżdżający przed nim na autostradę.

- A masz jakichś krewnych?

- Tak, dwóch młodszych braci, obaj są pilotami wojskowymi i mieszkają w Europie. Te pytania to jakiś podstęp? Czy to jedna z waszych słynnych strategii, mająca uspić czujność podejrzanego?

- Nie. Gdybym chciał cię przesłuchać, zrobiłbym to tak subtelnie i doskonale, że nawet byś się nie zorientowała.

- Mam też dwóch wujków, którzy pracują na platformach wiertniczych na Alasce.

- Przykro mi z powodu twoich rodziców.

- Dzięki. Myślę, że byliby zaskoczeni, gdyby wiedzieli, że zrobiłam dok... Nieważne.

Tak, jasne, pomyślał Dane.

- Co myślisz o Sherlock i Savichu?

- Sherlock pokazywała mi zdjęcie Seana. Uroczy dzieciak.

- Ma prawie rok, wszędzie go pełno, ciągle nawija coś w języku, który Savich nazywa zaawansowanym szyfrem używanym w technice kosmicznej. Ja jestem wujkiem Dane'em, ale takie słowa jeszcze nie istnieją w jego języku.

- Byli tu zaledwie jeden dzień, a wydaje mi się, jakbym znała ich od dawna. To trochę tak jak z tobą, ale nie do końca.

- Wiem, co masz na myśli.

- Od dawna jesteś agentem FBI?

- Od sześciu lat. Po skończeniu studiów prawniczych zacząłem pracę w dużej kancelarii. Ale nie cierpiałem jej. To nie było to, co chciałem robić.

- Prawnik. Nigdy bym nie zgadła.
- To znaczy, że wyglądam na uczciwego człowieka?
- Raczej tak.

Prawnik, tylko tego jej brakowało. Prawnik i agent FBI w jednym. Prawie wygadała się o swoim doktoracie. Wyglądało na to, że nawet nie musiał szczególnie się wysilać, żeby wyciągnąć z niej informacje.

Nick nie powiedziała mu nic więcej o sobie, przez okno podziwiała otaczającą ich roślinność, która stawała się coraz zieleńsza, w miarę jak wjeżdżali coraz wyżej.

W końcu dojechali do jeziora Niedźwiedziego.

Pośród sosnowego lasu, na końcu rozciągającego się około pięćdziesięciu metrów od jeziora Niedźwiedziego ogromnego trawnika, stał uroczy, dwupiętrowy drewniany budynek. Każdy jego pokój miał szklane drzwi i balkon z widokiem na jezioro.

Do pomostów, które sięgały około piętnastu metrów w głąb cichej, spokojnej wody, uwiązane były kajaki i motorówki.

Śliczne pomalowane na biało krzesła i ławy ustawiono na wypielęgnowanym trawniku. Ale była zima i pomimo dość wysokiej jak na tę porę roku temperatury, nikogo nie było na zewnątrz.

Zostawiwszy wypożyczone auto na niewielkim parkingu wśród sosen, przeszli po kamiennej ścieżce do wejścia. Nick podniosła wzrok i spojrzała na czyste błękitne niebo z kłębiącymi się na nim leniwie chmurami. Na chwilę odwróciła się, by spojrzeć na lśniąca w południowym słońcu tafle jeziora Niedźwiedziego i śnieg na szczytach gór w oddali. Wokół jeziora była tylko odrobina śniegu. Przez chwilę stała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w tym malowniczym pejzażu. Widok zupełnie jak z pocztówki.

- To niezwykle piękne miejsce, ale z jakiegoś powodu, nie wiem dlaczego, nie podoba mi się tutaj - powiedziała.

Odwróciła się, przyspieszyła kroku i przez podwójne szklane drzwi weszła do wielkiego holu. W głębi za dużym drewnianym kontuarzem ustawionym pośrodku holu były biura. Przy kontuarze stała tęga kobieta o kręconych czarnych włosach i miłym uśmiechu. Na identyfikatorze napisane miała Velvet Weaver. Jednak rzadkie wąsy nad jej górną wargą kontrastowały z jej imieniem.

Dane przedstawił siebie i Nick, pokazując swoją odznakę FBI.

- O rany, mam nadzieję, że to nic poważnego.
- To rutynowe postępowanie, panno Weaver - powiedział swobodnie Dane. - Chcemy tylko zadać kilka pytań, mam nadzieję, że nam pani pomoże. Czy może nam pani opowiedzieć o synu jednego z państwa pensjonariuszy, Weldonie DeLoachu?

Velvet pokiwała głową.

- Nic złego nie mogę o nim powiedzieć. Pan DeLoach to cudowny człowiek i wspaniały syn. Jest słynnym scenarzystą telewizyjnym i bardzo dba o swojego ojca.

- Czy jest tu teraz? Może przyjechał odwiedzić ojca?
- Nie, agencje Carver. Nie było go tu przez ostatni tydzień, przynajmniej ja go nie widziałam. Oczywiście mógł przyjść, kiedy ktoś inny miał dyżur. Popytam. Zastanawiam się, kiedy ostatnio był u ojca. Szkoda, że kapitan DeLoach sam nie może wam tego powiedzieć. Biedny człowiek, od sześciu lat cierpi na demencję. Czy Weldon zrobił coś złego?

Dane pokręcił głową.

- Nie, nic. Tak, jak powiedziałem, to rutynowe postępowanie, panno Weaver. Rozumiem, że

kapitan DeLoach jest emerytowanym oficerem policji?

- Tak, przez prawie czterdzieści lat był komendantem policji w małym miasteczku.

- Pamięta pani może nazwę tego miasteczka? - zapytał Dane.

- Dadeville. Teraz to spore miasto, położone niedaleko Bakersfield. Biedny człowiek, ma już osiemdziesiąt siedem lat i jest bardzo słabego zdrowia. To smutne, ale kapitan DeLoach nie wygląda, jakby się tym przejmował. W tej chorobie tak jest. Nie boli to, o czym się nie wie.

- Jest aż tak stary? - zapytała zdziwiona Nick.

- Tak. Weldon to jego jedyne dziecko, urodził się, kiedy kapitan DeLoach był grubo po czterdziestce. Kiedy ma przebłyski pamięci, opowiada wszystkim, że to syn z trzeciego małżeństwa, a jego żona była od niego dużo młodsza. Chyba zginęła w jakimś wypadku, kiedy Weldon miał zaledwie cztery lata. Kapitan DeLoach nie ożenił się powtórnie, sam wychowywał syna. A on jest bardzo dobrym synem; od prawie dziesięciu lat płaci za pobyt ojca tutaj. Nigdy na nic nie narzekał.

Panna Weaver przerwała na chwilę, wyglądała na nieco zaniepokojoną.

- Czy mogę wiedzieć, co właściwie pana tu sprowadza, agencie Carver? Wiem, powiedział pan, że to rutynowa procedura, ale może chciałby pan porozmawiać z naszym dyrektorem, panem Latterley? Nie ma go tu w tej chwili, ale mogę po niego zadzwonić.

- Nie, to nie będzie konieczne, ale dziękuję, panno Weaver. Później porozmawiamy z panem Latterleyem. Tak naprawdę przyjechaliśmy tutaj zobaczyć się z panem DeLoachem. Czy nie będzie z tym problemu, panno Weaver?

- Nie, ale ostrzegam, nie oczekujcie państwo zbyt wiele. Zwykle kapitan przesiaduje przy oknie, patrząc na jezioro i góry. To bardzo spokojne miejsce, kojące dla duszy. Wiem, że lubi patrzeć na ludzi jeżdżących na nartach wodnych. Oczywiście teraz jest zima, więc nie ma okazji.

- A jak wygląda Weldon, panno Weaver? - zapytała Nick.

- To bardzo przystojny mężczyzna. Na moje oko jest po czterdziestce. Ma jasną skórę, jasne włosy, chociaż zawsze jest bardzo mocno opalony. Kiedyś mi nawet powiedział, że jest bardzo dumny ze swojej opalenizny. I jest bardzo pomysłowy. Zawsze ma jakiś pomysł na rozrywkę dla naszych pensjonariuszy, żeby się czymś zajęli i byli aktywni umysłowo.

- Rozumiem - odparła Nick i spojrzała na Dane'a. Weldon DeLoach nie mógł być mężczyzną, którego widziała w kościele. Ale dlaczego ten mężczyzna posługiwał się nazwiskiem tak podobnym do nazwiska Weldon?

Dane szedł długim, szerokim i bardzo ładnym korytarzem. Po obu jego stronach na białych ścianach wisiały akwarelowe pejzaże. Rozmyślał o Weldonie DeLoachu. W jaki sposób był zamieszany w tę sprawę? Czy ktoś nienawidził go tak bardzo, że wplątał go w te morderstwa?

- Czy Weldon może być potworem? A może dobrze się maskuje? - zapytała Nick szeptem, żeby panna Weaver nie słyszała. Nie patrzyła na Dane'a, ale na zawieszony na ścianach obraz.

- Dowiemy się tego.

- To pokój kapitana DeLoacha - powiedziała panna Weaver i zapukała do drzwi. Usłyszeli pomruk dochodzący z wnętrza pokoju. Po chwili Dane zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

# Rozdział 20

Staruszek leżał na podłodze obok wywróconego wózka inwalidzkiego, cicho jęcząc, z zaschniętą strużką krwi, która spływała po jego policzku na podłogę.

Dane odwrócił się, by spojrzeć na Nick, ale nie było jej, prawdopodobnie razem z Velvet Weaver poszła sprowadzić pomoc.

- Kapitanie DeLoach - powiedział Dane, pochylając się nad nim. - Słyszysz mnie pan? Proszę mi powiedzieć, co się stało?

Staruszek otworzył oczy. Nie wyglądał jakby cierpiał, był tylko trochę oszołomiony.

- Słyszysz mnie pan? Widzi?

- Tak, widzę pana. Kim pan jest?

- Agent Dane Carver, FBI.

Staruszek bardzo powoli uniósł drżącą, bardzo żylastą rękę i zasalutował.

Dane był urzeczony i też zasalutował. Potem delikatnie objął starszego pana ramieniem i powoli go podniósł.

- Spadł pan z wózka?

- Nie, agencie Carver - odpowiedział rozkojarzonym głosem, niemal szeptem. - Znowu tutaj był i powiedziałem mu, że dłużej nie będę milczeć i uderzył mnie.

- Kto, kapitanie? Kto pana uderzył?

- Mój syn.

- Zaraz, zaraz! Co tu się właściwie stało? - wykrzyknęła pielęgniarka, stając w progu, po czym uklękła obok kapitana DeLoacha, zmierzyła mu tętno i ujęła w dłonie jego bladą twarz.

- Kapitanie, to ja, Carla. Spadł pan z wózka, tak? Staruszek jęknął.

- No dobrze, a teraz wytrę krew z pana twarzy i obejrzę ranę. Musi pan bardziej uważać, wie pan o tym. Jeżeli chce pan pojeździć po pokoju, proszę wezwać kogoś z nas, by pana poprowadził. Możemy nawet zorganizować wyścigi, jeżeli pan sobie tego życzy. Teraz proszę przez chwilę się nie ruszać, kapitanie, opatrzę pana.

Oczy kapitana DeLoacha były zamknięte. Dane nie był w stanie go obudzić.

*Jego syn?*

Weldon DeLoach uderzył własnego ojca i zepchnął go z wózka? Ale przecież Velvet powiedziała, że Weldon nie było tutaj przez ostatni tydzień. Powiedziała też, że staruszek zwykle nie pamięta nawet własnego imienia. Dane trzymał go za rękę, aż Carla wróciła do pokoju. Sanitariusz, postawny Filipińczyk, podniósł go i położył na łóżku. Staruszek wyglądał jak worek starych kości ledwo trzymających się razem, a jego blade, żylaste ciało, obleczone było w jasnoniebieską flanelową koszulę i obszerne spodnie. Na stopach miał grube skarpety i tylko jeden kapeć. Drugi leżał obok telewizora. Sanitariusz położył go na plecach, delikatnie prostując stare

kończyny.

- Z tego, co mówiła Velvet, jesteście agentami FBI - powiedziała pielęgniarka Carla, nie patrząc na żadne z nich. - Czy mogę się dowiedzieć, co tu się dzieje? Czego właściwie chcecie od kapitana DeLoacha?

- Podeszliśmy do drzwi, usłyszeliśmy jęki, natychmiast otworzyliśmy i weszliśmy do środka. Kapitan DeLoach leżał na podłodze, tak jak pani widziała - wyjaśnił Dane.

- Zawsze spada z wózka, przewracając go - powiedziała pielęgniarka. - Ale dotąd nie zrobił sobie krzywdy. Paskudnie rozciął sobie głowę, ale na szczęście nie trzeba zszywać. Mam nadzieję, że nie ma wstrząsu mózgu. To mogłoby doprowadzić do pogorszenia jego stanu.

Dane i Nick przyglądali się, jak siostra Carla przemywa ranę, potem smaruje ją maścią i bandażuje. Nick dotknęła swojej głowy z opatrunkiem przykrywającym draśnięcie od kuli i nasunęła na nią włosy.

- Kapitanie DeLoach, słyszy mnie pan? Proszę otworzyć oczy - mówiła Carla. Staruszek nie odpowiadał, tylko leżał, od czasu do czasu pomrukując.

- Rozmawiał ze mną - powiedział Dane. - Był całkiem przytomny. Mówił, że ktoś go uderzył. Czy to możliwe, że ta rana nie jest od upadku?

Carla odchrząknęła.

- To mało prawdopodobne. Odwiedzał go tylko jego syn, a był tu ostatnio w ubiegłym tygodniu. Weldon działa jak w zegarku, przyjeżdża przynajmniej raz na dwa tygodnie.

- Spojrzała na Dane'a. - Mówi pan, że był przytomny? Jak to możliwe? Od wielu dni nie ma z nim kontaktu.

- Tak było. Proszę mi na chwilę wybaczyć, pójdę się rozejrzeć.

- Jak pan chce - powiedziała Carla. Spojrzała na Nick.

- Pani też słyszała, jak mówił?

- Nie. Kiedy zobaczyłam, że leży na podłodze i krwawi, pobiegłam po panią.

- To bardzo interesujące. Kapitanie DeLoach? Proszę otworzyć oczy. - Lekko poklepała go po obu policzkach.

Otworzył oczy, zaczął mrugać powiekami.

- Czy coś pana boli? Znowu jęknął i zamknął oczy. Carla westchnęła.

- Ciężko sobie z nim poradzić, kiedy jest nieprzytomny. Co pani robi?

- Oglądam wózek. Jest bardzo solidny. Jak kapitan zdołał go przewrócić? Jest dość ciężki - stwierdziła Nick.

- Dobre pytanie, ale wcześniej już to robił. Właściwie nikt nigdy nie widział go, jak się przewraca, znajdujemy go dopiero później. Już jest dobrze, opatrzyłam ranę. Kiedy przyjdzie lekarz, poproszę, żeby ją obejrzał. Teraz dam mu coś na uspokojenie, żeby odpoczął.

- Wydaje się całkiem spokojny - powiedziała Nick, przysuwając się bliżej, by przyjrzeć się bladej twarzy staruszka.

Carla skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała podejrzliwie na Nick.

- Nic pani o nim nie wie, więc pani opinia się nie liczy. Proszę mi powiedzieć, po co dwoje agentów federalnych chce spotkać się z kapitanem DeLoachem.

- Przykro mi - odpowiedziała Nick. - Wie już pani tyle, ile trzeba.

Siostra Carla głośno odchrząknęła, położyła dłoń na czole kapitana DeLoacha, pokiwała głową, po czym, wyciągnawszy z kieszeni niewielki notatnik, coś w nim zapisała. Nie powiedziała nic

więcej.

Nick chciała, żeby Dane już wrócił. Wiedziała, że poszedł sprawdzić, czy intruz zostawił jakieś ślady, czy Weldon DeLoach tu był.

Dziesięć minut później byli w wielkim gabinecie dyrektora Latterleya z ogromnym oknem wychodzącym na jezioro Niedźwiedzie. Dopiero przyszedł, był lekko zasapany.

- Czy widział pan ostatnio Weltona DeLoacha, panie Latterley?

- Nie. Wiem, że był tutaj jakiś tydzień temu, ale ja go nie widziałem. To człowiek godny zaufania, na pewno wszyscy tutaj tak panu powiedzieli. Przyjeżdża do ojca raz na kilka tygodni, upewnia się, że niczego mu nie brakuje. Czasami bywa częściej.

Dane pochylił się do dyrektora.

- A może widział pan tu ostatnio kogoś obcego? Chodzi mi o dzisiejszy dzień?

Pan Latterley pokręcił głową.

- Dziś przez większość dnia byłem w mieście, proszę zapytać kogoś z obsługi. Coś panu powiem, agencie Carver, po co ktoś miałby tu przyjeżdżać? Czasami latem trafi tu jakiś zbłąkany turysta albo ktoś pomyli drogę, ale teraz? To raczej niemożliwe.

- Drzwi balkonowe w pokoju kapitana DeLoacha nie były zamknięte na klucz, panie Latterley. Ktoś mógł je otworzyć i wejść do środka - zauważyła Nick.

- To prawda, ale po co? Dlaczego uważają państwo, że ktoś rzeczywiście mógłby wejść i uderzyć kapitana DeLoacha? To bardzo stary człowiek. Kto chciałby mu zrobić krzywdę?

- Kiedy zapytałem go, kto go uderzył, odpowiedział, że to był jego syn.

Pan Latterley wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Musiał go pan źle zrozumieć - powiedział. - Albo staruszek był nie do końca świadomy i nie wiedział, co mówi. Nie, to nie mógł być Weldon. To niedorzeczne.

Wciąż potrząsał głową, całkiem interesującą głową, pomyślała Nick. Była łśniaca, łysa i spiczasta. Nigdy wcześniej nie widziała głowy, która byłaby tak spiczasta.

- Nie - powtórzył, tym razem bardziej stanowczo. - To niemożliwe. Przecież nie znalazł pan niczych śladów, prawda, agencie Carver?

- Nie jestem pewny. Chcielibyśmy porozmawiać z obsługą, która pracuje w pobliżu pokoju kapitana DeLoacha.

Tak właśnie Dane spędził następną godzinę. Wszyscy kręcili głowami i wyglądali na zdziwionych jego pytaniami.

Nick siedziała obok łóżka kapitana, trzymała go za rękę i mówiła do niego uspokajająco, mając nadzieję, że dowie się czegoś sensownego. Ale on się nie odezwał. Kiedy przyszedł Dane, powiedziała mu:

- Kilka razy nawet otworzył oczy i patrzył na mnie, ale nic nie mówił. Opowiadałam mu różne śmieszne historie, ale nie reagował.

Zanim wyszli, przyszedł lekarz.

- Obejrzałem tę ranę na głowie kapitana DeLoacha - powiedział. - Wyjdzie z tego. Mówiąc szczerze, nie umiem powiedzieć czy ta rana to efekt upadku, czy rzeczywiście ktoś go uderzył. Ale na pierwszy rzut oka wydaje się dziwne nawet zastanawianie się, czy jakiś łajdak mógł włamać się do pokoju staruszka i zrzucić go z wózka.

- Kapitan DeLoach mówił, że powiedział swojemu synowi, że nie będzie dłużej milczał, i wtedy ten go uderzył. Ciekawe, co miał na myśli? - mówił Dane, kiedy razem z Nick szli w stronę ich

samochodu.

- Zaczynam się zastanawiać czy nie powinniśmy zapytać o to wyrocznie.

- To niegłupi pomysł - zaśmiał się Dane.

- Chyba zgłodniałam. Możemy w drodze powrotnej zatrzymać się w meksykańskiej knajpie?

- Jasne.

Dane wszedł do pokoju Nick w ładnie odnowionym hotelu Holiday Inn, położonym na Pico nieopodal Premier Studio.

Rozmawiała przez telefon. Nie słyszała, jak wszedł, była tak skupiona na rozmowie.

Dane zamarł. Z kim rozmawiała?

- Proszę mnie posłuchać - mówiła - dzwonię z Los Angeles Times. Mój redaktor poprosił mnie, żebym sprawdziła, czy na pewno ma jechać na zachód. Czy w jego harmonogramie jest Los Angeles czy San Francisco?

Wyczuła, że on tam jest, i błyskawicznie odwróciła się. Spojrzała na niego i odłożyła słuchawkę.

- Mogę dowiedzieć się od obsługi, dokąd dzwoniłaś, ale może lepiej będzie, jeżeli sama powiesz mi w końcu, co się dzieje.

Nick poczuła nagły przyływ strachu. Miała ochotę uciec jak najdalej. Albo ukryć się pod tuzinem koców.

- Odejdź.

Usiadł obok niej na szerokim łóżku, podniósł jej dłonie i uściśnął. Miała ładne dłonie, krótkie paznokcie. Jej skóra była znowu gładka. Włosy były odrobinę wilgotne, a na ustach miała błyszczący. Usta też miała ładne.

Patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Posłuchaj mnie, dużo się ostatnio wydarzyło, wiem, że to może cię przerastać. Dlaczego nie pozwolisz sobie pomóc? Mój mózg jest w stanie ogarnąć wiele rzeczy naraz. Jestem wielofunkcyjny, jak u kobiety - próbował żartować. - Proszę, Nick, zaufaj mi.

Nagle wydała się bardzo zmęczona, wyczerpana i pokonana. Wyglądała na rozpaczliwie samotną.

Powoli przyciągnął ją do siebie. Poczul wyraźnie, jak ogarnia ją panika, ale dalej ją trzymał, tak bardzo chciał ją pocieszyć. Jej wilgotne włosy pachniały dziewczęco kwiatowym zapachem.

- Sama wiesz aż za dobrze, że na świecie jest bardzo dużo złych rzeczy i złych ludzi. Ale wiesz co? Właściwie na część tego zła możemy coś poradzić. Złapiemy faceta, który zabił tych wszystkich ludzi, z moim bratem włącznie. - Zamilkł. Opowie mu o sobie wtedy, kiedy zechce i będzie na to gotowa. Może to była kwestia zaufania. Więc niech tak zostanie. Nie będzie więcej nalegał. Powiedział tylko: - Jestem tutaj dla ciebie, Nick.

- Jasne, i morderca też jest i chciał mnie zabić. Chcę wyjechać, Dane. Już mnie nie potrzebujesz.

- Za późno, Nick. - Delikatnie pogładził dłonią opatrunek, który przykrywał draśnięcie od kuli. - W tym problem. Miltonowi się nie udało, więc facet, który go wynajął, spróbuje znowu, musisz się z tym liczyć. Potrzebujesz mnie, chociażby jako ochroniarza.

- Cholerny, podły świat - powiedziała ze złością. - To wszystko jest do kitu.

- Tak, wiem. Ale zajmijmy się tym. Zaufaj mi. To dla mnie chleb powszedni. To moja robota, za to mi płacą.

Nick nic nie powiedziała. Nie poruszyła się też, pozwoliła mu tylko mocniej się przytulić. Czowała się taka bezpieczna w jego silnych ramionach. Czowała jego siłę fizyczną i duchową. Wiedziała, że był jak skała i można było na nim polegać i że nigdy nie złamałby danego słowa. Pomyślała o księdzu



Michaelu Josephie, przypomniała sobie jego twarz, identyczną jak twarz Dane'a. Ale on nie żył. Wiedziała, że Dane został z tym zupełnie sam, że walczy, by przetrwać każdą kolejną godzinę, każdy dzień. A w tej chwili to on pocieszał ją. Kto tu bardziej potrzebował wsparcia?

- Już mi lepiej - powiedziała Nick, powoli odsuwając się od niego. Spojrzała na niego i delikatnie pogładziła go dłonią po policzku. - Jesteś wspaniałym człowiekiem, Dane. Bardzo mi przykro z powodu twojego brata.

Dane patrzył obojętnym wzrokiem.

- Byłabym wdzięczna - dodała, wstając i poprawiając sweter, który wybrał dla niej w ubiegły piątek, uroczy czerwony sweter z dekoltem karo, pod który włożyła białą bluzkę - gdybyś nie interesował się tym, do kogo dziś dzwoniłam.

Z jego oczu wyczytała, że nie będzie wypytywał o to recepcjonistę. Przynajmniej nadal był skłonny zostawić jej odrobinę prywatności.

- Wcześniej czy później się dowiem, Nick - zauważył tylko.

- Lepiej później - odparła cicho. Dane wzruszył ramionami.

- Gotowa? Spotykamy się wszyscy na kolacji w celu wymiany informacji.

- Możemy iść - zdecydowała, wkładając wełniany płaszcz, który kupił jej Dane. Zrobił dla niej za dużo, o wiele za dużo, a chciał zrobić jeszcze więcej. To było trudne do zniesienia. Pogładziła wełniany płaszcz. Był taki miękki w dotyku. - Ciągle się bałam. Leżałam w ciasnym łóżku na piętrze schroniska, po uszy przykryta kocem z przydziału i słuchałam, co działo się na parterze. Czasami były tam wrzaski, awantury i burdy, wtedy bardzo się bałam, bo przemoc zawsze wydawała mi się ściśle powiązana z lękiem, bardzo do siebie pasowały. Czasami te ich awantury przenosiły się na górę, często też rzucali w siebie różnymi rzeczami, dopóki komuś z personelu schroniska nie udało się przywrócić spokoju. Byli tam narkomani, uzależnieni od alkoholu, chorzy umysłowo, ludzie w trudnej sytuacji życiowej, wszyscy pomieszani razem. Lęk był wszechobecny, ale każdy chciał przeżyć.

- I ty wśród nich.

- Tak, chyba można powiedzieć, że byłam jedną z tych, których przerosło życie. - Zamilkła, spojrzała na swoją lewą rękę, którą nadal gładziła wełniany płaszcz. - Alkoholicy i inni uzależnieni mieli skłonności do autodestrukcji. Nie chodzi o to, że im nie współczułam, ale byli zupełnie inni od pozostałych bezdomnych, bo ciągle użalali się nad sobą. I nigdy nie winili siebie za swoje nieudane życie. To było najdziwniejsze. Jeden z psychologów zatrudnionych przy schronisku twierdził, że oni nie byliby w stanie codziennie patrzeć na siebie w lustrze. Mieli tak niewiele. Ale sami byli odpowiedzialni za swoją sytuację życiową. Nie mieli odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, więc nie było dla nich nadziei.

Najgorsi byli chorzy psychicznie. Naprawdę nie mogę zrozumieć, jak można pozwolić, żeby ludzie, którzy są tak chorzy, że nie pamiętają, żeby wziąć lekarstwo, nawet nie wiedzą, że wymagają leczenia, włóczyli się po ulicach. Oni cierpią najmocniej, bo są najbardziej bezradni.

- Pamiętam, jak jeden z burmistrzów Nowego Jorku próbował usunąć bezdomnych i chorych umysłowo z ulic i umieścić w schroniskach, ale rozjuszył tym obrońców praw człowieka.

- Ja też to pamiętam - powiedziała Nick. - Obrońcy praw człowieka wybrali jedną nieszczęsną kobietę, doprowadzili ją do porządku, przyzwócicie ubrali, nafaszerowali lekarstwami, by mogła sprostać wymaganiom, i wygrali. Ale ta biedaczka przegrała. Kilka dni później znalazła się z powrotem na ulicy, bez lekarstw, bezradna i bezbronna. Po prostu posłużyli się nią. Zastanawiam się, czy ich prawnicy się tym przejęli.

- Kim ty właściwie jesteś, Nick?

Zastygła w bezruchu przed drzwiami samochodu, które Dane przed nią otworzył.

- Mam na imię Nick, skrót od Nicola. Wolę, żebyś nie znał mojego prawdziwego nazwiska - odpowiedziała.

- To znaczy, że mogłem wcześniej o tobie słyszeć?

- Nie. To znaczy, że masz komputer i dostęp do informacji. A więc coś z nią było nie tak, coś, co mógł odkryć, coś poza tym, kim była. Co jej się stało?

Kiedy usiadł za kierownicą i przekręcał kluczyk w stacyjce, spojrzał na nią.

- Chcę wiedzieć, kim jesteś, nie tylko znać twoje imię - powiedział.

Ona patrzyła przed siebie i nie odzywała, dopóki z hotelowego parkingu nie wyjechali na ulicę.

- Jestem kobietą, która może nie żyć, zanim nadejdzie wiosna.

Zacisnął dłonie na kierownicy.

- Bzdura! Dramatyzujesz, wyolbrzymiasz sytuację. Myślę, że wiosną będziesz robiła dokładnie to samo, co robiłaś w ubiegłym miesiącu. Co robiłaś w grudniu, Nick?

- Uczyłam historii średniowiecznej - nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Orientował się już, że ma doktorat, to mu za wiele nie powie.

- Czy ty nie jesteś przypadkiem doktor Nick?

- No tak, to już wiesz. Wiesz też, że twój brat kochał historię.

- Mój brat był imponującym człowiekiem, bardzo dobrym człowiekiem - powiedział Dane i szybko uciał. Poczul rozdzierający ból, gdzieś w głębi serca, gdzie płynęła ta sama krew, co w żyłach Michaela. Przypomniawszy sobie, jak na pogrzebie Michaela arcybiskup Lugano położył mu dłoń na ramieniu, mówiąc, że czas leczy rany.

Skupił się na prowadzeniu. Na chwilę rozproszyła go jadąca na rolkach dziewczyna ubrana w skąpe spodenki odsłaniające część pośladków. Pomachała do niego, uśmiechając się i posyłając pocałunek. Dane pomachał jej i uśmiechnął się nieznacznie.

- To się nazywa zaprezentować się.

- O tak, masz rację - zgodziła się Nick. - Też uważam, że świetnie jeździ na rolkach.

Dane był wyraźnie zaskoczony.

- To było naprawdę zabawne, Nick. Uśmiechnęła się lekko.

- Dokąd jedziemy?

- Spotykamy się wszyscy w Zielonym Jabłku, w pobliżu Melrose.

Nick westchnęła.

- Sądząc po nazwie, raczej nie serwują tam tacos?

- Mam tylko nadzieję, że nie podają smażonych zielonych jabłek. Jestem Amerykaninem i kocham tłusto jeść, ale kiedy tylko zjem kilka kawałków czegoś smażonego, mój żołądek się buntuje. Koszmar.

- Nie marudź. Z drugiej strony nie musisz martwić się o swoją wagę.

Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że ktoś dowiedział się czegoś przydatnego. Niestety, to, czego my się dowiedzieliśmy, wywołuje tylko więcej wątpliwości.

Jak się okazało, Sherlock i Savich trafili na żyłę złota.

# Rozdział 21

Sherlock opowiadała pomiędzy kolejnymi kęsami marchewki.

- Dotarliśmy do gościa, który jest naprawdę dobrym przyjacielem Weldon DeLoacha. Nazywa się Kurt Grinder (grinder (z ang.) - młynek, rozdrabniacz. (przyp. tłum.)). Jest gwiazdorem porno. Tak, tak, wiem - dziwne nazwisko. Nie mogłam się oprzeć i zapytałam. Powiedział, że to jego prawdziwe nazwisko. Znają się z Weldonem jakieś osiem lat, odkąd przyjechał do Los Angeles. Powiedział, że ostatnio widział go dwa i pół tygodnia temu w kręgielni, w centrum rozrywki w północnym Hollywood. Co tydzień, w czwartkowe wieczory, chodzili z Weldonem na kręgle. Weldon twierdził, że kręgle zawsze go odprężają. Niepokoił się, ponieważ tego dnia Weldon nie zadzwonił do niego, nie zastał go też w jego mieszkaniu.

- Po błysku w pani oku, agentko Sherlock poznaję, że nie powiedziała nam pani wszystkiego. Jest coś jeszcze, a pani się z nami droczy - naciskał detektyw Flynn.

- Wszystko po kolei - wtrącił się Savich. - Pozwól jej mówić dalej. Zobaczysz, że warto.

Sherlock pomachała swoją marchewką i pochyliła się lekko do przodu.

- Okazało się, że Kurt Grinder miał problem z butami do kręgli i musiał na chwilę zostać. Weldon wyszedł przed nim.

Gdy Kurt zszedł z toru, zobaczył, jak jeden facet zatrzymuje Weldon, zanim ten wszedł do samochodu. Rozmawiali przez chwilę. Zanim Kurt ich dogonił, Weldon i ten facet wsiedli razem do samochodu tego faceta, nie, do samochodu Weldon.

Bębniąc niecierpliwie palcami o blat stołu, Delion zapytał:

- No dobra, Sherlock, co to za facet?

- Kurt powiedział, że nigdy wcześniej go nie widział, a naprawdę dobrze mu się przyjrzał. - Ściszyła głos, więc wszyscy musieli pochylić się, by ją usłyszeć. - Kurt powiedział, że wyglądał na trzydzieści parę lat, miał ciemne, gęste włosy, ale najbardziej utkwiła mu w pamięci jego blada skóra: tak biała jak brzuch wieloryba.

- A to znaczy - powiedział Savich - że jeśli Kurt mówi prawdę, a moim zdaniem nie ma powodu, by kłamać, DeLoach może być powiązany z tymi zabójstwami.

- Lub może - powiedział powoli Dane - ktoś go wrabia. Nie zapominaj, że nie możemy go znaleźć, a to, że on jest zabójcą, od początku było zbyt oczywiste.

Savich pokiwał głową.

- Jednym z pierwszych pytań, które zadaliśmy panu Grindrowi było, czy kiedykolwiek widział Weldon z czarnymi włosami i bez opalenizny. Zaśmiał się, powiedział, że Weldon często zmienia wygląd, kocha się przebierać, ale nigdy go takim nie widział. Dobra, Sherlock, a teraz najlepsze.

Wszyscy przy stole znowu pochylili się do przodu.

- Kurt zanotował numer rejestracyjny.

- Jezu - powiedział Flynn. - Kurt Grindler mógłby pracować dla policji w Los Angeles.

- Dobra, więc kto jest właścicielem tego cholernego samochodu? - zapytał Delion.

- Belinda Gates, żona Franka Pauleya, jedna z gwiazd „Superagenta” - odpowiedział Savich.

Przez kilka sekund panowała absolutna cisza.

- Ale w kręgielni z Weldonem spotkał się mężczyzna - powiedział powoli Flynn. - A samochód należy do tej aktorki?

- Tak - odpowiedziała Sherlock. - Savich zastanawiał się, czy może dziś wieczorem złożyć wizytę Belindzie i Frankowi.

Nick, która do tej pory milczała, zapytała:

- Myślicie, że Belinda Gates przebrała się za mężczyznę?

- O Jezu - jęknął Delion. - Mój mózg się przytykał. W tym momencie jestem gotów uwierzyć, że na dachu amfiteatru Hollywood Bowl wylądowali kosmici.

- Pozostaje pytanie, gdzie jest Weldon DeLoach? - powiedział Savich, patrząc na Nick i Dane'a.

- Dobra, przyjrzyjmy się temu raz jeszcze. Dane, opowiedz nam, czego dowiedziałeś się w domu opieki.

- Kapitan DeLoach jest obłąkany - odpowiedział Dane. - Nie ma co do tego wątpliwości. Ale przysięgam, że gdy pierwszy raz z nim rozmawiałem, miał całkowicie przytomny umysł. Czy wiecie, że gdy powiedziałem mu, że jestem z FBI, zsalutował mi? Może naprawdę spadł z wózka inwalidzkiego, a może to wszystko zmyślił. Po prostu nie wiem, co mam o tym myśleć.

Dane zwrócił się do Nick, która siedziała z dłońmi opartymi na kolanach, wpatrując się w resztki swojej sałatki z kurczaka, i powiedział:

- Nick? Co o tym myślisz?

- Wszyscy w domu opieki są przekonani, że kapitan DeLoach sam upadł i nikogo wtedy przy nim nie było - odpowiedziała Nick. - Brzmi to wiarygodnie i możemy przyjąć taką wersję. Łatwiej w to uwierzyć niż w to, że syn próbuje zabić swojego ojca.

- Ale - odezwała się Sherlock, biorąc kolejną marchewkę. - Jeżeli Weldon faktycznie uderzył go w głowę i zrzucił z wózka, pozostaje pytanie, czego to ojciec nie chciał dłużej trzymać w tajemnicy?

- Tego, że Weldon mordował ludzi w oparciu o własny scenariusz - powiedział Flynn. - To przecież oczywiste.

- Możliwe - mruknęła Sherlock, marszcząc brwi. - Może. Ale to jest zbyt proste.

- Nie zamierzał ani chwili dłużej milczeć o tym, co zrobił jego syn - powiedział powoli Dane, akcentując każde słowo.

- Możliwe, że Weldon powiedział ojcu, że jest mordercą, a starzec w końcu od tego zwariował.

- No tak, ale kto uwierzyłby kapitanowi DeLoachowi, jeśli ten wyznałby komukolwiek, że jego syn morduje ludzi?

- zastanawiała się Nick. - Jego jedyną widownią jest personel domu opieki, a oni wszyscy uważają, że jest obłąkany. Pokiwaliby tylko z politowaniem głowami i powiedzieli, że to bardzo smutne. Daliby mu więcej lekarstw. Weldon na pewno zdawał sobie z tego sprawę. Dlaczego skrzywdził, może nawet próbował zabić ojca, choć ten nie mógł mu zaszkodzić?

Przy kawie i herbacie Flynn powiedział im, że uruchomił swoich informatorów i jeśli się czegoś dowiedzą, zaraz dadzą znać. Ani na scenarzystów i obsadę „Superagenta”, ani na dwóch producentów nie udało się znaleźć nic ciekawego.

- Każdy ma jakieś drobne grzechy na sumieniu - powiedział Flynn. - Aresztowanie za kontakty z

prostyutkami, narkotyki, kuracje odwykowe, mandaty za złe parkowanie i prędkość, kilka zawiadomień o awanturach domowych, ale żadnych poważnych zarzutów, nic, od czego zatańczyłbym z radości.

- Naprawdę? - zdziwił się Delion. - A co by pan zatańczył? Może rumbę?

- Nie - odpowiedział Flynn. - Zwykłą salsę. Moja żona mówi, że lubi patrzeć, jak gram w koszykówkę, ale wprost uwielbia, jak tańczę salsę.

Nick spojrzęła na Flynnę i powiedziała:

- Ja też całkiem nieźle radzę sobie w salsie, detektywie Flynn.

Oczy Flynnę zaiskrzyły.

- Kiedyś będziemy musieli spróbować.

- Tak, tak, a co z Pauleyem i Wolfingerem? - zapytał Savich.

- Pan Frank Pauley mieszkał w Hollywood przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Przez ten czas był czterokrotnie żonaty, a obecna pani Pauley, Belinda Gates, według wtajemniczonych też długo zagrzeje miejsca w jego domu. To nic nadzwyczajnego, nic, czego nie moglibyśmy znaleźć, grzebiąc w jego śmieciach.

- Jeśli Belinda jest w to zamieszana, jej mąż musi przynajmniej coś podejrzewać - przytaknęła Sherlock.

- Zgadza się - powiedział Flynn. - Teraz kolej na Belinę Gates. Przyjechała do Los Angeles pięć lat temu, dostawała jakieś niewielkie role, kręciła reklamy, kilka filmów erotycznych, robiła nawet charakteryzację do kilku seriali. Prawdziwą karierę zrobiła, lądując w ramionach Pauleya.

- Z tego, co wiemy, Linus Wolfinger faktycznie jest cudownym dzieckiem. Arogancki mały wypierdek, podobno lubi chłopców, ale to tylko plotka, nie fakt. Pojawił się znikąd, sierota, błąkał się pomiędzy domami rodzin zastępczych. Studiował na uniwersytecie w Santa Barbara. Rok po zakończeniu nauki przyszedł do pracy przy produkcji w Premier Studios i mając zaledwie dwadzieścia trzy lata, zaimponował Burdockowi, a resztę już znacie. Nie ma nic na sumieniu, tylko jeden cholerny mandat za przekroczenie prędkości: to było pierwszego dnia, gdy prowadził swoje nowe porsche.

- Co robił przez ten rok po ukończeniu studiów? - zapytał Savich.

Oczy Flynnę rozblęły.

- Jeszcze nie wiemy. Sprawdzamy to. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął małą czarną książeczkę i coś w niej zanotował. - Jednego możemy być pewni - nie będą kontynuować produkcji „Superagenta” bez naszej wiedzy - po czym uśmiechnął się do wszystkich. - Może zamówimy deser?

Flynn i Delion zamówili szarlotkę z lodami waniliowymi.

Gdy przyniesiono dwie porcje deseru, Flynn rozejrzał się po stole.

- Wy, federalni, skubiecie jedzenie jak wróble. Będziecie potrzebować nas, miejscowych. Dbamy nie tylko o nasze mózgi, ale i ciała.

Sherlock odwróciła się do niego, a burza rudych włosów, poskręcanych jak korkociągi, zatańczyła wokół jej głowy.

- Sugerujesz, że mamy problem? Że brakuje nam cukru? Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam.

Wzięła widelczyk i odkroiła wielki kawał szarlotki z talerzyka Flynnę.

Nick roześmiała się. Przyłączył się do nich Dane. Dobrze się bawili.

Frank Pauley i Belinda Gates rzeczywiście mieszkali w szklanym domu, pomyślał Dane, patrząc na paskudny budynek na szczycie klifu na Mulholland Drive. Był tak silnie oświetlony, że jeśli ktoś

wewnątrz chodził nago, ludzie z odległości kilku kilometrów mogli podziwiać ten widok.

Grupa złożona z pięciu policjantów i jednego cywila stanęła przed gigantycznymi, podwójnymi drewnianymi drzwiami. Flynn zapukał. Odtworzyła im kobieta ubrana w strój francuskiej pokojówki, w szpilkach i siatkowych pończochach. Na głowie miała mały biały seksowny czepek. Rzecz w tym, że miała przynajmniej pięćdziesiąt lat i dobre dziesięć kilo nadwagi, a jej posiwiałe włosy były obcięte na jeża.

Z trudem opanowali się, by nie wybuchnąć śmiechem, nawet kiedy zaprosiła ich do salonu.

- Ma pan gości. Przypuszczam, że wszyscy są oficerami policji. - Po czym, nie do wiary, dygnęła w ich stronę, odwróciła się i odeszła na dziesięciocentymetrowych obcasach.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Delion zwrócił się do Franka Pauleya.

- Ładny dom - powiedział.

- Dziękuję. Moja druga żona była architektem. Zaprojektowała go. Spodobał się zarówno mojej trzeciej żonie, jak i obecnej, Belindzie. - Odchrząknął. - Belinda zatrudniła służbę i nie toleruje nikogo poniżej pięćdziesiątki, więc mamy Fifi Ann, która jest bardzo miłą osobą, dobrze zorganizowaną i ma lekkie skłonności do ekshibicjonizmu.

- Fifi Ann? - zdziwiła się Sherlock, unosząc wysoko brew.

- Sama chciała, żeby ją tak nazywać. Kiedyś była aktorką. Sama też wybrała swój strój pokojówki, twierdzi, że w ten sposób podkreśla swoją rolę. A teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego przyszliście tu o dziewiątej wieczorem?

- Chcemy rozmawiać z Belindą - odpowiedziała Sherlock. - Jest w domu?

- Oczywiście. Czasy, kiedy całe noce balowała, minęły, odkąd jest ze mną. - Pauley podszedł do telefonu, wcisnął kilka guzików i powiedział: - Są tu gliny. Chodź tu i ratuj mnie.

- Urocze - mruknął Flynn.

Pięć minut później do salonu weszła Belinda, ubrana w czarne legginsy, bluzę od dresu, miała bosa stopy. Jej twarz błyszczała od potu, włosy były gładko zaczesane. Wycierała twarz ręcznikiem.

- Witam, agentko Sherlock, agencie Savich. Frank, nie potrzebujesz pomocy. Ci państwo mają uroczego synka. A kim są pozostali?

Przedstawili się kolejno. Jak zwykle, Dane przedstawił Nick jako agenta federalnego.

- Przyszliście, żeby aresztować Franka? - zapytała Belinda. Flynn sięgnął do tylnej kieszeni po kajdanki, wyciągnął je i pomachał nimi przed Pauleym.

- Czy mam go powalić na podłogę, proszę pani? My, policjanci, lubimy być uczynni.

Belinda roześmiała się, nie przestając wycierać z siebie potu. Nagle ściągnęła bluzę. Została jedynie w sportowym staniku.

Mężczyźni zaniemówili z wrażenia. Nick uśmiechnęła się.

- To było naprawdę niezłe, prawda? Założę się, że detektyw Flynn już zapomniał o kajdankach - powiedziała.

Belinda tylko się uśmiechnęła.

- Frank, może zorganizujesz nam coś do picia? Wszyscy zasiedli na krzesłach z białej skóry i ogromnej długiej sofie naprzeciw kominka. Nick nie mogła zrozumieć, po co w Los Angeles potrzebny jest kominek.

- Belindo, proszę nam powiedzieć, po co dwa i pół tygodnia temu spotkała się pani z Weldonem DeLoachem w kręgielni centrum rozrywki. Dlaczego była pani ubrana jak mężczyzna i dokąd pojechaliście? - zapytała Sherlock.

Frank Pauley zerwał się na równe nogi i szybkim krokiem podszedł do okna zajmującego całą ścianę.

Belinda dopiła swoją wodę mineralną, a po chwili powiedziała:

- Czy to nie dziwne, jak łatwo można dać się nakryć?

- Tak, w ten sposób zarabiamy na życie - powiedział Delion. - Po co spotkała się pani z Weldonem DeLoachem? Dlaczego ubrała się pani dokładnie tak, jak nasz morderca?

Frank kręcił się w kółko.

- Wiedziałem, po prostu wiedziałem. Weldon szaleje za tobą, chce zrobić z ciebie gwiazdę i...

Cztery żony, pomyślała Nick, przebłysk rzeczywistości w tym pałacu ze szkła.

Belinda uśmiechała się do męża, który krążył nerwowo. Ona wcale nie wydawała się zaniepokojona.

- Tak naprawdę, cukiereczku, wcale nie masz racji. Weldon zupełnie nie jest w moim typie, za to ty tak. Weldon i ja postanowiliśmy się spotkać tego wieczoru w kręgielni, i ja miałam go zabrać. Pojechaliśmy do La Pomne w dzielnicy Westwood, siedzieliśmy razem i wymienialiśmy pomysły na scenariusz. On chciał, żeby moja rola w „Superagencie” była większa. - Wzruszyła ramionami. - Przyznaję, byłam ubrana jak mężczyzna. Weldon poprosił mnie, żebym właśnie tak się ubrała, powiedział mi dokładnie, jak mam wyglądać. Teraz, kiedy Weldon jest nie wiadomo gdzie i nie można go znaleźć, a program został zdjęty, to nie ma znaczenia.

- Weldon chciał zmienić pani rolę na męską? To bez sensu, Belinda - powiedziała Sherlock.

- Miał inny pomysł, miałam zagrać kobietę - szpiega, o której wszyscy myślą, że jest mężczyzną. Chciał zobaczyć, czy jestem wystarczająco dobrą aktorką, by nabrać ludzi i przekonać ich, że jestem mężczyzną. Tylko tyle. Myślę, że dobrze wypadłam. Nikt mi się nie przyglądał. Weldon śmiał się i śmiał, był taki rozbawiony. Wiesz, Frank, jak on się zachowuje, gdy jest podekscytowany.

- Jak sobie pani z tym poradziła? - zapytała Sherlock. - Jest pani piękna i ma długie włosy.

- No cóż, kiedyś za dawnych, gorszych czasów, zajmowałam się charakterystyką i jestem w tym niezła. To przebranie nie było dla mnie zbyt wielkim wyzwaniem.

Nick poczuła, jakby jej serce rozprysło się na kawałki. Te słowa wypowiedziane przez Belindę, aktorkę, brzmiały tak bardzo wiarygodnie, nawet to nieszczęsne przebranie. Nick jej uwierzyła.

- Jest piekielnie dobrą aktorką - zwrócił się Flynn do pozostałych, kiedy zmierzali do swoich samochodów, zaparkowanych na wielkim okrągłym podjeździe. - Nie zapominajmy o tym. Boże! Czyż ona nie jest boska?

# Rozdział 22

## CHICAGO

Nicola wróciła do domu z potwornym bólem głowy, po męczącej, trwającej dwie godziny burzliwej dyskusji na uniwersytecie. Przynajmniej nie czuła się już sponiewierana i zagłodzona. Minęły trzy dni od jej zatrucia pokarmowego. A tydzień, odkąd zaczęła widzieć wszystko w zupełnie innym świetle.

Wyjętą ze skrzynki korespondencję, położyła na małym stoliku przy wejściu, podeszła do lodówki i wyjęła butelkę dietetycznego toniku, a z apteczki wzięła trzy aspiryny.

Gdy nareszcie przejrzała swoją pocztę, znalazła jeden list bez adresu zwrotnego. Jej nazwisko było napisane na kopercie grubym, pochylonym drukiem. Charakter pisma wydawał jej się jakby znajomy. Nicola sięgnęła po swój dwustuletni chiński nóż do papieru w kształcie smoka, który dostała od Johna na Gwiazdkę, i rozcięła nim kopertę. Wyjęła trzy zapisane drobnym maczkiem kartki.

*Nicola.*

*Na pewno jesteś zaskoczona tym, że się odzywam.*

Kto to napisał? Zerknęła na ostatnią stronę listu i zobaczyła schludny, czytelny podpis: *Cleo Rothman*. Nie, to nie działało się naprawdę. Dlaczego Cleo napisała do niej po trzech latach milczenia?

*Nie jest mi łatwo, Nicola, ale zawsze bardzo cię lubiłam, i dlatego postanowiłam ci pomóc. Jeśli wyjdiesz za mąż za Johna, będziesz żałować. Nie jest tym, kim się wydaje. Uwierzyłaś, jak wszyscy inni, że uciekłam z Todem Gambolem, prawda? Tak nie było. Nawet nie wiem, gdzie jest teraz Tod, ale nie zdziwiłabym się, gdyby nie żył. Ja uciekłam, Nicola, po prostu uciekłam. John chciał mnie zabić. Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo był przekonany, że sypiałam z Elliottem Bensonem, długoletnim kumplem burmistrza i przyjacielem Johna. Czy naprawdę się przyjaźnili? Nie wiem.*

*Właściwie, doszły mnie słuchy, że też sypiasz z Elliottem. Czy John też słyszał te plotki? Raczej tak. Może już rozumiałaś, że każdą kobietę, z którą zwiąże się John, odbiera mu Elliott. Słyszałam, że jest bardzo dobry w łóżku. Sypiasz z nim, Nicola? Tak naprawdę to bez znaczenia, bo John niewątpliwie uważa, że tak.*

*Pewnie myślisz, że zwariowałam, ale posłuchaj, co stało się trzy lata temu: John był akurat w Waszyngtonie, a ja potrzebowałam czegoś z jego biblioteki. Zobaczyłam, że jego sejf jest otwarty. Tylko on znał do niego szyfr, a ja byłam bardzo ciekawa, więc zajrzałam do środka. Znalazłam tam dziennik Johna i wzięłam go. Skopiowałam dla ciebie kilka stron, żebyś mogła zobaczyć, jaki on jest naprawdę. Nie wiem, czy zabił swoją matkę, ale wiem, że zabił Melissę, tę dziewczynę, którą chciał poślubić na studiach. Dowiedział się, że sypiała z jego najlepszym przyjacielem. I wiesz,*



*co? Jego najlepszym przyjacielem był Elliott Benson. Ile jeszcze kobiet zabił? Przesyłam ci strony z jego dziennika, Nicola. Możesz sama przeczytać, nie musisz mi wierzyć na słowo. Czy już zaczęły cię spotykać dziwne rzeczy? Uciekaj, póki możesz, Nicola. John to wariat. Ratuj się.*

*Cleo Rothman.*

Nicola powoli podniosła dwie pozostałe strony listu. Dziennik Johna. Przeczytała.

Dość tego, pomyślała, kiedy skończyła czytać. Pospiesznie włożyła płaszcz i wyszła, kierując się do mieszkania Johna. Zamierzała dowiedzieć się prawdy, i to jeszcze dziś.

LOS ANGELES

Joe Kleypas, gwiazda „Superagenta”, mieszkał na Glenview Drive w niewielkim drewnianym domu z wielkimi oknami, położonym na wzgórzach Hollywood. Otaczały go uschnięte krzaki i wybijały sosny. Kiedy zapukali po raz trzeci, drzwi otworzył Kleypas ubrany jedynie w bardzo stare, wyblakłe niebieskie spodnie od dresu. Były luźno ściągnięte i zwisały poniżej brzucha, pokazując jego słynny „kaloryfer”, który wyglądał jakby był wypolerowany na wysoki połysk. Jego włosy ułożone były w sterczące kolce, a on sam nie był w zbyt dobrym humorze. Był też pijany. Stał w drzwiach, pomachał do nich szklanką w połowie wypełnioną przezroczystym płynem.

- Proszę, proszę, kogo diabli niosą? Sherlock podsunęła mu pod nos swoją odznakę. Pociągnął łyk ze szklanki, uśmiechając się szyderczo.

- Oho, akademia policyjna.

- Tak - powiedział Savich. - A nawet akademia federalna. Chcielibyśmy z panem porozmawiać, panie Kleypas.

- Akademia federalna. To zabawne.

- Dla pana to panowie i panie z akademii federalnej - burknął Dane.

- Bardzo zabawni i zdolni. - Joe Kleypas oparł się o framugę drzwi i skrzyżował ręce na nagiej i bardzo ładnie umięśnionej klatce piersiowej. Nick zastanawiała się, jak wyglądałby Dane, gdyby wysmarował sobie brzuch czymś tak błyszczącym. Była ciekawa, czy po prostu idzie się do apteki i kupuje środek do nabłyszczania brzucha.

- Rozmawiałem już z detektywem Flynnem - powiedział Kleypas. - Nie chcę gadać z żadnymi gliniarzami, nawet z federalnymi. Wypieprzajcie stąd wszyscy, ale już! A ty jesteś cholernie ładna, jesteś aktorką? Jeśli chcesz, możemy wyskoczyć gdzieś na drinka. Z mojej sypialni jest naprawdę świetny widok na kanion, łóżko też mam wygodne.

Ani Sherlock ani Nick nie wiedziały, którą z nich próbował poderwać.

- To bardzo miłe, ale raczej nie skorzystam, dziękuję - powiedziała Nick.

Joe Kleypas wzruszył ramionami, a „kaloryfer” na jego brzuchu zmarszczył się lekko.

- W takim razie żegnam. Zejdźcie mi z oczu.

Dopił drinka, głośno beknął i lekko się wzdrygnął. Oho, pomyślała Sherlock, to nie wróży nic dobrego. Facet wygląda, jakby za chwilę miał eksplodować.

Ostrzegano ich, że ma wybuchowy temperament. Agresywny pijaczyna - najgorszy typ faceta, pomyślała Sherlock i ostrożnie odsunęła się o kilka kroków do tyłu, w razie gdyby coś głupiego przyszło mu do głowy, na przykład rzucenie się na Dane'a czy Dillona.

- Chodźmy do samochodu - szepnęła do Nick i lekko pociągnęła ją za ramię. - Przeszkadzamy w akcji. Chłopaki sobie z nim poradzą.

Wtedy Savich spokojnie wepchnął Kleypasa do jego mieszkania i wszedł za nim. Dane też wszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy piętnaście minut później Dane i Savich wyszli, obaj wyglądali na zdeglustowanych.

- Błagam cię, Dillon, powiedz, co wam powiedział. Naprawdę mnie tym uszczęśliwisz - prosiła Sherlock.

- Przyznał się nam - powiedział Dane - że w ciągu ostatniego miesiąca spał z tuzinem kobiet, większość z nich to mężatki. Ze cztery razy powtórzył, że woli mężatki. Myślę, że z chęcią dodałby was dwie do swojej listy. Uroczy facet. I pije czystą wódkę.

- Dillon, co ci się stało w kostkę? - zapytała Sherlock, chwytając go za rękę. - Jesteś ranny. To nie wygląda dobrze.

- Nie spodobały mi się jego usta - wyjaśnił Savich, wzruszając ramionami i wyciągając rękę. - Napadł na mnie, w końcu musiałem go uciszyć. - Nick patrzyła, jak pociera kostki, uśmiechając się łagodnie. - W kółko tylko przeklinał.

- Pewnie teraz liże rany - powiedziała zadowolona Sherlock i poklepała męża po ramieniu.

Wiedziała, że Dane nigdy nie pisałby słowa, że jego szef powalił jakiegoś idiotę z Hollywood z wytrenowanym brzuchem. Musiała tylko kupić jodynę, w torebce zawsze miała plaster, na wypadek gdyby potrzebowała go dla Seana. Facet musiał naprawdę rozzłościć Dillona, skoro ten przyłożył mu pięścią.

Kiedy Sherlock skończyła opatrywanie otarć Dillona, ten, uśmiechając się na widok swoich rąk oklejonych plastrami z Flinstonami, zjechał z wąskiego podjazdu osadzonego na palach jakieś dziesięć metrów nad dnem kanionu i powiedział:

- Kleypas to nieszczęsny chłopiec, budzący bardziej współczucie niż strach. Jest zbyt pochłonięty piciem, by mieć czas na cokolwiek innego.

- W studiu można usłyszeć - przypomniał Dane - że Kleypas często zawała pracę, bo ma problem z piciem. „Superagent” to była jego ostatnia deska ratunku. Załamie się, że program został zdjęty. Teraz całkiem pójdzie na dno.

Następnego ranka Nick suszyła włosy suszarką - to był kolejny prezent od Dane'a - i jednym okiem oglądała lokalne wiadomości w telewizji. Upuściła suszarkę i jęknęła:

- O, nie!

Suszarka odbiła się o drewnianą toaletkę i upadła na podłogę. W mgnieniu oka w drzwiach stanął Dane, zapinając spodnie.

- Co się stało? - zapytał.

Nick stała, nerwowo ściskając brzuch i patrząc w ekran telewizora. Nie powiedziała nic, tylko pokazała na telewizor. To była ona, jej kolorowe zdjęcie, jak szła obok niego Pico Boulevard w kierunku zaparkowanego samochodu. Potem było zbliżenie na jej twarz i prezenter radosnym głosem, tak beztróskim i zadowolonym, jakby opowiadał o tym, kogo przeleciał poprzedniej nocy, powiedział:

- To jest panna Nick Jones, główny świadek policji San Francisco w bardzo ważnym śledztwie w sprawie morderstw popełnionych przez „Rzeźnika z Hollywood”. Źródła podają, że panna Jones mieszkała w schronisku dla bezdomnych w San Francisco i przypadkiem widziała mordercę w kościele Świętego Bartłomieja.

- Jasna cholera! - krzyknął Dane. - Nie zdziwiłbym się, gdyby coś podali, ale to? Podali wszystko, łącznie z twoim nazwiskiem i fotografią.

Nick była blada jak kafelki w łazience. Podszedł do niej i przytulił ją do siebie.

- Wszystko będzie dobrze. - Poglądził jej wilgotne włosy. - Chronią cię najlepsi strzelcy w

Hollywood. Utrzymamy cię z daleka od prasy. Wszystko będzie dobrze.

Wybuchła rozpaczliwym śmiechem, który dla niego był jak cios pięścią. Podniosła głowę, by na niego spojrzeć.

- Muszę stąd zniknąć, Dane. Teraz nie mam już wyboru.

- Nie. Powiedziałem, że będę cię chronić, i dotrzymam słowa. Chcesz większej ochrony?

Pogadam z Savichem.

- Na pogrzebie księdza Michaela Josepha przeżyłam, bo miałam szczęście, a nie dlatego, że mnie chronił.

- Masz rację, Nick. - Dane przyznał to niechętnie. - Postaram się dla ciebie o lepszą ochronę.

Potrząsnęła głową. Potem, ku jego zdumieniu, pochyliła się i lekko ugryzła go w ramię.

- Mam nadzieję, że nie zniszczyłam suszarki, którą mi kupił.

- Nigdzie nie pójdziesz, Nick. Spojrzała na niego, i pokiwała głową.

- Oczywiście.

Oczywiście wiedział, że kłamała. Nie była w tym zbyt dobra.

Dane nie powiedział nic więcej, potarł tylko miejsce, które ugryzła, i poszedł do swojego pokoju, żeby się ubrać. Pomyślał, że nikt go jeszcze nigdy nie ugryzł.

Czterdzieści pięć minut później siedzieli w sali konferencyjnej FBI w Los Angeles z szefem biura, agentem Gilem Rainy.

- To jasne, że media dowiedziały się, że morderca wzorował się na odcinkach programu telewizyjnego, ale skąd wiedzieli o Nick? Nie tylko znali jej nazwisko, ale wiedzieli, że była bezdomna - zastanawiała się Sherlock.

- Może to morderca - podsunął Dane. - Chce, żeby znalazła się w centrum zainteresowania i przstraszyła się.

- Ci idioci z mediów nazwali mordercę „Rzeźnikiem z Hollywood”. Media nie mają żadnych skrupułów, nie zawahają się wywlec wszystkiego, nawet jeżeli ktoś miałby to przyplacić życiem - mówił oburzony Delion.

- Założę się, że zwołali zebranie i zastanawiali się, co podać, żeby przyciągnęło uwagę. Ale w końcu ten wyciek informacji to nic wielkiego. Morderca już o niej wie, więc co za różnica, że wszyscy inni też wiedzą? Wygląda na to, że media chcą z niej zrobić kozła ofiarnego - powiedział Rainy.

- Zadzwoiłem do Jimmy’ego Maitlanda i powiedziałem, co pokazali - odezwał się Savich. - Poprosiłem, by uruchomił swoje kontakty i dowiedział się, jak do tego doszło. I skąd wzięli fotografię Nick i Dane’a. Szczerze mówiąc, śmierdzi mi tu wtyczką. Wydaje mi się, że ktoś przysłał zdjęcie wraz z opisem.

- Morderca - powiedział Dane i spojrzał na Nick, która tego nie skomentowała. - Bo któż by inny?

- To jasne - zgodził się Flynn. - Jeśli to reporter by ich zobaczył, na pewno nakręciłby film, a nie tylko zrobił zdjęcie. Więc może Dane ma rację, że zrobił to morderca.

- Ale to nie jest w tym wszystkim najgorsze - powiedział Dane. Pochylił się do przodu, a Nick złapała go za ramię.

- Nie, Dane, proszę.

Nie zwrócił na nią uwagi.

- Nick mieszkała w schronisku dla bezdomnych w San Francisco, bo ucieka przed kimś lub

czymś, o czym nikomu z nas nie powiedziała. A więc na jej życie czyhają dwie osoby, obie niebezpieczne. Pokazanie jej w telewizji to najgorsze, co mogło ją teraz spotkać.

- Dobra, Nick, teraz czas na chwilę szczerości - powiedziała Sherlock. - Jesteśmy agentami FBI, idealni z nas słuchacze. Flynn i Delion są gliniarzami, ale też są nieźli, bo jedzą dużo cukru. Zrobimy dla ciebie, co w naszej mocy, możesz na nas liczyć. A teraz mów.

Nick uśmiechnęła się.

- Dziękuję, Sherlock, ale ja nie mogę, po prostu nie mogę.

- Możemy cię dobrze ukryć - zapewnił Savich.

- Nie, nie możecie - odparła Nick. - Zawarłam umowę z Delionem i Dane'em. Zostawcie mnie w spokoju. To wszystko.

Potem odepchnęła krzesło i wyszła z pokoju.

- Niech to szlag! - wybuchnął Dane, kopnął swoje krzesło i poszedł za nią.

- Spokojnie - powiedział Gil Rainy. Rozmawiał przez swój telefon komórkowy. - Nie uda jej się wyjść z budynku.

- Ale nie możemy jej przecież zatrzymać - zastanawiał się Flynn.

- Możemy - orzekł Delion. - Jest ważnym świadkiem.

Nagle usłyszeli jakieś krzyki i trzask padających mebli. Wybiegli z sali konferencyjnej i zobaczyli czterech agentów trzymających Nick za ręce, próbujących się przed nią obronić. Korzystając z chwili ich nieuwagi, zaczęła kopać stojące tam krzesła. Całkiem straciła nad sobą panowanie. Walczyła tak zaciekle, jakby od tego zależało jej życie. Dane zrozumiał, że zbyt mocno naciskał, ale czuł, że nie ma wyjścia.

- Tylko nie zróbcie jej krzywdy, do cholery! - wrzasnął Delion. Trzy krzesła były przewrócone, a monitor wisiał na krawędzi biurka. Ktoś złapał go w ostatniej chwili.

- Oddajcie mi ją - powiedział Dane, chociaż wiedział, że jego też próbowałyby zabić. Agenci z ulgą się jej pozbyli. Tym razem go nie ugryzła, ale próbowała kopnąć go w krocze.

Usłyszał tylko, jak Rainy krzyknął „Hej, uważaj!” i błyskawicznie odskoczył na bok, w samą porę. Uderzyła go kolanem w udo. Przyciągnął ją do siebie i, stojąc za nią, objął ramionami, jej ręce były unieruchomione wzdłuż ciała, a nogi zablokowane wzdłuż jego nóg tak, że nie mogła się ruszać. Ale nie dawała za wygraną. Miotła się i szarpała, nie wydając żadnego dźwięku.

- Hej - zawołał Dane, którego to położenie wyraźnie zmęczyło. - Ma ktoś kajdanki?

- Nie waż się, dupku - syknęła Nick. Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią.

- Posłuchaj mnie, Nick. Nie pozwolę ci umrzeć, przynajmniej póki sam żyję. Spróbuj mi choć trochę zaufać. - Znowu nią potrząsnął. Rainy podał mu kajdanki. Dane złapał ją z tyłu za ręce i skuł. Wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Kopała, gryzła i wiła się, aż podeszła do niej Sherlock, spojrzała jej w oczy i powiedziała:

- Przestań natychmiast, Nick, albo przyleję ci pasem. Oni tego nie zrobią, bo są mężczyznami. Naprawdę sama się o to prosisz.

Nick posłuchała jej. Uspokoili ją, ale minęła chwila, zanim ustąpił jej paniczny popłoch. Była blada, cała się trzęsła i nie mogła złapać oddechu.

- Nie bij mnie, Sherlock - powiedziała słabym głosem i zachwiała się. Sherlock ją złapała.

- Ma ktoś kluczyki od tych głupich kajdanek?

Jeden z agentów rzucił Sherlock kluczyki. Rozkuła ręce Nick i potarła jej nadgarstki.

- Nie waż się ruszyć albo pozbawię cię przytomności - ostrzegła Sherlock. - A teraz, Nick...

- Ma na imię Nicola - wtrącił Dane. - Przynajmniej tyle mi powiedziała. I ma doktorat z historii średniowiecznej.

Nick rzuciła się w jego stronę, ale Sherlock złapała ją i trzymała mocno.

- Musiałeś to wygadać, agencie Dane Carver? - wrzeszczała Nick. - Następnym razem naprawdę porządnie cię pogryzę, kiedy najmniej będziesz się tego spodziewał. Niech cię szlag! Zrobię to tak samo jak dziś rano, kiedy byłeś półnagi, a ja ugryzłam cię w ramię!

Zapanowała cisza, przynajmniej dwudziestu obecnych tam agentów zamarło. Wszyscy to słyszeli.

Sherlock zamarła i puściła Nick, która natychmiast rzuciła się z pięściami na Dane'a, gotowa go zabić. Ale on był szybszy, złapał ją i przyciągnął do siebie, przytrzymując jej ramiona.

- Już to przerabialiśmy - powiedział Dane. Pamiętał, jak raz już odpierał atak Nick na komisariacie policji w San Francisco. Unieruchomił ją wtedy tak samo.

Jej oddech nadal był przyspieszony, ale przynajmniej już się nie szarpała.

- Nie zamierzam cię jeszcze wypuścić. Wolałbym, żeby moje ciało na tym nie ucierpiało.

Jeden z agentów wybuchnął głośnym śmiechem.

- Agencie Carver, a propos ciała: możemy obejrzeć to ugryzienie na ramieniu?

- Ach - westchnął inny. - Niebezpieczna ta praca w FBI. Myślę, że Dane powinien dostać premię za wykonanie niebezpiecznego zadania.

Nick warknęła. Jej oddech powoli uspokajał się.

# Rozdział 23

Komisarz Gil Rainy przydzielił dwóch agentów do ochrony Dane'a i Nick. Stare pryki, jak stwierdził Gil, zjedli zęby na napadach na banki i muszą zająć się czymś innym.

- Stare pryki, do diabła - warknął Delion gdy poznał Bo i Lou, obaj nie mieli więcej niż czterdzieści pięć lat. - Skopię za to Rainy'emu tyłek.

Zaraz po lunchu w KFC, na który Nick i Dane zjedli tylko po jednym kawałku smażonej piersi kurczaka, oboje wracali do Premier Studios, by porozmawiać z Frankiem Pauleyem. Dwaj agenci specjalni, Bo i Lou, wlekli się daleko w tyle za nimi.

Mijali właśnie róg Brainard i Loomis, kiedy, nie wiadomo skąd, od strony kierowcy z hukiem podjechał do nich motocykl. Motocyklista był ubrany w czarną skórę, jego głowę i twarz zasłaniał kask. Zza pazuchy skórzanej kurtki wyciągnął pistolet i zaczął strzelać. Był szybki. Posypały się odłamki szyby. Dane poczuł je na swojej głowie i twarzy i świst kuli, która przeszła tuż obok jego ucha.

- Nick, pochyl się! Szybko!

Posłuchała natychmiast. Kula przeszła tuż obok niej i stłukła szybę od strony pasażera, rozbijając ją w drobny mak.

- Tylko się nie podnoś! - krzyczał.

Dane szarpnął kierownicę w lewo, próbując uderzyć bokiem samochodu w motocykl. Nieomal mu się to udało, ale motocykl ostro odbił w lewo i zawrócił. Dane wyciągnął pistolet i chwycił go lewą dłonią, próbując odzyskać kontrolę nad samochodem i nikogo przy tym nie zabić. Nagle motocykl zawrócił, facet szybko oddał sześć strzałów, opróżniając magazynek. Wepchnął pistolet do skórzanej kurtki, wyciągnął kolejny i znów zaczął strzelać. Dane też strzelał do niego, wciąż mocując się z samochodem. Poczł uderzenie zimnej stali w lewej ręce, ale nie zwracając na to uwagi, strzelał dalej. Chwilę później znaleźli się w bocznej uliczce. Dane szarpnął kierownicę ostro w prawo. Opony zapisały, samochodem zarzuciło, nieomal uderzając w trzy inne auta, których kierowcy trąbili, klnąc przy tym, ile wlezie.

Dane'owi udało się zatrzymać samochód przy krawężniku małego, parterowego domu z lat czterdziestych. Ciężko oddychał, poczuł tak gwałtowny przypływ adrenaliny, że serce mało nie wyskoczyło mu z piersi.

Motocykl przejechał obok nich z piskiem opon. Facet oddał jeszcze kilka strzałów w powietrze. Potem - Dane wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom - motocyklista odwrócił się i pomachał im dłonią obleczoną w skózaną rękawicę, w której trzymał broń.

Nick leżała skulona na podłodze, z głową w dłoniach. Stróżki krwi spływały po jej rękach, zranionych odłamkami szkła, które w nich utkwiły. Dane wyciągnął dłoń i lekko pogładził ją po głowie.

- Nick, nic ci nie jest?

- Nie, tylko mam trochę pokaleczone ręce, ale to nic wielkiego. No i trochę szkła we włosach. A tobie nic się nie stało?

- Nie.

- Gdzie są Bo i Lou?

- Pewnie zaraz się pojawią. - Dane otworzył drzwi i próbował wyjść. Potem spojrzał na swoją koszulę. - Jasna cholera.

Nick krzyknęła za nim:

- Dałeś się postrzelić! Co z tobą, Carver? Słyszał, że jej głos drżał, była wyraźnie wstrząśnięta.

- Nic mi nie jest - odpowiedział spokojnie. - Kula przeszła na wylot, rana jest powierzchowna, nie mam nic złamanego, mogę ruszać wszystkimi członkami. Gorzej zacinałem się przy goleniu. Milton o wiele ciężiej postrzelił ciebie. Spokojnie, Nick. Oboje jesteśmy cali, a to jest najważniejsze.

- Facet pomachał do nas. Widziałeś to? Naprawdę pomachał do nas bronią.

- Tak, widziałem. Niezłe jaja, co? Jak to zobaczyłaś? Przecież kazałem ci leżeć!

- Tylko na chwilę wyjrzałam. A to drań!

Zaczęła cała drżeć. Zdjął swoją zakrwawioną marynarkę i okrył ją, przyciągając do siebie.

- Już dobrze. Oddychaj głęboko. Właśnie tak, bardzo dobrze. Bo i Lou będą tu za chwilę.

- Myślałem, że to będzie spokojna robota - powiedział Lou, podbiegając do nich. - Wybaczcie, daliśmy ciała. To się więcej nie powtórzy.

Spojrzał na wybite szyby, zamknął drzwi od strony kierowcy i odpędził kilku gapiów, którzy z ciekawością zagłądali do środka.

- Nic się tu nie stało, proszę państwa. Proszę się rozejść i zająć własnymi sprawami. Skąd tu tyle krwi? Jezu, Dane, trafili cię.

- Jest pan ranny, agencie Carver - powiedział Bo, ciężko dysząc po biegu. - Zabierzemy pana do szpitala Elmwood, to najbliższy, i całkiem dobry oddział ratunkowy. W zeszłym miesiącu zabrałem tam Lou.

- Co się stało Lou? - zapytał Dane.

- Przez kilka dni jadłem za dużo tłuszczy i miałem atak woreczka żółciowego - powiedział Lou. Odsunął rękę Dane'a i mocno przycisnął swoją dłoń do jego rany. Po kilku minutach przewiązał ramię Dane'a swoją chusteczką. Dane pomyślał o kawałku kurczaka z KFC i miał nadzieję, że nigdy nie dostanie ataku woreczka żółciowego.

- OK - powiedział Lou. - To powinno zahamować krwawienie. Tylko pamiętaj, by mi ją zwrócić. Moja żona dała mi tę chusteczkę na urodziny trzy dni temu. Jest z prawdziwego lnu i są na niej wyszyte moje inicjały. Jeśli ją zgubię, będę miał kłopoty.

- Nie zgubię jej, Lou - przyrzekł Dane. - Ale będzie miała plamy z krwi.

- Nie szkodzi. Moja żona przywykła do widoku krwi.

- Ja jej przypilnuję - zadeklarowała się Nick, wybierając szkło z włosów Dane'a. - Masz kilka skaleczeń od odłamków szkła. - Nie ruszaj się. Bo, mógłbyś zająć się naszym wynajętym samochodem? Lou, możesz nas zawieść do szpitala?

Bo spojrzał na Dane'a, pokiwał głową i zasalutował.

- Lou, spróbuj załatwić mu innego lekarza, niż ty miałeś. - Lekko poluzował chusteczkę i dodał: - Facet chciał go pociąć.

- Ale tego nie zrobił - odpowiedział Lou. - Poczulem się lepiej i mogłem sobie pójść. Twoja

marynarka jest zniszczona, Dane. Hej, Nick, doszłaś już do siebie?

- Prawie, dziękuję.

Lou przyjrzał jej się bliżej, wyglądał na zadowolonego.

- Dobrze, zabieramy się stąd. Bo wezwał już posiłki. Zostanie tutaj, dopóki ktoś nie przyjedzie.

Dane, przypuszczam, że nie widziałeś, kto strzelał? A może tablice rejestracyjne?

Dane pokręcił głową.

- Ten facet nie jechał samochodem, tylko harleyem. Nawet nie zdążyłem się dobrze przyjrzeć broni. Byłem zbyt zajęty uciekaniem przed jego kulami. Nick, czy twoje dłonie wciąż krwawią?

- Już prawie nie - odpowiedziała. - Nic mi nie jest. Teraz bądź cicho i pozwól zawieźć się do szpitala.

Odzyskała równowagę, otrząsnęła się z szoku. Był z niej dumny.

W ciągu ośmiu minut agent Lou Cutter dowiózł ich do szpitala miejskiego Elmwood.

Włączył syrenę i w ten sposób korek przed nimi rozstał się.

Nick nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Jak powiedziała, to zupełny odjazd.

Dane lekko oddychał przez usta, ból był ostry i piekący, wcale nie podobało mu się to uczucie.

Po raz pierwszy w życiu został postrzelony.

- Prawdopodobnie chciał podjechać od strony pasażera i zastrzelić Nick - powiedział do Lou. - Mieliśmy szczęście. Nie mógł wjechać na chodnik obok niej, bo było tam za dużo ludzi. Próbował z mojej strony.

- Jeśli zabiłby ciebie - powiedziała Nick - straciłbyś kontrolę nad samochodem i rozbilibyśmy się. Wtedy mógłby mnie bardzo łatwo zastrzelić. Albo zginęłabym w wypadku.

- To ty ocaliłeś was oboje, Dane, to twoja zasługa - powiedział Lou. - Dobra robota. Przyznaję, że sytuacja nas przerosła. Nie spodziewaliśmy się czegoś podobnego. To zupełnie nie to, co do tej pory robiliśmy.

Dane westchnął.

- Tak, jak powiedziałaś, Lou, nikt z nas się tego nie spodziewał. Facet jest zdesperowany, chwytą się wszelkich możliwości. Tak mi przykro, Nick.

- Przecież to ciebie postrzelił.

Lou załatwił wszystko, co trzeba, z personelem oddziału ratunkowego, i całe szczęście, bo Nick była całkowicie pochłonięta tym, co działo się z Dane'em.

Pewnie doktor John Martinez pomyślał, że Nick jest żoną Dane'a, i dlatego nie wygonił jej z sali.

- Kula przeszła przez pana ramię, panie Carver - oznajmił lekarz po oczyszczeniu i zbadaniu rany. Dane patrzył na niego z zaciśniętymi ustami. - Miał pan dużo szczęścia. Większe naczynia krwionośne pozostały nietknięte. Jak do tego doszło? Czyścił pan broń czy co? No wie pan, muszę opowiedzieć o tym policji.

- Właśnie pan to zrobił - powiedział Dane. Z wewnętrznej kieszeni wyjął swoją odznakę FBI.

- FBI. Nigdy wcześniej nie leczyłem agenta FBI - powiedział Martinez, robiąc Dane'owi zastrzyk w ramię. - To środek znieczulający, zacznie działać za pięć minut. Założymy kilka szwów i będzie po sprawie. Ach, i jeszcze zastrzyk przeciw tężcowi.

Dane'owi wydawało się, że minęło jakieś dziesięć lat, zanim doktor Martinez założył pierwszy szew.

Dane siedział sztywno, czując każde ułknięcie igły i przeciągnięcie nici przez jego ciało. Patrzył na stosy bandaży na półce w gabinecie zabiegowym. Były tam bandaże we wszystkich rozmiarach.



Wkłuwanie i wyciąganie, Dane'owi wydawało się, jakby doktor Martinez robił to setki razy, w końcu, dzięki Bogu, było po wszystkim. Przyglądał się, jak pielęgniarka bandażuje mu ramię, potem oczyszcza i bandażuje dłonie Nick.

- Szwy są rozpuszczalne, ale za parę dni chcę je obejrzeć - powiedział doktor Martinez. - Za chwilę damy panu antybiotyki. Gdyby coś panu dokuczało - gorączka, silny ból - proszę się do nas zgłosić lub udać się do swojego lekarza. - Spojrzał na Nick. - Czy pani też jest agentem FBI?

- Ona jest kimś więcej niż zwykłym agentem - powiedział Dane i wciągnął głęboko powietrze w chwili, gdy pielęgniarka wbiła igłę w jego prawą rękę.

- To jest zastrzyk przeciwłężcowy - poinformował doktor Martinez. - Jeszcze tylko trochę bólu. To powinno utrzymać pana w dobrym nastroju przez jakieś cztery godziny. Później będzie pan potrzebował środków przeciwbólowych. Proszę je zażywać przez trzy dni. Niech pan nie zgrywa twardziela i je bierze.

- Tak robi - obiecała Nick, trzymając zabandażowane ręce na biodrach, jakby gotowa była przylać mu pasem, gdyby spróbował się jej sprzeciwić. Wciąż miała na sobie jego zakrwawioną marynarkę. Wyglądała komicznie.

Pielęgniarka powiedziała coś na ucho lekarzowi, a ten skinął głową.

- Jeżeli nie jest pani jego żoną, teraz musi pani wyjść. Pielęgniarka musi mu zrobić zastrzyk w pośladek.

- Widziałam już sporą część jego ciała - powiedziała Nick. - Ale tyłka jeszcze nie.

Gdy Dane opuścił gabinet zabiegowy, jego lewe ramię było zabandażowane i spoczywało na temblaku. Prawą ręką próbował zapiąć spodnie. Nick odsunęła jego rękę.

- Stój spokojnie. - Zapięła zamek w spodniach, guzik i pasek. - Gotowe.

Uśmiechnęła się znacząco.

- Czy doktor Martinez widział ślady zębów na twoim ramieniu?

- Powiedział, że nie muszę się martwić o infekcję, antybiotyk powinien zadziałać również na ukąszenie. Chociaż, jeśli jesteś wściekła, może być z tym problem.

Uśmiechnęła się, bardzo nieznacznie, ale jednak. Długo przyglądała się jego twarzy. Wyciągnęła ostatni kawałek szkła z jego włosów i delikatnie przeczesała je palcami.

- Jesteś tylko trochę blady. Dziękuję, że tak dobrze się mną zająłeś, Dane. Jestem twoją dłużniczką.

- Jasne, że jesteś - powiedział, potem pochylił się i pocałował ją. - Dług został spłacony.

Zaśmiała się i przez chwilę wyglądała na speszoną, co bardzo ucieszyło Dane'a, po czym zdjęła jego marynarkę i zarzuciła mu na plecy. Nieomal znowu ją pocałował, gdy nadszedł Lou.

- Załatwiłem formalności. Wszyscy tutaj bardzo przeżywają, że trafił do nich prawdziwy agent FBI z raną postrzałową. Czasami trafia tu ktoś z lokalnej policji, ale nigdy federalny. Wydaje mi się, że tamta kobieta za biurkiem ma na ciebie ochotę, Dane.

- Ale ja nie mam ochoty na nią - odparł Dane. Poczł lekkie mdłości. Jego ramię tylko trochę pulsowało. Cokolwiek było w zastrzyku, który zrobiła pielęgniarka, działało.

- Wracamy do hotelu i osobiście dopilnuję, żeby Dane do wieczora odpoczywał.

- Jasne - zgodził się Lou - ale możecie spodziewać się, że wszyscy będą przychodzić, żeby zobaczyć, co się stało.

- A właśnie - przypomniała sobie Nick. - Będziemy potrzebowali nowego samochodu.

- Niech cię głowa o to nie boli - powiedział Lou. - Bo już się tym zajął. Gwarantuję, że w ciągu

kilku godzin będziecie mieli inny samochód.

- Mogłeś zostać zabity. Mało brakowało.

- Nieważne, Nick, to moja praca - zbagatelizował Dane. - Ręka zagoi się w ciągu kilku dni, jak mówi Bo, który zgadza się w tej sprawie z Lou, a ten wie, co mówi. Jak twoje dłonie?

Zignorowała to pytanie.

- Nie chcę, żebyś zginął.

- Nie zginę. Daj już spokój. Podaj mi, proszę, sajgonkę. I zanurz w sosie. Dziękuję.

Patrzyła, jak je. Było ciemno, dochodziła siódma wieczorem. Byli sami tylko przez ostatnie pięć minut. Ostatni wyszli Savich i Sherlock.

- Pamiętajcie, jakby coś, jesteśmy dwa piętra niżej, w pokoju dwadzieścia trzy, numer telefonu jest taki sam. Smacznej chińszczyzny! - powiedziała na odchodnym Sherlock.

- Powinieneś wziąć kolejną tabletkę przeciwbólową - poradziła Nick, gdy zdała sobie sprawę, że już więcej nie jest w stanie zjeść. Przyniosła mu tabletkę z fiołki, która stała na komodzie.

Nie brała pod uwagę możliwości, że spróbowałby udawać twardziela i protestować, po prostu wepchnęła mu tabletkę do ust i podała szklanekę z wodą.

- Po tym będziesz lepiej spał. Teraz przede wszystkim potrzebujesz odpoczynku.

Zacząła przemierzać niewielki pokój w tę i z powrotem.

- Tym razem niewiele brakowało.

- Nie - powiedział Dane, kręcąc głową. - O wiele poważniej zranił cię Milton w kościele.

- Ile jeszcze razy będziemy mieli szczęście?

- Tym razem to nie było tylko szczęście.

- Jasne, jesteś Supermanem.

- Obiecuj mi, że nie uciekniesz, Nick.

- Posłuchaj, chcę, żebyś przestał mnie dręczyć.

- Bardzo łatwo cię przejrzeć, zwłaszcza teraz. Ucieczka w niczym ci nie pomoże. Nie zdajesz sobie z tego sprawy, prawda?

Jego umysł zaczął pracować wolniej. Nie był pewny, czy coś czuje, czy nie. Poczul się wykończony, jego ciało i umysł odpływały.

- Nie jestem bez serca, nie zostawię cię w takim stanie - powiedziała Nick. - Więc przestań kombinować, jak mnie tu zatrzymać.

- Dziękuję - mruknął i zamknął oczy. Przynajmniej Savich pomógł mu się rozebrać. Miał na sobie biały podkoszulek i spodnie od dresu, nie miał skarpetek. Lubił mieć przykryte stopy. Nick naciągnęła na niego prześcieradło i otuliła go starannie.

Omal przez nią nie zginął.

# Rozdział 24

## CHICAGO

Słyszała, jak otwiera drzwi frontowe, wchodzi przez duży korytarz i zatrzymuje się na chwilę, by powiesić płaszcz. Słyszała, jak mruczy coś pod nosem o współpracowniku. Kiedy wszedł do salonu, gdzie siedziała na jednym ze lśniących krzeseł z jasnobrązowej skóry, jego twarz najpierw znieruchomiła, a potem rozjaśniła się w uśmiechu.

- Nicola, cóż za wspaniała niespodzianka. Właśnie miałem do ciebie dzwonić, chciałem się tylko rozebrać. Rozpaliłaś w kominku, to świetnie. Na dworze jest bardzo zimno.

Powoli wstała i stała tak, wpatrując się w niego i zastanawiając się, co dzieje się w jego głowie, co naprawdę myśli, kiedy patrzy na nią.

- Czy coś się stało? O Boże, czy znowu spotkało cię coś złego? Nikt mi nic nie powiedział, nikt...

- Nie, nic więcej się nie stało. No, może oprócz tego, że dostałam list od twojej byłej żony. Ostrzega mnie, że próbujesz mnie zabić, bo jesteś przekonany, że sypiam z Elliottem Bensonem.

- Co? Dostałaś list od Cleo?

- Tak. Pisze mi, że myślisz, że sypiam z Elliottem Bensonem, i że byłeś przekonany, że ona również z nim sypiała.

- Oczywiście, że z nim nie sypiasz. Dobry Boże, Nicola, ty nie sypiasz nawet ze mną. Poza tym, on jest stary, mógłby być twoim ojcem.

- Ty też mógłbyś.

- Nie mów tak. Nie jestem aż taki stary. Wiesz, że od miesięcy pragnąłem z tobą sypiać, ale ty wciąż mnie odrzucałaś, a teraz zaczynasz się ode mnie oddalać.

- Owszem, ale to nie ma nic do rzeczy, John.

- Zgoda. Co to za nonsens z tym listem od Cleo? Przecież to niemożliwe, wiesz o tym. Dawno temu odeszła, ale nie z Elliottem Bensonem, a z Todem Gambolem, tym draniem, któremu ufałem przez osiem długich lat. O co, do diabła, chodzi?

- Dostałam list dosłownie przed godziną. Ona ostrzega mnie, że będziesz próbował mnie zabić, tak, jak próbowałaś zabić ją. Radzi mi, bym uciekła - ona tak zrobiła. Ja też bym chciała dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi, John. Ona stawia poważne zarzuty. Pisze o ponoć przypadkowej śmierci twojej matki i twojej dziewczyny ze studiów, Melissy - obie zginęły w wypadkach samochodowych.

Twarz poczerwieniała mu ze złości, ale kiedy mówił, jego głos brzmiał spokojnie, był jak rozsądny, pełen współczucia przywódca, uspokajający wyborcę. Wytrawny polityk.

- To nonsens. Absurd. Nie wiem, kto napisał do ciebie list oskarżający mnie o to wszystko, ale to nie była Cleo. Odeszła przed trzema laty. Od tego czasu nie odezwała się. Na litość boską, nie miała powodu, by do ciebie pisać. O ile sobie dobrze przypominam, ona nawet cię nie lubiła. Myślę, że

była o ciebie zazdrosna, bo prawdę mówiąc, już wtedy uważałem, że jesteś cudowna. Nie zrozum mnie źle. Kochałem Cleo, kochałem ją bardzo, ale uważałem, że ty jesteś błyskotliwa, bardzo zaangażowana i pełna entuzjazmu.

Nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Oczywiście, pomyślała, w tamtych czasach prawdopodobnie lizałaby mu buty, gdyby tego chciał.

- John - powiedziała - mogłabym zignorować ten list, uznając go za wytwór maniaka, ale jest coś jeszcze.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Dołączyła kilka kartek z twojego dziennika.

- Mojego dziennika? Skąd go miała?

- Powiedziała, że pewnego dnia przypadkiem znalazła je w sejfie w twojej bibliotece. Przeczytała je, przeczytała twoje wyznania na temat zabójstwa Melissy. Tam leżą, zapisane twoim charakterem pisma. Ile kobiet zabiłeś?

Stał sztywno, jak ten pogrzebacz oparty o kominek zaledwie metr za nią, wystarczająco blisko by go chwycić i obronić się, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jego źrenice rozszerzyły się, kiedy powiedział:

- Nie wiem, o czy mówisz, Nicola. Prowadzę dziennik, ale pisanie czegoś takiego? Po co? Dla żartu? To absurd. Nie, zaczekaj. Czy Albia namówiła cię do tego?

- Nie, John, to nie żart. Albia nie ma z tym nic wspólnego. Nie, nie zbliżaj się do mnie. Ani kroku dalej. Widzisz to? - Pomachała mu przed oczami trzema kartkami papieru. - To jest list Cleo do mnie i dwie strony, które skopiowała z twojego dziennika. To jest od kobiety, którą poznałam, kiedy po raz pierwszy pracowałam przy kampanii wyborczej przed twoją reelekcją, od kobiety, którą bardzo lubiłam. Gdy cię zostawiła, wierzyłam, zresztą jak wszyscy, że byłeś zdruzgotany, ale ona twierdzi, że uciekała, żeby ratować życie. Pamiętam, jak wszystkim było przykro z twojego powodu. Nie, nie zbliżaj się do mnie, John!

Nawet na chwilę nie oderwał wzroku od kartek, które trzymała. Widziała, że chciał je dostać, bardzo chciał.

- Tak, Cleo mnie zostawiła, wiedziałas o tym, Nicola - powiedział. - Skoro pokazałaś mi ten list, pokaż mi też te nedorzeczne strony z dziennika. Będę mógł udowodnić, że nie są nawet od Cleo. Przecież to niemożliwe.

- Nie rozumiem, dlaczego to jest niemożliwe, a ten list jest od Cleo. Znam jej charakter pisma. Dobrze wiesz, że czytałam wiele jej notatek, gdy byłam wolontariuszką. Napisała, że próbowałaś zabić nie tylko ją - dlatego uciekła, z powodu dziennika - próbujesz też zabić mnie, bo jesteś przekonany, że sypiam z Elliottem Bensonem. Zapytam jeszcze raz, John, ile kobiet zabiłeś?

- Na litość boską, Nicola. Ktoś inny napisał do ciebie list, ktoś podrobił jej charakter pisma, ktoś, kto mnie nienawidzi i kto chce zniszczyć nasz związek. Ktoś podrobił te strony z dziennika. Nie pozwól na to, Nicola. Chcę zobaczyć ten list. Oddaj mi go.

Nicola cofnęła się o krok. Teraz stała prawie naprzeciw paleniska. Na plecach czuła żar płomieni.

- Cleo napisała, że nie chce, żebym umarła - powiedziała.

- Napisała, że powinnam uciekać, tak jak ona zrobiła. Ona też nie chciała umierać.

- To kompletny absurd. - Wyglądał na oszołomionego, jakby całkiem nie mógł pojąć, co ona mówi, i ciągle patrzył na kartki w jej dłoni. - Pozwól mi zobaczyć ten cholerny list!

- Nie, bo zniszczysz go i kartki z dziennika. Nie mogę na to pozwolić.

- Dobrze, już dobrze. Posłuchaj mnie. Nikogo nie zabiłem

- ani mojej matki, ani Melissy, ani nikogo innego. To jakiś obłąd. - Wciąż patrzył na te kartki papieru, jego źrenice ciskały błyskawice, a twarz była biała jak jego doskonale wykrochmalona koszula. - Musisz mi pozwolić obejrzeć ten list. Nie może być od Cleo. Ona mnie kochała, nigdy nie powiedziała by czegoś takiego.

- Odeszła, bo chciałeś ją zabić, a ona zdała sobie sprawę z tego, że oszalałeś z zazdrości. Byłeś przekonany, że była ci niewierna.

- Odeszła ode mnie, by być z Todem Gambolem, wszyscy to wiedzą. Posłuchaj, Nicola, usiądźmy i porozmawiajmy. Zacznijmy od początku. To wszystko da się jakoś poukładać. Kocham cię.

- Idę na policję, John. Chciałam dać ci szansę konfrontacji z tym listem, wysłuchać, co masz do powiedzenia. Naprawdę miałam nadzieję, że ci uwierzę...

- Cholera, posłuchaj mnie - wybuchnął, wciąż patrząc na list. - Daj mi szansę. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią mojej matki. Na litość boską, miałem wtedy szesnaście lat. Ona była alkoholiczką, Nicola, wypadła z drogi swoim samochodem, bo była pijana. A Melissa, na Boga, kochałem ją, a ona spała z Elliottem - łajdak, zawsze chciał tego, co było moje - ale ja jej nie zabiłem. Po prostu z nią zerwałem. To był cholerny wypadek, musiał być. List i dziennik to musi być fałszerstwo. Daj mi list, Nicola, pozwól mi go obejrzeć.

- Nie. Myślę, że dam go policji, niech oni go oceniają.

- To zrukuje moją karierę polityczną, dobrze o tym wiesz. Gardzisz mną tak bardzo, że chcesz, bym musiał zrezygnować z mandatu senatora? Był nękanym przez prasę? Nic nie zrobiłem, do cholery! Jak możesz po przeczytaniu listu i kilku głupich stron z nieistniejącego dziennika, które dostałaś od Bóg wie kogo, stwierdzić, że jestem mordercą i oskarżać mnie o zabicie własnej matki? Miałem tylko szesnaście lat! Chłopiec nie może zamordować własnej matki!

- Zrobi to, jeśli jest psychopatą - powiedziała bardzo cicho.

- Psychopatą? Dobry Boże, Nicola, przecież to szczyt nedorzeczości. Zrozum, jakie to wszystko jest nieprawdopodobne. Nie możesz pójść na policję.

Wyprostował się, niczym szlachetny dżentelmen, wysoki, szczupły, elegancki i widziała, że jest wściekły, a jego dłonie zacisnęły się w pięści. Patrzył to na nią, to na kartki, które wciąż trzymała w prawej dłoni.

- Nigdzie nie pójdziesz, mała głupia niewdzięcznico - powiedział łagodnie. - Zobacz, ile dla ciebie zrobiłem. Jezu, chciałem się z tobą ożenić, zrobić z ciebie jedną z najbardziej pożądanych kobiet w Ameryce. Jesteś młoda, piękna, inteligentna, jesteś wykładowcą uniwersyteckim, na szczęście nie lewicowym. Stałabyś u mojego boku, nauczyłbym cię wszystkiego, pokazał, jak postępować, razem możemy mieć wszystko, może nawet zdobyć Biały Dom. Co się z tobą dzieje, Nicola?

- Nie chcę umierać, John, naprawdę nie chcę. Czy to ty w masce na twarzy prowadziłeś ten samochód i próbowałeś mnie zabić?

- Kretyn, który napisał ten list, próbuje nastawić cię przeciwko mnie. Dlaczego w to wierzysz? To wszystko stek kłamstw. Po prostu jakiś pijak nieomal cię potrafił.

- A moje zatrucie pokarmowe, John? To też był wypadek?

- Oczywiście, że tak! Zadzwoń do lekarza i jeszcze raz go o to zapytaj. Ten cholerny list nie jest od Cleo!

- A dlaczego nie? Skąd możesz mieć pewność, że Cleo do mnie nie napisała? Próbuje mnie

ochronić przed tobą. Chciałeś ją zabić, prawda, John? Naprawdę byłeś przekonany, że jest ci niewierna, czy może to był tylko podstęp albo chora fantazja?

- Nie jestem chory, Nicola - powiedział, a jego głos drżał z wściekłości. Nagle zaczęła się bać, bardzo bać. Włożyła rękę do kieszeni marynarki, wymacała w niej pistolet.

- Prawda jest taka, że ta suka spała z Todem Gambolem, facetem, który był moim zaufanym współpracownikiem przez osiem pieprzonych lat! Miał czelność sypiać z moją żoną! Mogli chodzić do moteli w ciągu dnia, kiedy byłem w Waszyngtonie lub nawet w Chicago i na spotkaniach. Mam rachunki z moteli. To ja jestem tu pokrzywdzony, nie Cleo. Cholera, wiedziałas o tym, wszyscy o tym wiedzieli. Nie pamiętasz już, jak mi współczułaś? Płakałaś, pamiętam to. Co do Elliotta Bensona, nie wiedziałem, czy z nim sypiała, ale to nieważne. A teraz ty wierzysz w te głupoty, bo ktoś, kto mnie nienawidzi, napisał do ciebie list. Boże, Nicola, to po prostu głupie.

- John, mówiłam ci. Cleo napisała, że nigdy cię nie zdradziła i nie ma pojęcia, gdzie jest Tod Gambol, ale wydaje jej się, że może nie żyć.

- Nicola, dlaczego wierzysz w to, co jest napisane w liście, skoro znamy się od czterech lat? - zapytał cicho. - Zawsze byłem miły i taktowny w stosunku do ciebie i do każdego wokół. Czy kiedykolwiek widziałas, jak tracę panowanie nad sobą? Czy kiedykolwiek słyszałaś coś złego o mnie? Choćby jedno słowo o tym, że sypiam z kimś oprócz Cleo?

- Więc dlaczego nie powiedziałaś mi o swojej matce? I o zmarłej narzeczonej?

- Po co, do diabła, miałbym to robić? To były dla mnie bardzo bolesne chwile i nikomu nic do tego. Może opowiedziałbym ci o tym po ślubie. Nie wiem.

- To prawda, że przy tobie zawsze czułam się bezpieczna, bo nikt nigdy nawet nie sugerował, że zachowujesz się tak jak wielu innych mężczyzn w Kongresie, uganiających się za młodymi kobietami.

Stała naprzeciwko niej, wyciągnął ręce i miękko głębokim głosem powiedział:

- Proszę, usiądźmy, i porozmawiajmy o tym jak dwoje ludzi, którzy planują spędzić ze sobą resztę życia. To nieporozumienie. I wyobraziłaś już sobie niestworzone rzeczy. Dowiemy się, kto próbował rozjechać cię samochodem. Okaże się, że to jakiś pijak, zobaczysz. Jeśli chodzi o twoje zatrucie pokarmowe, to był wypadek. To nie jest spisek, nie ma w tym żadnej niewiadomej, oprócz tej, kto wysłał ci ten list.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli oddam te strony z dziennika policji, ty i wszyscy twoi spin doktorzy będziecie twierdzić, że jestem wariatką, i prawdopodobnie wszyscy w to uwierzą. Jeśli ona przesłałaby mi oryginalne strony z dziennika, a nie kopie, wtedy może miałabym szansę, ale z tym raczej nie.

Przerwała na chwilę. On milczał.

- Ale nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

Bez ostrzeżenia rzucił się na nią. Wyciągnęła z kieszeni broń, ale on już ją dopadł, chcąc zabrać jej list. Wydarł go jej z ręki i odskoczył, ciężko dysząc. Popatrzył na kartki, zanim włożył każdą z osobna do niszcarki. Potem zwinął paski papieru w kulkę i wrzucił w ogień kominka.

- Oto, ile wart jest twój list - powiedział z triumfem w głosie.

Dłonie wciąż miał zaciśnięte w pięści. Gdyby nie miała pistoletu, byłaby bardzo wystraszona. Trzęsąc się, powiedziała:

- Odchodzę, John. Trzymaj się od mnie z daleka.

Tej nocy obudził ją jakiś hałas. To nie było zwykłe skrzypienie podłogi, więcej niż odgłosy nocy, w które zawsze spokojnie się wsłuchiwała, leżąc sama w łóżku.

Myślała o zniszczonym liście od Cleo Rothman, o samochodzie z ogromną prędkością jadącym prosto na nią, o zatrutym jedzeniu, od którego mogła umrzeć. Myślała o Johnie idącym w jej kierunku, niszczącym list.

Nie miała absolutnie żadnych wątpliwości co do tego, że chciał ją zabić. Ale nie miała dowodów, żadnego śladu, niczego, co mogłaby pokazać policji.

Znów usłyszała jakiś dźwięk, tym razem coś jakby odgłos kroków. Nie, zaczynała histeryzować. Przez długi czas słuchała w napięciu, kroki ucichły, ale ona nadal się bała. Pomyślała, że wolałaby siedzieć w fotelu dentystycznym niż leżeć tu sama w ciemności i nasłuchiwać. Jej usta były wyschnięte, a serce łomotało tak głośno, że wydawało jej się, że intruz je słyszał i bez trudu ją teraz znajdzie.

Dość już tego, pomyślała i wstała z łóżka. Wzięła pogrzebacz, który leżał na kominku, zapaliła światło i dokładnie rozejrzała się po sypialni.

Nikogo tam nie było.

Ale znowu coś usłyszała, coś, lub kogoś, biegnącego bardzo szybko. Pognała do salonu i podbiegła do szklanych drzwi balkonowych. Ktoś wybił szybę, żeby otworzyć drzwi.

Wychyliła się przez balustradę i spojrzała w dół - zobaczyła cień, który się poruszał. Potem poczuła zapach dymu. Wbiegła z powrotem do mieszkania i zobaczyła kłęby dymu wydobywającego się z kuchni. Boże, ktoś podłożył ogień! Złapała telefon i wykrciła numer alarmowy. Pobiegnęła do kuchni i zobaczyła, że nie ma możliwości ugaszenia ognia. Miała czas tylko na to, żeby wciągnąć dzinsy, buty i bluzkę, złapać torebkę i płaszcz i wybiec z mieszkania, po drodze stukając w drzwi mieszkań sąsiadów. Wiedziała, że czekał na nią na dole, przyczajony w cieniu budynków po drugiej stronie ulicy. Wiedział, że żyje, bo patrzyła na niego z balkonu.

Trzymała się blisko budynku, pośród tłumu sąsiadów, patrzyła, jak przyjechała straż pożarna, zrobiło się zamieszanie i ewakuowano wszystkich z budynku. Dzięki Bogu, nikt nie zginął. Właściwie tylko jej mieszkanie było zniszczone, i jedno obok niego było odrobinę uszkodzone i nadpalone.

Ale jemu nie chodziło o spalenie całego budynku. Chciał się tylko upewnić, że ona nie żyje. Słyszała, jak strażacy rozmawiają między sobą:

- Ogień został opanowany. Źródło ognia jest w kuchni mieszkania 7B.

W tej chwili zdała sobie sprawę, że senator John Rothman spalił jej mieszkanie lub kazał je spalić, w nadziei, że ona spłonie razem z nim. Chciał jej śmierci.

Ponieważ nie zostało jej nic oprócz torebki, nie było jej trudno zdecydować, co ma dalej robić. Przenocowała w schronisku Czerwonego Krzyża, czekała, czy John przyjdzie jej szukać. Podała fałszywe nazwisko. Następnego ranka pracownicy ośrodka dali jej ubranie. Tej nocy zdecydowała, co dalej zrobić. Zanim opuściła Chicago, w bankomacie wybrała wszystkie pieniądze ze swojego konta, po czym zniszczyła kartę.

Godzinę później była już w drodze do San Francisco.

# Rozdział 25

## LOS ANGELES

Savich i Sherlock wrócili nazajutrz z kawą i bajglami. - Beztłuszczowe nadzienie serowe - powiedziała Sherlock, wyciągając plastikowy nóż. - Dillon nie pozwala jeść wysokotłuszczowych produktów w swoim zespole. Savich przyglądał się twarzy Dane'a.

- Zdecydowaliśmy, że wy dwoje dziś tu zostajecie. - Przykro mi, Nick, ale Dane na pewno będzie próbował odnaleźć tych bandytów, chyba że ktoś stanowczo go odwiedzie od tego pomysłu. Podejmiesz się tego zadania?

- Tak, na pewno zrobi, co mu każę - powiedziała Nick, podając Dane'owi bajgła posmarowanego serowym kremem. Ugryzł kawałek i zrobił się błądy.

- Ciągle cię mdli? - zaniepokoiła się Sherlock. - Nie martw się, to niedługo minie.

- Skąd wiesz? - zapytał Dane, wpatrując się w Sherlock.

- Tylko mi nie mówcie, że ty też kiedyś oberwałaś w strzelaninie?

- No cóż - mruknęła Sherlock i zamilkła na chwilę. Popatrzyła na męża i po chwili dodała: - Zostałam ugodzona nożem raz, w ramię, bardzo dawno temu.

- Tak, naprawdę dawno temu - powiedział Savich z ironią.

- Całe dwa i pół roku temu.

- No tak, ale to było przed naszym ślubem, a czuję, jakbyśmy byli małżeństwem od wieków. - Posłała mężowi promienny uśmiech i zwróciła się do Dane'a. - Prawda jest o wiele mniej zabawna, ale po dwóch, trzech dniach byłam już na nogach i pracowałam.

- Myślę, że czuła się wtedy źle - powiedział bez emocji Savich - bo lekarz dał jej w tyłek cztery zastrzyki. Zapamiętam twoje krzyki.

Sherlock zakaszłała.

- Nieważne, jak było, lepiej zapomnieć o tej sprawie.

- Zapomnieć cztery zastrzyki w twój tyłek czy ranę po nożu? - zapytał Savich.

Próbował powiedzieć to lekko, ale Dane słyszał strach w jego głosie, strach, którego ciągle nie mógł się pozbyć. Tak samo on bał się o brata, kiedy byli młodszy, ilekroć Michaelowi mogła stać się krzywda, gdy grali w piłkę, płynęli tratwą wezbraną górską rzeką, wspinali się po górach. Kiedy chodzili do szkoły, spędzali razem wiele czasu. Później Michael wstąpił do seminarium, a Dane pojechał na studia do Case Western w Ohio, by studiować prawo, coś, czego nie cierpiał. Na szczęście szybko zorientował się, że chce zostać policjantem.

- Ani słowa więcej o tym wypadku - rozkazała Sherlock.

- Mamy mordercę, który, uciekając, wystraszył się, wystraszył się tak, że wczoraj próbował wariackiego wyczynu kaskaderskiego. Musi być niepoczytalny albo zdesperowany, lub jedno i drugie. Próbowaliśmy dowiedzieć się, co robił Linus Wolfinger podczas tego roku po zrobieniu



dypłomu, przed podjęciem pracy tutaj i poznaniem pana Burdocka, właściciela Premier Studios.

- I nie mamy wiele szczęścia - powiedział Savich. - Nawet MAX nie jest w stanie nam pomóc. Nie potrafi niczego znaleźć, śladu transakcji kartami kredytowymi, śladu zatrudnienia, żadnego rachunku za samochód.

- Więc zdecydowaliśmy, że zapytamy go wprost - powiedziała Sherlock. - Co o tym myślisz, Dane?

- Dlaczego nie? - zastanawiał się Dane i wzruszył ramionami. - Przynajmniej będzie jakiś punkt wyjścia, bo i tak będziemy musieli to później sprawdzić. Zaczynam nabierać przekonania, że żadne z nich nie mówi prawdy.

- Przynajmniej wszyscy są konsekwentni - uznał Savich. Telefon komórkowy Sherlock zadzwonił, odgrywając temat przewodni „Z archiwum X”.

- Halo?

- Mówi Belinda Gates. Chyba mamy tu naprawdę poważny problem.

- Co się stało?

- Ostatniej nocy oglądałam kablówkę. O dziewiątej wieczorem leciał trzeci odcinek „Superagenta”

- O nie - jęknęła Sherlock. - Naprawdę mamy problem. Trzy godziny później, udręczony detektyw Flynn powiedział do grupy dziesięciu ludzi tłoczących się w pokoju hotelowym Dane'a:

- Dyrektor programowy lokalnego kanału dziewiątego KRAM, Norman Lido, twierdzi, że Frank Pauley z Premier Studios wysłał mu odcinek i dał pozwolenie na emisję, mówiąc mu, że sam ma zakaz emisji programu, ale może KRAM zechce go puścić. Spodobał mu się odcinek i pokazał go zeszłej nocy. Ten kanał telewizji kablowej ogląda tu, w Kalifornii, około ośmiu milionów osób.

- Czy ten idiota nie wiedział, dlaczego program został zdjęty? - zastanawiał się Dane. - Przecież cały świat o tym mówił.

- Twierdzi, że nie wiedział - rzekł Flynn i wzruszył ramionami. - Oczywiście kłamie jak z nut. Czy ktoś, kto ma choć odrobinę przyzwoitości, wyemitowałby ten program? Chodziło oczywiście o pieniądze, ale nikt nie powiedział tego głośno. Prawdopodobnie zapłacił tłumokom, by wyemitowali program.

- Kiedy mu powiedziałem, że to było we wszystkich wiadomościach, uśmiechnął się głupio i powiedział mi, że nigdy nie ogląda telewizji - rzekł Flynn. - Oni znają się z dawnych lat. Powiedziałem mu, że nawet małe stacje, takie jak jego, podały tę informację w swoich lokalnych wiadomościach. Kretyn po prostu udawał, że jest zaskoczony. Mało brakowało, a bym mu przywalił.

- Dlaczego Belinda Gates nie zadzwoniła do mnie wczoraj? - zastanowiła się Sherlock. - Czyli zaraz po tym, jak obejrzała program?

- Zapytam ją o to - powiedział Delion.

- Nie wiedziała, co zrobił jej mąż? Delion wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Ale Sherlock i Savich właśnie idą spotkać się z Pauleyem, Nie mogę się doczekać, by usłyszeć, co ma do powiedzenia. Zależnie od tego, co powie, jestem gotów zawlec jego dupsko do więzienia albo postawić go pośrodku Pico Boulevard w godzinach szczytu, by kierował ruchem.

- Przynajmniej na razie nie dostaliśmy raportów o popełnionych morderstwach podobnych do tego z trzeciego odcinka

- powiedział Flynn.

- Myślę, że brak wiadomości to w tym przypadku dobra wiadomość - skomentował Savich. - Gdy rozmawialiśmy przez telefon z Pauleyem, twierdził, że nic o tym nie wiedział, że nigdy nie dał nikomu kopii któregośkolwiek odcinka. Musimy jeszcze raz spotkać się z nim i z Belindą. Delion uważa, że Sherlock najlepiej sobie z nią poradzi. Dane, ty zostań w łóżku i spróbuj się wyleczyć. Nick, nigdzie nie wychodź, media krążą wokół studia.

- Hej! - krzyknął Dane. - Naprawdę nic mi nie jest. Chcę pójść z tobą na spotkanie z Pauleyem. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Naprawdę muszę to zrobić, Savich.

- No dobrze, Dane - odpowiedział Savich po chwili. - Zbieramy się za piętnaście minut. Ale myślę, że to ostatni raz, kiedy wychodzicie tu, w Los Angeles. Jest zbyt wielkie zainteresowanie mediów i nie ryzykowałbym jeszcze bezpieczeństwa Nick. I twojego też - dodał Savich, patrząc na ramię Dane'a.

Nick spojrzała na niego z troską.

- Weź prysznic, a ja przyszykuję ci ubranie - powiedziała.

- Dziękuję.

- Uważaj na rękę.

Frank Pauley stał pośrodku swojego gabinetu.

- Jest tak, jak mówiłem kilka godzin temu - powiedział bez zbędnych wstępów do czterech osób wchodzących do jego biura. - Nie wysłałem tego cholernego odcinka do KRAM. Nawet nie znam dyrektora programowego stacji, nigdy nie słyszałem o Normanie Lido. Oczywiście, ktoś musiał mieć nagranie, może morderca, i posłać je z moim nazwiskiem, żeby narobić mi kłopotu, żebyście myśleli, że ja to zrobiłem. Ale ja tego nie zrobiłem. Jest jeden drobny szczegół: odpowiedzialność, rozumiecie, studio nie wyrobi na odszkodowania, jeśli będzie więcej morderstw. Jezu, nigdy bym tego nie zrobił! To szaleństwo.

- Dlaczego zeszłej nocy nie oglądał pan telewizji razem z Belindą? - zapytała Sherlock.

- Co? Grałem w pokera w Malibu, jak co tydzień. Było nas trzech. Możecie to sprawdzić.

Savich pomachał w stronę bardzo długiej sofy.

- Proszę usiąść, panie Pauley. - Skinął na Dane'a, Nick i Sherlock, by też usiedli. - Agent Carver został wczoraj postrzelony, więc nie może się przemęczać. Najwyraźniej morderca próbował zabić Nick.

Pauley popatrzył na Dane'a, później na Nick. Wyglądał na zupełnie oszołomionego.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział powoli. - To zupełnie bez sensu. To wszystko jest po prostu szalone.

- Zaczynam się z panem zgadzać - mruknął Dane.

Znowu poczuł się gorzej. Ręka pulsowała, tępy ból nie ustępował. Prawą dłonią podparł łokieć i usiadł wygodnie na krześle z szarej skóry i wciąż doskonale się trzymał.

Nick lekko dotknęła jego ręki.

- Panie Pauley - powiedziała Sherlock. - Proszę nam pomóc to wyjaśnić. Kiedy wrócił pan wczoraj z pokera do domu, czy Belinda powiedziała panu o programie?

Pauley przyglądał się swoim paznokciom, później frędzłom przy mokasynach.

- Ostatniej nocy nie wróciłem do domu.

- Aha - rzekł Savich. - Więc gdzie pan był?

- Do późna graliśmy w pokera i za dużo wypilem. Zostałem w domu Jimbo.

Savich zmarszczył czarną brew.

- Jimbo?

- Nazywa się James Elliott Croft.

- Aktor? - zapytała Nick.

- Tak. On też jest parszywym pokerzystą. Wygrałem od niego trzysta dolców.

- A on po tym pozwolił panu zostać w swoim domu? - zapytał Savich, coraz wyżej unosząc brew.

- To naprawdę duży dom - wyjaśnił Pauley. - Jak jestem pijany, nikomu nie wadzę.

Trzymając się schematu, który ustaliła razem z Savichem, Sherlock zapytała:

- Czy kiedy dziś rano zobaczył pan Belinę, opowiedziała panu o programie?

Pauley pokręcił głową.

- Nie, była na mnie obrażona, bo powiedziałem, że wrócę do domu na noc, ale nie wróciłem.

Wyszła pobiegać, zanim wróciłem od Jimbo.

- Więc nie wie pan, dlaczego nie zadzwoniła ostatniej nocy, zaraz po tym, jak zorientowała się, że ogląda trzeci odcinek? - zapytał Savich.

- Nie mam pojęcia. Jest teraz w domu. Wiem, że detektyw Flynn rozmawiał z nią. Co wam powiedział?

Sherlock uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

- Myślę, że zachowam to dla siebie.

Rozległ się dzwonek telefonu. Pauley spojrzał zniecierpliwiony na biurko, ponownie rozległ się dzwonek.

- Powiedziałem Heather, by mi nie przeszkadzano, więc to musi być coś ważnego - wyjaśnił i podniósł słuchawkę telefonu, podróbka antyku, oczywiście szara.

Gdy odłożył słuchawkę powiedział:

- To był Jon Franken. Twierdzi, że jego prywatne kopie kolejnych odcinków „Superagenta” zniknęły.

- Jak to zniknęły?

- Agencie Savich, odcinki „Superagenta” nagraliśmy na kasetach wideo. Każdy, kto chciał, mógł zrobić kopię. Wszyscy producenci, montażyści, scenografowie, każdy mógł zrobić kopię. Nie były pod kluczem. Jon powiedział, że ktoś wziął właśnie jego kopie. - Westchnął. - Wszyscy wiedzieli, że prawdziwy morderca wiernie odtwarza scenariusz odcinków. Kto mógł ukraść kopie Jona?

- Ile odcinków zginęło? - zapytała Sherlock.

- Powiedział, że kolejne trzy. Nie ma powodu, by ukrywać, że nakręciliśmy je poprzedniego lata. Jestem zaskoczony, że Jon to zauważył. - Wyglądał, jakby zaraz miał się rozplakać. Pobożnym życzeniem Sherlock było, by tego nie zrobił.

- Wygląda na to - powiedziała - że te kasety wideo były doręczone przez firmę kurierską. Rozmawialiśmy z mężczyzną, który przyniósł film i list. Powiedział, że ktoś zostawił paczkę w punkcie doręczeń w ich biurze w północnym Hollywood. Oto list.

Podala go Pauleyowi. Wziął list i poparzył na niego.

- Proszę przeczytać, panie Pauley - zachęcił Savich. - Dane i Nick tego nie słyszeli.

Frank zaczął czytać:

- *Drogi panie Lido. Załączam odcinek „Superagenta”. Z uwagi na wiele czynników musieliśmy zaprzestać emisji serialu. Otrzymaliśmy informację, że pan mógłby zainteresować nim swoją widownię. Proszę spróbować i dać mi znać, co pan o tym myśli.*

Frank podniósł wzrok.

- On podpisał się moim nazwiskiem. To nie jest mój charakter pisma, mogę to udowodnić. - Szybko wstał i prawie pobiegł do biurka. Wyciągnął stertę jakichś papierów. - O, tutaj - powiedział, podsuwając Savichowi kartki. - To jest mój charakter pisma.

- Jest bardzo podobny - uznała Sherlock. - Nawet litery są pochylone w tę samą stronę. Moim zdaniem, trudno stwierdzić, że to nie pan pisał.

- Ja nie mam wątpliwości. Savich wstał.

- Dobrze, panie Pauley. Będziemy w kontakcie.

Nick odwróciła się na chwilę, kiedy opuszczali gabinet Franka Pauleya. Stał pośrodku pokoju, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Dokładnie tak, jak stał, kiedy tu przyszli.

Kiedy byli przy drzwiach windy, Dane powiedział:

- Skoro już tu jesteśmy, może wpadniemy do Linusa Wolfingera?

- To dobry pomysł - zgodził się Savich i nacisnął guzik. Przeszli przez trzy sekretariaty, we wszystkich taki sam personel, wciąż niepokazujący dekoltu, ubrany w eleganckie kostiumy w przygaszonych kolorach. To miejsce wprost kipiało wydajnością. Nick skinęła głową do Arnolda Loftusa, ochroniarza Linusa Wolfingera, który stał oparty o ścianę, gładki, opalony i znudzony. Sherlock podniosła gazetę z końca stołu i wręczyła mu ją.

Arnold Loftus odruchowo wziął gazetę.

- Dziękuję. Jesteście agentami FBI, tak?

- Zgadza się - powiedziała Sherlock. - Interesuje pana FBI?

- Jasne, więcej się u was dzieje niż u mnie. Nick uśmiechnęła się do niego.

- Co słychać? Wzruszył ramionami.

- Tu nigdy nic się nie dzieje. Wolfinger panoszy się, mówi każdemu, co i jak ma robić, a ludzie mają ochotę go zabić, ale nie zrobią tego, bo boją się go bardziej niż własnych matek, przynajmniej moim zdaniem tak to wygląda. A kiedy ktoś wkurzy się na niego tak bardzo, że spróbuje zrobić mu krzywdę, ja będę musiał go uratować. Dzięki za gazetę.

- Proszę bardzo. Czy pan Wolfinger jest u siebie?

- O tak, musisz tylko dostać przepustkę od jego psa obronnego.

- Ty nie jesteś psem obronnym?

- Nie, ja jestem bronią ostateczną.

Savich nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Jak nazywa się pies obronny?

- Nazywam go pan Armani, ale naprawdę nazywa się Jay Smith.

- Teraz mamy Smitha i Jonesa - odezwał się Dane, patrząc w stronę Nick, ale ona go zignorowała.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Sherlock po tym jak odeszła na bok - żeby pan Arnold Loftus i pan Linus Wolfinger byli kochankami.

- Zgadza się - przyznała Nick. - Kto nam o tym powiedział?

- Sprawdzę w swoich notatkach - obiecała Sherlock.

Jay Smith na ich widok zmarszczył brwi. Ubrany był we wspaniale skrojony jasnoszary wełniany garnitur od Armaniego.

- Pan Wolfinger jest bardzo zajęty. Mnóstwo osób czeka na rozmowę z nim.

Savich zszedł go od tyłu, zatrzymał się na moment i powiedział zza jego pleców:

- Czy przekaże pan panu Wolfingerowi, że przyszedliśmy z nim porozmawiać, czy ja sam mam mu to

powiedzieć?

- Proszę poczekać!

- Nie, to sprawa policji. Nie mogę czekać.

Savich mrugnął porozumiewawczo do Sherlock, a ona położyła dłoń na piersi i wyszeptwała:

- Mój bohater.

Savich otworzył drzwi, wszedł do ogromnego, pustego biura i zamarł.

Linus Wolfinger leżał na blacie biurka, wyglądał, jakby spał, był nieprzytomny lub martwy.

# Rozdział 26

Może spróbujemy go reanimować? - Może być już za późno - powiedział Dane. - Jak na nieboszczyka, nie wygląda źle. Tak mi przykro, był taki młody.

- Myślę, że wygląda bardzo spokojnie - zauważyła Sherlock. - Myślicie, że powinnam go pocałować? Może ożyje?

- Jak śpiący królewicz? - zapytała Nick. Jay Smith wymachiwał za nimi rękami.

- To nie jest zabawne - szeptał nerwowo. - On nie jest martwy, a wy o tym wiecie. Medytuje. Na litość boską, nie możecie mu przerywać medytacji. Jeśli na to pozwolę, zwolni mnie. O Boże, nie spłaciłem jeszcze debetu na karcie kredytowej za ten garnitur.

Sherlock poklepała go po ramieniu w garniturze od Armaniego.

- Dzień dobry, panie Wolfinger - zawołała, przemykając obok Jaya Smitha, który wyglądał, jakby był bliski płaczu.

- Zwolni mnie, na pewno, wykopie na zbity pysk. Co ja powiem matce? Ona myśli, że gruba ze mnie ryba.

Linus Wolfinger nie ruszał się, leżał nieruchomo i wyglądał jak trup.

Sherlock podeszła do biurka, pochyliła się nad nim i powiedziała mu do ucha:

- Czy wysłał pan trzeci odcinek do Normana Lido z telewizji KRAM?

Linus Wolfinger podniósł się bardzo powoli, siadając na krześle płynnym ruchem, pełnym wdzięku, jak tancerz. Potem wstał i przeciągnął się. Wyglądał jak ofierma - sterczące kości, trzy pióra w kieszeni jego białej koszuli, na nogach poszarpane tenisówki.

- Nie - odpowiedział. - Nie wysłałem. Nie wiedziałem o tym, dopóki Frank mi nie powiedział przed chwilą. Bardzo przejął się tym, że ktoś podszył się pod niego i podrobił jego podpis.

- Panie Wolfinger, czym pan się zajmował przez ten rok po zrobieniu dyplomu na uniwersytecie Cincinnati w Santa Barbara? - zapytał Savich.

Linus Wolfinger wyciągnął pióro z kieszeni koszuli, pochylił się w prawo i zaczął stukać nim o blat.

- To było tak dawno temu, agencie Savich.

- Pewnie, całe dwa i pół roku temu - zakpił Savich. - Proszę sobie przypomnieć tamte czasy.

Linus spojrzał na Dane'a.

- Co się panu stało? - zapytał

- Harley

- Harley pana potracił?

- Nie, facet na harleyu. Linus patrzył zatroskany.

- Zawsze uważałam harleya za takie tanie porsche, ale bardziej seksowne. Proszę mnie posłuchać. Wiem, że trochę się pogubiliście i nie odróżniacie swoich głów od tyłków, ale nie wiem

nic więcej. To wszystko jest szokujące. Nie muszę wam chyba mówić, że pan Burdock jest wkurzony tym, co się tu dzieje. Media węszą wszędzie, naruszając prywatność wszystkich, a jego w szczególności. A nasi prawnicy skomlą ukryci w swoich biurach.

- Proszę nam powiedzieć, co robił pan podczas tego roku po zrobieniu dyplomu, panie Wolfinger.

Puk, puk, puk, stukało pióro.

- Nic szczególnego - powiedział Linus, wzruszając ramionami. - Włóczyłem się po zachodnich stanach - wiecie, Wyoming, Newada i tym podobne miejsca. Próbowałem odnaleźć siebie.

- Co pan przeżył przez ten rok? - zapytał Savich.

- Niewiele. Byłem sam, nie jadłem wiele, po prostu jeździłem po okolicy.

- Powiedział pan, że zjeździł Wyoming - wtrąciła Nick.

- Moim ulubionym miejscem jest kanion Bryce, na wyżynie Kolorado. Był pan tam? Co pan o nim myśli?

- Cudowne miejsce - powiedział Linus, kiwając głową.

- Spędziłem tam dobrych kilka tygodni. Co jeszcze mogę dla państwa zrobić?

Savich nie mógł kontynuować rozmowy z Linusem, bo drzwi gwałtownie otworzyły się i wbiegł Jon Franken, czerwony ze złości.

Stał jak wryty, gdy zobaczył cztery osoby stojące i patrzące na niego. Wyprostował się, wziął głęboki oddech.

- Chciałem powiedzieć, że słyszałem, że ci idioci z KRAM ostatniej nocy wyemitowali trzeci odcinek „Superagenta”. Dlaczego zgadzasz się na coś takiego?

- Dzień dobry, panie Franken.

- Och, daruj sobie - burknął Jon Franken. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie zrobiłem. Ktoś im to przesłał, twierdząc, że to od Franka.

- Gówno prawda! - wybuchnął Jon i zanurzył palce w swoje pięknie ułożone włosy. W przeciwieństwie do Linusa Wolfingera, Jon Franken wyglądał jak model, miał styl i dobry gust. Wyglądał bardzo hollywoodzko w swoich lnianych spodniach, granatowej koszuli i włoskich mokasynach włożonych na gołe stopy. Był elegancki. I był wkurzony nie na żarty.

Nie wyglądał też, jakby bał się Linusa Wolfingera, który w każdej chwili mógł kazać go wyrzucić na zbity pysk.

Linus Wolfinger nie przestawał stukać tym cholernym piórem.

- Przepraszam za to wtargnięcie - zwrócił się Jon do Savicha. - Ale właśnie się o tym dowiedziałem. Belinda do mnie zadzwoniła. Co, do diabła, się stało? Proszę, powiedzcie mi, że nie było żadnych morderstw.

- Jeszcze nie - odparła Sherlock.

- Dobrze. Może ktoś tylko próbował wprowadzić zamęt - powiedział Jon i ponownie przeczesał włosy długimi palcami. Był tak dobrze ostrzyżony, że wróciły na swoje miejsce.

Wolfinger wyraźnie ożywił się po tej wypowiedzi.

- Może Jon ma rację. Może to była kolejna zaplanowana zmyłka dla policji, by wszyscy wpadli w panikę. Co o tym myślicie?

- Myślę, że może pan mieć rację - osądził Savich. - Dane, usiądź, zanim się przewrócisz.

Dane podszedł do jednego z dwóch bardzo niewygodnych krzeseł stojących w tym wielkim, prawie pustym biurze, i usiadł. Lewe ramię podtrzymywał prawą dłońią.

- Co się panu stało? - zapytał Jon.

- Harley - odpowiedział Linus.

- Co?

Nie czekając na odpowiedź, Jon Franken zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- To musi się kiedyś skończyć. Musicie zatrzymać tego maniaka. Wszyscy są naprawdę tym wykończeni.

- Powiedział nam pan, panie Franken, że Weldon DeLoach ma około trzydziestki - odezwał się Savich. - Gdy zobaczyliśmy go na tym nagraniu, wszyscy przyznaliśmy, że wygląda starzej, przynajmniej na czterdzieści.

Jon wzruszył ramionami.

- Tak mi powiedział. Żyje bardzo intensywnie, więc nie drażyłem tematu. To miasto jest naprawdę okrutne dla niektórych ludzi, a Weldon jest jednym z nich. Pewnie tego nie rozumiecie, bo to brzmi jak dowcip, ale to prawda. Ludzie, którzy pracują w telewizji, młodo umierają, bo praca daje im w kość, osiemnaście godzin na dobę to norma. Wiele osób śpi tutaj na parkingu, na siedzeniu samochodu, w przyczepach. Kiedyś znalazłem jednego gościa, który padł w łóżku Scully na planie „Z archiwum X”; nie zdążył się nawet dobrze ułożyć, bo stopy zwisały mu z łóżka. A wracając do Weldona, nigdy nie miałem powodu, by mu nie wierzyć. Mówicie, że jest o wiele starszy, niż mi powiedział?

- Ma czterdzieści jeden lat, prawie czterdzieści dwa - powiedziała Sherlock. - Zna go pan od ośmiu lat, tak?

- Tak, ale nigdy nie przywiązywałem wagi do takich szczegółów. Kogo to obchodzi?

- Wiele rzeczy mogło od tego zależeć - odparła Sherlock. - Jeszcze tego nie wiemy.

Savich zwrócił się do Linusa Wolfingera.

- Czas na lekcję geografii, Linus. Kanion Bryce jest w stanie Utah, a nie w Wyoming. Więc co pan robił podczas tego roku?

Jon Franken popatrzył na Linusa.

- Nie wiesz, gdzie jest kanion Bryce? Jezu, Linus, ty powinieneś wiedzieć wszystko.

Savich marzył, by Jon Franken już sobie poszedł. Linus uśmiechnął się i dalej stukał swoim piórem.

- Tamta agentka powiedziała mi, że bardzo podoba jej się to miejsce i że znajduje się ono w Wyoming. Nie chciałem, żeby wyszła na nieuka. To nie byłoby zbyt grzeczne, prawda?

Jasna cholera, pomyślał Dane. Politycy w Waszyngtonie mogliby się od nich uczyć manipulacji.

Telefon komórkowy Dane'a zadzwonił w chwili, gdy Nick zapinała mu pasy na tylnym siedzeniu wynajętego przez Savicha dużego, granatowego forda taurusa. Zostawił go na parkingu studia, ponieważ media, dzięki Bogu, nie mogły się tam dostać. Przez dobre trzy minuty nie wypowiedzieli słowa. Sherlock, Savich i Nick patrzyli na niego w oczekiwaniu.

- No dobra - powiedział Dane. - Oddzwonię do pana w ciągu godziny. - Zakończył rozmowę, spojrzał na Savicha i potrząsnął głową. - To był pan Latterley, dyrektor domu dla emerytowanych policjantów Lakeview. Powiedział, że Weldon DeLoach dzwonił dzisiaj rano. Mówił, że dziś późnym popołudniem chce zobaczyć się z ojcem, i że powiedzieli mu, że jego ojciec spadł z wózka i zrobił sobie krzywdę.

- Ale nikt nam nie powiedział, że Weldon wcześniej dzwonił - zauważyła Sherlock.

- Racja - mruknął Dane. Oparł głowę o siedzenie i zamknął oczy. - Nikt nam o tym nie powiedział. Oczywiście zostawiłem w domu opieki moją wizytówkę.



Savich milczał. Wyjechał ze studia na zakorkowany, ryczący klaksonami Pico Boulevard.

- Najpierw najważniejsze sprawy - zdecydował.

Z powodu potężnego korka przejazd do szklanego domu Franka Pauleya na Mulholland Drive zajął im czterdzieści pięć minut. Otaczające wzgórza były bardzo wyschnięte.

Fifi Ann w stroju francuskiej pokojówki otworzyła drzwi i spojrzała na rękę Dana na temblaku.

- Ktoś pana pobił, agencie?

- Tak, harley.

- A to niebezpieczni skurwiele - skomentowała Fifi Ann, schylając się i poprawiając czarne, siatkowe rajstopy.

- Chcielibyśmy się widzieć z panią Pauley - powiedziała Sherlock.

- Proszę za mną - powiedziała Fifi Ann, prostując się i odwracając.

Belinda piła kawę nad błękitnym basenem, ubrana w bardzo skąpe, blad różowe bikini.

Obaj panowie przez dobre kilka sekund stali jak wryci, gapiąc się na nią.

Sherlock podeszła do niej i powiedziała.

- Piękny kostium, Belindo.

- Ładny, prawda? - Belinda odstawiła filiżankę i podniosła się, lekko przeciągając. Bardzo dobrze wiedziała, jakie wrażenie robi na mężczyznach. Uśmiechnęła się szeroko do Sherlock. - Lubię różowy. A moja skóra wygląda w nim cudownie.

- Wszystkie odzienie różowego pasują do moich rudych włosów. Czy nie jesteśmy szczęściarami?

Belinda roześmiała się, wzięła zwiewną chustę i owinęła się nią.

- Tak lepiej - uznała Nick. - Teraz panowie mogą oddychać, a ich puls spadł poniżej dwustu.

- No dobrze, Belindo - powiedziała Sherlock, przysuwając bliżej krzesło. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie zadzwoniła pani do mnie bezzwłocznie, gdy minionej nocy zdała sobie pani sprawę, że ogląda trzeci odcinek?

Belinda milczała prawie minutę. Po czym wstała, podeszła do krawędzi basenu i zanurzyła stopę w wodzie. Powoli odwróciła się, patrząc na każdego z nich i nawet nie próbując się usprawiedliwiać, odezwała się:

- Chciałam zobaczyć, co się stanie.

Nick prawie przewróciła się na kwitnącą na różowo bugenwillę.

- Co takiego?

Belinda wzruszyła ramionami.

- Cóż, nigdy nie wierzyłam w to, że pierwsze dwa odcinki były wzorem dla tych zabójstw. Pomyślałam, że to było w najlepszym wypadku naciągane, że policja i FBI uczepili się ich, bo przypomniały prawdziwe zbrodnie, których nie potrafili rozwiązać. Posłuchajcie, moja rola w tym serialu jest naprawdę dobra. To dla mnie poważny krok naprzód. Wycofanie programu oznacza dla mnie tyle, że nikt mnie nie zobaczy, i że będę mieć kłopoty z dostaniem kolejnej dobrej roli. Oczywiście pani, Sherlock, wiedziała, że skłamałam detektywowi Flynnowi i inspektorowi Delionowi dziś rano, gdy powiedziałam im, że wzięłam tabletki nasenne, zanim program się zaczął i po prostu zasnęłam przed jego końcem.

- Oczywiście - przyznała Sherlock. - Byli na panią wściekli. Myślę, że detektyw Flynn zajmie się tym - strzeliła palcami

- i aresztuje panią za składanie fałszywych zeznań. A więc teraz pani twierdzi, że tak jak ten

głupiec Norman Lido z kanału dziewiątego, chce zobaczyć, co się stanie.

- Chciałam, by ludzie mnie zauważyli, by przekonali się, że jestem dobrą aktorką i że wolą oglądać mnie, a nie tego durnia Joego Kleypasa, który zawsze drapie się po brzuchu, licząc, że kobiety zwrócą uwagę na jego mięśnie. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej nabieram przekonania, że to Joe wysłał trzeci odcinek do kanału ósmego. On bardzo cieszył się na tę rolę. Wiedział, tak samo jak ja, że „Superagent” to dla nas przepustka do wielkiej kariery. Przestał nawet popijać, tak się przejął rolą. Potem wszystko tak się potoczyło. To niesprawiedliwe.

Zanurzyła stopy w wodzie, wzruszyła ramionami, ale nie spojrzała na nich.

- Będzie mi naprawdę przykro, jeśli umrze więcej osób, ale kto wie, może i tak by umarli.

- Nawet nie próbuj się usprawiedliwiać tego, co zrobiłaś

- powiedziała ostrym tonem Sherlock. - To było naprawdę poniżej poziomu. - Podniosła się z fotela, podeszła do Belindy stojącej na brzegu basenu, spojrzała jej prosto w oczy i powiedziała: - Bardzo mnie pani rozczarowała, Belindo. - To mówiąc, Sherlock zepchnęła ją do wody i nie oglądając się, wróciła do pozostałych.

Usłyszała za sobą plusk wody, kaszel, a później śmiech.

- Świetny strzał, Sherlock - krzyknęła za nią Belinda. Sherlock wciąż nie odwracała się, by na nią spojrzeć.

- Myślę, że już czas, byśmy pojechali nad jezioro Niedźwiedzie - zdecydowała. - Weldon powiedział im, że będzie w domu opieki późnym popołudniem.

- Detektyw Flynn pojechał tam razem z Gilem Rainy i sześcioma innymi agentami - poinformował Dane. - Jeśli pojawi się wcześniej, zatrzymają go.

- Chcę jechać z wami - powiedziała Nick. - Muszę w końcu zobaczyć Weldona DeLoacha. - Zwróciła się do Savicha. - Ma około czterdziestki. Czy to nie interesujące? Dlaczego skłamał o swoim wieku?

- Kto wie? - odparł Savich. - Może dziesięć lat temu myślał, że to niezbędne. W końcu Hollywood to miasto dla młodych ludzi.

- Może - mruknął Dane. - Ale mógł mieć inny powód, by skłamać. Bardzo chcę osobiście go o to zapytać.

Sherlock odwróciła się i jeszcze raz spojrzała na Belinę Gates, wciąż zanurzającą nogi w odległym końcu basenu. Nad nią powiewała jej biała chusta.

- Miałam zamiar pokazać pani jeszcze jedno zdjęcie Seana, jak kąpie się w basenie u swojej babci - zawołała Sherlock. - Dillon trzyma go na rękach i też ma na sobie kąpielówki. Trudno powiedzieć, który jest bardziej słodki. Ale go pani nie pokażę, Belindo.

Belinda znowu się roześmiała.

# Rozdział 27

Był piękny pogodny dzień nad jeziorem Niedźwiedzim. Na ziemi nie było już śladu śniegu, powietrze było rześkie i przejrzyste, bez śladu smogu. W spokojnej tafli jeziora odbijały się promienie popołudniowego słońca. Droga tutaj zajęła im nieco ponad półtorej godziny.

- Niezły czas - uznał Dane. - Mimo wszystko.

- Jak to, mimo wszystko? - zdziwiła się Sherlock.

- Mimo że w Los Angeles na jeden metr kwadratowy przypada więcej samochodów niż gdziekolwiek indziej - wyjaśnił Dane. - Nie uwierzylibyście, jakie historie opowiadał Michael, kiedy zaraz po skończeniu seminarium zamieszkał w parafii we wschodnim Los Angeles. Nigdy nie zapomnę, jak mówił... - Głos Dane'a załamał się. Zaciśnął szczękę i przygryzł wargi.

Patrząc na niego, Nick pomyślała, że panowanie nad sobą było dla niego bardzo istotne.

- Gil Rainy opowiadał Sherlock - powiedział spokojnie Savich - że czasami dojazd do pracy zajmuje mu dobrą godzinę, a mieszka tylko sześć kilometrów dalej. Oczywiście Waszyngton to też nie przelewki, prawda, Dane?

Dane tylko kiwnął głową, jeszcze nie był w stanie mówić.

- Nick, a jak jest tam, skąd ty pochodzisz? Duży ruch na ulicach?

- Nie - odpowiedziała Nick. - Niewielki.

- Właściwie jesteś doktor Nick, doktor historii średniowiecznej. Jesteś wykładowcą?

- Tak - odparła Nick.

- Myślałam, że kampusy akademickie są szczególnie zapchane - zauważyła Sherlock.

- To chyba zależy od kampusu - powiedziała Nick i odwróciła głowę, by popatrzeć za okno.

Dane spostrzegł, że mocno zaciśnęła przy tym dłonie na kolanach.

Zostawili samochód na małym parkingu i udali się do wejścia domu dla emerytowanych oficerów policji Lakeview, założonego w 1964 roku.

Spotkali tam Deliona, Flynna i Gila Rainy. Wszyscy mieli na sobie zapięte pod szyję sportowe kurtki, ale wyglądali na lekko zmarzniętych.

- Żadnego śladu Weldona DeLoacha - powiedział Flynn. - Gil wysłał dwóch agentów, żeby pilnowali drogi dojazdowej. Mają nas uprzedzić, kiedy się pojawi.

- Czy ktoś rozmawiał z kapitanem DeLoachem? - zapytał Dane.

- Nie - odpowiedział Gil. - Gruba kobieta z wąsami, Velvet Weaver, twierdzi, że siostra Carla powiedziała jej, że nie ma z nim kontaktu. Komendant siedzi na swoim wózku, bębni palcami o koła i nuci coś pod nosem.

- Chciałbym go zobaczyć - nalegał Dane.

- Idź - zdecydował Savich.

Kiedy Dane i Nick szli długim korytarzem, usłyszeli wybuchy gromkiego śmiechu. Śmiejący się

ludzie byli starzy i wyraźnie bardzo zadowoleni. Zatrzymali się w drzwiach wielkiej sali rekreacyjnej, gdzie było mnóstwo telewizorów, stołów bilardowych i do gry w karty i niewielki kącik biblioteczny z regałami wypchanymi książkami w miękkich okładkach.

Właśnie trwał turniej bilardowy, który obserwowało kilka osób, śmiejąc się i pogwizdując radośnie. Chyba śmieszyło ich, że oboje gracze: staruszka ubrana w luźną jaskrawą sukienkę i staruszek w szarych, flanelowych spodniach od dresu, koszulce z wizerunkiem Harry'ego Pottera i trampkach na nogach, traktowali tę grę śmiertelnie poważnie. Tylko nie grali zbyt dobrze. Dane uśmiechnął się do Nick.

- Może kiedyś byśmy tutaj przyszli? - zapytał.

- No, nie wiem - odpowiedziała. - Nie umiem aż tak dobrze grać w bilard.

Poszli dalej korytarzem w stronę pokoju kapitana DeLoacha. Pomyślała, że przez ostatni miesiąc nie miała zbyt wielu powodów do śmiechu. Drzwi były zamknięte. Dane delikatnie zapukał i zawołał:

- Kapitanie DeLoach? Ale nikt nie odpowiadał.

- Kapitanie DeLoach? - zawołał głośniej Dane. - Tu agent Carver, chciałbym jeszcze z panem porozmawiać.

Dane otworzył drzwi, ostrożnie zasłaniając Nick, co jej zdaniem było głupim pomysłem, bo miał rękę na temblaku. Ale w pokoju nikogo nie było.

Dane odetchnął głęboko.

- Jasne. Pewnie kibicuje na zawodach w sali rekreacyjnej. Zastali kapitana DeLoacha jak trzymał czarną bilę, a facet w koszulce z Harrym Porterem próbował mu ją odebrać.

- Daj spokój, Mortie - krzyczał kapitan DeLoach - przegrałeś z Daisy. Pokonała cię uczciwie i bezdyskusyjnie. Nie rzucaj w nią bilę, bo będę musiał cię aresztować!

- Niech ją sobie wsadzi - krzyknęła inna staruszka, stukając laską o podłogę.

Wtedy Dane zdał sobie sprawę, że przynajmniej jedna trzecia tych ludzi to kobiety. Też były emerytowanymi oficerami policji? Nie sądził, że już czterdzieści lat temu prawo na to zezwalało.

Chcąc nie chcąc, Mortie wycofał się, wyraźnie niezadowolony. Wtedy kapitan DeLoach rzucił mu czarną bilę, zaśmiał się i powiedział:

- Spróbuj ją do tego skłonić, jeśli chcesz.

- Niech tylko spróbuje - krzyknęła Daisy, wymachując pięścią na Mortiego.

- Świetnie - powiedział Dane. - Siostra Carla się myliła. Kapitan DeLoach nie wyszedł na lunch.

Wygląda na to, że jest tutaj, dzięki Bogu.

Chwilę później poprosili go na stronę.

- Pamięta mnie pan? - zapytał Dane.

Kapitan DeLoach zmierzył Dane'a od stóp do głów, popatrzył na jego rękę na temblaku, po czym powoli podniósł rękę i zaszalutował. Dane zrobił to samo i uśmiechnął się do staruszka.

- Mam broń - poinformował kapitan DeLoach.

- Naprawdę?

- Tak, agencie. - I dodał szeptem: - Nie chcę by ktoś się dowiedział, bo mogliby się wystraszyć.

Przekupiłem Velvet i ona mi ją kupiła. Powiedziałem jej, że najwyraźniej ktoś mnie zaatakował i jako emerytowany stróż prawa, powinienem być uzbrojony. Nawet go zarejestrowała. To beretta, kaliber dwadzieścia pięć. Muszę tylko nacisnąć spust i mogę zabić każdego w mgnieniu oka.

Wyciągnął rękę z kieszeni, a w starej trzęsącej się dłoni trzymał elegancki, czarny automatyczny

pistolet.

- Od jak dawna ma pan ten pistolet?

- Velvet dała mi go wczoraj. Chcę być przygotowany, kiedy mój syn przyjedzie i znowu będzie próbował mnie zabić.

- Podobno dzwonił wczoraj i powiedział, że niedługo przyjedzie się z panem zobaczyć. Chcemy spotkać się z Weldonem. Pozwoli mi pan z nim porozmawiać, kapitanie? Wątpię, by musiał pan go zastrzelić.

- A więc pan zastrzelił dla mnie tego małego skurwiela?

- Może - mruknął Dane. - Może i tak. Ale dlaczego on chciałby pana zabić?

Staruszek tylko potrząsnął głową i spojrział na swoje powykrzywiane palce.

Kapitan DeLoach - ile lat ma pański syn? - zapytała Nick.

Kapitan DeLoach spojrział na rozgrywany w drugim końcu sali mecz bilardowy, potem na swoje palce, w końcu na Dane'a.

- Ten gnojek ledwo od ziemi odrósł. Ale najgorsze jest to, agencie, że nie spocznie, dopóki mnie nie uciszy. To mnie strasznie irytuje, wie pan?

Kapitan DeLoach spojrział w stronę Daisy, która krzyczała z radości, bo właśnie umieściła trzecią bilę w narożniku.

- Rozpoczęli kolejną rundę. Stary Mortie jest bez szans. Wiecie, że był komendantem policji w Stockton? A Daisy przez czterdzieści lat była żoną sierżanta z biura w Seattle, który zmarł dzień po ich rocznicy ślubu: miał atak serca. To kobieta z ikłą. - Przez chwilę rozmyślał i powiedział: - Gdyby Daisy była nieco młodsza, kto wie? Może bym się nią zainteresował.

- No tak - powiedział Dane. - Pewnie ma z siedemdziesiąt pięć lat.

- Raczej siedemdziesiąt siedem. - Kapitan DeLoach schował pistolet do kieszeni sportowej marynarki, którą włożył na niebieską piżamę. - Na pewno w młodości była z niej gorąca laska.

- Być może - zgodził się Dane i pomyślał o swojej babci, która zmarła kilka lat temu.

Nagle kapitan DeLoach powiedział miękki, niemal śpiewnym głosem:

- Czuję go, jest gdzieś blisko. Tak, blisko, coraz bliżej. Zawsze wiem, kiedy się zbliża. Ciekawe, prawda?

- Pański syn, Weldon, kiedy dokładnie się urodził? W którym roku?

- To był rok Szczura, tak było. Niezłe się z tego uśmiełem. Szczura. - Staruszek odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno. Przerwano mecz bilardowy. Oczy wszystkich zwróciły się ku kapitanowi DeLoachowi, który śmiał się do rozpuku. W końcu, chrapliwie oddychając, powiedział: - A może to był Koń? Tak, to był rok Konia.

- Hej, też chcemy usłyszeć ten kawał - zawołała Daisy. Głowa kapitana DeLoacha opadła do przodu, a on lekko chrapnął.

Dane potrząsnął staruszką, po czym cofnął rękę.

- Chyba powinienem zabrać mu pistolet - powiedział do Nick. - Naprawdę powinienem.

- Założę się, że Velvet kupiłaby mu nowy. Dane pokiwał głową.

- Masz rację. Poczekajmy na Savicha i Sherlock. Godzinę później wciąż nie było śladu Welona DeLoacha.

Wszyscy pozostali na stanowiskach aż do zapadnięcia zmroku. Wtedy detektyw Flynn i Gil Rainy zawołali wszystkich do środka.

- To był głupi kawał. Zmyłka, żebyśmy wszyscy skupili się wokół kapitana DeLoacha i trzymali

się z dala od niego - powiedziała Sherlock.

- Dobrze się czujesz, Dane? - zapytał Gil Rainy. - Wyglądasz dziś dużo lepiej niż wczoraj.

- Z ręką już lepiej. - Dane pokiwał głową. - Ale jestem przybity. Kapitan DeLoach wyglądał dobrze, nagle zaczął śmiać się tak głośno, że nieomal udusił się własnym oddechem, a potem niespodziewanie zasnął, chrapiąc lekko jak kobieta.

- Ja nie chrapię - obruszyła się Nick. - Spałeś dość blisko mnie, by wiedzieć, że nie chrapię.

Wszyscy wytrzeszczyli na nią oczy.

- Darujcie sobie - powiedziała do wszystkich Nick i poszła w stronę samochodu.

O dziesiątej wieczorem w pokoju hotelowym Dane'a zadzwonił telefon.

- Tak?

- Dane, tu Savich. Kapitan DeLoach strzelał do kogoś z pistoletu. Może to był Weldon, ale nikt go nie widział. Kiedy obsługa weszła do jego pokoju, leżał nieprzytomny na podłodze, obok niego pistolet, a w ścianie za sofą była duża dziura. Drzwi balkonowe nic były zatrzasknięte, ale zwykle tak jest, więc niekoniecznie to o czymś świadczy.

- Kapitan DeLoach wyjdzie z tego? - zapytał Dane.

- Myślę, że tak. Nie mam szczegółowych informacji o jego stanie, tylko to, co ci powiedziałem. Ma dobrą opiekę. Jutro tam jedziemy.

- A co z tymi dwoma gliniarzami, którym detektyw Flynn kazał pilnować jego pokoju?

- Niczego nie widzieli. Usłyszeli tylko strzał. Dane zaklął cicho, żeby Savich nie usłyszał.

- To nasz jedyny trop, Savich.

- Może i nie. A teraz śpij dobrze. Sherlock kazała ci powiedzieć, że jutro będziesz tańczył z radości.

Dane burknął coś do telefonu, odłożył go na nocny stolik, po czym popatrzył na Nick i opowiedział jej, co się stało.

- Jestem przekonana - powiedziała powoli Nick, podając Dane'owi dwie tabletki i szklanę wody - że Weldon DeLoach nie istnieje. Może to postać wymyślona przez Hollywood, coś od początku do końca stworzonego dla widzów, jak przedstawienie, epopeja, gdzie rzeczywistość walczy ze sztuką i wygrywa. Rozumiesz, ogromne pieniądze, wielkie gwiazdy, dużo zamieszania, ogromne gaże, morderstwo i zamęt.

- Wiesz - powiedział, połykając tabletki - to, co mówisz ma sens.

- Nie - odparła. - Tak sobie tylko gadam. Chyba jestem bardzo zmęczona, Dane.

Zgasiała górne światło w jego pokoju i poszła do swojego pokoju.

# Rozdział 28

## JEZIORO NIEDŹWIEDZIE

Lekarz twierdzi, że to nie był wypadek - powiedział pan Latterley, patrząc z zakłopotaniem. Nick dostrzegła, że jego szpiczasta, łysa głowa lśniła od potu. Oczywiście było, że nigdy wcześniej nie miał do czynienia z czymś podobnym.

- Najwyraźniej kapitan DeLoach został uderzony tuż nad lewą skronią. Lekarz powiedział, że rana nie jest konsekwencją zwykłego upadku z krzesła. Poinformowałem o tym lokalną policję, a oni wszystkich przesłuchiwali, ale do tej pory niewiele wiemy. Za każdym razem, kiedy próbowali przesłuchać kapitana DeLoacha, zaczynał rechotać jak wariat, krzyczał, że wygra i wszystkich zadziwi i to wszystko. W kółko to powtarzał. Myślę, że nie chciał z nimi rozmawiać. I to się raczej nie zmieni.

- Dwóch strażników będzie pilnowało go przez całą dobę - zapowiedział Dane.

- To dobrze. To wszystko jest bardzo niepokojące, agencie Carver. Przemoc w Lakeview! To nie sprzyja prowadzeniu interesu. - Pokręcił głową. - A podejrzanym jest jego własny syn. Muszę powiedzieć, że Weldon DeLoach zawsze wydawał się bardzo miłym człowiekiem. Za każdym razem, gdy z nim rozmawiałem, martwił się o ojca, był bardzo troskliwy, zawsze w terminie płacił wszystkie rachunki. Przez te wszystkie lata kontaktowałem się z nim telefonicznie i przez e - mail.

Dane pokazał panu Latterleyowi zdjęcie.

- Czy to jest Weldon DeLoach?

Pan Latterley spojrzał na niewyraźne czarno - białe zdjęcie, które powstało z zatrzymania klatki filmu wideo. Przez długą chwilę nic nie mówił. Wreszcie podniósł głowę i zmarszczył brwi.

- To jest Weldon. Zdjęcie jest niewyraźne, ale tak, agencie Carver. Wie pan, całkiem możliwe, że to nie Weldon był tu dzisiaj. Tak naprawdę nie mogę pogodzić się z tym, że to mógł być on. Za bardzo dbał o ojca, by chcieć go skrzywdzić.

- No dobrze, jeśli nie Weldon, to kto to mógł być? Ma pan jakiś pomysł? - zapytał Dane.

Pan Latterley przecząco pokręcił głową.

- Nie, nikt więcej go nie odwiedzał, a przynajmniej ja nigdy nie widziałem nikogo. Mamy tu ochronę, ale przypuszczam, że mógł się tu dostać jakiś kryminalista z przeszłości kapitana DeLoacha.

- To musiał być przestępca z bardzo długą pamięcią - zauważył Dane i wstał. - Chciałbym porozmawiać z Daisy.

Daisy była w sali rekreacyjnej, tym razem czytała bardzo stary egzemplarz magazynu „Time”, chichotała z poplamionej spermą niebieskiej sukienki Moniki i oralnej przyjemności prezydenta.

- A to dobre - powiedziała do siebie Daisy. - Chciał, żeby ludzie zapamiętali go jako wielkiego prezydenta - zaśmiała się głośniej. - Teraz będzie znany jako dureń, który nie potrafi utrzymać zapiętych spodni.

Daisy była dziś ubrana w luźną podomkę, sandały, paznokcie u nóg miała pomalowane na jasny koral, kolorem pasujący do jej szminki.

- Nazywam się Dane Carver, jestem agentem specjalnym, a to jest panna Jones. - Dane pokazał odznakę FBI.

- Pamiętam was. Byliście tu wczoraj. Jestem Daisy Griffith - powiedziała, uśmiechając się do nich szeroko i ukazując pełne, białe uzębienie. - Jesteście tu z powodu biednego, starego Ellisona. Znowu się wywalił, prawda? Nigdy nie miał dobrego zmysłu równowagi, biedny Elly. Kiedy jest podekscytowany, nigdy nie może spokojnie usiedzieć na wózku. On jest stary jak świat - hm, a może nawet starszy.

Daisy zamilkła na moment, stukając palcem w zdjęcie Clintona grożącego mediom palcem i powiedziała:

- Słyszałam, jak pielęgniarki mówiły, że to nie był wypadek, że jego syn próbował go wykończyć. Czy to prawda?

- Nie wiemy - odpowiedział Dane. - Czy kiedykolwiek spotkała pani Weldon DeLoacha?

- O tak, miły chłopiec. Uprzejmy i troskliwy, nie tylko w stosunku do ojca, ale do nas wszystkich. - Westchnęła. - Elly wiele o nim opowiadał, mówił, że jest naprawdę utalentowany, jest dobrym scenarzystą i ma polot. Jest bardzo hollywoodzki, wiecie, co mam na myśli.

- Tak, wiemy. Czy kapitan DeLoach kiedykolwiek opowiadał pani o swoim synu, poza tym, czym się zajmuje?

- Oczywiście. Elly mówił, że był już bardzo stary, kiedy się urodził. To była wpadka. Chłopiec potrzebował młodszego mężczyzny, by go wychował. Później umarła jego matka. No i Elly został z nim sam, podstarzały policjant z małym dzieckiem na wychowaniu.

Chyba jakiś tydzień temu powiedział, że jego chłopiec nie zachował się tak, jak on by sobie tego życzył, ale co mógł na to poradzić? Mówił, że szczególnie teraz kusiło go, żeby wyjawić całą prawdę. Powiedział, że śmiertelnie by mnie to przeraziło. Zapytałam, co chce przez to powiedzieć, a on tylko pogroził mi bilą. Mortiemu wydało się to bardzo śmieszne, stary zgred.

Stary zgred Mortie, bez przerwy drapał się w przedramiona. Powiedział, że owszem, przez te wszystkie lata kilka razy rozmawiał z Weldonem.

- Jasne, Elly czasami o nim opowiadał, ale mam wrażenie, że ci dwaj nie kochali się zbyt. A wiecie, że Elly był zapalonym graczem w bilard? Do czasu, aż złapał go artretyzm i zaczęły mu się trząść ręce. - Mortie potrząsnął głową i znowu podrapał się w przedramię.

- Podać panu kij do bilardu? - zapytała Nick. Natarła kredą końcówkę kija i podała go Mortiemu.

Ten roześmiał się i podszedł do stołu bilardowego. Precyzyjnym ruchem uderzył bile w chwili, gdy Dane i Nick opuszczali salę rekreacyjną.

- Pomyślałam, że to może przez chwilę powstrzymać go przed drapaniem - wyjaśniła z uśmiechem Nick. - Co teraz zrobimy?

- Pójdziemy do siostry Carli.

Była w pokoju pielęgniarek, przeglądała grafik, gwizdząc kolędę „Cicha noc”.

- A tak - powiedziała. - Wszyscy tutaj znają i lubią Weldon. Jest bardzo dobrym synem, troskliwym, miłym, często odwiedza ojca. Skąd pomysł, że go uderzył? Nie. Nie mogę w to uwierzyć. To musiał być jakiś intruz.

- Jak wygląda Weldon? - zapytał Dane. Carla Bender zastanowiła się chwilę.

- Jest blondynem, właściwie ma białe włosy i jest blady, jakby nigdy nie wychodził na dwór.



Kiedyś żartowałam z nim na ten temat, śmiał się i powiedział, że ma bardzo wrażliwą skórę i nie chce dostać raka. Wie pan, agencie Carver, że Weldon bez wahania zgadzał się na wszystko, o co poprosił go ojciec. Dobry z niego syn. Po prostu nie mogę uwierzyć, że byłby w stanie zrobić coś takiego.

- I mnie się tak wydaje - powiedziała Velvet Weaver, wychodząc z łazienki na korytarz. - Weldon jest naprawdę miły, ma łagodny głos i nie wyobrażam sobie, by w najmniejszym choć stopniu był zdolny do jakiegokolwiek przemocy. A co takiego mógł zrobić starszy pan, że wściekł się i go uderzył?

Dane pokazał jej zdjęcie.

- Tak, to Weldon. Carla to potwierdziła.

Rozmawiali z pielęgniarzami, dwoma dozorcami i grupą ogrodników. Wszyscy znali Weltona DeLoacha, ale nikt nie widział go w okolicy, gdy jego ojciec miał wypadek.

- Tak bardzo chciałbym, żeby chociaż jedna osoba widziała tu wczoraj Weltona - powiedział Dane, kiedy szli razem z Nick do nowo wynajętego pontiaca. - Przynajmniej w odległości dwóch kilometrów od tego miejsca. - Westchnął.

- Jeśli to Weldon, to był bardzo o ostrożny. Albo przebrał się, tak jak być może zrobił to w San Francisco.

Dane nic nie odpowiedział, jadąc w stronę Los Angeles. Po jego głowie krążyło mnóstwo myśli, żadna z nich nie prowadziła nigdzie, z wyjątkiem świata fantazji. Starał się trzymać z daleka od harleyów.

Kiedy na chwilę przed północą Nick w końcu zasnęła, natychmiast zaczęła jej się śnić tamta noc, kiedy w Chicago usiłował ją rozjechać czarny samochód. We śnie zobaczyła też mężczyznę, który wychodził z jej mieszkania, tego samego, który podłożył ogień. Potem nagle pojawił się facet na harleyu i bez przerwy do nich strzelał.

Obudziła się, westchnęła i usiadła na łóżku, ciężko oddychając. To wszystko w jednym śnie. Nagle zrozumiała, że to był ten sam mężczyzna.

Ten mężczyzna chciał ją zabić, nie dlatego, że była świadkiem zabójstwa księdza Michaela Josepha, ale dlatego, że wynajął go senator Rothman, który chciał jej śmierci. Dziwne, ale była tego całkowicie pewna.

Po cichu wyszła z łóżka i zdjęła nocną koszulę. Ubrała się i włożyła buty. Popatrzyła na drzwi łączące jej pokój z pokojem Dane'a, wzięła głęboki oddech i ostrożnie nacisnęła klamkę. Usłyszała równomierny oddech. Prawie na bezdechu otworzyła komodę i z kieszeni marynarki Dane'a wykradła kluczyki do samochodu. Dostrzegła leżący na komodzie jego portfel i wyjęła z niego kartę kredytową. W końcu wzięła też jego pistolet i zapas naboji. Spojrzała na niego - dalej spokojnie spał. Jeszcze jedno ostatnie spojrzenie i wymknęła się cicho, zamykając za sobą drzwi. Nieomal zginął, próbując ją chronić. Nie zniosłaby myśli, że mógłby umrzeć, tak jak jego brat, bezsensowną, brutalną śmiercią. Po prostu nie mogła go dłużej narażać. Ona była celem, a tak długo, jak była z nim, on też. Z tej prostej przyczyny, w głębi duszy była o tym przekonana, że gdyby była w niebezpieczeństwie, on oddałby za nią życie.

A tego by nie zniosła. Po prostu nie byłaby w stanie. Poza tym, miała plan. Jeżeli nie wypali, mogłaby znowu zniknąć. Wymknęła się z pokoju, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Trzy pokoje dalej Savich, który właśnie się obudził, stał nago przy oknie hotelowego pokoju. Usłyszał warkot uruchomianego silnika samochodu niedaleko okna swojego pokoju i zobaczył, jak ktoś wypożyczonym samochodem Dane'a wyjeżdża z hotelowego parkingu.



# Rozdział 29

Ma jakieś pieniądze? - westchnęła Sherlock.

- Chyba nie za wiele - odpowiedział Dane. - A to znaczy, że będzie jechać autostopem. Jasna cholera, cofam to, co powiedziałem, Nick nie jest idiotką. Chwileczkę. - Wbiegł do swojego pokoju, po chwili zawołał: - Czy ma ktoś kajdanki?

- Nie przy sobie - odparł Savich. Dane wrócił, ciężko oddychając.

- Gdy ją dopadnę, niech się ma na baczności. Tym razem nie będę się z nią cackał. Przypomnijcie, żebym wziął więcej par kajdanek od detektywa Flynna. Nie dość, że ukradła kluczyki od samochodu, wzięła też moją kartę kredytową i broń. - Zastanowił się przez chwilę. - Dlaczego uciekła? Przecież nic się nie zmieniło. Dlaczego?

W ciągu kilku minut detektyw Flynn miał już rysopis młodej kobiety, która uciekała samochodem marki pontiac. Blondynka z włosami do ramion i szarymi oczami, waga około pięćdziesięciu kilogramów. To nie były po prostu szare oczy, pomyślał Dane, ale wielkie szare oczy z ciemnymi rzęsami. Ale była chuda, za chuda, chociaż wyglądała lepiej, niż gdy ją pierwszy raz zobaczył. Boże, to było zaledwie w zeszły wtorek. Była ubrana w ciemnobrązowe spodnie i jasnobrązowy sweter, dobrze to zapamiętał. Torebka? Miała czarną skórzaną torebkę w kolorze butów. Rozmiar siedem i pół, tak, dokładnie taki był rozmiar jej buta. Rysopis musiał być bardzo dokładny, więc dodał, że miała regularne, ciemnobrązowe brwi. Miała jakieś metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, może trochę więcej. Sięgała Dane'owi prawie do nosa. Każdy funkcjonariusz w rejonie Los Angeles otrzymał ten bardzo szczegółowy rysopis.

Zabrała wszystkie ubrania, wszystkie, które jej kupił. Szybko zorientował się, że jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał. Ona była gdzieś tam zupełnie sama i nie miała pojęcia, jak się obronić. Miała jego samochód i broń. Dzięki Bogu, nie była bezbronna. Kiedy ją znajdzie, zwiąże ją i przykuje do siebie.

Jego gojące się ramię swędziało. Kiedy dziesięć minut później zadzwoniła jego komórka, nieomal przewrócił się, biegnąc, by ją odebrać.

Nick zostawiła samochód pięć kilometrów od hotelu Holiday Inn, między innymi samochodami zaparkowanymi przed osiedlem mieszkaniowym. Zatrzasnęła drzwi, a kluczyki zostawiła pod przednim błotnikiem od strony kierowcy. Dla złodzieja to oczywiste miejsce, ale zdaniem Dane'a są szanse, że policja znajdzie samochód, zanim jakiś złodziej będzie na tyle zdesperowany, że go ukradnie.

Pistolet ciążył jej w torebce. Sprawdziła magazynek. Było w nim piętnaście naboí. Poza tym miała dwanaście dolarów i kartę kredytową Dane'a. Czuła się prawie jak Rambo.

Do świtu pozostało dobrych parę godzin. Nikt jej nie śledził. Było ciemno, a ona ma broń.

Na rogu ulic Pickett i Longworth zobaczyła dzieciaki w szerokich spodniach, pewnie

handlowały prochami. Nie zatrzymując się, pospiesznie skręciła, kierując się na wschód. Do autostrady nie mogło być dalej niż dwa kilometry, tam zatrzyma jakąś ciężarówkę.

Do San Francisco dotarła, jadąc w wielkich kabinach ciężarówek, w towarzystwie co najmniej sześciu kierowców. Nauczyła się nawet obsługiwać CB radio.

Gdyby trafiła na wariata, miała broń. Udało jej się zatrzymać wielką ciężarówkę wiozącą mrożone mięso, jadącą cały czas autostradą 1 - 5. Muskularny kierowca, Tommy, zatrzymał się, bo jak twierdził, musiał szybko dowieźć towar do Bakersfield, a tak długo jechał bez odpoczynku, że ledwo trzymał się na nogach. Zapytał, czy mogłaby śpiewać i mówić do niego. Oczywiście, że mogła. Podwiózł ją aż do hrabstwa Ventura.

- Hej - powiedział - całkiem niezłe wyszło nam śpiewanie „Impossible Dream”

Godzinę później, niewielki samochód dostawczy, załadowany po dach pościelą i akcesoriami łazienkowymi do jednego z ośrodków narciarskich, zabrał ją i zaczął podjazd pod Mt. Pinos.

W Parku Narodowym Los Padres było zimno, ale niżej, na wysokości jeziora Niedźwiedziego, ziemię pokrywała tylko cieniutka warstwa śniegu, a powietrze było przejrzyste, podobnie jak wczoraj.

Kierowca zostawił ją naprzeciw Śniegowego Domku, niewielkiego pensjonatu, gdzie mogła poczekać na otwarcie sklepów. Nie chciała wynajmować pokoju. Wiedziała, że będą śledzić transakcje dokonane kartą kredytową i szybko zorientują się, gdzie jest.

Musi działać szybko, w przeciwnym razie Dane ją znajdzie. Odetchnęła głęboko rześkim powietrzem i weszła do pensjonatu.

Recepcjonistce powiedziała, że jej mąż przyjedzie z Los Angeles nieco później i mają spotkać się tutaj. Spędzili tu swój miesiąc miodowy i mają sentyment do tego miejsca. A ona przyjechała pierwsza. Na razie nie pójdzie do pokoju. Zaczeka na niego w lobby, przed kominkiem. Niczego nie podejrzewali.

Kiedy otwarto sklepy, uśmiechnęła się do recepcjonistki za ladą i wyszła. Poszła do małego sklepiku, gdzie kupiła tanią kurtkę i rękawiczki, potem do sklepu przy stacji benzynowej.

Godzinę później była w drodze do domu dla emerytowanych oficerów policji Lakeview.

Zastanawiała się, czy jej genialny plan dokąds ją zaprowadzi. Musiała spróbować. Była przekonana, że kapitan DeLoach wiedział więcej, niż im powiedział. Teraz była sama i wiedziała, że może namówić go na rozmowę. Przynajmniej modliła się, żeby tak się stało.

Udała się prosto do podwójnych balkonowych drzwi pokoju kapitana DeLoacha i zapukała w szybę. Nikt nie odpowiadał.

Spróbowała je otworzyć. Były zamknięte.

Zastukała mocniej w szybę i podskoczyła, kiedy usłyszała płaczący głos:

- Kogo tam diabli niosą? To ty, Weldon? Chcesz mnie wykończyć, łajdaku?

Zasłony odsłoniły się i stanęła oko w oko z kapitanem DeLoachem. Wyglądał blado, a głowę miał owiniętą bandażem, ale jego spojrzenie było jasne i przytomne. Przez chwilę jej się przyglądał, pokiwał głową i otworzył zamek. Kiedy odjechał na wózku od drzwi, otworzyła je i weszła do środka. Zamknęła z powrotem drzwi i zaciągnęła zasłony.

- Nie powinno mnie tu być, kapitanie DeLoach - powiedziała. - Ale myślę, że pan jest w centrum akcji, więc proszę mnie uważać za swojego ochroniarza.

- Jesteś o wiele ładniejsza niż ten idiota, którego wczoraj stąd wykopałem. Spasiony głupek, ciągle tylko podjadał pączki Carli, a ta wkurzała się i wyżywała na mnie. Kręć się tu wokół jacyś

gliniarze?

- Nie widziałam nikogo, byłam bardzo ostrożna, i mam nadzieję, że nikt mnie nie widział.

- Jasne, założę się, że wszyscy śpią. Ale zaraz, zaraz, pamiętam cię. Jesteś agentką FBI, prawda?

Dziewczyną, która przyszła z agentem Carverem?

- Tak, byłam tu z agentem Carverem. Jestem tu, by pana chronić. Nie potrzebuje pan innych gliniarzy. Ale nie powie pan nikomu, że tu jestem, dobrze?

Staruszek zastanawiał się nad tym przez kilka sekund, po czym powoli pokiwał głową.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio obok mnie była dziewczyna bez igły w dłoni.

- A pamięta pan, co się działo przez ostatnie lata?

- Jasne. Czy powinienem salutować?

- Tak - odpowiedziała Nick.

Wtedy staruszek zsalutował, a Nick zrobiła to samo.

- Proszę mi opowiedzieć, co pan pamięta z tych ostatnich lat, kapitanie - poprosiła.

Kapitan DeLoach zamilkł na chwilę, po czym rozmarzonym głosem powiedział:

- Wiesz, młoda damo, niektóre z tych lat tak wyraźnie tkwią w mojej głowie, że wydaje mi się, jakby to było wczoraj. Czuję dokładnie to, co wtedy: radość, podniecenie. Widzę ich twarze dokładnie takimi, jak były, słyszę krzyki, wrzaski, czuję, że chcą się na mnie zemścić, wiesz? Czuję radość ze zwycięstwa, czystą przyjemność wygrywania, uwielbiałem to, wiesz?

- Nie, proszę pana. Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Uśmiechnął się do niej słodko.

- Większość ludzi, których znałem i lubiłem, już nie żyje. Właściwie nie ma już nikogo oprócz mnie, rzecz jasna. Tylu ludzi odeszło. Wielka szkoda, prawda?

- Tak, naprawdę wielka. Dlaczego nazywa pan Weldon małym gnojkiem?

- Pamiętam jak dziś, gdy był małym urwisem, i nie potrafił jeszcze chodzić, ale interesował się wszystkim. A ja byłem sam. Skąd miałem wiedzieć, jak zajmować się małym dzieckiem?

- Wyobrażam sobie, że było panu ciężko. A co z Weldonem?

Tym razem nie odpowiedział. Głowa opadła mu do przodu. Wyglądał, jakby zasnął. Pewnie odpłynął gdzieś w odległą przeszłość, w której zaznał szczęścia. Biedny, stary człowiek. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy własny syn próbuje cię zabić.

Nic miała pojęcia, o co chodziło kapitanowi DeLoach, kiedy opowiadał o krzykach i wrzaskach. To zupełnie nie miało sensu.

Wyprostowała się i rozejrzała się po wielkim pokoju. Było tu miło i przytulnie. Zrzuciła kurtkę i zrobiła kilka kroków, przyglądając się wszystkiemu. Pokój wyglądał jak apartament w hotelu, miał tylko bardziej osobisty charakter - na komodzie stały zdjęcia, ale nie było pośród nich żadnej fotografii Weldon, na co ona i Dane zwrócili uwagę już wcześniej. Może zapyta kapitana DeLoacha, czy ma gdzieś schowane zdjęcia swojego jedynego syna. Obok jego łóżka stało jeszcze kilka fotografii - było na nich niemowlę i to samo dziecko w wieku kilku lat. Czy to był Weldon? Nie wiedziała. Ale zaraz, to nie mógł być on. W tle widać było samochód i nie był on sprzed czterdziestu lat, ale mniej więcej z połowy lat osiemdziesiątych. A więc to nie był Weldon. To na pewno było dziecko kogoś z rodziny. Nick odwróciła się od fotografii i uświadomiła sobie, że w każdej chwili może tu wejść siostra Carla lub ktoś inny z personelu. Gdzie mogłaby się schować?

Weszła do sporej garderoby, parę metrów od łóżka. Jej drzwi były ażurowe, więc mogła stamtąd wyraźnie widzieć kapitana DeLoacha. Na podłodze położyła kurtkę i wygodnie usiadła.

W sklepie na stacji benzynowej kupiła sos meksykański, paczkę pszennych krakersów i

dietetyczny napój, wydając na to cztery dolary i osiem centów z dwunastu, jakie miała. Zanim, napelniwszy żołądek, zasnęła, zastanawiała się, ile zajmie Dane'owi wytropienie jej.

O dziesiątej rano Delion, Savich, Sherlock i Dane siedzieli wokół biurka Flynnna w pokoju detektywów na pierwszym piętrze komisariatu policji w Los Angeles. Kiedy przyszli, Linda, która dziś pracowała jako recepcjonistka, poczęstowała ich ciasteczkami domowej roboty.

- Zawsze podziwiałam FBI - powiedziała, poklepując biceps Savicha. - No i jesteście przystojni.

- A co ze mną, Lindo? - zapytała Sherlock.

- Ty jesteś ich maskotką, słodką jak pączek, z burzą rudych włosów - odpowiedziała i zwróciła się do Dane'a: - A ty nie wyglądasz najlepiej. Ciasteczka pomogą ci spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy, cukier zawsze tak działa.

- Dzięki, Lindo - odpowiedział Dane. - Też słyszałem o zbawiennym działaniu cukru.

Pokój detektywów to był istny dom wariatów, ale zdawało się to nikomu to nie przeszkadzać. Savich usadowił się na krześle pod ścianą obok biurka detektywa Flynnna, z laptopem na kolanach. Po dziesięciu minutach podniósł wzrok i powiedział:

- Dotąd żadnego śladu, żeby płaciła twoją kartą. Nie mamy wyjścia, musimy czekać.

- Pamiętasz, zawarłeś z nią układ, żeby nie zagłębiać się w jej przeszłość? - przypomniała Sherlock. - Musimy ją znaleźć i chronić, no i dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Najwyższy czas. Dillon, możesz zajrzeć do MAX - a i sprawdzić, kim ona jest?

- Tak - odpowiedział Savich. - Wiemy o niej tyle, że ma na imię Nicola, ma dwadzieścia osiem lat, doktorat i jest wykładowcą na uczelni. To za mało, MAX nam raczej nie pomoże. Wszyscy się ze mną zgadzają?

- Lepiej sprawdzić - powiedział Delion. - Trzeba wykorzystać wszystkie możliwości.

- Tak - zgodził się Dane. - Też jestem tego zdania.

Podczas gdy Savich przeszukiwał bazę, detektyw Flynn rozsiadł się na krześle, splótł przed sobą ręce, obok jego nogi leżała piłka do koszykówki.

- Nie rozumiem, dlaczego tak po prostu zniknęła - zastanawiał się. - Przez swoje głupie postępowanie odciąga nas od naprawdę ważnej sprawy. Chciałbym się z nią rozprawić, jak ją złapiemy.

- Myślicie, że wróciła do San Francisco? - zapytała Sherlock. - I ukryła się wśród bezdomnych?

Dane pokręcił głową.

- Nie. Nie wydaje mi się też, żeby wróciła do domu, gdziekolwiek on jest.

- Więc gdzie może być? - zapytał Flynn, pociągając łyk ohydnej kawy. Telefon na jego biurku zadzwonił.

- Detektyw Flynn, słucham - burknął do słuchawki. Zapisał coś na kartce. Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnął się szeroko.

- Czy to nie szczęśliwy zbieg okoliczności? Nasza dziewczyna zabrała się autostopem z kierowcą ciężarówki. Powiedział, że zawsze słucha policyjnych komunikatów na CB. Kiedy usłyszał rysopis, od razu wiedział, że chodzi o dziewczynę, którą podwoził.

- A dokąd? - zapytała Sherlock.

- Do hrabstwa Ventura.

- Jasna cholera - powiedział Dane. - Pojechała zobaczyć się z kapitanem DeLoachem.

- Ale dlaczego tak po prostu uciekła? - zastanawiał się Flynn.

- Zapytam, kiedy już ją skuję - obiecał Dane.

- A ja dostarczę kajdanki - dodał Delion.

- Ja też dam jej popalić - zapowiedział Flynn.

W tej samej chwili MAX dał sygnał. Savich spojrział na ekran i uśmiechnął się.

- Właśnie dowiedziałem się, kim ona jest - powiedział, po czym odłożył laptopa, wstał i przeciągnął się. - Po południu będziemy nad jeziorem Niedźwiedzim.

# Rozdział 30

Najpierw usłyszała tylko odgłos lekkiego chrapania kapitana DeLoacha. Po chwili obok wózka kapitana dał się słyszeć męski głos, mówił bardzo cicho.

- Obudź się, staruszk. No już, nie ociągaj się. To ja, Weldon, jestem tutaj, by upewnić się, że już po wszystkim, przynajmniej dla ciebie. No dalej, stary potworze, obudź się. Mam zamiar wymierzyć jedyną sprawiedliwość, jaka może cię na tym świecie osiągnąć, i chcę, żebyś był tego świadomy.

Starzec wzdrygnął się, odchrząknął, podniósł głowę i szepnął:

- Weldon, jak tu wszedłeś? Wokół kręci się mnóstwo gliniarzy, pilnują mnie. A ciebie szuka FBI. Lepiej uciekaj, póki możesz. Wszedłeś tu przez drzwi balkonowe? Przecież zawsze są zamknięte.

- Ty stary głupcze, przecież mam do nich klucz. Nikt mnie nie widział, a już na pewno nie ten glina, który bajeruje Velvet w recepcji. Ani ten drugi, który zamiast cię pilnować, pali papierosa na parking. Jest ich tylko dwóch, staruszk. Nareszcie nadszedł twój czas. Przez ponad trzydzieści lat grałeś wszystkim na nosie. Teraz to się skończy. Nikogo więcej nie zwiedzisz. Teraz sprawiedliwości stanie się zadość.

- Myślisz, że tym razem sobie poradzisz, skoro ostatnio dwa razy nie dałeś rady, mięczaku?

- Próbowałem cię przestraszyć, a nie zabić, ty nędzna kreaturo. Nie myślałem, że będę musiał cię zabić. Czy twój mózg zupełnie wyparował, że nie możesz tego pojąć? Ale tym razem zamierzam cię zabić. A wszystkie twoje pogroźki zabierzesz ze sobą do grobu. Miałem nadzieję, że po ostatnim upadku umrzesz, ale nadal jesteś dość wytrzymały, prawda? Dlaczego jeszcze nie spełniłeś swojej groźby?

Kapitan DeLoach uśmiechnął się szeroko.

- No jasne, że jestem wytrzymały, czego nie można powiedzieć o tobie, nędzny mały skunksie. Nic nie powiedziałem, bo chciałem cię trochę pomęczyć, chłopcze. Żebyś zastanawiał się, martwił, kiedy bomba wybuchnie. Groźenie ojcu, próba przestraszenia go tak, że nieomal umarł ze strachu, to nic miłego, wiesz? I zostawiłeś mnie tam samego na podłodze z krwawiącą głową.

- Zamknij się i przestań się nade mną znęcać, staruchu, dość już tego.

- Wciąż jestem twoim ojcem, jedynym, jakiego masz, ty cholerny tchórze. Jezu, i pomyśleć, że jesteś częścią mnie. Twoja matka była wątpa i ciągle marudziła, zupełnie jak ty. W końcu umarła, i zostaliśmy tylko ja i ty, ale nie byłeś silny, nie byłeś prawdziwym mężczyzną, byłeś zupełnie jak ona. Potem dorosteś i po skończeniu szkoły wyjechałeś, miałeś nadzieję, że się ode mnie uwolnisz. Miałem cię dosyć i ucieszyłem się, kiedy zniknąłeś.

Ale miałem cię na oku, chłopcze. W końcu byłeś jedynym, który wiedział. I chciałem upewnić się, że nikomu nie powiesz. A teraz chcesz zabić własnego ojca.

- Zamknij się! Niech cię szlag! Dość już grózb i kłamstw. Poślę cię do piekła, gdzie twoje miejsce.



Weldon milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Nie mogę tylko uwierzyć w to, że tak długo wytrzymałeś. Sięgnął do kieszeni.

- Nie, Weldon, nie zrobisz krzywdy ojcu. Trzymaj się od niego z daleka - powiedziała Nick.

Weldon DeLoach wzdrygnął się, przerażony i zaskoczony, patrząc na wycelowany w siebie pistolet, trzymany w dłoni przez bezdomną kobietę, którą widział w telewizji. Co ona tu, u diabła, robi? Powoli wyprostował się i cofnął o krok.

Staruszek roześmiał się, zacierając pokrzywione przez artretyzm dłonie.

- To mój osobisty ochroniarz, Weldon. Myślałeś, że było tylko tamtych dwóch gliniarzy. A tu takie zaskoczenie. Jest jeszcze ona, tutaj, w moim pokoju. No i co ty na to? Co tak stoisz, Weldon? Salutuj jej! Ona jest agentką FBI.

Weldon kopnął wózek, nie trafił i zawył z bólu.

- Ty durniu, ona nie jest gliną. To bezdomna kobieta, która przypadkiem widziała rzeczy, które mogą zagrażać mordercy.

- Widziała coś, czego nie powinna była widzieć, Weldon?

- Mordercę zaraz po tym, jak zabił księdza w San Francisco.

- I ona myśli, że to ty?

Weldon był dziś blondynem, mocno opalonym, jego oczy były jasnoniebieskie. Nick nie była zbyt dobra w określaniu wieku ludzi, ale gdyby musiała zgadywać, powiedziałaby, że spokojnie wyglądał na czterdzieści lat. Może miał makijaż? I szkła kontaktowe? Czy tak wyglądał naprawdę? Nie wiedziała, czy to jego widziała w kościele. Może się przebrał, ale wiedziała, że w sądzie by go nie rozpoznała. Trzymała pewnie broń, wiedziała, że najpierw powinna go powalić na ziemię i związać, potem będzie w stanie odetchnąć, pomyśleć i sprowadzić pomoc. Była przerażona, tak przerażona jak wtedy, gdy stała przed Johnem Rothmanem.

Musiała się opanować.

- Właściwie tak, Weldon, widziałam cię - powiedziała Nick. Potem zwróciła się do staruszka. - Tak, proszę pana, widziałam Weldona w kościele zaraz po tym, jak zamordował księdza Michaela Josepha. Innych ludzi też zabijał. Pisał scenariusze do programów telewizyjnych, a potem naśladował je w prawdziwym życiu. Przykro mi, ale to bardzo zły człowiek.

- Zaraz, mówi pani serio? - zapytał kapitan DeLoach.

- Przecież to nie trzyma się kupy. Weldon to baba. Brak mu kręgosłupa, jest cienki. Naprawdę jest pani bezdomna? Coś takiego, ale nie będę musiał pani płacić, prawda? Nie oczekuje pani niczego, bo nie jest pani agentką, tak?

- Tak - powiedziała Nick, nie patrząc na chichoczącego staruszka, wyraźnie zadowolonego.

- Powiedziała pani, że Weldon jest mordercą? Prawdziwym przestępcą? - Staruszek roześmiał się głośno. - Posłuchaj mnie, dziewczyno, mylisz się. Weldon nie zabiłby nawet mrówki, która gryzłaby go w palec u nogi. To skończony tchórz.

- Proszę nic już nie mówić. - Ponownie wycelowwała w Weldona i powiedziała do niego: - Połóż się na podłodze brzuchem do dołu. Teraz. - Celowała prosto w jego klatkę piersiową.

- Nie - odpowiedział. - Nie mogę. Ja nikogo nie zabiłem. Nie rozumie pani? To ten obrzydliwy starzec. Nie do wiary, ile zamieszania narobił. To ma być sprawiedliwość, do jasnej cholery?!

- O czym pan mówi? Kapitan DeLoach roześmiał się.

- Tak, Weldon, powiedz jej. Powiedz, dlaczego chciałeś zamordować swojego starego ojca.

- Nie, nie musi wiedzieć. Proszę posłuchać, nie mam wyjścia. Proszę mi uwierzyć, ten stary

wariat na to zasługuje.

- Dlaczego zasługuje na śmierć?

Kapitan DeLoach znowu wybuchnął śmiechem, w kącikach jego ust pojawiła się ślina ze śladami krwi.

- Daj spokój, Weldon. O czym ty, u diabła, mówisz? - zapytała Nick.

W tej chwili Weldon chwycił poręcz wózka kapitana DeLoacha i mocno go popchnął. Reakcja Nick była błyskawiczna. Kiedy wózek w nią uderzył, wystrzeliła. Chybiła jednak i kula roztrzaskała ekran telewizora. Kapitan DeLoach, chcąc złapać równowagę, machał rękami i uderzył ją w nadgarstek. Pistolet wypadł jej z ręki i wpadł wprost pod łóżko.

Nick zamarła, oczekując, że teraz Weldon wyciągnie swoją broń i zastrzeli ich oboje. Padł już jeden strzał, pora więc na kolejny. Ale nie miał za wiele czasu. Personel będzie tu lada chwila. Musiała chronić staruszkę. Czym prędzej podbiegła do wózka kapitana DeLoacha i zasłoniła go z przodu.

Ale Weldon wcale nie próbował odsunąć jej na bok ani nie wyciągnął broni, by ją zabić. On uciekł przez drzwi balkonowe, krzycząc do niej:

- To była największa pomyłka w twoim życiu!

Zaledwie parę sekund później do pokoju wpadła siostra Carla, a za nią policjant i zobaczyli Nick Jones uciekającą przez drzwi balkonowe z pistoletem w dłoni.

Kapitan DeLoach siedział spokojnie w swoim wózku. Był uśmiechnięty i zadowolony, i nucił pod nosem „Eleanor Rigby”.

Nick zobaczyła, jak Weldon biegnie w kierunku małego czarnego samochodu; może to była toyota, ale nie była pewna. Gdzie się podział ten gliniarz, który podobno palił tu papierosa? Nikogo nie widziała.

- Weldon, stój! - krzyknęła. - Stój albo strzelam, nie żartuję!

Ale on nie posłuchał. Nick podniosła pistolet. Kiedy otwierał drzwi i wsiadał do środka, wycelowała w opony samochodu. Wystrzeliła, trafiając w chwili, kiedy odpalił silnik i z piskiem ruszył z miejsca. Z opon wydobywały się kłęby dymu i strzępy gumy. Daleko na nich nie pojedzie. Weldon ciągle miał pochyloną głowę w obawie, że ona może do niego strzelać. Zorientował się, że przestrzeliła mu opony. Samochód gwałtownie skręcił w lewo, słychać było okropny pisk stali o beton. Nick wystrzeliła dziesięć z piętnastu naboju. Przestała, resztę kul zachowując na wszelki wypadek. Zaczęła biec. Chciała za wszelką cenę wyciągnąć go z samochodu.

Samochód gwałtownie skręcał raz w jedną, raz w drugą stronę. Opony paliły się, zgrzytały, stal przenikliwie tarła o beton, wydając koszmarny dźwięk. Odór palonej gumy wypełnił jej nozdrza.

Nagle zobaczyła, jak ostro zjechał w prawo, kierując się prosto w sosnowy las, który otaczał ośrodek dla emerytowanych oficerów od wschodniej strony. Samochód uderzył w sosnę. Uniosły się nad nim kłęby czarnego, gęstego dymu, po czym zapadła cisza.

Widziała, jak Weldon wyciąga z samochodu kurtkę i ucieka w las.

- Stój!

Z pistoletem z prawej dłoni Nick podążyła za nim. Potem zauważyła, że nie miała na sobie kurtki. Wybiegła tak, jak stała, z pokoju kapitana DeLoacha, i było jej teraz trochę zimno.

Trudno. Nie zamierzała się teraz poddać, nie mogła. Ten obłąd musi się kiedyś skończyć i tylko ona mogła położyć mu kres. Usłyszała, jak przedzierał się przez krzaki przed nią. Jak daleko mógł być? Pięć metrów od niej?

Przypomniała sobie twarz księdza Michaela Josepha, jego spokojną, pogodną twarz, pełną mądrości i poczucia humoru. Właśnie śmiał się z czegoś, co opowiedział jej o królu Edwardzie. A teraz za sprawą Weldon DeLoacha nikt już nigdy nie zobaczy tego uśmiechu i nie usłyszy jego głosu. Był taki podobny do Dane'a, a jednocześnie tak inny. Obydwaj byli w stanie wiele poświęcić dla innych i byli bardzo honorowi. W tej chwili zdała sobie sprawę, że nie chciała, aby Dane zniknął z jej życia, nigdy.

Weldon musiał być gdzieś w pobliżu, niedaleko. Zaraz, zaraz, nie słyszała już, jak łamiąc gałęzie, toruje sobie drogę przez las. Może przewrócił się? A może ukrył się i czeka gdzieś na nią?

W tej samej chwili złapał ją za szyję i przyciągnął do siebie. Drugą ręką usiłował wyrwać jej z ręki pistolet. Ale nie miała zamiaru go puścić. Wrywała się i skręcała, ale on zacisnął mocniej rękę na jej szyi.

- Jasna, cholera, bądź cicho. I rzuć broń. Natychmiast! Nick krzyknęła, jak mogła najgłośniejszym głosem, szarpnęła się, zadając mu cios łokciem w brzuch. Krzyknął z bólu i rozluźnił nieco uścisk. Szarpnęła w dół rękę, w której trzymała pistolet, i nacisnęła spust. Trafiła go w stopę.

Krzyknął i puścił ją. Podskakiwał w miejscu, próbując złapać stopę, z wyrazem dzikiego bólu w oczach.

Sherlock, Savich i Dane patrzyli, jak Weldon skacze, a Nick stoi obok z pistoletem w dłoni, ciężko oddycha i przygląda mu się. Dołączyli do nich Flynn i Delion.

- Jezu, kobieto - wykrzyknął Dane, biorąc ją za rękę. Odwróciła się, była tak blada, że zapomniał o wszystkich przekleństwach, na jakie sobie zasłużyła. - Do cholery, Nick - powiedział i przyciągnął ją do siebie. - Jak ty wyglądasz, przemarzłaś na kość, głuptasie.

- Nic mi nie będzie - odpowiedziała. - Ostrożnie, Dane, twoja ręka.

- Ręka? Martwisz się o moją rękę? - Nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Flynn i Delion powalili Weldon DeLoacha na ziemię, Flynn zdjął mu but, by opatrzyć ranę, którą przewiązał rękawem swojej kurtki.

Flynn spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Moje gratulacje, doktor Champion, złapała pani podejrzanego. Nikt pani nie powiedział, że strzelanie w stopę to nie jest wyjście, ale nie umniejsza to pani sukcesu. Stul gębę, Weldon!

- Żeby pan wiedział - odpowiedziała.

- Tak - powiedział Dane. - Wszyscy to wiemy, ale to teraz nieistotne.

- To boli, do cholery! - jęczał Weldon.

- Nie wątpię - zgodził się Flynn i przykucnął obok Weldon. Spojrzał mu prosto w oczy i przeczytał mu jego prawa.

- Nie, nie potrzebuję adwokata. Ja nic nie zrobiłem. Musicie mnie wysłuchać.

- I ty też twierdzisz, że nic nie zrobiłeś? - zapytał cicho Savich, który stał nad nim.

- Nie popełniłem tych morderstw ze scenariusza! Owszem, ta seria to był mój pomysł, ale z morderstwami nie mam nic wspólnego. To jakiś koszmar. Nie mam pojęcia, kto je popełnił. Może ktoś w studiu, kto pracował przy produkcji. Ale nie mam pojęcia, kto to może być.

- Rozumiem - powiedziała Sherlock. - Więc nie ma to zupełnie nic wspólnego z faktem, że próbujesz zamordować ojca?

- Nie, do cholery! Nie macie pojęcia, jak krzywdził mnie przez całe życie.

Weldon wyglądał, jakby bardzo cierpiał, ale opanował się i wziął głęboki oddech.

- Nie, nikt nic nie wie - powiedział Delion. - Posłuchaj, Weldon, ktoś zamordował cztery osoby

w San Francisco. Ty wynająłeś tego durnia Miliona, żeby zabił Nicka na pogrzebie, bo widziała cię wtedy w kościele. Potem była Pasadena. W takich chwilach cieszę się, że mieszkam w Kalifornii, gdzie obowiązuje kara śmierci. Jesteś ugotowany, Weldon.

Jego oczy zeszkliły się z bólu.

- Posłuchajcie mnie, ja nie mógłbym nikogo zabić. Nie jestem taki. - Płakał, trzymając się za stopę.

- Powiedz nam dokładnie, dlaczego chciałeś zabić swojego ojca - powiedział Savich. - Tym razem po kolei i pełnymi zdaniami.

Głos Weldona był cichy, tak cichy, jakby słuchali nagrania. Powoli odzyskiwał kontrolę nad sobą.

- Nie mogę. Stawka jest zbyt wysoka - odezwał się już spokojnie.

- To nie brzmi zbyt dobrze, Weldon - powiedział Dane. Ten pochylił głowę i znowu zaczął narzekać na ból stopy. Delion odchrząknął, wyprostował się i położył dłonie na biodrach.

- Sherlock zadzwoniła po lekarza dla ciebie. Odprowadzimy cię na parking. Detektyw Flynn i ja pomożemy ci.

Weldon DeLoach próbował podnieść się o własnych siłach, ale znowu jęczał z bólu, trzymając się za stopę. Flynn i Delion pomogli mu wstać i poprowadzili do budynku.

Doktor Randolph Winston, geriatra, czekał na nich przy głównym wejściu, żeby obejrzeć stopę Weldona.

- A więc kobieta postrzeliła pana w stopę? - zdziwił się. - Tutaj, w Lakeview?

Detektyw Flynn tylko wzruszył ramionami.

- Żadnemu staruszkowi, którego do tej pory leczyłem, nie zdarzył się postrzał w stopę. Zabieramy go do szpitala.

- Będziemy jechać za wami - powiedział Dane. - Mamy z panem DeLoachem wiele do omówienia.

# Rozdział 31

Delion i Flynn udzielili nagany dwóm funkcjonariuszom przydzielonym do ochrony kapitana DeLoacha, a później pojechali do szpitala. Pozostali udali się do pokoju kapitana DeLoacha.

Wyglądało na to, że jego mózg znów pograżał się w świecie swoich majaczeń albo tylko udawał i był w tym doskonały. Wciąż nucił „Eleanor Rugby” Beatlesów.

- To, że jego syn próbował go zabić, znów wpędziło go w obłęd - powiedziała siostra Carla, kiwając głową. - Tego ranka spędziłam z nim sporo czasu. Przez cały czas był w pełni świadomy, nie tak jak teraz. Biedny staruszek. Jak byście się czuli, mając syna, który próbuje was zabić?

Nick odsunęła się od kapitana DeLoacha i powiedziała szeptem:

- Czegoś tu nie rozumiem. Kiedy Weldon był w pokoju kapitana, nazwał swojego ojca potworem, mówił, że musi go powstrzymać. Ale kapitan DeLoach wcale się nie bał. Drwił z Weldona.

Savich podszedł do starca, który siedział na wózku z nieobecny wyrazem twarzy i wciąż cicho śpiewał.

- Kapitanie DeLoach? Spotkaliśmy się wcześniej. Nazywam się Dillon Savich. Jestem agentem FBI.

Starzec powoli przestał nucić „Eleanor Rugby” i podniósłszy oczy, spojrzał na Savicha, a następnie zsalutował.

Savich natychmiast odpowiedział podobnym gestem.

- Tej dziewczynie też zsalutowałem - powiedział kapitan DeLoach śpiewnym głosem. - Pomyślałem, że to dziwne salutować dziewczynie, ale to zrobiłem. Mam szacunek dla Federalnego Biura Śledczego. To znak czasów, że federalni przyjmują do służby dziewczyny. Zawsze chciałem być agentem FBI, ale nie mogłem nim zostać. A teraz okazało się, że ona jest tylko bezdomną, a przynajmniej tak powiedział Weldon. Powiedzcie, czy ta rudowłosa dziewczyna jest policjantką?

- Oczywiście, jest znakomitym agentem FBI.

Starzec posłał jej promienny uśmiech, szczerząc przy tym zęby i zsalutował. Sherlock nie odpowiedziała mu, salutując, tylko lekko pomachała palcami. Roześmiał się, potrząsając głową.

- Ta dziewczyna, ta bezdomna, uratowała mnie przed Weldonem, tym podłym insektem. Myślę, że nie mógłby mnie zabić. Weldon to tchórz. Nigdy nie mogłem go nauczyć, jak być mężczyzną. Nienawidził krwi, nigdy nie chodził ze mną na polowania. Raz chciałem, by zarznął królika, ale zarzygał sobie buty i schował się. O ile wiem, nigdy nie używał broni.

- Jak w takim razie miał zamiar pana zabić? - zapytał Dane. - To chyba on uderzył pana pierwszy raz.

- Nie, wtedy się przewróciłem. Ostatnim razem zdołał tylko przewrócić mój wózek.

Starzec roześmiał się, ślina, zmieszana z krwią, opryskała mu brodę.

- Co tu dużo mówić, najlepsze lata mam już za sobą. Myślę, że Weldon nie mógłby mnie zabić.

Ale muszę przyznać, że próbował. Chciał udusić mnie sznurkiem. Ta dziewczyna myślała, że miał broń, ale nie miał. Nie dotykał broni. Zobaczyłem, jak z kieszeni wyjmuję sznurek, naprawdę mocny, z małymi węzłkami zawiązanymi na całej długości. Tak, sznurek, bo jak kogoś zadusisz, to nie ma krwi. Ale to i tak obrzydliwe. Weldon nie ma pojęcia, jak obrzydliwe jest udusić kogoś, to dławienie się, mój Boże, i te wybałuszające się oczy. I widzisz przerażenie, strach, a później ostateczną kapitulację, śmierć. To nie jest przyjemny widok. Strzelanie jest czystsze. Tyle tylko że to naprawdę szybka śmierć.

- Postrzeliłam Weldona w stopę - powiedziała Nick, przymykając oczy. - Ma pan rację, to było łatwe.

- Dla bezdomnej dziewczyny to chyba nic nowego - powiedział kapitan DeLoach i znów zaczął nucić „Eleanor Rugby”.

- Chce pan, żebyśmy myśleli, że ma pan sklerozę? - zapytała Sherlock, lekko poklepując starca po ramieniu. Delikatnie pomasowała skórę i kości odziane we flanelową koszulę, tyle z niego zostało.

- Nie, po prostu lubię śpiewać. I zawsze lubiłem Beatlesów.

- Ale dlaczego Weldon próbował pana zabić? - zapytał Dane.

Starzec spojrzał na niego.

- Myślę, że na pewno jesteś doskonałym policjantem, młody człowieku. Kochasz to, co robisz, masz głowę na karku, jesteś zdecydowany, nie dajesz się wydymać, to wszystko pozwala odnieść sukces w każdej pracy.

- Dlaczego pana syn pragnął pańskiej śmierci? - powtórzył ponownie Dane.

- Ten mały skunks myśli, że będzie bezpieczny, jeśli ja umrę. I byłby. - W tej chwili starzec był równie przytomny jak każdy z nich, patrzył na Dane'a, jego wyblakłe oczy lśniły inteligencją. Z dumą w głosie powiedział: - Weldon powinien wiedzieć, że teraz zacznę mówić, a dlaczego nie? Byłem szeryfem, a spójrzcie, co zrobiłem, nikt na to by nie wpadł. Oczywiście jak to mówią, nie kala się własnego gniazda. - Roześmiał się, dysząc przy tym tak, że Sherlock dostała gęsiej skórki.

- Kapitanie DeLoach - spytała - czy udaje pan, że ma sklerozę? Czy to wszystko to tylko skomplikowana szarada?

- Ja, sklerozę? - zdziwił się starzec. - Hej, czy my się gdzieś nie spotkaliśmy? Jesteś taka słodziutka. Moja żona wyglądała identycznie. Te chochliki w oczach i te cudowne włosy, czerwone jak krew, można powiedzieć.

- Tak - powiedziała powoli Sherlock. - Przypuszczam, że mogły się panu z tym skojarzyć, ale nie każdy tak właśnie by powiedział. A teraz, proszę się przyznać, kapitanie, robi nam pan kawał, tak? Przecież doskonale pan wie, kim jestem. Po prostu pan udawał, odgrywał farsę.

Nic nie powiedział.

- Jak miała na imię pana żona? - zapytała Sherlock.

- Marie. Na imię miała Marie, francuskie imię Matki Boskiej, zawsze mnie to śmieszyło, zwłaszcza wtedy kiedy wracałem do domu, a w zagłębieniach moich dłoni wciąż była krew. Wyglądały jak siatka dróg na mapie.

- Wiem, że był pan szeryfem - powiedział Dane. - Ale dlaczego tak często miał pan krew na rękach?

- Nie tylko na rękach, agencie. Zazwyczaj było dużo krwi, tyle że płynęła jak rwąca rzeka. Nieważne, jak mocno szorowałem, i tak nie mogłem wszystkiego zmyć. Pewnego dnia przyjrzałem się swoim dłoniom i zrozumiałem, że to lubię. To mi zawsze przypominało, jak dobrze się przy tym

bawiłem.

Nick podeszła do wózka, nachyliła się, zacisnęła dłonie na kołach i spojrzała mu prosto w oczy.

- Zabijał pan ludzi, prawda?

- Oczywiście, młoda damo. Byłem szeryfem.

- Nie, nie jako szeryf. Zabijał pan ludzi. Lubił to pan. Lubił pan oglądać resztki ich krwi na swoich dłoniach. I uchodziło to panu na sucho. A Weldon nie chciał, aby pan o tym opowiedział światu, tak?

- Pierwszorządny strzał! Oczywiście, że wykręciłem się od kary. Może jestem stary, ale nie głupi. To było łatwe. Raz nawet mieli mój portret, ale nie doprowadziło ich to do mnie. Taki byłem dobry.

- Podniósł rękę i pstryknął swoimi kościstymi palcami. - Mam osiemdziesiąt siedem lat. Myślicie, że teraz obchodzi mnie, czy ktoś się o tym dowie? Do diabła, zasługuję na uwagę i uznanie za to, co zrobiłem. Co mi zrobią? Wsadzą do więzienia? Skażą mnie na karę śmierci? Ja już jestem skazany na śmierć, pluję krwią, czekam na śmierć. Nie to, żeby była jakaś szansa dla człowieka w moim wieku i z rakiem. Myślicie, że mam sklerozę. Posłuchajcie tego. - I starzec znów zaczął nucić „Eleanor Rugby”, zobaczywszy przerażenie na ich twarzach, roześmiał się.

- A Weldon nie chciał, żeby pan komukolwiek o tym opowiadał, tak? - zapytała Nick.

- Nie, twierdził, że wtedy wszystko się zawali. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego tata jest seryjnym mordercą. Weldon zawsze się mnie bał, był przerażony, kiedy odkrył, co robiłem, ale zachował milczenie, szczególnie po tym, jak mu powiedziałem, że przybiję go do góry nogami do drzewa i żywcem obedrę ze skóry jeśli komukolwiek o tym powie. Nie powiedział.

- Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy byłem w wydziale zabójstw w San Francisco, zaraz po tym, jak mój brat został zamordowany - powiedział Dane - inspektor Delion powiedział, że pocisk z broni, z której został zastrzelony mój brat, pochodził prawdopodobnie z takiej samej, jakiej używał Zodiak.

Kapitan DeLoach ponownie roześmiał się, gwizdząc przez zęby tym razem jakąś nieznaną melodię.

- Jestem pod wrażeniem, agencie. Kiedyś o tym czytałem i naprawdę wzbudziło to mój podziw. Chciałem być lepszy od niego. Przynajmniej mogłem użyć tego samego typu broni, którego on używał. Świetna broń, mój JC Higgins, model osiemdziesiąt.

Kapitan DeLoach westchnął, zacierając swoje stare dłonie.

- Nie, nie byłem Zodiakiem. Działalem w sposób odrobinę mniej skomplikowany niż Zodiak. Ale podobał mi się jego styl. Czy to nie frajda? I jakie ryzyko. Media zawsze potrafią wyczuć smaczny kęs. Może gdybym więcej mówił o tym, co zrobiłem, też byłbym sławny.

Starzec zmarszczył brwi, spojrzał gdzieś daleko przed siebie i powiedział:

- Myślicie, że on jeszcze żyje? Może jest w domu opieki, tak jak ja. Może nawet jest tu, jak myślicie?

Nikt nic nie powiedział, czekali. Kapitan DeLoach dalej nucił, po czym stanowczo oświadczył:

- Wasz zabójca nie użył mojego pistoletu. Nie, mój jest dobrze ukryty i z przyjemnością powiem wam gdzie. - Szeroko się do nich uśmiechnął.

- Weldon wie, musi wiedzieć - mruknął Dane.

- Niech pan nam powie, dlaczego syn próbował pana zabić - po raz trzeci zapytał Savich.

Starzec roześmiał się, cmokając ustami i znów zaczął śpiewać.

Nick zbliżyła się i rzuciła mu prosto w twarz:

- Ocaliłam panu życie. Jest mi pan coś winien. Proszę powiedzieć nam prawdę.

Kapitan DeLoach posłał jej promienny uśmiech i podniósł swoje żylaste stare ręce, lekko dotykając opuszkami palców jej policzka.

- Taki gładki. Naprawdę chcesz to wiedzieć, dziewczynko? Tak, myślę, że jestem ci coś winien. Weldon chciał chronić swojego chłopca.

- Swojego chłopca? - powtórzył Dane. - Weldon ma syna?

- Oczywiście. Gdy był mały, Weldon nie pozwolił mi być blisko niego, ale później przyjechał tu mnie poznać. Dobrze się nim zaopiekowałem, prawda? Przekazałem mu całą istotę, a teraz proszę bardzo, poszedł w ślady dziadka. Weldon chciał chronić swojego chłopca, nie chciał widzieć go na dnie, nękanego przez media.

- Kim jest jego chłopiec? - zapytał Savich.

- To ty jesteś z FBI, synu, znalezienie go to twoja robota. Nie będę ci ułatwiał zadania. - Zaczął kaszleć, plując krwią.

- Nie będę panu salutować. - powiedziała Sherlock. Kapitan DeLoach przekrzywił głowę na bok.

- No cóż, w końcu jesteś tylko dziewczyną, skoro mowa o ważnych rzeczach.

- I chcę powiedzieć, że jest pan złym, starym człowiekiem.

- O tak - przyznał - rzeczywiście jestem. Mam osiemdziesiąt siedem lat i naprawdę nieźle się ustawiłem. Czyż życie nie jest okrutne?

Gdy dotarli do szpitala w Ventura, zobaczyli, że Weldon nie wyglądał zbyt dobrze. Był blady, wciąż czuł ból i wiedział, że bomba wybuchła. Wiedział, że wszystko, z czym walczył, było już za nim, skończone. Dane lekko dotknął ramienia Weldona.

- Bardzo mi przykro, Weldon. Wszystkim nam jest przykro.

- Ten żalorny starzec wam powiedział? - zapytał Weldon grobowym głosem.

- Tak, pana ojciec w końcu dał się przekonać, żeby opowiedzieć nam wszystko. Poprosiłem, by mówił bez zbędnych aluzji i niedomówień. On naprawdę jest szalony. Nawet przez chwilę nie pomyślałem, że ma sklerozę, ale wszystkich pozostałych udało mu się ogłupić. Jest doskonałym aktorem - powiedział Savich.

- Był szalony, odkąd pamiętam. A więc w końcu się przyznał. Nie wiedziałem, czy kiedyś się na to zdobędzie.

- Ile miał pan lat, gdy odkrył pan jego tajemnicę? - zapytała Sherlock.

- Dziesięć. Pewnej nocy nie mogłem spać, on wyszedł wczesnym wieczorem, prawdopodobnie po tym, jak ktoś do niego zadzwonił. Czekałem, aż wróci. Zobaczyłem, jak wjeżdża do garażu. Słyszałem, jak otwierają się kuchenne drzwi. Chciałem iść do niego, ale coś mnie zatrzymało, coś, co przerażało mnie w nim jeszcze przez długi czas. Stałem w salonie, ukryty za ulubionymi firankami mojej mamy. Usłyszałem, jak nadchodzi i gwizdże. Przeczłołem się do kuchni. Zobaczyłem jego ubranie, jego dłonie - cały był zakrwawiony. Mnóstwo krwi. Im dłużej patrzyłem, tym ta krew stawała się ciemniejsza, prawie czarna. Jego koszula była sztywna od krwi. W pierwszej chwili byłem przerażony, myślałem, że to on krwawi. Wkrótce okazało się, że nie.

Parzyłem, jak szoruje ręce w kuchennym zlewie, jak się rozbiera, zwija swoje zakrwawione ubrania i wkłada je do worka. Widać, że miał w tym doświadczenie, jakby wcześniej robił to wiele razy. Ani na chwilę nie przestał gwizdać. Widziałem, jak wziął pakunek z zakrwawionymi ubraniami na podwórko. Odszedł sześć kroków od wielkiego wiązu, wykopał dół i wrzucił do niego pakunek. Było tam może z pół tuzina innych. Potem przysypał wszystko ziemią. Nawet przez chwilę nie



przestał gwizdać.

Kiedy miałem dwanaście lat, myślałem, że jest zabójcą, którego nazywali Zodiak. Wiedziałem o morderstwach z telewizji, ale one nie były popełniane w te dni, kiedy znikał. I to obłąkańcze gwizdanie, zawsze ta sama melodia „Eleanor Rugby”. On wciąż nucił lub gwizdał tę cholerną piosenkę, ogłupiał nią ludzi, by myśleli, że ma sklerozę.

- I co zrobiłeś? - zapytał Dane.

- Nigdy w życiu się tak nie bałem. Nie wiedziałem, co mam robić. Byłem tylko dzieckiem. A on był moim ojcem.

- Ale w końcu jakoś zareagowałeś? - dociekała Nick. - Nie dawało ci to spokoju, prawda?

- Tak, i wiecie, co on zrobił? Po prostu stał tam, patrzył na mnie z góry i zaczął się śmiać. Śmiał się, aż się zapłuł. Wtedy przestał i znieruchomiał. Niespodziewanie wyprostował się, a w oczach miał śmierć. Pamiętam jak dziś te oczy. A miałem wtedy dwanaście lat. - Weldon zamilkł, biorąc głęboki oddech. W małym pokoju było cicho. - Zimnym, grobowym głosem powiedział, co mi zrobi, jeśli komukolwiek o tym powiem.

- Był pan odważny, rozmawiając z nim - powiedziała Nick. - Bardzo odważny.

- Wychodzi na to, że byłem tchórzem, i że kiedy byłem już na tyle dorosły, by zabić starego potwora, nie wystarczyło mi odwagi, nie zrobiłem tego. Chciałem go tylko nastraszyć, by go uciszyć. Ale on się nie bał. Tym razem chciałem go udusić. Ale zupełnie nie wiem, jak bym sobie z tym poradził. - Weldon pokręcił głową, spojrział w dół na swoją zabandażowaną stopę, skrzywił się. W końcu zapytał: - Co zamierzacie zrobić?

Popatrzył po kolei na każdego z nich. Środki przeciwbólowe w końcu zaczęły działać i czuł tylko monotonne pulsowanie w stopie.

- Nie winię pani za to, że stanęła pani w obronie starca. Nie mogła pani wiedzieć - odezwał się do Nick.

- Żałuję, że nie strzeliłam do niego, zamiast do pana - powiedziała Nick. - Ale gdybym to zrobiła, nie poznalibyśmy prawdy.

Weldon potrząsnął głową i znowu popatrzył na wszystkich po kolei.

- W dniu, w którym skończyłem osiemnaście lat, opuściłem dom. Pojechałem do Los Angeles, bo byłem dobrym pisarzem i chciałem pisać scenariusze filmów i programów telewizyjnych. Poznałem dziewczynę, miała na imię Georgia, zakochaliśmy się w sobie. Zaszła w ciążę. Pobrałiśmy się. Zabił ją pijany kierowca, kiedy nasz syn miał zaledwie trzy lata.

- Samotnie wychowywał pan syna, tak samo jak ojciec pana?

- Oczywiście, ale ja nie byłem taki, jak mój ojciec. Naprawdę kochałem mojego chłopca. Zrobiłbym dla niego wszystko. Niewiele wcześniej dostałem pracę w telewizji, pisałem scenariusz serialu i zacząłem zarabiać wystarczająco dużo pieniędzy, by nigdy się nie martwić o ich brak. - Na chwilę przestał mówić. - Utrzymywałem kontakt ze staruszką. Wiecie, że jak był po sześćdziesiątce, ludzie wciąż chcieli, żeby był szeryfem?

- Dlaczego? - zapytał Dane.

- Starzec był taki wredny, że gnębił nawet pijanych rowerzystów. Słyszałem, że pewnego razu mierzył z pistoletu do faceta, który zaczepił na ulicy kobietę, i przez cały czas krzyczał do niego. „Żadnego kurewstwa w moim mieście!”. Zawsze lubił tak mówić, wypluwając przy tym zwitek tytoniu.

Na pewno zastanawiacie się, dlaczego przez dziesięć lat trzymałem go w tak przyjemnym

miejscu. Faktycznie, nikt o tym jeszcze nie pomyślał.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała Nick.

- Powiedział mi, że jeśli nie zapewnię mu naprawdę korzystnych warunków, skontaktuje się z prasą i opowie im, gdzie zakopał ciała, o których nikt nie wie, powie im, gdzie schował broń, powie im o pakunkach, które zakopał obok więzu. Było wystarczająco dużo dowodów, by mu uwierzyć. Zgodziłem się. Co innego mogłem zrobić? Musiałem myśleć o karierze, którą robiłem, ale najważniejszy był mój syn, mój niewinny chłopiec.

- Jestem w stanie to zrozumieć, ale czy on wciąż mordował ludzi? - zapytała Nick - Czy nie zdawał pan sobie sprawy, że musi coś zrobić? Był pan dorosły i nie był od niego zależny.

- Staralem się o tym nie myśleć - odpowiedział Weldon. - On ma rację. Byłem tchórzem, i on wiedział, że nic nie powiem, bo mam syna. Ciągle był szeryfem, kiedy trzynaście lat temu coś poszło nie tak przy aresztowaniu i potracił go samochód, miażdżąc mu nogę. Od tamtego czasu jest przykuty do wózka. Wiedziałem, że już nikomu nie zagraża.

Savich próbował coś powiedzieć, ale Nick potrząsnęła głową.

- Ale grozić zaczął ostatnio? - zapytała. - Wiedział, że pozostało mu niewiele życia, i chciał, żeby świat dowiedział się, co zrobił.

Weldon pochylił się, zacisnął dłonie, tak blady i przytępiony, że ścisnęło jej się serce.

- Tak, po tym jak opowiedział mi, co zamierza zrobić, powiadomić prasę, opowiedzieć wszystko, nie wiedziałem, co robić. Przypomniałem mu, że przysiągł zachować milczenie tak długo, jak długo będę trzymał go w tym domu. Śmiał się tylko, mówił, że niedługo i tak wykituje, więc to nie ma znaczenia. Wiedziałem, że jego szaleństwo jest nie do opanowania.

Weldon nagle zamarł. Wziął głęboki oddech i powiedział:

- To było wtedy, gdy powiedział mi, że właśnie widział się ze swoim wnukiem. To wtedy uderzyłem i wywróciłem go razem z wózkiem. Chciałem go zabić, ale nie potrafiłem tego zrobić. Groziłem mu, mając nadzieję, że się przestraszy i zamilknie, tak jak już wam mówiłem, ale wiedziałem, że to się nie uda. Myślałem o tym, kiedy wyszedłem, i wiedziałem, że muszę go zabić, nie było innego wyjścia. Ale tego nie zrobiłem.

- Weldon, czy pana ojciec opowiedział chłopcu, kim był? - bardzo delikatnie zapytał Dane.

- Tak.

- Weldon, kim jest pański syn? Weldon potrząsnął głową.

- Proszę posłuchać, agencie Savich, mój syn nie jest mordercą, naprawdę.

- Ale przecież pan wie, że jest - powiedziała Sherlock. - I to pana gryzie. Myśli pan, że pana syn zabił ludzi w San Francisco i Pasadenie, postępując według scenariusza, który pan napisał.

- Nie mógłbym zaakceptować, gdyby był jak jego dziadek, musiałby mieć coś nie tak z głową - odezwał się po jakimś czasie.

- Musimy go tu sprowadzić, Weldon, wie pan o tym. Nie może pan pozwolić mu dalej robić tego, co pana ojciec robił przez wiele lat - tłumaczył Dane. Weldon potrząsnął głową.

- Nie zrozumcie mnie źle. Ojciec powiedział mi o tym kilka dni temu. I nawet wtedy nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Chwalił się, jak to w końcu doczekał się prawdziwego mężczyzny w rodzinie, i nie musiał zbyt wiele uczyć wnuka, bo on, tak jak jego dziadek, urodził się, wiedząc, co i jak należy robić. Powiedział mi, że jego wnuk przyszedł się z nim zobaczyć i przyniósł gwiazdkowy prezent, ładny krawat w czerwone kropki. I jakie to było wspaniałe, i że powiedział chłopcu, że wkrótce umrze i chce mu wszystko o sobie opowiedzieć. Śmiał się z głupoty wszystkich, a w

szczegółności z głupoty policji.

Weldon zamilkł, znów patrząc na nich. W końcu wyznał:

- Nie miałem pojęcia, co robić. Wiedziałem tylko, że muszę zabić tego plugawego starca, pochować i zapomnieć.

- Ale co by pan wtedy począł ze swoim synem? - zapytała Sherlock.

- Pomógłbym mu. Powstrzymałbym przed robieniem krzywdy innym. Zaprowadził na policję, gdybym musiał.

- My jesteśmy policjantami. Jak on ma na imię, Weldon? - zapytała Sherlock.

Ale Weldon tylko potrząsnął głową.

- Nie mogłem pozwolić mu dalej tego robić, tak jak robił to mój ojciec. Był dobrym chłopcem, naprawdę. Wiedziałem, że musiało się zdarzyć coś, co zmieniło go w takiego potwora, jak jego dziadek. Nie wiem, co to było, ale coś musiało się wydarzyć. Był taki grzeczny, bystry i wyjątkowo utalentowany. Ale były pewne oznaki, bił się z kolegami w liceum, nie lubił nauczycieli, nie miał przyjaciół, to wystarczyło, by zwrócić moją uwagę. Raz był agresywny, kiedy będąc na studiach, przypadkowo zabił dziewczynę, ale to mogło się zdarzyć każdemu, prawda? Po prostu stracił panowanie nad sobą. To było nieumyślne spowodowanie śmierci. Pomogłem mu. Prawnicy go wybroniли. Mój syn obiecał mi, że się poprawi, a ja desperacko chciałem mu wierzyć. Coś się stało. Starzec coś mu zrobił.

Spojrzał na każdego z nich po kolei.

- Wiecie, że wciąż nie wiem, ile osób zabił ten stary potwór? Są pośród nich zabici, których nikt nigdy nie znajdzie. O Jezus!

Ukrył twarz w dłoniach i cicho szlochał.

# Rozdział 32

Proszę zaczekać! Nie możecie tam wejść! Sherlock odepchnęła go i powiedziała:

- Jay, już czas, żebyś odszedł, przestał kupować garnitury od Armatniego, znalazł inną pracę i spłacił debet na karcie kredytowej.

- Ale on medytuje! Przykazał mi, że nie życzy sobie, by go niepokojono. A ja... Kocham Armaniego. Kiedy noszę te garnitury, to wszyscy wiedzą, że to jest Armani.

Nagle Arnold Loftus zaczął krzyczeć. Nie próbował zagrozić im drogę, ale zaatakował Jaya Smitha.

- Zamknij się, Jay. Oni są tu nie bez przyczyny. Nie próbuj ich zatrzymać.

- Jesteś cholernym ochroniarzem. Nie pozwól im tam wejść, kretynie, jesteś...

Arnold bardzo delikatnie wziął Jaya Smitha pod ramię i wyprowadził go.

- Dupek mnie zwolnił. Cokolwiek to jest, zróbcie to - rzucił na odchodne.

Dane delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Odwrócił się do Jaya wciąż przytrzymanego za ramiona i wyciągnął do niego rękę.

- Klucz - powiedział tylko.

Arnold puścił Jaya, przyglądał mu się jak jastrzęb, gdy ten szedł do swojego biurka, kucnął i ze środkowej szuflady wyjął zapasowy klucz. Podał go Dane'owi.

- Dziękuję - powiedział Dane.

Szybko przekręcił klucz i powoli otworzył drzwi. W ogromnym gabinecie było ciemno jak w kinie i na białej ścianie był wyświetlany film. Linus Wolfinger siedział na krześle za swoim biurkiem. Brodę podpierał rękami, oglądał.

To był odcinek „Superagenta”, którego nie widzieli. Nie odwrócił wzroku od ekranu nawet wtedy, gdy sześciu ludzi, którzy weszli do jego biura, otoczyło jego biurko.

- Mój poczciwy stary tata puścił farbę, co? - powiedział łagodnym tonem.

- Nie - odparł Delion. - Pana tata powiedział nam, jak dowiedział się, że jego syn jest mordercą, ale nie wyjawiał nam pańskiego imienia.

- Ta szalona stara kupa kości powiedziała wam to.

- Tak naprawdę, to sami do tego doszliśmy - powiedział Savich. - A właściwie MAX, mój komputer, za jego pomocą znaleźliśmy informację, że urodził się pan jako Robert Allen DeLoach i uczęszczał pan do liceum Garetta tu, w Los Angeles. Tu jest pana zdjęcie.

Położył zdjęcie na biurku Wolfingera. Linus nawet na nie nie spojrział.

- Znaleźliśmy też prawdziwego Michaela Linusa Wolfingera. Tu jest jego zdjęcie. To nie jest pan - powiedziała Sherlock.

Linus pomachał ręką.

- Ten facet zginął w wypadku narciarskim. Był sierotą. Przejęcie jego tożsamości nie było

problemem. Chciałem pracować w studiu. Po roku w poprawczaku wiedziałem, że nikt nie będzie chciał mnie zatrudnić. - Linus wzruszył ramionami. - Kogo to, do cholery, obchodzi?

- Proszę nam opowiedzieć o tej dziewczynie ze studiów - odpowiedział Dane.

Linus ponownie wzruszył ramionami, palcami stukał o blat. Chyba nie mógł spokojnie usiedzieć.

- Głupia, mała idiotka, powiedziała mi, że nie będzie chodzić z ofertą. Skręciłem jej kark. Niestety, mój ojciec przyszedł, zanim zdołałem pozbyć się jej ciała. Ale on mi pomógł, mówił, że nie jestem taki jak mój dziadek i dlatego mi pomoże. Pokłóciliśmy się, ale powiedział, że nie mam wyboru. Dla mojego dobra umieścił mnie w poprawczaku. Gdybym się nie zgodził, oddałby mnie w ręce policji.

Linus znów na nich spojrzął, wzruszył ramionami.

- Jestem bardzo mądry, wiecie o tym. Tak naprawdę jestem więcej niż mądry. Jestem geniuszem. Podczas tego roku spędzonego w poprawczaku Mountain Peak, na jakimś zadupiu, planowałem, co chcę robić w życiu. Po śmierci Wolfingera przyjąłem jego nazwisko i przeszłość. Mój drogi staruszek załatwił mi pracę w studiu. Później poznałem Milesa Burdocka i zrobiłem na nim piorunujące wrażenie. On był twardy, ale mówiłem wam, że jestem geniuszem. Udowodniłem to. Zarabiałem coraz więcej i więcej pieniędzy dla studia. To dlatego te wszystkie stare cymbały nazywają mnie tu Dupkiem. Zazdroszczą mi. Jestem następcą tronu, najlepszym, jaki mógł pojawić się w tym miejscu.

Przerwał na moment, patrząc na Savicha.

- Mój ojciec chyba nie wykończył dziadka? - zapytał.

- Nie - powiedział Dane. - Ale naprawdę chciał. Ciągle chce. Jak się pan dowiedział o swoim dziadku? Skąd pan wiedział, gdzie on jest?

Linus zaśmiał się.

- W zeszłym miesiącu byłem w domu ojca i trafiłem na zapłaconą fakturę za dom starców. Nigdy nie poznałem swojego dziadka, ale wiedziałem, że ojciec go nienawidził. Wiele razy mi powtarzał, że nigdy nie pozwoli, by ten starzec znalazł się w moim życiu, nigdy. Pewnie ojciec wam o tym mówił.

Dane pokiwał głową.

- Chciałem się z nim spotkać, może wtedy zrozumiałbym, dlaczego mój ojciec tak go nienawidzi. Dałem mu nawet prezent gwiazdkowy. A wiecie, czego dowiedziałem się od tego żalowanego starca?

Nikt nic nie powiedział, czekali.

- Opowiedział mi o tym, co zrobił. W pierwszej chwili nie uwierzyłem mu, to było zbyt wydumane. Ale to, co mi wyznał, brzmiało zbyt realnie, by mógł to wymyślić. Nazywał mojego ojca tchórzem i półgłówkiem. Później zapytał mnie, czy kiedyś kogoś zabiłem, bo jeśli tak, to naprawdę jesteśmy spokrewnieni. Powiedziałem, że tak. Myślałem, że starzec wyskoczy z wózka i zacznie tańczyć, taki był uradowany.

Kaszłał, śliniąc się i plując krwią. Pokiwał na mnie palcem i powiedział, że mam to we krwi, i że wyglądam tak jak on, kiedy był młody, a dobry Bóg wie, że to było głęboko w jego krwi, a teraz z niego wychodzi. Znów się zakaszłał, a z jego ust wypłynęło jeszcze więcej krwi.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem taki jak on. Opowiedziałem mu, jak się nudziłem i jak mój ojciec wpadł na ten wspaniały pomysł programu. Kiedy go słuchałem, wszystko połączyło się w mojej głowie. Dokładnie wiedziałem, co powinienem zrobić. Dodałem swoje własne pomysły do pierwszych dwóch scenariuszy, a mój ojciec był bardzo zadowolony, że się tym interesuję i że moje

pomysły tak dobrze się sprawdzają.

Kiedy powiedziałem dziadkowi, co zamierzam zrobić, chciał poznać szczegóły. Nawet pomógł mi udoskonalić plany. Gdy od niego wychodziłem, śmiał się i życzył mi szczęścia, mówił, że chce wiedzieć, jak to ostatecznie wyszło, bo, jak twierdził, akcja nigdy nie idzie zgodnie z planem, ale przez to jest więcej zabawy. Powiedziałem mu, że będzie mógł przeczytać o tym w gazetach. - Linus potrząsnął głową i postukał palcami o blat. - Jezu, ale miałem ubaw, szczególnie z tym księdzem w San Francisco, pana bratem, agencie Carver.

Piekielnie mnie zaskoczył. Trochę się pana wystraszyłem, gdy pan tu przyszedł po raz pierwszy.

Dane miał ochotę zabić małego skurwiela. Poczul na ramieniu dłoń Savicha. Walczył ze sobą, by się na niego nie rzucić, ale opanował się.

- Teraz już wszystko skończone, Linus. Jesteś martwy - powiedział.

- Czy wiesz, że to ja wysłałem mediom zdjęcie panny Nick i twoje. Musiałem tylko wykonać parę telefonów na komisariat policji w San Francisco, by dowiedzieć się, kim ona jest. A teraz ona tu jest, węszy, przygląda się każdemu, ale wiem, że mnie nie rozpozna - powiedział Linus.

- Ale wynająłeś Miliona, by ją zabił. Obawiałeś się, że jednak może cię rozpoznać - przypomniał Dane.

Linus ponownie wzruszył ramionami, opuszki jego palców stukały nerwowo o blat biurka.

- Po co ryzykować? Szkoda, że z Miliona był taki nędzny strzelec. - Spojrzał na Nick. - Skoda, że nie trafił, tylko drasnął. Szmaciarz. Gdybym mógł, sam bym cię załatwił, panno Nick, o tak, na śmierć. - Zaśmiał się, po czym odwrócił się w stronę ekranu i ściszył dźwięk. Nie odrywając wzroku od odcinka wyświetlanego na ścianie, powiedział: - Ksiądz Michael Joseph to było moje pierwsze wielkie wyzwanie. Powiedział, że zamierza donieść na mnie, że nawet zrzuci sutannę, jeśli będzie musiał. Tak czy inaczej i tak zamierzałem go zabić, ale musiałem przyspieszyć akcję. - Popatrzył na Dane'a i roześmiał się. - To był piękny strzał. Ale wiecie co? Ten cholerny ksiądz wyglądał na szczęśliwego, jakby zdał sobie sprawę, że przez swoje poświęcenie ocali kilka istnień. Kto to wie?

Dane ciężko oddychał, próbował trzymać ręce przy sobie, by nie zacisnąć ich wokół szyi Linusa Wolfingera. Był potworem, może nawet gorszym niż jego dziadek.

- Co zrobiłeś z pistoletem? - zapytała Sherlock. Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Kto to wie?

Dane uśmiechnął się do niego.

- Teraz za to zapłacisz, Linus. Będziesz siedział w klatce i nigdy z niej nie wyjdiesz, może tylko, kiedy będą prowadzić cię na egzekucję, by posłać cię do piekła.

- Nie wydaje mi się - powiedział Linus, unosząc dłoń, w której trzymał pistolet, derringer, mały i zabójczy. Wycelował po kolei w każdego z nich.

- Nawet o tym nie myśl, Linus - ostrzegł Savich. - Już jest za późno. Nie chcemy cię zabić. Nie zmuszaj nas do tego.

Linus Wolfinger roześmiał się.

- Wiecie, że już nigdy nie będę miał przyjemności z biegania po studiu? Nic mnie już nigdy więcej nie ucieszy. *Hasta la vista*, kochani - powiedział, bardzo dobrze naśladując Arnolda Schwarzeneggera.

Włożył pistolet do ust i nacisnął spust.

# Rozdział 33

Właśnie wrócili do hotelu Holiday Inn. Linus Wolfinger nie żył zaledwie od godziny. A wydawało się, że o wiele dłużej. Nick stała przed telewizorem i patrzyła na Johna Rothmana, senatora z Illinois, w świetle reflektorów kamer, otoczonego przez tłum krzyczących dziennikarzy.

- Wiemy, o pana żonie, senatorze, która podobno uciekła z jednym z pana bliskich współpracowników trzy lata temu. Znalezione jej ciało, ale gdzie jest on?

- Co pan czuł, kiedy dowiedział się pan, że znalezione ciało pańskiej żony?

- Ona nie żyje, senatorze, to nie to samo, co życie z innym mężczyzną. Myśli pan, że pański współpracownik ją zabił?

- Czy myśli pan, że to będzie miało wpływ na pana karierę polityczną, senatorze?

Nick wpatrywała się w ekran telewizora, nie mogąc uwierzyć w to, co zobaczyła. Poczowała głęboki ból i narastającą wściekłość. John Rothman ostatecznie wytropił Cleo i zabił ją.

By ją uciszyć. I być może zemścić się za list, który napisała do Nick.

Patrzyła na tę twarz, której wierzyła, którą kochała, która mogła okazywać radość, mogła śmiać się i żartować z dużym wdziękiem, twarz, która mogła skrywać potworne tajemnice. W ciszy przyglądała się jego wystąpieniu. Był urodzonym politykiem, aktorem o potężnym talencie. Na żadne z zadanych pytań John Rothman nie odpowiedział nawet słowem. Stał w milczeniu, jak biblijny męczennik, gdy rzucono weń kamienie. Wyglądał jednocześnie na stoicko spokojnego i niewiarygodnie zmęczonego, dużo starszego niż zaledwie miesiąc wcześniej. Nie dostrzegając w nim cienia strachu, widziała tylko cierpienie, bezgraniczne cierpienie. Nawet ona, choć wiedziała, kim był, co zrobił, do czego był zdolny, nawet ona czuła promieniujący od niego ból. Jeśli w tej chwili ktoś spytałby ją, czy to on zabił Cleo, czy kiedykolwiek kogoś zabił lub próbował zabić, bez zastanowienia odpowiedziałaby, że nie. Był najbardziej wiarygodnym człowiekiem, jakiego poznała w swoim życiu.

Nadal nic nie mówił, nie zmienił wyrazu twarzy przy żadnym z pytań, bez względu na to, czy były obraźliwe, czy też nie. Wydawało się, że wszystkie pytania spływają po nim. W końcu, gdy był na to gotów, senator Rothman zrobił krok do przodu. Skinął tylko do krzyczących dziennikarzy, ludzi trzymających wycelowane w niego obiektywy kamer, spojrzął na nich i lekko machnął ręką. Wszyscy natychmiast ucichli. Miał niewiarygodną moc, którą zawsze podziwiała. Nawet zanim go poznała, zastanawiała się, jak to robi. Senator Rothman przemówił bardzo cicho, sprawiając, że wszyscy w napięciu pochylali się, by go usłyszeć.

- Wczoraj w nocy policja poinformowała mnie, że znalezione ciało mojej byłej żony. Wyglądało, jakby zmarła jakiś czas temu. Nie wiedzą, jak dawno temu, ale przeprowadzą badania, by to stwierdzić. Mamy nadzieję, że będą w stanie ustalić przyczynę jej śmierci. Jak wiecie, nie widziałem jej ponad trzy lata. Chciałbym was prosić o uszanowanie żałoby rodziny i przyjaciół.

Cofnął się krok, podniósł głowę i skinął do dziennikarzy.

- Senatorze, pana żona miała na imię Cleo, tak?

- Tak.

- Jak długo był pan żonaty?

- Byliśmy małżeństwem przez pięć lat. Bardzo ją kochałem. Byłem zdruzgotany, kiedy odeszła.

- Co było przyczyną śmierci?

- Nie wiem.

- Czy powiedziała panu, że pana zostawia, senatorze?

- Nie.

- Czy cieszy się pan, że ona nie żyje, senatorze? Senator John Rothman spojrział na kobietę, która zadała to pytanie. Długo na nią patrzył. Dziennikarka wyglądała na bardzo zakłopotaną. W końcu powiedział:

- Uważam, że to pytanie jest niepoważne. Czy ktoś jeszcze? Inny reporter telewizyjny krzyknął:

- Czy zabił pan swoją żonę, senatorze?

Przez długą chwilę nic nie mówił, patrzył na dziennikarza, który zadał to pytanie jak sędzia, który za chwilę wyda na niego wyrok skazujący. Zmęczonym, zrezygnowanym głosem powiedział:

- Zawsze mnie to zadziwiało, że niektórzy z was, dziennikarzy, zachowują się jak stado szcurek, kiedy człowiek znajdzie się w kryzysowej sytuacji.

Zapadła cisza. Ktoś szurał nogami, słychać było gniewne szepty i niektórzy się oburzali. Nick patrzyła na człowieka, za którego omal nie wyszła za mąż. Część reporterów, których rozwścieczyło to, co powiedział, znowu zaczęła zasypywać go pytaniami, ale zaraz przestali. Wszyscy patrzyli na niego, jego twarz była pełna cierpienia i wszyscy to widzieli. Widziała łzy spływające po policzkach, widziała, że próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Albo tylko udawał. Potrząsnął głową, odwrócił się i podszedł do swoich współpracowników, odgradzających go od dziennikarzy. Wysoki, silny, cierpiący człowiek.

Obiektywy wszystkich kamer skierowane były na niego. Nikt nie wykrzykiwał kolejnych pytań. Słychać było tylko odgłos pracy kamer. Przechadzając się po pokoju, patrzyła na niego - zrozpaczony człowiek, z pochyloną głową, zgarbiony. Postać tragiczna.

Nick była wstrząśnięta. Nigdy nie widziała płaczącego Johna Rothmana. Przez chwilę poczuła wątpliwość, ale zaraz przypomniała sobie przejmujący strach, jaki poczuła, kiedy obudziła się z tego koszmarne snu i wiedziała, była święcie przekonana, że wszystkie trzy próby zamachu na jej życie były dziełem tego samego człowieka, wynajętego przez Johna Rothmana, by ją zabić.

Prawdą było, że John Rothman wytropił też swoją byłą żonę i zabił ją z zimną krwią. Może wynajął tego samego człowieka, aby zabił Cleo Rothman? Sekcja zwłok wykazałaby wtedy, że zmarła nie dalej niż cztery tygodnie temu. To wtedy Cleo napisała list, który ocalił jej życie. Ale Cleo zginęła.

Jeden z dziennikarzy z wielką powagą powiedział do kamery:

- Senator Jon Rothman wydaje się bardzo zasmucony z powodu wczorajszego odkopania zwłok swojej byłej żony przez psa myśliwskiego. Zwłoki Cleo Rothman zostały zidentyfikowane dziś rano. Będziemy na bieżąco informować państwa o kolejnych szczegółach tej przerażającej sprawy.

Nick powoli podeszła do telewizora i wyłączyła go. Zaczęła się trząść, nie mogąc się opanować.

Podniosła wzrok i zobaczyła Dane'a patrzącego na nią z drugiego końca pokoju. Opierał się o drzwi, ręce miał skrzyżowane na piersi.



Nie słyszała, kiedy wszedł. To była niespodzianka. Przez ostatni tydzień bardzo się z nim zżyła. Tylko tydzień. To niebывałe. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie mogła.

- Widziałeś to?

- Tak.

- Nie ma dowodów, Dane. Ciągłe bez zmian. Na pewno wiesz, że na uniwersytecie mnie nie szukają, bo zdażyłam napisać do mojego dziekana, że zatrzymały mnie ważne sprawy osobiste.

- Jakie sprawy osobiste?

Stał w bezruchu, a kiedy ona milczała, cichym głosem powiedział:

- Nadszedł czas, żebyś mi o tym wszystkim opowiedziała, doktor Champion. Nie ma więcej powodów, by dalej trzymać to w tajemnicy. Linus nie żyje. Detektyw Flynn z prokuratorem okręgowym zdecydują, co zrobić z kapitanem DeLoachem, a Weldon będzie żył. Co cię łączyło z senatorem Johnem Rothmanem, Nick? Chcę wiedzieć wszystko. Teraz.

- Jeszcze trzy tygodnie temu był moim narzeczonym.

- Kim był? Jezu, Nick, jak mogłaś dać się poderwać facetowi, który mógłby być twoim ojcem? Nie mogę w to uwierzyć. Nie, czekaj, opowiesz mi o tym później.

Przeciął jej drogę, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Oddychał szybko i ciężko. Oczy Nick, przed chwilą szkliste od łez, były teraz zamglone i płonęły.

- O Boże, Dane, to jest... - Stała na palcach i przyciągnęła go mocno do siebie. Całowała go, lekko kłując jego wargi, dłońmi targała jego włosy, przyciągała go bliżej, naciskając na niego, pragnąc go. Jęknęła, gdy ich języki spotkały się.

- Nick, nie, nie możemy... a niech tam. - Rękami oplótł jej biodra, podniósł ją do góry i zaniósł do łóżka. Nigdy nie pragnął żadnej kobiety tak mocno jak jej. Zbyt wiele się wydarzyło. Jego brat, wszyscy zabici, a teraz ten cholerny senator, coraz większy zamęt, coraz więcej tajemnic. Nie, nie mógł tego zrobić, nie teraz, nie w tym miejscu. Cofnął się, delikatnie dotykając palcami jej policzka i ust.

- Nick, ja...

Złapała go i położyła na sobie.

- Nie przestawaj. Proszę, nie przestawaj... - Całowała go po całej twarzy, głaskała, chciała dotykać każdego fragmentu jego ciała.

- Jasna cholera!

Miał ochotę płakać, wyc. Nie miał prezerwatyw, ani jednej. Nie chciał, żeby zaszła w ciążę. Ale nie to było najważniejsze, nawet ulżenie sobie w tej chwili się nie liczyło. Chodziło o Nick. Była zaręczona z tym przeklętym senatorem? Z tym starcem o arystokratycznym wyglądzie, tym łajdakiem? Nieważne, przecież nie wychodzi za niego za męża. Za niego ani za nikogo innego.

Rozpiął jej dzinsy, ściągnął je i rzucił na podłogę. Próbowwała wciągnąć go z powrotem na siebie, ale on zatrzymał ją, przez chwilę przyglądał się jej białym wysoko wyciętym majtkom, które sam jej kupił, i szybkim ruchem zdjął je z niej.

Była taka piękna, niewyobrażalnie piękna. Jego oddech przyspieszył, ciężko dyszał.

- Spokojnie, Nick, i pozwól, że sprawię ci przyjemność. Tylko leż spokojnie i nie próbuj mnie dusić. Połóż się i baw się dobrze.

Kłęczał między jej rozłożonymi nogami, pokrywając pocałunkami jej brzuch, schodząc coraz niżej, a po chwili krzyknęła i zaczęła się wic w ekstazie. Jakie to było cudowne uczucie, dawać jej to, co lubiła.

Opadła na pościel, a jej serce łomotało tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi, oddychała tak szybko, że wydawało jej się, że za chwilę umrze. Wtedy spojrział na nią. Bardzo cierpiał. Całe szczęście, pomyślał, że miał na sobie spodenki, w przeciwnym razie błyskawicznie znalazłby się w niej. Ale nie to było najważniejsze, przynajmniej w tej chwili. Zastanawiał się, czy gdzieś w pobliżu jest apteka. Albo stacja benzynowa, lub inne miejsce, gdzie można kupić prezerwatywy.

Pochylił się nad nią i zaczął ją całować, powoli i spokojnie, i wiedział, że czuła, jak jest podniecony. Po dłuższej chwili przestał i usiadł na brzegu łóżka. Popatrzył na jej długie nogi, płaski brzuch i powoli pogładził go dłonią.

- Jesteś piękna - powiedział.

Mruknęła zaskoczona, po czym uśmiechnęła się do niego.

- Ty też.

Uśmiechnął się. Już nie było tak źle. Powoli dochodził do siebie. Z trudem zmusił się do włożenia majtek, potem dzinsów. Zanim je zapiął, pochylił się i znowu pocałował jej brzuch. Boże, pragnął jej tak mocno. Nie, nie teraz. Dobrą chwilę zajęło mu postawienie jej do pionu i ubranie. Przerwał na chwilę, pochylił się nad nią i ujął w dłonie jej twarz.

- To dopiero początek. Jesteś cudowna, Nick. Ale nie wierzę, że byłaś zaręczona z Johnem Rothmanem.

- Teraz mnie samej trudno w to uwierzyć - powiedziała, całując go.

Pochyliła się i oparła twarz na jego ramieniu. Pogłaskał ją po włosach. Pomyślał, że chyba nie powinien być zaskoczony, a jednak był, właściwie to był zaszokowany.

- John Rothman jest dla ciebie o wiele za stary. Dlaczego chciałaś poślubić faceta, który jest prawie w wieku twojego ojca?

Jego głos brzmiał już spokojnie, normalnie, więc pozbierała się i odsunęła od niego.

- John Rothman ma czterdzieści siedem lat, jego sposób postrzegania świata i jego poglądy są bardzo podobne do moich. Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Ale gdyby paradował przed tobą nago, na pewno oblizywałabyś się ze smakiem, co?

Była tak zaskoczona tym, co powiedział, że aż dostała czkawki ze śmiechu.

- Nie wiem - odpowiedziała, opanowując się. - Nigdy nie widziałam go nago.

- Tym lepiej.

- Dlaczego tak ci na tym zależy?

- Z bardzo prostej przyczyny, doktor Champion. Jakies trzy dni temu zdecydowałem, że najbliższe pięćdziesiąt lat spędzisz ze mną. Wiedziałaś, że znaleźli ciało jego żony?

- Tak. Pięćdziesiąt lat może nie wystarczyć.

- Powiedział wszystkim, że od niego uciekła? Trzy lata temu? To tak, zaczniemy od pięćdziesięciu lat, potem będziemy dalej negocjować, zgoda?

- Tak, twierdził, że od niego uciekła. Wtedy zniknął też Tod Gambol, jego doradca, i wszyscy uwierzyli, że uciekła z nim. Zgoda, pięćdziesiąt lat na początek, potem zobaczymy.

- A czy ciało tego Toda Gambola znaleźli razem z ciałem jego żony?

- Widocznie nie.

- To co się z nim stało? - zastanawiał się Dane. - A wiedziałaś, że tak naprawdę ona od niego nie odeszła?

- Nie, Cleo go opuściła, a ja w to uwierzyłam. Nie miałam wątpliwości. Nie było jej przez trzy lata, on się z nią rozwiódł, chociaż nie odpowiedziała na jego pozew, bo nikt nie wiedział, gdzie jej

szukać. A ja to zaakceptowałam. Kochałam go. Chciałam wyjść za niego za męża.

- Ale ona od niego nie uciekła. On ją zabił.

- Nie. Faktem jest, że ona odeszła.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem też, że jeszcze cztery tygodnie temu żyła. Dane skrzyżował ręce na piersi.

- Skąd? Czy Senator Rothman zapewniał cię, że jego żona jest cała i zdrowa i że bzyka się z jego doradcą?

- Nie. Jest jeszcze coś. Cleo Rothman napisała do mnie list. Niemożliwe, że nie żyje od trzech lat, najwyżej od miesiąca, i sekcja zwłok na pewno to wykaże. Nie, John Rothman nie mógł zabić jej trzy lata temu.

- Dlaczego do ciebie napisała?

- Żeby mnie ostrzec. Napisała mi o pierwszej dziewczynie, którą John zamierzał poślubić, która zginęła niedługo przed ukończeniem przez nich oboje studiów w Bostonie. Zabił ją, bo Elliott Benson, jego rywal, ją uwiódł. Oczywiście uszło to Johnowi na sucho, bo kto podejrzewałby zaręczonego młodzieńca o zamordowanie własnej narzeczonej? Ostatecznie w policyjnym raporcie napisali, że przyczyną śmierci był tragiczny wypadek samochodowy. Podobno John tak płakał na jej pogrzebie, że rodzice jego zmarłej narzeczonej podtrzymywali go, by dodać mu otuchy.

- A skąd ona o tym wiedziała? Mówił przez sen? Tylko mi nie mów, że jej to wyznał?

- Nie, skąd. Znalazła jego dziennik ukryty w sejfie w jego bibliotece. Napisała mi, że jednego dnia odkryła, że sejf był otwarty i z ciekawości zajrzała do środka. Znalazła tam dziennik Johna i przeczytała go. Dowiedziała się ze szczegółami, jak zabił swoją dziewczynę, nazywała się Melissa Gransby, jak wszystko precyzyjnie zaplanował i zrealizował. Prosty wypadek samochodowy na autostradzie 1 - 95, niedaleko Bremerton. W całym liście kilka razy podkreślała, jaki John jest sprytny i cwany, i jak bardzo muszę być ostrożna, bo w przeciwnym razie będę kolejną kobietą, którą zabije. Napisała, że John w końcu uwierzy, że, podobnie jak Melissa, sypiam z Elliottem Bensonem, że zdradzałam go jeszcze przed ślubem.

- A kto to jest ten Elliott Benson?

- To bardzo wpływowy człowiek w Chicago, bogaty przedsiębiorca i bankier. On i John od lat ze sobą rywalizują. Cleo napisała, że nie wie, czy zabił inne kobiety, ale wiedziała, że zabiłby ją, gdyby w porę nie uciekła i jest pewna, że ma zamiar zabić mnie, i dlatego powinnam uciekać od niego jak najdalej, i to szybko.

Dane z powątpiewaniem zmarszczył brwi.

- A dlaczego tak bystry człowiek miałby trzymać cholerny dziennik, w którym wyznaje, że popełnił morderstwo? I przechowywać go we własnym domu, na litość boską, i na domiar wszystkiego, zostawiać otwarty sejf? Tak nie postępuje bystry człowiek, Nick. Ta historia jest mocno naciągana. Coś mi tu nie pasuje.

# Rozdział 34

Na początku też tak pomyślałam - powiedziała Nick. - Ale posłuchaj, Dane. Znałam Cleo Rothman, znałam jej charakter pisma. List był od niej, jestem o tym przekonana. Powiedziała mi, że ma dziennik, zabrała mu go, by mieć Johna w garści, gdyby nie chciał się od niej odczepić. To była jej przewaga nad nim.

- Dlaczego nie poszła z tym na policję? Przecież to było przyznanie się do winy.

- Pisała, że John ma wielu ważnych, wysoko postawionych przyjaciół i wielu z tych wszechwładnych ludzi jest mu winnych przysługi. I potrafiłby nawet powiedzieć, że będąc jego żoną, tak dobrze zna jego charakter pisma, że sama napisała ten dziennik i to była z jej strony próba zrujnowania jego kariery. W tym liście czułam jej strach, Dane, jej poczucie, że była tchórzem, że wszystko było przeciw niej, dlatego nie miała innego wyboru, jak tylko uciec. Myślisz, że policja by jej uwierzyła i rozpoczęła śledztwo?

- Oczywiście przyjrzeliby się temu, ale to by nie pomogło, gdyby byli przekonani, że ona się mści, że chce zrujnować karierę dobrego człowieka, no i nie ma innych dowodów poza dziennikiem. Tak czy owak, John Rothman napisał, że zabił tę Melissę Gransby, bo ona zdradzała go z tym Bensonem?

- Najwyraźniej tak. John nie potrafił jej wybaczyć. Kartki od góry do dołu były pełne furii, bezpodstawnej wściekłości, a Cleo napisała, że wyobraziła sobie, że niewierność Melissy tak go zmieniła, wynaturzyła, uczyniła go niezdolnym do ufania kobietom. Pisała, że jego matka zdradzała ojca, to był dla niego wielki cios, może stąd to zachowanie. Widocznie powiedział jej o tym, gdy byli małżeństwem.

- Czy on ci o tym opowiadał? O swojej matce? Pokręciła głową.

- Nie, nigdy nic mi nie mówił.

- Więc Cleo Rothman znajduje jego dziennik, czyta jego wyznania mordercy i po prostu odchodzi od niego? Z jego asystentem? Jezu, Nick. To nie brzmi zbyt wiarygodnie.

- Nie, nie, napisała, że z nikim nie odeszła. Twierdziła, że nawet nie wiedziała, gdzie jest Tod Gambol. Nigdy nie była jego kochanką, nigdy nie była niewierna Johnowi. Kochała go, zawsze go kochała, ale przestraszyła się i po prostu uciekła. Była przekonana, że ją też chce zabić, bo słyszała pogłoski o tym, że sypia z Elliottem Bensonem. Wiedząc, że raz już zabił dziewczynę, która prawdopodobnie go zdradzała, wiedziała, że uwierzy w pogłoski i spróbuje ją zabić, tak jak Melissę.

Kiedy usłyszała, że zamierzam wyjść za niego za mąż, doszły do niej też plotki, że sypiam z Elliottem Bensonem, napisała więc, że nie chce, żebym skończyła martwa jak Melissa i Bóg wie, ile jeszcze kobiet.

- Dobrze, Nick, ale musiało być coś jeszcze, co skłoniło cię do wyjazdu do San Francisco i zostania bezdomną.

- Niedługo przed tym jak dostałam list, ktoś próbował mnie przejechać. Facet w kominiarce na głowie prowadzący czarny samochód. Było ciemno, wracałam z pobliskiego sklepu do domu.

Dane zmarł.

- Co? Chodziłaś po zmroku do sklepu? W Chicago? To naprawdę głupie, Nick.

Szturchnęła go palcem w klatkę piersiową.

- Dobra, chcesz znać szczegóły? Miałam okres, jeśli cię to obchodzi.

- Rozumiem, że nie mogłaś czekać, ale powinnaś była zamówić dostawę do domu.

To było bardzo zabawne i naprawdę niespodziewane, całe to oburzenie czymś tak mało istotnym. Roześmiała się. Wciąż się śmiała. Opowiadała mu o jednym z najbardziej przerażających doświadczeń w swym życiu, a on zdenerwował się tym, że poszła do sklepu w sąsiedztwie, sama, po zmroku.

Z drugiej strony, wiedząc, co się stało, może miał rację. Odchrząknęła.

- Tak, jak powiedziałam, wracałam, kiedy ten samochód wyłonił się z bocznej uliczki i omal mnie nie przejechał. Niemożliwe, by to był ktoś pijany lub że to głupi wypadek. Nie, wiedziałam, że to było celowe. Później była kolacja z okazji urodzin jego siostry, Albi. Podobno zatrąłam się jedzeniem. Naprawdę niewiele brakowało. Jeśli zjadłabym więcej, pewnie bym umarła. Kiedy dostałam list, poszłam do jego mieszkania porozmawiać z nim o tym.

- Co się wtedy wydarzyło?

- Pomachałam mu listem przed nosem, zapytałam, ile kobiet zabił. Wszystkiemu zaprzeczył, powiedział, że list nie może być od Cleo, nie mógł w to uwierzyć, domagał się, bym mu go oddała. Podszedł do mnie, myślałam, że chce mnie udusić. Zabrał mi list, podarł go i wrzucił w ogień, po czym odwrócił się do mnie. Wyciągnęłam pistolet i powiedziałam mu, że odchodzę. Tej nocy obudziłam się i usłyszałam, że ktoś jest w moim mieszkaniu. Zobaczyłam tego faceta z balkonu, uciekającego i dotarło do mnie, że podpalił moje mieszkanie. W porę udało mi się uciec, ale niewiele brakowało.

Uciekłam, zabierając ze sobą tylko torebkę, i tak to było. Skończyłam w schronisku dla bezdomnych. Ponieważ straciłam wszystko i nie miałam nawet cienia dowodu, od tej pory wiedziałam, że próbuje mnie zabić, tak jak zabił Melisę, tak jak chciał zabić Cleo. Zdecydowałam, że bycie bezdomną nie jest takie złe. Szum wokół zniknięcia dał mi czas, by wymyślić, co robić dalej. I tak oto skończyłam w San Francisco, i tak się złożyło, że w kościele czekałam na księdza Michaela Josepha.

- Więc pojechałaś do San Francisco i zapadłaś się pod ziemię. Wiedziałaś, że na długo się tam nie ukryjesz, Nick. Co zamierzałaś zrobić?

- Jeszcze nie zdecydowałam. Uwierz mi, nie spieszyło mi się. Nieważne, gdzie byłam, wszędzie czułam się bezpiecznie, dopóki to się nie stało.

- Kto to jest Albia?

- Jest starszą siostrą Johna Rothmana. Są bardzo blisko, zawsze byli.

- Jaka ona jest?

- Albia jest siedem lat starsza od Johna. Po śmierci ich matki w wypadku samochodowym Albia zastąpiła mu ją. I, jak powiedziałam, byli ze sobą bardzo zżyci. Kiedyś zapytałam ją o rodzinę, a ona opowiedziała mi o ich matce, że zmarła tragicznie, a ojciec zmarł pięć lat wcześniej na zawał serca.

- W jego rodzinie było mnóstwo wypadków samochodowych.

- Mnie to mówisz?

- Czy Albia nie powiedziała ci o tym, że jej matka zdradzała ojca?

- Nie, a ty byś powiedział?

- Chyba nie.

- Jest jeszcze coś. Na urodzinowej kolacji Albi, zanim zrobiło mi się niedobrze, podarowałam jej apaszkę. Zaczęła opowiadać, jak to jej matka miała apaszkę podobną do tej, po chwili wyglądała, jakby stało się coś złego. Zamurowało ją. Powiedziała mi, że to bardzo drażliwy temat.

- Żadnych wyjaśnień?

- Żadnych.

- Nic poza tym. Czy tak?

- Nie, jest coś jeszcze, to jest coś, co wiedziałam. Pamiętam, jak John powiedział mi, że zakochał się w Cleo od pierwszego wejrzenia. Kiedy go zostawiła, był załamany, nie mógł w to uwierzyć. Zastanawiał się, dlaczego ona nie powiedziała mu, co było nie tak, ale tak po prostu odeszła.

- Hm - mruknął Dane.

- Wiesz, Dane, bardzo trudno było mi uwierzyć, że John zaczął mordować kobiety, bo jego matka zdradzała ojca. Myślisz, że to możliwe, żeby mógł zabić swoją matkę?

- Myślę, że to możliwe, niektórzy to robią.

- Kto jeszcze mógłby to zrobić? Tylko potrząsał głową.

- Jest mnóstwo pracy. Włączmy w to Savicha i Sherlock. MAX dość szybko zidentyfikował cię jako dr Nicolę Champion. Są gotowi do pomocy.

- Myślę, że to świetny pomysł.

Spotkali się we czwórkę w kawiarni hotelu Holiday Inn.

- Może zatrzymalibyście się w Chicago, zanim wrócicie do Waszyngtonu - powiedział Dane.

- Właściwie - odparł Savich - Sherlock właśnie miała zadzwonić do ciebie, Nick, by wszystkiego dowiedzieć się od ciebie, a nie z ekranu MAX - a.

- To prawdziwy bałagan - powiedziała Nick.

Mówiła i mówiła, powoli znów powtarzając wszystko, co się stało, odpowiadając na wiele tych samych pytań, choć na wiele z nich miała inne spojrzenie, przypominając sobie wiele szczegółów. Zdała sobie sprawę, że jest przesłuchiwana przez ekspertów. To było prawie bezbolesne. W końcu oboje, Savich i Sherlock, przestali pytać. Savich wziął żonę za rękę, pogładził kciukiem jej dłoń, powoli i delikatnie.

Nick patrzyła, jak Savich, marszcząc brwi, sący swoją herbatę.

- Bardzo słaba, zupełnie bez smaku - powiedział, rozlewając herbatę wokół filiżanki.

Sherlock klepnęła go po dłoni.

- Chyba powinniśmy zacząć wozic ze sobą herbatę, którą lubisz.

- A wy co o tym myślicie? - zapytał niecierpliwie Dane. Savich uśmiechnął się do Nick i powiedział:

- Muszę przez chwilę się nad tym wszystkim zastanowić. Ale najpierw muszę zadzwonić.

Wyciągnął swój telefon komórkowy, wybrał numer i czekał.

- Cześć, George. Mówi Savich, potrzebuję pomocy.

- Kto to jest George? - szepnęła Nick do Dane'a.

- To kapitan George Brady z policji w Chicago - poinformowała szybko Sherlock.

Savich czekał, słuchał, po czym powiedział do telefonu:

- Mam sprawę, George. Potrzebuję informacji o Cleo Rothman.

Dwie minuty później Savich zakończył rozmowę. Spojrzał na każde z nich z osobna i zwrócił się bezpośrednio do Nick:

- Przykro mi Nick, ale Cleo Rothman nie została zabita kilka tygodni temu.

- Co masz na myśli? Nie rozumiem. Dostałam od niej list nie dalej jak miesiąc temu - powiedziała Nick.

- Kapitan Brady powiedział, że lekarz sądowy jest prawie gotowy obwieścić wyniki swoich badań. Fakty są takie - Cleo Rothman została zamordowana przynajmniej trzy lata temu.

# Rozdział 35

Całe późne popołudnie i wieczór spędzili na spotkaniach z Jimmym Maitlandem, przełożonym Savicha, i zastępcą szefa FBI, Gilem Rainy z biura terenowego FBI w Los Angeles, szefem policji w Los Angeles Williamem Morganem i jego sztabem, łącznie z detektywem Flynnem. Mieli czas zaledwie na krótkie pożegnanie inspektora Deliona, zanim późnym wieczorem odleciał do San Francisco.

Prokurator okręgowy nie zamierzał wnosić aktu oskarżenia przeciwko Weldonowi DeLoachowi, bo doszedł do wniosku, że stracił on syna, a w Hollywood i tak nie będzie mu łatwo. Poza tym Weldon miał wskazać im miejsce, gdzie jego ojciec przez tyle lat zakopywał wszystkie zakrwawione ubrania. To była zdecydowanie wystarczająca kara. Co do kapitana DeLoacha, próbowali wyciągnąć z niego szczegóły, ale ciągle zachowywał się jak obłąkany. Udawał? Tego nikt nie wie. Ale faktem było, że umierał.

Nie było sensu zamykać starego człowieka w więzieniu, ale wiele pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Ciekawe, ile z nich znajdzie wyjaśnienie.

Następnego ranka, pożegnana przez Jimmy'ego Maitlanda, cała czwórka odleciała do Chicago. Przeszli rutynową kontrolę, jaka towarzyszyła podróży samolotem. Cóż, świat się zmienił. Ich odznaki FBI zostały obejrzone z każdej strony, dokumenty przeczytane trzy razy, a odciski palców pieczołowicie przeanalizowane, aż w końcu zostali przepuszczeni.

Wypożyczyli dwa samochody i wlekli się w niemiłosiernym korku, który i tak miał się nijak do tego w Los Angeles, i droga do hotelu Four Seasons zajęła im prawie czterdzieści pięć minut. Jak powiedział Savich, to była ich nagroda, na którą zgodził się Jimmy Maitland. Jak mówił Savich, szef pochwalił ich za kawał dobrej roboty, jaki wykonali, łapiąc scenariuszowego mordercę, i powiedział, że teraz mają nieograniczone możliwości. W tym przypadku odpowiadały one dwóm zwykłym pokojom, całkiem jednak przyjemnym, w luksusowym hotelu Four Seasons. Udało im się zarezerwować dwa sąsiadujące ze sobą pokoje.

Najpierw zamówili jedzenie.

- Dużo o tym myślałem - powiedział Savich nad swoją beznamiętną kanapką - i dyskutowałem z Sherlock i Dane'em w samolocie. Otóż, uważamy, Nick, że niekoniecznie John Rothman jest tu mordercą.

Nick poczuła, jakby ktoś uderzył ją pięścią w brzuch. Wstrzymała oddech. Wpatrywała się w kiwającą głowami trójkę i powiedziała:

- Nie, to niemożliwe.

- Ale zastanów się - powiedział delikatnie Savich, bo wiedział, że jest święcie przekonana, że ten człowiek próbował ją zabić. - To prawda, że John Rothman jest bardzo wpływowym człowiekiem, z ogromną siłą przebicia, mnóstwem przyjaciół, winnych mu przysługi, ale poza tym



wszystkim, ma wiele do stracenia. Nie tylko swoją karierę polityczną, ale też życie. Swoje życie, Nick. Dla człowieka takiego jak on, z jego pozycją i umiejętnościami, zaprzepaszczenie tego wszystkiego tylko dlatego, że jego matka miała romans, kiedy był nastolatkiem, to po prostu nie ma sensu. Tak uważamy. - Uśmiechnął się do niej. - Wydaje nam się, że to może być Albia Rothman.

Dane tylko się uśmiechnął, ugryzł swoją kanapkę, całkiem smaczną.

- Albia - powtórzyła Nick bezbarwnym głosem, zapominając o kanapce w dłoni. - O co wam, do diabła, chodzi?

- Cóż - powiedział Savich - szczerze mówiąc, wydawała mi się podejrzana, kiedy pierwszy raz o niej wspomniałaś. Dlatego powiedziałem, że chcę to przemyśleć, przedyskutować z Sherlock i Dane'em. Nie twierdzę, że od razu pójdziemy z tym do Johna Rothmana, bo wcześniej pomyliliśmy się co do niego. Ale może zmienimy zdanie. I chyba powinniśmy poważnie przyjrzeć się jego siostrze.

Nick tylko patrzyła kolejno na każdego z nich. Odetchnęła głęboko, zjadła kawałek kanapki, zanim w końcu powiedziała:

- Nie nadażam za wami.

- Układ jest taki - wyjaśnił Dane - starsza siostra i młodszy brat mocno cierpią z powodu niewierności matki. Siostra jest święcie przekonana, że jest opiekunką swojego młodszego brata. Może zabiła matkę, a może nie, może jej śmierć tylko pogorszyła ich sytuację. Jest największym zwolennikiem swojego brata, uświadamia sobie, że nie zniosłaby, gdyby odszedł do innej kobiety. Kiedy więc na studiach on poznaje dziewczynę, ona zabija ją, a wygląda to jak wypadek.

Nick pokręciła głową.

- Ale skąd możecie wiedzieć, czy to wszystko jest chociaż bliskie prawdy? To wszystko wina tego Elliotta Bensona, przyjaciela Johna, który zawsze uganiał się za kobietami, które kochał i których pragnął John. Jest jeszcze jeden niezaprzeczalny fakt: John poślubił Cleo. Byli małżeństwem przez pięć lat. Skoro Albia chciała zatrzymać Johna dla siebie, dlaczego nie zabiła Cleo, zanim John się z nią ożenił? W ten sposób uchroniłaby go przed inną kobietą.

- Możliwe, że Albia nie miała ku temu okazji, zanim się pobrali. Zajmiemy się tym. Założę się o moją ostatnią kanapkę, że to był na pewno szalony romans i Albia nie miała szans, by powstrzymać go przed ślubem z nią. Więc musiała poczekać na właściwy moment i, na razie ukrywać swoje uczucia. Przecież nie mogła tak po prostu sprzątnąć jego nowej żony, to byłoby zbyt podejrzane. I oczywiście chciała uchronić brata przed podejrzeniami o spowodowanie śmierci żony, musiało więc wyglądać to na wypadek.

- I tu jest pies pogrzebany - powiedział Dane. - Mówiłaś, że to od Cleo dowiedziałaś się o Eliocie Bensonie. Wiemy już, że Cleo nie napisała tego listu. Więc musi to być Albia.

Nick wyglądała na zamyśloną, jej wzrok utkwiony był w resztkę kanapki.

- Przecież znałam Albię - powiedziała w końcu. - Przynajmniej tak mi się wydawało. Zawsze była dla mnie miła, chociaż nie byliśmy przyjaciółkami, bo ona z nikim się nie spoufalala. Jest taka dostojna, poukładana i powściągliwa.

- Myślisz, że byłaby w stanie zrobić wszystko dla swojego brata? - zapytał Dane.

Nick w pamięci przywołała wspomnienie Albi i pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Pamiętam, jak kiedyś, podczas jednego spotkania, Albia nie zgadzała się ze stanowiskiem Johna w jakiejś politycznej sprawie. Podała swoje argumenty, ale on nie zmienił zdania. Pamiętam, że byłam podobnego zdania co ona. Pamiętam też, że spojrzała na niego wtedy

bardzo nienawistnie, ale więcej się o to nie kłócili.

- Mówiłaś, że Albia była mężatką, ale bardzo krótko - powiedział Savich.

- Tak. Jej mąż zmarł nagle, o ile sobie dobrze przypominam. Chyba nie myślicie... nie, o nie. - Nick zanurzyła dłonie we włosach. - To bardzo skomplikowane. Od samego początku myślałam, że to John. Kiedy tej ostatniej nocy mnie zaatakował i chciał zacisnąć dłonie na mojej szyi, przysięgam, że w jego oczach widziałam, że chciał mnie zabić, i wiedziałam, że jest winny. Nie miałam co do tego wątpliwości. Byłam przerażona. Po co miałby to robić, jeżeli to Albia zabijała te kobiety?

- Może wcale nie chciał zrobić ci krzywdy - zasugerowała Sherlock. - Może chciał ci tylko zabrać list od swojej byłej żony. Chciał tego wystarczająco mocno, by cię zaatakować. Nick, stawką była tu jego kariera. Wszystko, na co pracował przez całe życie, mogło nagle się zawalić. Musiał pozbyć się tego listu. To była gra o wysoką stawkę, prawda?

- Owszem - przyznał Dane. - A czy on już wie, że Cleo nie żyje od dawna?

- Nie - odpowiedziała Nick. - Twierdził, że to niemożliwe, żeby Cleo chciała go tak skrzywdzić, że nie byłaby do tego zdolna. Och, sama już nie wiem. Tego już za wiele. Naprawdę myślicie, że to Albia Rothman chciała mnie zabić w Los Angeles?

- Prawdopodobnie - odparła Sherlock. - Idę o zakład, że na pewno podłożyła ogień w twoim mieszkaniu. A facet na harleyu? Może wynajęła kogoś, komu ufała tutaj, w Chicago?

Nick z niedowierzaniem kręciła głową.

- Facet, który próbował przejechać mnie samochodem, ten, który podpalił moje mieszkanie i facet na harleyu - to ta sama osoba. Jestem tego pewna. Właściwie, doszłam do tego we śnie, parę dni temu.

- To ma sens - oświadczył Dane. - Może to był jej kochanek, ktoś, komu mogła naprawdę zaufać.

- Może - zgodził się Savich. - A kiedy Linus przesłał mediom twoje zdjęcie i pokazali je w telewizji, ona cię rozpoznała i wiedziała, gdzie cię szukać. Nie było trudno dowiedzieć się, gdzie się zatrzymałaś i mieć cię na oku. A kiedy próba z harleyem nie udała się, nie miała czasu na wcielenie w życie kolejnego planu.

Nick pochyliła się nad stołem i ugryzła kawałek kanapki Dane'a.

- Interesujące zachowanie, Nick - powiedział Savich, uśmiechając się. - Najpierw gryzłaś ramię Dane'a, teraz jego kanapkę. Wygląda mi to na poważny akt agresji. Zniesiesz to jakoś, Dane?

- Dam sobie radę - odparł Dane i uśmiechnął się do Nick, dotykając swojego ramienia. - Jest za chuda. Niech gryzie, co tylko chce.

- Hm - mruknęła Sherlock i posłała mężowi spojrzenie, które sprawiło, że poczuł gorąco. Tak samo patrzyła na niego poprzedniej nocy, kiedy całując każdy centymetr jego ciała, sprawiła, że poczuł się jak w niebie.

- Dość tego - powiedział Savich do niej i do Dane'a. - Wróćmy do Cleo Rothman. Nie żyje od trzech lat. Idę o zakład, że starszy doradca, Tod Gambol, też nie żyje. Więc kto, jeżeli nie Albia Rothman, mógł przysłać ci ten list? Czy ktoś jeszcze przychodzi ci do głowy, Nick?

Nick pokręciła głową.

- Nikt inny, przyznaję. Ale posłuchajcie mnie wszyscy, byłam absolutnie pewna, że to charakter pisma Cleo.

Sherlock wzruszyła ramionami.

- To nic wielkiego. Wystarczyło, żeby Albia miała kopie listów lub notatek Cleo i wzorowała się na nich. Szkoda, że John Rothman zniszczył list. Zbadalibyśmy go i dowiedzielibyśmy się, kto go

napisał. Może napisała ten list, żeby cię wystraszyć. Kiedyś chciała cię zabić, a może wcale nie. Może w końcu się tego dowiemy. Ale chciała, żebyś zniknęła, stąd list i historia z dziennikiem.

- Myślicie, że ten dziennik nie istnieje? - zapytała Nick.

- Nie - powiedział Dane. - Od początku nie miało sensu to, że John Rothman zostawia dziennik, w którym przyznaje się do morderstwa, w sejfie w swoim gabinecie i przypadkiem zostawia ten cholerny sejf otwarty. Nie, Albia wymyśliła ten dziennik, by cię przestraszyć i oczyścić teren.

- Senator Rothman też nie napisał tego listu - oświadczył zdecydowanie Savich. - Musiałby być niespełna rozumu. To Albia go napisała, bo chciała, żebyś zerwała z jej bratem. Kiedy to nie poskutkowało, zaczęła poważnie zastanawiać się nad zabiciem ciebie.

- Cóż, Rothman może i jest niespełna rozumu - powiedziała Sherlock. - Ale posłuchaj, Nick, jeżeli okaże się, że za tym wszystkim stoi jego siostra, nadal chcesz wyjść za senatora?

- Mam inne plany - powiedziała bez namysłu Nick.

- Ona nie może poślubić senatora - oświadczył Dane. - Znowu ugryzła mnie w ramię, nie wspominając już o kanapce. Liczę, że to duży krok w kierunku zaangażowania.

- To mi wygląda na coś poważnego - mruknął Savich. Sherlock poklepała Nick po ramieniu i uśmiechnęła się do męża.

- Ostatniej nocy poczułam wielką ulgę, że wszystko się wyjaśniło. I nikt się nie spodziewał takiego zakończenia. - Znowu spojrzała na Savicha tak, że zaczął drzeć, potem potrząsnęła głową i odchrząknęła. - Teraz będziemy mieli inne zajęcia. Wrócimy do domu, do Seana. Długo nie widzieliśmy naszego chłopca. Jak go znam, zmusza babcię, żeby tańczyła, by go zabawić. Dobra, co wy na to, żeby już na dziś skończyć?

- Jest uzależniona od adrenaliny - powiedział Savich, obejmując żonę i całując ją w ucho. - A może po spotkaniu z senatorem wybierzemy się gdzieś potrenować?

- To działa tak, że Dillon będzie trenował do upadłego, a kiedy uśmiechnie się do mnie, wszystko będzie jasne - powiedziała Sherlock.

- Chcesz powiedzieć, że to morderczy trening pomaga ci w pracy? Nie cukier? - zapytał Dane.

- Żadnego cukru. Tylko pot i łzy - powiedział Savich. - Zadzwoń teraz do Jimmy'ego Maitlanda i opowiem mu, co ustaliliśmy, i zapytam, czy chce powiadomić policję w Chicago. Sherlock, a może zadzwonisz do biura senatora Rothmana i sprawdzisz, czy tam jest. Chciałbym go zaskoczyć, tak jak zrobiliśmy to z Linusem Wolfingerem.

Nick z założonymi rękami rozsiadła się na krześle. Patrzyła na nich kolejno i nie mogła w to uwierzyć.

- To nie dzieje się naprawdę.

W końcu poszli do siłowni na rogu Rusk i Pine, bo senator Rothman był w Waszyngtonie i planował wrócić do biura dopiero późnym popołudniem.

Na ekranie wielkiego telewizora zawieszzonego pod sufitem na siłowni zobaczyli zastępcę szefa FBI, Jimmy'ego Maitlanda, otoczonego przez ludzi z FBI w Los Angeles, tamtejszą policję i dziennikarzy.

- Powiedziałem panu Maitlandowi, że nie chcemy brać udziału w tym zamieszaniu - oświadczył Savich. - On dobrze sobie radzi z takimi rzeczami.

Patrzyli, jak dziennikarze tłoczą się wokół nich i wszyscy naraz wykrzykują pytania. Przynajmniej sześciu dziennikarzy chciało wiedzieć, gdzie są Dane, Sherlock i Savich. Jeden nawet zapytał o tę bezdomną kobietę - podobno naocznego świadka - która nie była w stanie zidentyfikować Linusa

Wolfingera.

Nick głośno zagwizdała.

Jimmy Maitland podniósł rękę.

- Wybaczcie - powiedział. - Ale agenci zajmują się już następną sprawą. Jeśli chodzi o tę bezdomną kobietę, ma się dobrze. Zaczęła nowe życie. Poproszę o następne pytanie.

Delion wrócił do Los Angeles na konferencję prasową po tym, jak miał ciężką przeprawę z dziennikarzami w ratuszu w San Francisco. Był tu razem z Flynnem, stali razem, obaj śmiali się. Flynn machał ręką, jakby kozłował piłkę do koszykówki, swobodnie opowiadając o szczegółach sprawy. W sprawie kapitana DeLoacha odsyłał do prokuratora okręgowego.

Rzecznik prasowy Premier Studios wyraził wstrząs, zaskoczenie i głęboki żal szefa, Milesa Burdocka. Poinformował wszystkich, że emisja „Superagenta” ostatecznie zostanie wznowiona. Nikt nie chciał, żeby gwiazdy zostały ukarane za coś, o czym nie miały pojęcia. Nie wspomniał o tym, że teraz na pewno każdy będzie chciał obejrzeć program i osiągnie najwyższe wskaźniki oglądalności. Nie powiedział też, że z zysków, jakie przyniesie program, ma zamiar pokryć koszty procesów sądowych, które na pewno zostaną wytoczone studiu po tym, jak jego własny dyrektor naczelny popełnił morderstwa, posługując się scenariuszami programu.

Belinda Gates i Joe Kleypas stali za plecami rzecznika prasowego. Rzecz jasna, byli bardzo zadowoleni. W końcu rzecznik ogłosił, że Frank Pauley przejmie obowiązki Linusa Wolfingera na stanowisku prezesa Premier Studios.

Kiedy konferencja prasowa dobiegła końca, czwórka oglądających ją na monitorze telewizora w siłowni w Chicago wydała radosne okrzyki.

- Tylko Belinda trochę nam pomogła - powiedziała Sherlock. - Ale nawet ona zawiodła.

- To mi o czymś przypomniało - powiedział Savich do żony. - O tych walkach, które miałem wyciągać z twoich włosów. - I pocałował ją.

- Jutro je kupię - obiecała Sherlock.

# Rozdział 36

Godzinę później cała czwórka była w biurze senatora Rothmana przy Briarly Avenue w centrum Chicago. Przed wejściem kręciły się tłumy reporterów.

- Współczuję wszystkim, którzy dziś będą tędy przechodzić  
- powiedziała Nick i poprowadziła ich na tyły budynku. - Wygląda na to, że dziennikarze jeszcze nie dowiedzieli się o tylnym wejściu.

- Dowiedzą się, prędzej czy później - burknął Savich.  
- W korytarzu widziałem ochroniarzy. Może uda im się powstrzymać te sępy przed wtargnięciem do biura.

Sekretarka senatora, pani Mazer, zerwała się na równe nogi, kiedy zobaczyła Nick, i krzyknęła:

- Dzięki Bogu, jest pani cała i zdrowa! Senator będzie bardzo zadowolony, kiedy panią zobaczy, doktor Champion. Nic nie mówił, ale wiem, że okropnie się o panią martwił, zwłaszcza kiedy zobaczyliśmy panią w telewizji i zrozumieliśmy, że jest pani zamieszana w tę okropną sprawę ze „Scenariuszowym mordercą”. Myśleliśmy, że pojechała pani odwiedzić swoją rodzinę. Proszę wejść, proszę. A kim są pani towarzysze?

- Miło panią widzieć, pani Mazer. Czy John jest teraz wolny?  
- Tak, oczywiście. Bardzo się ucieszy na pani widok. - Przerwała na chwilę, patrząc na Dane'a, Sherlock i Savicha i unosząc przy tym siwą brew.

- W porządku, oni są ze mną, pani Mazer.  
To widocznie uspokoiło sekretarkę, bo otworzyła drzwi gabinetu senatora i wpuściła ich do środka.

Senator John Rothman stał pośrodku swojego ogromnego gabinetu, kiedy Nick pierwsza weszła do środka. Stała w miejscu i powiedziała:

- Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać, John. Senator osłupiał.  
- Nicola - powiedział uprzejmie. - Kim są ci ludzie? Nick przedstawiła wszystkich po kolei.  
- Widziałeś konferencję prasową? - zapytała.  
- Tak, widziałem - powiedział senator Rothman. - Pani Mazer, proszę zamknąć drzwi i dopilnować, by nam nie przeszkadzano.

Kiedy pani Mazer wyszła i zamknęła za sobą drzwi, senator Rothman zwrócił się do Nick. Usiłował uśmiechnąć się do niej, otoczonej przez trzech agentów FBI.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę, Nicola. Widziałem twoje zdjęcie w telewizji, wszyscy je widzieli. Możesz sobie wyobrazić, jaki to był dla mnie szok... - Przerwał na chwilę, przyglądając się jej. - W twoim mieszkaniu wybuchł pożar. Szalałem z niepokoju, ale nigdzie nie mogłem cię znaleźć. Po prostu zapadłaś się pod ziemię. Zadzwoiłem na uniwersytet, dziekan mi powiedział, że przysłałaś list z informacją, że wzywają cię pilne sprawy rodzinne. Ale to było

kłamstwo, tak?

- Tak, to było kłamstwo - odparła Nick.

- Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. Uznałem, że dzwonienie do FBI i żądanie informacji o twoim miejscu pobytu to nie jest najlepszy pomysł. A teraz wróciłaś. Dlaczego?

- Po pierwsze, żeby powiedzieć ci, że przykro mi z powodu Cleo.

- Mnie też jest przykro. Szkoda, że niektórzy są pewni, że to ja ją zabiłem, bo to nieprawda. Jestem przekonany, że moi prawnicy uważają, że pošlę mnie z torbami, tyle kasy zbiją na tym zamieszaniu. Posłuchaj, Nicola, ja nikogo nie skrzywdziłem. - Nie spuszczał z niej wzroku. - I nie próbowałem skrzywdzić ciebie.

W końcu odwrócił wzrok, kiedy Savich powiedział:

- Senatorze, jak powiedziała Nick, ja jestem agent Savich, a to agentka Sherlock i agent Carver. Nick pomogła nam rozwikłać sprawę morderstw w Kalifornii, a my zdecydowaliśmy się pomóc jej wyplątać się z tego bałaganu.

- Tak, zgadzam się, że to niezły bałagan - przyznał senator i przeczesał palcami misternie ułożone, szpakowate włosy.

Dane, który do tej pory nic nie mówił, stał spokojnie za plecami Nick, lustrując tego eleganckiego arystokratę. Miał ochotę wcisnąć mu te jego piękne zęby do gardła.

- John - powiedziała Nick. - Pamiętasz tę noc, kiedy przyszedłem do ciebie i zapytałam, ile kobiet zabiłeś?

Zapadła martwa cisza.

- Tak, oczywiście. Trudno zapomnieć, kiedy kobieta, którą kocham, oskarża mnie o to, że jestem seryjnym mordercą. Przypuszczam, że ci wszyscy agenci federalni wiedzą, co o mnie myślisz?

Pokiwała głową. W tej chwili pomyślała, że jest absolutnie bezpieczna. Nikt już nie mógł jej skrzywdzić. Dodało jej to pewności siebie.

- Wiedziałaś, że ktoś w Los Angeles próbował mnie zabić?

- Oczywiście, że nie. Skąd miałbym wiedzieć? - Przerwał na chwilę, po czym powiedział: - Czy mój prawnik powinien przy tym być?

- Nie sądzę - odparł Savich. - Może usiadzemy i spokojnie o tym porozmawiamy?

Piękna, jasnobrązowa zastawa wyglądała na drogą i ekskluzywną. Kawa podana w stylowym dzbanku była świeża i doskonale smakowała. Podawała ją Nicola. Dane zauważył, że bardzo swobodnie czuła się w tym otoczeniu, nalewając tę cholerną kawę z tego przepięknego, srebrnego dzbanka. Gotów był się założyć, że był ręcznie zrobiony przez jakiegoś znanego artystę. Nie wiedział, czy kiedykolwiek miał ochotę oglądać Nicolę w apartamencie senatora o cholernie szczerych oczach. Dane pochylił się do przodu, ściskając dłonie kolanami.

- Nick powiedziała nam, że pana matka zginęła w wypadku samochodowym jakieś trzy miesiące po tym, jak przyznała się do niewierności pańskiemu ojcu. Miał pan wtedy szesnaście lat. Zgadza się?

- Dlaczego pyta pan o moją matkę? - zdziwił się senator.

- To nie jest pańska sprawa. Niczyja zresztą. To nie ma nic do rzeczy.

- Senatorze, jesteśmy tu jako przyjaciele Nick - przypomniała Sherlock. - Oczywiście nasi przełożeni wiedzą, że tu jesteśmy. Ale mieliśmy nadzieję, że możemy wszystko sobie wyjaśnić dziś, nieoficjalnie.

Posłała mu swój niezawodny uśmiech, któremu jeszcze nikt się nie oparł. Uśmiechnął się do niej,

zauroczony jej pięknymi kręconymi rudymi włosami.

- Doceniam to, agentko - odpowiedział. - Ale przecież ja nikogo nie zabiłem. Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Nicola, mówiłem ci, że moja matka zginęła w wypadku samochodowym. Ale co to ma do rzeczy? Skąd pytania o moją matkę?

- O tym pisała Cleo w swoim liście - wyjaśniła Nick.

- W tym, który wydarłeś mi z rąk i wrzuciłeś w ogień.

Senator Rothman patrzył na nią zdezorientowany.

- Pamiętasz, jak zniszczyłeś list i wrzuciłeś go w ogień, John?

- Oczywiście, że pamiętam, bardzo mnie zasmucił. List od Cleo - po prostu nie mogłem się z tym pogodzić. Wrzuciłem list w ogień pod wpływem impulsu, teraz tego żałuję.

Chociaż niechętnie, ale Dane uwierzył senatorowi Rothmanowi. Tak naprawdę w głębi serca miał nadzieję, że senator jest winny, ale nie był.

- Senatorze Rothman, możemy zakończyć to bardzo prosto. Czy mógłby pan pokazać nam swój dziennik? - zapytał Dane.

Senator Rothman wyglądał na zbitego z tropu.

- Bo przecież prowadzi pan dziennik, prawda? - zapytała Sherlock.

- Oczywiście, ale służy mi on do zapisywania różnych wydarzeń, które miały miejsce w ciągu minionych lat, nic osobistego, jeżeli wiedzą państwo, co mam na myśli. Właściwie, od dawna niczego tam nie zapisałem.

- Ale możemy go zobaczyć? - zapytał Dane.

Senator Rothman wstał, podszedł do swojego pięknego biurka, zrobionego z klonowego drewna, otworzył drugą szufladę i wyciągnął dziennik. Następnie podał go Dane'owi.

- Więc nie trzyma go pan w domowym sejfie w swojej bibliotece? - upewniła się Sherlock.

- Nie, zawsze trzymałem go tutaj, bo rzadko bywam w domu. Jak powiedziałem, bardzo dawno niczego w nim nie zapisałem. Chyba odkąd Cleo odeszła, nie, zanim ktoś ją zamordował.

Skrzywił się z bólu na tę myśl.

- Cleo napisała, że przyznałeś się do zamordowania Melissy - powiedziała Nick.

- Zamordowania Melisy? To jakiś absurd. Jaka szkoda, że zniszczyłem ten list. Posłuchaj, Nicola, ktokolwiek go napisał, to nie była Cleo.

- Teraz to wiemy - oświadczył Savich. - Cleo nie żyje, odkąd podobno od pana odeszła.

Nikt nic nie powiedział. Dane otworzył dziennik oprawiony w piękną brązową skórę w zatraskiem, który nie był zamknięty. Przekartkował go.

- Jak pan widzi, agencie Carver, to zapis wydarzeń i spotkań, nic groźnego - powiedział Rothman. - Nie, Cleo nie napisała tego listu, Nicola. Boże, przecież ona nie żyła od samego początku i nikt o tym nie wiedział.

Ukrył twarz w dłoniach, jego ramiona drżały, walczył ze sobą, by się nie rozkleić. Nikt nie powiedział ani słowa, zanim senator się nie pozbierał i wypił swoją kawę.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptał, a po chwili wybuchnął: - Co tu się, do diabła, dzieje?

- Nie zastanawiałeś się, kto napisał do mnie ten list, skoro Cleo nie żyje od trzech lat? - zapytała Nick.

Wyciągnął ręce przed siebie, nic nie mówił.

- John, tamtej nocy upierałeś się, że Cleo nie napisała tego listu, że to niemożliwe. Przyszło mi do głowy, że musiałeś wiedzieć, że nie żyje i dlatego nie mogła napisać tego listu, i że to musiał być ktoś

inny.

- Nie, nie miałem pojęcia, że Cleo nie żyje. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że Cleo mogłaby rzucić na mnie takie oszczerstwa i wymyślić tę bzdurę o dzienniku, który pisałem. Niemożliwe, że uwierzyła w to, że zabiłem Melissę, że byłbym zdolny zabić ją, a teraz ciebie. I to z powodu jakichś plotek, że sypiasz z Elliottem Bensonem?

- Że każda z nas sypiała z Elliottem Bensonem, poczynając od Melissy na studiach - uzupełniła Nick.

Pokręcił głową.

- To absurd. Elliott to przyjaciel, nie wróg. To człowiek, któremu ufam i zawsze ufałem.

Nick odwróciła wzrok od mężczyzny, którego jeszcze miesiąc temu zamierzała poślubić. Teraz nagle on i Elliott Benson byli najlepszymi przyjaciółmi? Nie mogła się w tym wszystkim połapać.

Wstała i podeszła do wielkiego okna, z którego widać było jezioro Michigan. Woda była wzburzona przez silny wiatr. Z dwudziestego piętra budynku Grayson widziała, że było tam zimno i wietrznie.

- Nigdy nie słyszałam żadnych plotek na temat mnie i Elliotta Bersona, a ty John? - zapytała, nie odwracając się.

Ku jej zdziwieniu, senator powoli pokiwał głową, zobaczył, że nadal na niego nie patrzyła, i powiedział:

- Owszem, słyszałem jakieś plotki. Rozmawiałem o tym z Elliottem, on oczywiście zaprzeczył. Pamiętam, że już wychodziłem, kiedy odwróciłem się i zobaczyłem, że uśmiecha się z wyższością, zasłaniając usta ręką. Sprawa rozeszła się po kościach, a ja pomyślałem, że chyba coś mi się przywidziało. Przecież Elliott nigdy by mnie nie zranił.

Zatarł ręce i Savich wiedział, że powściągliwy arystokratyczny senator miał ochotę przyłożyć Elliottowi Bensonowi. Sądził, że jednak jest jego wrogiem? Czy może uwierzył, że Nick byłaby zdolna zrobić coś takiego?

- Po co pana zdaniem miałby on zniesławiać doktor Champion? - zapytała Sherlock. - Oczywiście, jeżeli to zrobił.

- Nie wiem. Zawsze odgrywał w moim życiu szczególną rolę, czasami przyjaciela, czasami wroga. Tak jest od czasu studenckich. Wiem, że miał ochotę na Cleo, wiem to na pewno. Ale ona go nie chciała. Powiedziała mi o tym. - Zamilkł na chwilę, spojrzął na swoje ręce, pocierając palcami o wierzch dłoni. - Ale jest jeszcze Tod Gambol.

- Którego dotąd nie udało się odnaleźć - powiedział Dane.

- Może to Tod ją zabił. A może zrobił to Elliott i potem rozpuścił plotki o Nicoli, bo chciał, żeby ode mnie odeszła. Może przez te wszystkie lata myliłem się co do niego. Ale czy posunąłby się tak daleko? Nie wiem. Jak myślisz, Nicola, po co miałby opowiadać takie rzeczy?

- Nie wiem, nie mam pojęcia. Czy uwierzyłeś mi, John, kiedy zaprzeczył plotkom o mnie?

- Dobry Boże, oczywiście, że tak.

- Jesteś tego pewny?

- Oczywiście. - Jednak mówiąc to, spuścił wzrok. - Te aluzje do mojego dziennika, do tego, co podobno napisałem. Posłuchaj mnie. Nie napisałem tego wszystkiego, a to znaczyłoby, że kłamała, ale teraz wiemy, że to nie Cleo, tylko ktoś inny.

- Tak - powiedział Savich. - Też uważamy, że to możliwe, senatorze.

Rothman ożywił się.



- Naprawdę? A co dokładnie ma pan na myśli, agencie?

- Chcielibyśmy porozmawiać z pańską siostrą, Albią Rothman - powiedziała Sherlock. - Czy mógłby pan nas umówić?

- Jestem pewny, że Albia bardzo ucieszy się na twój widok, Nicola. A może przyjdą państwo dziś do mnie na kolację?

- Dobrze - zgodziła się Nick. - Dziękuję, John.

- Czemu chcecie rozmawiać z Albią? Myślicie, że ma z tym coś wspólnego, że to ona napisała list do Nicoli i spreparowała ten dziennik? - Jego twarz płonęła. - To nonsens, zupełna bzdura.

- O której godzinie, John? - zapytała Nick.

Wszyscy zasiedli w jadalni przy wspianiałym stole, nakrytym na sześć osób. Przy jednym końcu stołu zasiadł senator Rothman, przy drugim jego siostra, Albia.

Dane pomyślał, że była piękną kobietą, równie czarującą jak jej brat, może trochę bardziej wystudiowaną. Wydawało mu się oczywiste, że brat nie wspomniał jej o liście czy o dzienniku.

Kiedy Albia Rothman zobaczyła Nick, rozplakała się, mocno ją przytuliła, i w kółko jej powtarzała, jak bardzo się o nią martwili, i jak bardzo była zrozpaczona, kiedy Nick uwierzyła w te straszne rzeczy o Johnie.

- Moja droga, wprost nie mogę opisać, jak bardzo się z Johnem o ciebie martwiliśmy. Wiele o tym dyskutowaliśmy, ale wszystko wydawało się nam bez sensu. Potem pokazali cię w telewizji z tym tutaj panem, agentem FBI, i powiedzieli, że jesteś naocznym świadkiem w sprawie „Scenariuszowego mordercy”. Ale jak do tego doszło? Słyszeliśmy, że morderca popełnił samobójstwo. To musiał być dla ciebie ciężki czas, Nicolo.

- Tak, Albio, było mi ciężko - odpowiedziała Nick.

Głos Nick brzmiał łagodnie, wtapiał się w sączącą się w tle delikatną melodię. Dane zauważył, że nie miała na sobie niczego, co jej kupił. Razem z Sherlock udały się na zakupy do butik przy Michigan Avenue i obie wyglądały bardzo elegancko i, zdaniem Dane'a, po prostu pięknie. Nick miała na sobie krótką, czarną sukienkę, odsłaniającą bardzo zgrabne, długie nogi, ale dość skromną, pasującą do otoczenia. Znowu przyszło mu do głowy, że doskonale pasuje do tego środowiska. Z łatwością mógł wyobrazić ją sobie w roli żony wpływowego senatora. Robiło mu się od tego niedobrze. Teraz patrząc na nią, uświadomił sobie, że gdyby nie śmierć Michaela, nigdy by jej nie spotkał.

Jedli właśnie sałatę z misternie ułożonymi na niej orzechami i grzankami, kiedy Nick nagle zapytała:

- Albio, czy to ty napisałaś do mnie list? Ten, który podobno był od Cleo?

Albia Rothman uniosła idealnie zarysowaną brew. Z tym wyrazem twarzy wyglądała zupełnie jak jej brat. Lekko zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

- Nic nie wiem o żadnym liście.

- John nie wspominał o liście, który dostałam od Cleo i w którym ostrzegała mnie, że on próbuje mnie zabić, że usiłował też zabić ją i dlatego uciekła? - zapytała Nick.

- Dobry Boże, cóż to za pomysł. List od Cleo? To niedorzeczne. John próbował zabić Cleo? I ciebie? To zupełny absurd. John, co tu się dzieje?

Senator Rothman tylko wzruszył ramionami i, nie patrząc na nikogo, wyłowił orzecha z sałaty.

- To agenci FBI znają odpowiedzi na wszystkie pytania, nie ja.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę - powiedziała Albia pochylając się nad wielkim

stołem - jakie to niedorzeczne. John jest miłym, inteligentnym mężczyzną, którego należy podziwiać, który uczyni ten kraj lepszym.

- Panno Rothman - odezwał się Dane - wróćmy do tego, czy to pani napisała list do Nick.

- I czy to znaczyłoby, że próbowałaś mnie ostrzec, Albio - powiedziała Nick. - I pomóc mi. Czy może próbowałaś się mnie pozbyć?

- Jedz lepiej swoją sałatę, Nicolo. Nie przyszłam tu, żeby dyskutować o takich bredniach.

- Potrzebujemy pani pomocy, panno Rothman - włączył się Savich.

Albia powoli odłożyła widelec do sałatki.

- Jeżeli to twoi przyjaciele, ci agenci federalni, tak cię przerobili, Nicolo, to chyba chcę już stąd wyjść. - Mówiąc to, wstała i powiedziała do brata: - John, wychodzę. Nie mam zamiaru jeść obiadu w towarzystwie osób, które oskarżają cię o mordowanie kobiet. Na twoim miejscu zadzwoniłabym po Rocklanda, żeby przyszedł i cię reprezentował. Poprosiłabym ich też, żeby wyszli. Nicolo, naprawdę zawiodłam się na tobie.

To mówiąc, wyszła z jadalni.

John Rothman milczał, dopóki nie usłyszał, jak w oddali zamknęły się drzwi wejściowe.

- Cóż, cokolwiek próbowaliście osiągnąć, to było haniebne. Życzę państwu miłego wieczoru.

Senator John Rothman wstał, porzucił swoją serwetkę obok niedojedzonej sałaty i opuścił swoją jadalnię.

Pozostali patrzyli na siebie, dopóki nie usłyszeli, jak drzwi wejściowe zamknęły się po raz drugi.

- Cóż - powiedział Dane. - Lubię niespodzianki. A sałata jest wyśmienita.

# Rozdział 37

Jimmy Maitland zaprosił nas na spotkanie z komendantem policji i kilkoma innymi nerwowymi politykami w związku ze sprawą Rothmana - powiedział Dane. - Nick, nie jesteś zaproszona na to spotkanie. Zostaniesz z Sherlock. Jesteśmy zgodni co do tego, że jesteś ważniejsza niż to. Pójdziemy tylko Savich i ja. Obiecasz mi, że nigdzie sama nie pójdziesz?

- Obiecuję ci, ale to nie w porządku wobec Sherlock.

- Pomyśl o tym jak o spotkaniu grzecznych chłopców w ważnej sprawie - poradził Savich. - Będzie na nim szef biura FBI w Chicago, może nawet burmistrz. Wszystko jest ściśle tajne, przynajmniej do czasu wiadomości o szóstej.

- Nie mam ochoty patrzeć na pajacującą bandę facetów - powiedziała Sherlock do Nick. - Ale chłopaki, jeżeli wydarzy się jakiś skandal, na pewno opowiecie mi o tym. - Pocałowała męża w ucho i pomachała jemu i Dane'owi, kiedy wychodzili z lobby hotelu Four Seasons.

- Mamy coś lepszego do roboty, Nick - powiedziała Sherlock, gdy wyszły na ulicę. - Pójdziemy zobaczyć się z senatorem Rothmanem. Mój mąż o tym wie, ale nie chciał, żeby Dane się dowiedział. Dane jest bardzo opiekuńczy wobec ciebie, Nick. Tak naprawdę, on trzęsie się na samą myśl, że coś ci się stanie, jeśli nie będzie chodził za tobą krok w krok. Mogłabyś być z sześcioma gliniarzami, a on i tak byłby chory ze zmartwienia. Ale wszystko będzie dobrze. Masz mnie.

Nick roześmiała się i zatarła ręce.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że ktokolwiek potrzebuje więcej ochrony, niż ty możesz zapewnić.

- Obyś miała rację. No dobrze, zobaczymy, czego możemy się dowiedzieć. Tak czy inaczej wolę to niż siedzieć na zebraniu.

Nick patrzyła, jak Sherlock sprawdza swój pistolet. Uśmiechnęła się, gdy Sherlock powiedziała:

- Dillon zawsze mówi, że jak nie masz stuprocentowej pewności, co się stanie, przygotuj się na każdą okoliczność.

Około 9.30 byli w biurze senatora Rothmana. Pani Mazer zdziwiła się na ich widok.

- A gdzie wasi wielcy chłopcy?

- Bawią się z innymi wielkimi chłopcami - odpowiedziała Sherlock.

Nick uśmiechnęła się, ściskając dłoń sekretarki.

- Dzisiaj jesteśmy tylko my. Chciałabym zobaczyć się z Johnem, pani Mazer.

- Niedługo powinien wrócić, może za jakieś dwadzieścia minut. Jestem przekonana, że zechce się z panią spotkać, doktor Champion. Mam nadzieję, że udało się pani uniknąć mediów.

- Tak, weszliśmy tylnym wejściem.

- Jestem zaskoczona, że do tej pory się o nim nie dowiedzieli - powiedziała pani Mazer, a Nick nie powiedziała jej, że media już tu są. - Ojej, to przez nich całe to zmartwienie. Senator Rothman jest wspaniałym człowiekiem, a teraz te wszystkie pytania o jego byłą żonę strasznie mu szkodzą.

- To prawda, pani Mazer - przyznała Nick. - Naprawdę nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Ale mam nadzieję, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Czy mogę poczekać w jego gabinecie?

Pani Mazer zastanawiała się, czy doktor Champion potrzebowała kilku minut na przeszukanie biurka senatora. Czy mogła jej odmówić? Wiele razy zostawiała ją samą w gabinecie senatora. Po chwili odpowiedziała:

- Czemu nie?

- Agentko Sherlock, pójdzie pani z doktor Champion, czy woli pani poczytać gazetę?

- Chciałabym porozmawiać z kimś z otoczenia senatora, może ktoś tu jest?

- Tylko czy senator nie miałby nic przeciwko temu?

- Jestem pewna, że nie - odparła Sherlock.

Pani Mazer wystukała numer wewnętrzny na swoim telefonie. Mówiła cicho, po czym podniosła głowę.

- Matt Stout jest najstarszym asystentem senatora. Wkrótce tu będzie i porozmawia z panią. - Skinęła do Nick, naciskając brzęczyk pod biurkiem. - Doktor Champion, to nie powinno długo potrwać.

Czy w jej głosie brzmiało ostrzeżenie? Nick nie wiedziała. Kilka minut powinno wystarczyć.

- Dziękuję, pani Mazer - powiedziała, otwierając drzwi gabinetu.

Nick weszła do dużego gabinetu, wiedząc dokładnie, gdzie ma zacząć poszukiwania. Nie w biurku. Kiedyś widziała go klęczącego przed wózkiem do drinków, przez moment widziała, jak papiery znikają wewnątrz małego otwieranego dna wózka. Ruszyła wprost do niego.

- Cześć, Nicolo. Jestem bardzo zaskoczona, widząc cię tutaj, w obozie wroga.

Nick była tak zaskoczona, że omal się nie przewróciła. Podskoczyła widząc Albię Rothman stojącą przy wielkim oknie, ubraną w jeden ze swoich pięknych wełnianych kostiumów w kolorze grafitowym, a pod nim białą jedwabną bluzkę. Wyglądała elegancko i onieśmielająco.

- Albio, wielkie nieba, przestraszyłaś mnie. Co ty tutaj robisz?

- Myślę, że bardziej zasadne wydaje się pytanie, co ty tu robisz, Nicolo? Ja spędzam tu wiele czasu, ale ty? Odeszłaś, zostawiłaś Johna bez słowa, po prostu uciekłaś. A teraz wracasz, żeby spróbować go w coś wplątać. On jest dobrym człowiekiem, takich potrzebuje ten kraj. Jest wizjonerem, człowiekiem wielkich możliwości, a ty przyszłaś zrujnować jego karierę. Naprawdę nic z tego nie rozumiem, Nicolo.

- Nikt nie chce zrobić Johna - powiedziała Nick, stojąc twarzą w twarz z kobietą, która zdaniem Savicha, Sherlock i Dane'a, była zabójczynią. Nie bała się tylko dlatego, że nie była sama. Na zewnątrz znajdowała się Sherlock i przynajmniej tuzin innych osób. Wszystko, co musiałyby zrobić, to krzyczeć, a ludzie przybiegną. Nie było powodu, by się bać Albi. Mogła ją pokonać. Nie miała zbyt wiele miejsca na manewry, ale była w lepszej formie niż Albia.

A co najważniejsze, była tam Sherlock, jej największa broń.

- Ale odkąd znaleziono ciało Cleo, która została uderzona czymś w tył głowy, pojawiły się pytania, których nie można pozostawić bez odpowiedzi. Cleo była żoną Johna. Wszyscy musimy stawić czoło rzeczywistości. Ludzie uważają, że musiał to wiedzieć. A niektórzy uważają, że John mógł zabić Cleo, Albio.

- Jak udało ci się tu wejść niedostrzeżoną przez media?

- Wśliznęłam się tylnym wejściem. Miałam szczęście. Reporter, który pilnował wejścia, prawdopodobnie zrobił sobie przerwę na kawę. John powiedział mi o tym wejściu dawno temu.

Nick nie chciała jeszcze mówić Albi o Sherlock. Chciała, by Albia poczuła się bezpiecznie i miała poczucie panowania nad sytuacją. Może powie coś ważnego, przyzna się do czegoś.

- Czy oni nie są jak sępy? Ale dlaczego pani Mazer pozwoliła ci tu wejść? - dociekała Albia.

- Powiedziałam jej, że chcę się spotkać z Johnem. Zasugerowała, że mogę tu poczekać, a on wkrótce wróci. Wiele razy czekałam na niego w jego gabinecie. Myślę, że powinna mi powiedzieć, że tu jesteś, ale tego nie zrobiła.

- A to niespodzianka - powiedziała Albia i zrobiła krok w kierunku Nick. - Nie wiedziała, że tu jestem.

Nick zmusiła się, żeby nie cofnąć się.

- Jak tu weszłaś?

Albia uśmiechnęła się, lekceważąco machając elegancką ręką.

- Kiedy John wynajął ten budynek jakieś dziesięć lat temu, polecił architektowi zaprojektować tajne wejście, prowadzące do tego gabinetu. Wiele osób z jego pozycją ma alternatywne drogi ewakuacyjne ze swoich gabinetów w razie okoliczności takich jak te. Zastanawiam się, dlaczego John nie powiedział ci o nim? Myślę, że do końca ci nie ufał, Nicolo. Prawdopodobnie wierzył, że rzeczywiście sypiasz z Elliottem Bensonem. Oczywiście wiesz, że Elliott zawsze pragnął każdej kobiety, którą miał John, i vice versa, muszę dodać. Rywalizowali ze sobą, zanim jeszcze poszli na studia. I udają bliskich przyjaciół. Wiesz, że Elliott był zakochany w Melissie, dziewczynie, z którą John był zaręczony? Okazało się, że pragnęła ich obu. Głupia dziewczyna. Sypiała z jednym i drugim, dopóki nie zginęła w wypadku samochodowym. Dla mojego biednego brata to było straszne przeżycie.

- Wiedział, że sypiała z Elliottem?

- Nie mam pojęcia. Co do Elliotta, to nie wiem, co czuł po śmierci Melissy. Minęło wiele czasu, zanim John zaczął poważnie interesować się inną kobietą. Ale w końcu to nastąpiło on i Cleo pobrali się. Niedługo po tym Elliott zawrócił Cleo w głowie i wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy, oprócz Johna, przynajmniej zanim odeszła. Przypuszczam, że sypiała też z Todem Gambolem, bo zniknęli w tym samym czasie.

- Ale teraz wszyscy wiedzą, że Cleo z nikim nie uciekła, Albio. Ktoś ją zamordował i zakopał, licząc, że jej ciało nigdy nie zostanie znalezione.

- Czy to nie interesujące? Nicolo, czy spałaś z Elliottem Bensonem?

Nick nie odpowiedziała jej od razu. Przypomniała sobie, jak kiedyś zastanawiała się, jak John dostał się do swojego gabinetu, że go nie widziała. Ukryte, tajne wejście - cóż za świetny pomysł.

- Czy spałam z Elliottem Bensonem? Co za osobliwa myśl. Kolejny mężczyzna tak stary, że mógłby być moim ojcem. Jest tak lśniący i elegancki jak ty i John razem wzięci. Ilekroć go widzę, przypomina mi mafijne postacie z filmów, z tymi wypomadowanymi włosami i w drogich włoskich garniturach. Ilekroć patrzy na mnie, mówi do mnie, czuję, że muszę się umyć.

- Cleo wcale nie uważała, że był zły - powiedziała Albia. - Szczerze mówiąc, ja też tak sądziłam, przynajmniej na początku. Przez jakiś czas był też moim kochankiem. Szkoda, że nie dlatego, że mnie uwielbiał, ale po prostu chciał czegoś, co należało do Johna. Przypuszczam, że tak zostałam sklasyfikowana. Cóż, nie jest zbyt dobrym kochankiem. Oczywiście, utrzymuje swoje ciało w dobrej kondycji, mówi wszystko, co trzeba, ale jest samolubny. Jest przyzwyczajony do ekskluzywnych call girl, które całują jego stopy, jeśli tego chce. Ma trudności z zapamiętaniem, by dawać równie wiele, jak się dostało, kiedy się jest z kobietą, której się nie płaci. I jak powiedziałam wcześniej, oni dwaj

udają przyjaciół. Taka męska gra.

- Albio, myślisz, że to ma jakiś sens, sypiać z innym mężczyzną, gdy się jest zaręczoną? Po co się zaręczać, jeśli nie chce się być wiernym?

- Wiele kobiet robi to przez cały czas. Pragną władzy, pieniędzy, które przyniesie im małżeństwo, pragną też podniecenia, które daje kochanek. To nic wielkiego. Nie bądź taka zgorszona, Nicolo.

Nick podeszła do biurka Johna i usiadła w jego wielkim, wygodnym skórzanym fotelu. Uspokoiła się, siedząc tu. Wzięła pióro, uderzyła nim w przepiękny klonowy blat. Przypomniała sobie Linusa Wolfingera robiącego to samo, aż wszyscy mieli ochotę go udusić. Uderzyła piórem jeszcze raz i jeszcze.

- Rozpowszechniłaś plotki o tym, że sypiam z Elliottem Bensonem? - zapytała, widząc poirytowaną twarz Albii.

- Oczywiście, że nie. To było powszechnie wiadome.

- Rozumiem. Dziwne, że do tej pory tego nie wiedziałam. To ty napisałaś do mnie list, podając się za Cleo. To nie mógł być nikt inny, a do tego napisałaś bardzo szczegółowo o Melissie.

Albia stała na tle pięknego okna, oświetlona przez słońce. Wyglądała potężnie, nieziemsko, jej postawa, pochylenie głowy były identyczne jak u Johna.

Nick nagle poczuła cierpki smak żółci w ustach. Tak smakował strach, strach przed kobietą, którą wszyscy postrzegali jako elegancką istotę, podziwianą i szanowaną, kobietę. Nikt nie uważał Albii Rothman za osobę, która mogła zacząć swoje dorosłe życie, mordując kogoś. Dla Johna, dla jej małego brata, którego uwielbiała.

- Nic do ciebie nie pisałam, Nicolo.

Nick odpuściła na moment. Czego oczekiwała? Wyznania?

- Nie wierzę, że Cleo sypiała z Elliottem Bensonem ani z Todem Gambolem. Ona kochała Johna - powiedziała po chwili ciszy.

- Cleo była małą ladacznicą. John nie wierzył mi, dopóki nie pokazałam mu zdjęć, które zrobił jej i Elliottowi prywatny detektyw, jak mizdrzyli się do siebie w jego małym domku na Wyspie Żurawi. Muszę dodać, że obaj korzystali z tego domu. Jeżeli zdarzyło się, że jeden umawiał się tam z kobietą drugiego, zawsze zostawiali tam mały znak, ślad. Prawdopodobnie ty też tam byłaś, Nicolo.

Nick potrząsnęła głową.

- Nie wierzę w to. Znałam ją i naprawdę lubiłam. Ona kochała Johna, jestem tego pewna.

Zdała sobie sprawę, że nie jest tu zupełnie bezpieczna.

- Albio, czas się przyznać, że to ty napisałaś do mnie ten list i wymyśliłaś ten dziennik, bym wyjechała z Chicago i zostawiła Johna. Zrobiłaś to, by mi pomóc? Proszę, powiedz mi. Chciałaś mnie chronić, tak?

Albia wzruszyła ramionami.

- Tak, teraz nie mam już powodu, by kłamać. Tak, napisałam do ciebie list, tak było lepiej dla wszystkich. Wróciłaś i chcesz, żeby wszyscy za to zapłacili. John nie próbował cię zabić, Nicolo.

Serce Nick łomotało tak głośno, że była przekonana, iż Albia z pewnością je słyszy i wie, że jest tak przerażona, że o mało nie zemdleje. W tej chwili nie mogła już zatrzymać wypowiedzianych słów.

- Jeśli to nie był John, to byłaś ty, Albio? Albia uniosła perfekcyjnie zarysowane brwi.

- Ja? Mój Boże, nie.

- A więc wynajęłaś kogoś, by mnie przejechał i podpalił moje mieszkanie ze mną w środku.

- Oskarżasz mnie, a może to ty sama podpaliłaś swoje mieszkanie.

Nick zaśmiała się.

- To idiotyzm.

Albia wzruszyła ramionami. Cofnęła się o krok, oparła się o ramę okna i skrzyżowała ręce na piersi. Wyglądała na lekko rozbawioną.

- Więc to twój kochanek próbował cię zabić. To był Elliott Benson. Dzwoniłam do niego. Wszystko mi o tobie opowiedział. Twierdził, że ten biedny John znowu wybrał nieodpowiednią kobietę. I śmiał się wtedy, bardzo głośno się śmiał.

- Albio, kto zabił Cleo?

- Tod Gambol. Przecież on jeden uciekł, czy nie mam racji? Tak, jak mówiłam, Cleo była dziwką. John zawsze był tak naiwny, ufny, tak mało podejrzliwy. Podobno ludzie ciągle wybierają sobie osoby takiego samego typu, znowu i znowu, nieważne, czy ta osoba jest zepsuta. John to klasyczny przykład. Melissa, Cleo. Później wybrał ciebie i popatrz, co zrobiłaś.

- Nic nie zrobiłam, Albio. Nakłoniłaś tego samego człowieka, by przyjechał do Los Angeles i mnie zabił?

- Zmęczyły mnie już te wszystkie brednie, Nicolo. Sprawa w końcu ucichnie. John nie zabił Cleo, nie próbował zabić ciebie, nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Teraz chcę, żebyś wyszła, szczerze powiem, że powinnaś wynieść się stąd tak daleko, jak to tylko możliwe. Zrobiłam, co w mojej mocy, by trzymać cię daleko stąd. Powinnaś wyjechać, Nicolo.

- Nie, tym razem zostanę, Albio. Chcę wiedzieć, kto próbował mnie zabić.

Albia przez chwilę przyglądała się swoim pięknie pomalowanym paznokciom.

- Nie jesteś zbyt rozgarnięta, pomimo wszystkich swoich tytułów naukowych. Nie pojmuję tego. Na tej śmiesznej kolacji, zaaranżowanej wczoraj wieczorem przez ciebie i twoich przyjaciół z FBI, obserwowałam, jak ty i jeden z agentów patrzycie na siebie. Masz już kolejnego kochanka. John też to zauważył. Wiedział, że sypiasz z federalnym. To naprawdę smutne, Nicolo. Nie jesteś warta kogoś tak wspaniałego jak John Rothman.

- Z twojego punktu widzenia, prawdopodobnie nie ma kobiety wystarczająco dobrej dla niego, Albio.

- Pewnie to prawda. Opiekowałam się nim od czasu śmierci naszej matki.

- Zastanawiam się, czy twoja matka rzeczywiście zginęła w wypadku?

- Co za niedorzeczność. Jesteś tylko małą dziwką, która za dużo mówi. Cieszę się, że wkrótce znikniesz z naszego życia. Na pewno - mówiąc to, Albia przeszła przez pokój, przycisnęła palcem jeden z paneli boazeryjnych i patrzyła, jak otwiera się cicho. Nagle zniknęła, ot tak, po prostu, bez słowa.

Nick patrzyła na pustą ścianę. Co zamierzała zrobić Albia?

Znowu planować, jak ją zabić? Oczywiście nie mogła zrobić tego tu, nie przy tylu osobach w pobliżu. Nie była głupia. Gdzie był człowiek, którego wynajęła? Serce Nick wciąż łomotało. Poczowała ból głowy pulsujący ponad lewym okiem. Już pora sprowadzić Sherlock, czas zobaczyć się z Dane'em, opowiedzieć im wszystko, co powiedziała Albia. Nie było tego zbyt wiele, z wyjątkiem informacji o Elliocie Bensonie.

Po pierwsze, chciała zobaczyć, co było za tym ukrytym panelem. Podeszła do ściany, znalazła płaski przycisk i nacisnęła go. Panel otworzył się, przesuwając się cicho. Było tam zaciemnione przejście, które po około dwóch metrach ostro skręcało w prawo. Chciała wiedzieć, dokąd

prowadzi, ale nie było mowy, żeby sama tam weszła. Ona i Sherlock sprawdzą je razem. Odwróciła się, by nacisnąć guzik na panelu, gdy wielka ręka mocno zacisnęła jej usta. Walczyła, ale nie miała szans. Nie mogła dosięgnąć dźwigni, a ten facet był o wiele większy od niej i bardzo silny. Wciągnął ją z gabinetu do przejścia. Serce prawie wpadło jej do żołądka, gdy usłyszała, jak zamyka się panel, a dalej były tylko ciemności i człowiek, który ją w nie wciągał.

Ten człowiek zatrzymał się gwałtownie na końcu korytarza i skręcił w prawo. Niespodziewanie były tam miękkie neonowe światła ponad drzwiami windy.

- Musiała tam zajrzeć, dokładnie tak jak powiedziałaś, że zrobi - powiedział mężczyzna i popchnął ją, uderzając mocno o ścianę.

Albia trzymała elegancki, srebrny pistolet wycelowany w prosto w jej klatkę piersiową.

- Cześć, Nicolo. Jak miło, że tu zajrzałaś.

Strach ścisnął ją za gardło. Ten mężczyzna - rozpoznała go. Miał na sobie tę samą czarną skórzaną kurtkę. Ciemne okulary przeciwsłoneczne zwisały z kieszeni na piersi. Miał wielkie, mocne dłonie, zaokrąglone palce. To był ten sam człowiek, który jechał na harleyu w Los Angeles.

W jednej chwili znalazł się nad nią, złapał ją za rękę i wykręcił do tyłu tak mocno, że zajęczała z bólu.

Pochylił się i wyszeptał do jej ucha:

- Już za późno, moja droga.

- Przeprowadź ją tutaj, Dwight.

Zaciągnął ją powrotem tam, gdzie stała Albia, wyglądająca niewzruszenie i elegancko, wciąż trzymająca pistolet.

- Mój Boże, Nicolo, jesteś niegrzeczną dziewczynką, prawda? Bardzo starałaś się wszystko zepsuć, ale sama rozumiesz, że nie mogę więcej na to pozwolić.

Mężczyzna poluzował uścisk. Powoli odwrócił ją twarzą do siebie. Był starszy, jego twarz była poryta bruzdami, jakby przez lata przebywał na słońcu. Pięścią chwycił jej podbródek i podniósł jej twarz.

- Jesteś bardzo ładna. Zawsze tak uważałem, ale niezbyt mądra, pomimo tych wszystkich dyplomów, które masz. Ale wiesz co, kochanie? Miałaś szczęście, wielkie szczęście. Zawsze uważałem, że szczęście jest w życiu ważniejsze niż rozum.

Nick podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Jesteś tym facetem, który próbował mnie zabić.

- Cóż, owszem, i wstyd mi, że się nie udało. Albia była na mnie za to bardzo zła.

- Oczywiście, że byłam zła. Wiesz, Nicolo, masz więcej szczęścia, niż na to zasługujesz. Biedna mała Cleo, nie miała go tyle. Także wtedy, kiedy jej koniec był już bliski. Pod koniec wyglądała naprawdę staro. John twierdził, że uwielbiał jej dotykać, jej skóra była taka miękka, ale później zauważył, że starzeje się i jej skóra staje się szorstka.

- Myślałem, że trzyma się całkiem nieźle - powiedział Dwight.

Albia roześmiała się.

- John jest bardzo wybredny. Powiedział mi, że uwielbia dotykać Nicolę, że jej skóra jest tak bardzo delikatna. Modlił się, żeby na długo taka pozostała.

Nick szarpnęła się, poczuła, jak dłoń Dwighta zaciska się na jej ramieniu.

- Nawet nie myśl o wzywaniu pomocy, kochana, to pomieszczenie jest dźwiękoszczelne, tak samo jak gabinet senatora. Nikt cię nie usłyszy.



- To od początku byłaś ty, Albio, od samego początku - wyszeptała Nick.

- Tak, kochanie. Powiedzieć ci coś? Jesteś skończona, Nicolo, zupełnie skończona. Dwight dopilnuje, żeby nie znalazł cię żaden pies myśliwski. Wpędziłaś mnie w niezłe kłopoty, ale koniec z tym. Rzeczywiście, dobrze się złożyło, że Dwight czekał, aż otworzysz ten panel. To się nazywa szczęście, przynajmniej dla mnie.

Nick znała już smak strachu, ale to było coś więcej. To paraliżowało jej umysł, sprawiało, że się trzęsła. Nie chciała umierać.

Nie mogła się obronić, nie miała broni, nic. Gdyby miała przy sobie pistolet Dane'a. Ale przecież stał nad nią Dwight, gotów znowu ją chwycić, jeżeli spróbowałaby się poruszyć.

Niewiele myśląc, zaczęła głośno krzyczeć, pięścią uderzyła z całej siły Dwighta w brzuch, usiłując się uwolnić.

- Dość tego - powiedziała Albia i ręką pistoletu uderzyła ją w tył głowy. Nick zobaczyła tylko mroczki przed oczami, natychmiast straciła przytomność i osunęła się na podłogę.

# Rozdział 38

Kiedy mówiła pani, że wróci senator, pani Mazer? - Właściwie, już powinien tu być, agentko Sherlock. Zastanawiam się, czy może wszedł tajnym wejściem? Sherlock osłupiała.

- Jakim tajnym wejściem? - Nie czekając na odpowiedź, błyskawicznie okrążyła biurko pani Mazer i nacisnęła klamkę, ale bezskutecznie. Drzwi były zamknięte.

- Blokują się automatycznie, kiedy ktoś je zamknie od środka - powiedziała pani Mazer, wstając, zaniepokojona. - Parę lat temu jeden z dziennikarzy chciał tu wtargnąć na siłę, więc senator zdecydował się na automatyczny zamek. Co się dzieje, agentko Sherlock? Mój Boże, chodzi o doktor Champion?

Sherlock zaczęła pukać w drzwi, wołając Nick.

- Proszę. - Pani Mazer podała Sherlock klucz. Sherlock przekręciła klucz w zamku i cicho otworzyła drzwi. W gabinecie nikogo nie było.

- Gdzie jest to tajne wejście? Szybko, pani Mazer.

- Za tylną ścianą.

Sherlock błyskawicznie wyciągnęła pistolet i krzyknęła do pani Mazer:

- Proszę wezwać policję. Proszę powiedzieć im, że senator Rothman ma doktor Champion. Szybko!

Po chwili Sherlock znalazła niewielki przycisk, wbudowany płasko w ścianę. Kiedy go przycisnęła, drzwi łagodnie otworzyły się. Weszła do ciemnego korytarza, którego ściany pokryte były dębową boazerią, a podłoga wyłożona wykładziną, na której leżały dwa niewielkie tureckie chodniki. Przystanęła, nasłuchując. Wydawało jej się, że coś słyszy, jakiś ruch, oddech.

Powoli weszła w mrok. Korytarz skręcił raz, potem skończył się. Nie miał więcej niż dwa metry długości. Dostrzegła wąską windę, jej srebrne drzwi były ledwie widoczne w mglistym świetle.

Usłyszała cichy szmer pracującej windy. Zwoził Nick na dół. Ale Sherlock nie miała pojęcia, gdzie jest wejście do windy. Znowu nacisnęła przycisk, i jeszcze raz.

W tym czasie wyciągnęła swój telefon komórkowy i zadzwoniła do Dillona. Odebrał natychmiast.

- Tak?

- Dillon, szybko do biura Rothmana. On ma Nick. To nie Albia. Boże, pospiesz się...

Drzwi windy otworzyły się gładko i powoli, wtedy wskoczyła do środka i nacisnęła jedyny znajdujący się tam guzik. Połączenie z Dillonem zostało zerwane. Komórka nie działała w windzie. Ale podała mu wystarczająco dużo informacji. Za parę minut będzie tu cała policja Chicago.

Drzwi otworzyły się, a ona powoli wyszła z windy, trzymając przed sobą rewolwer. Znalazła się w ciemności podziemia. Usłyszała cichy szmer otaczających ją urządzeń. Przystanęła na chwilę, nasłuchując. Gdzie on mógł być? Jak duże mogło być to cholerne podziemie? Może miał nadzieję, że

wyprowadzi stąd Nick przez nikogo niezauważony? Wszędzie było pełno dziennikarzy.

Sherlock na chwilę zastygła w bezruchu, ale nie słyszała niczego, oprócz dźwięku maszyn pracujących wokół niej.

Uderzona lufą pistoletu, upadła na podłogę, a jej rewolwer upadł na beton.

Kiedy otworzyła oczy, w pierwszej chwili poczuła okropny ból głowy. Po chwili Nick przypomniała sobie, że Albia uderzyła ją kolbą pistoletu. Próbowwała podnieść rękę, ale nie była w stanie.

Usłyszała odgłos silnika, bardzo głośny, ale to nie miało żadnego sensu. Zdała sobie sprawę, że była przywiązana do krzesła, jej ramiona i kostki były bardzo ciasno związane. Ból głowy był tak silny, że przyprawiał ją o mdłości. Zaczęła więc przełykać ślinę, aż nieomal zwymiotowała. Usłyszała jęk, ktoś oprócz niej tu był.

Podniosła oczy. Była w niewielkim, ciasnym pomieszczeniu, zawalonym drewnem. Spojrzała w lewo. Zobaczyła Sherlock również przywiązaną do krzesła, z głową opadającą bezwładnie na piersi. Pomieszczenie zakołysało się. Ruszyło. Zrozumiała, że są na łodzi, która porusza się szybko, a jej silnik głośno pracuje. Poczula zapach wody i paliwa, usłyszała ryk potężnego silnika i poczuła, jak łódź odbija się od fal i tnie wodę.

- Sherlock, obudź się. Sherlock? Proszę, obudź się, dasz radę.

Chwila ciszy, a po chwili...

- Nick?

- Tak, nic mi nie jest. Tylko boli mnie głowa. Przykro mi, że ciebie też złapał.

Sherlock pozbierała się, zamknęła oczy i próbowała zmusić mózg do pracy.

- Nick, nic mi nie będzie, tylko daj mi chwilę.

Łódź szarpnęła i krzesło Nick omal się nie przewróciło.

- Jesteśmy na łodzi i poruszamy się z dużą prędkością - powiedziała.

- Tak. Czuję to. Przykro mi, że dałam się złapać, Nick. Przynajmniej wcześniej udało mi się zadzwonić do Dillona. Cała policja z Chicago będzie nas szukać, możesz być tego pewna.

- Jesteśmy na łodzi Johna. Płynęłam nią wcześniej parę razy.

To wielki, dwudziestometrowy jacht. Jest naprawdę szybki, Sherlock. John kiedyś chwalił się, że wyciąga dwadzieścia jeden węzłów.

- Chyba właśnie tyle płyniemy. Ten facet to szaleniec, Nick. Nie rozumiem, jak senator Stanów Zjednoczonych może zrobić coś takiego. Nie wyobrażam też sobie, jak niezauważony wy dostał nas obie z budynku i umieścił tu, na tej łodzi. Przecież to bardzo znany człowiek.

- To nie John, Sherlock. Mieliście rację, to Albia. Facet, który kieruje tą łodzią, to Dwight, ten, który trzy razy próbował mnie zabić.

- Wiesz co? - podsumowała Sherlock. - Jakoś wcale nie czuję się dumna, że doszliśmy do tego, że stoi za tym Albia.

- Ciekawe, dokąd zabiera nas Dwight.

Sherlock nic nie powiedziała. Obawiała się, że wie dokąd. Dwight zamierzał zabrać je na środek jeziora Michigan, obciążyć i wyrzucić za burtę. Przynajmniej ona by tak zrobiła, gdyby była stuknięta i spieszyła się.

- Wyspa Żurawi - powiedziała nagle Nick. - Może tam nas zabiera. Albia powiedziała, że John ma tam dom w bardzo ustronnym miejscu.

Marne szanse, pomyślała Sherlock, chyba że będzie chciał je zabić i tam pochować. Ale nie

zamierzała mówić o tym Nick. Wzięła się w garść, potrząsnęła głową na tyle lekko, żeby nie wymiotować, i podniosła głowę.

- Może. Moja komórka, mam ją w kieszeni. Musimy ją wydostać i zadzwonić. Nick, dasz radę uwolnić nadgarstki?

Dobrą chwilę trwało, zanim Nick odpowiedziała.

- Nie, są bardzo ciasno związane. Ale z kostkami jest lepiej.

- Moje też są mocno związane. Możesz przysunąć się bliżej mnie?

- Tak, Sherlock.

Nick już prawie się to udało, kiedy łódź uderzona wysoką falą, przechyliła się mocno na bok. Uderzyła twarzą o cienki dywan, którym wyłożona była drewniana podłoga. Zakręciło jej się w głowie, przez chwilę leżała, nie mogąc dojść do siebie.

- Nick, wszystko w porządku?

- Tak, ale nie wiem, czy dam radę do ciebie dotrzeć, Sherlock.

- Popracowałam trochę nad moimi kostkami, chyba są odrobinę luźniejsze. Może mnie się uda do ciebie podejść.

Zajął to trochę czasu, tak bardzo cennego czasu, ale w końcu Sherlock znalazła się całkiem blisko Nick.

- No dobra, nie mam innego wyjścia. Teraz przewrócę się i mam nadzieję, że znajdę się wystarczająco blisko, by dosięgnąć twoich nadgarstków.

Sherlock przewróciła się razem ze swoim krzesłem. Spojrzała przez ramię, była za daleko od Nick.

Wijąc się, podsunęła się do przodu, to samo zrobiła Nick. W końcu mogła dotknąć jej rąk. Ciężko dyszała, ból rąk był nie do zniesienia.

- Nareszcie. Trochę się ruszyło. Nick, szybko. Nieźle nam idzie.

Sherlock zabrała się do pracy. Obydwie były świadome, że miały niewiele czasu i że uciekał on zbyt szybko. Dwight w każdej chwili mógł zatrzymać łódź, zejść na dół po drewnianych schodach i zastrzelić je obie.

Boże, to wszystko była jej wina. Była arogancka, zbyt pewna siebie. Czowała się z tym bardzo podle. Pomyślała o Seanie, o Dillonie i wiedziała, że nie może umrzeć. Po prostu nie może.

Skoncentrowała się, skupiła. Węzeł w końcu rozluźnił się.

- Nick, szybko, zsuń linę ze swoich rąk. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Nick wysunęła ręce i wyswobodziła nadgarstki, potem pomogła Sherlock rozwiązać ręce. Nadal ciężko oddychała, ale tym razem nie ze strachu, ale z nadzieją, dopingującą ją, by działać szybciej.

Łódź zwalniała.

- Szybko, Nick.

Zrobione, jej nadgarstki były wolne. Udało im się też rozwiązać stopy Sherlock. Obie zerwały się na równe nogi. Ale ich ruchy były nieskoordynowane, a ciała zdrętwiały od długotrwałego skrępowania.

- Zabrał moją komórkę - powiedziała Sherlock, ciężko oddychając. - Niech to szlag.

Łódź powoli zatrzymywała się.

Sherlock udało się dotrzeć do części kuchennej. Przeszukawszy szuflady, znalazła noże.

- Weź to, Nick - powiedziała, podając jej nóż. - Możesz już się ruszać? Cholera, wolałabym mój pistolet, nieważne, nóż do steków wystarczy. O, łódź zatrzymała się. Ale nie jesteśmy na środku

jeziora. Jesteśmy przy przystani. Byłam pewna, że nas zastrzeli i wyrzuci za burzę. Myślisz, że jesteśmy na Wyspie Żurawi?

- Tak, jesteśmy na Wyspie Żurawi - powiedział Dwight, schodząc ze schodów. - Teraz myślę, że szkoda, że nie pochowałem tutaj Cleo. Nie wolno tutaj polować, wiecie? Proszę, proszę, uwolniłyście się. Cóż za spryt, agentko Sherlock. Teraz proszę panie o odłożenie tych noży i wejście po schodach, o tak, powoli, z rękami na głowach. No dalej, bo zastrzelę was tu i teraz. O tak, zginiecie w bardzo malowniczym miejscu. Pochowam was pod starymi sosnami na tyłach posiadłości senatora Rothmana.

Nick upuściła nóż do steków. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła głośno szlochać.

Dwight wybuchnął śmiechem. Zdjął skórzaną kurtkę. Miał na sobie czarny podkoszulek, spodnie khaki, przepasane srebrnym paskiem z dużym turkusem i czarne buty. Stał tak, patrząc, jak Nick się rozkleja.

- Wiedziałem, że jak już do ciebie dotrze, że długo nie pożyjesz, złamiesz się. Ale po agentce FBI spodziewam się więcej. Założę się, że nie uroni ani jednej łzy. Weź się w garść, Nicola. Nie zamierzam zabić cię tak od razu. Pomyśl, ile kłopotu sprawiłaś mi i biednej Albi. Muszę cię za to ukarać. Obiecałem to Albi. Pozwolę wam pozastanawiać się, jaki zaplanowałem dla was koniec.

- Co to za plany? - zapytała Sherlock.

- Wkrótce się przekonacie - odpowiedział. Ty pierwsza wejdiesz po schodach, agentko.

Sherlock mrugnęła do Nick, odwróciła się i zaczęła wspinać się po tych dziewięciu drewnianych stopniach na pokład. Nick też mrugnęła do Sherlock i jeszcze raz głośno chlipnęła. Poczowała, jak jego ręka popycha jej plecy i podążyła za Sherlock. Znalazłszy się na pokładzie, nadal wydawała z siebie dławiące szlochy ze spuszczoną głową. Zobaczyła, że przybili do długiego pomostu zbudowanego z drewnianych desek. Nieopodal była wąska plaża, pełna kawałków drewna. Otoczenie wyglądało dziko, jak okiem sięgnąć ląd porośnięty był gęstym lasem sosnowym.

- Witam na Wyspie Żurawi. Albia zapewniała mnie, że tym razem nie będzie żadnych niespodzianek. To doskonale miejsce, dokładnie takiego potrzebowałem. No chodź, Nicola, nie ociągaj się. Weź się w garść. Nie spodziewałem się tego po tobie. Nawet Cleo się tak nie zachowywała.

Ale Nick zaczęła płakać jeszcze żałośniej, zupełnie tracąc panowanie nad sobą. Upadła na kolana i przyczołgała się do Dwighta. Chwyciła go za kostki i błagalnie szlochała:

- Proszę, Dwight, wypuść nas. Przysięgam, że nikomu nie pisnę słowa. Odejdę i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Nie zabijaj mnie.

- Boże, jesteś żalosna. Wstawaj!

Ale ona tego nie zrobiła, dalej błagała, próbując chwycić się jego kolana.

Pochylił się, by ją podnieść, a wtedy Nick oplotła ramionami jego kolana i szarpnęła go do przodu. Krzyknął, stracił równowagę i próbował uderzyć ją pistoletem. Sherlock, która tylko na to czekała, wyprostowała się, odwróciła, gładko zadając mu stopą cios w lewą nerkę. Zesztywniał z bólu, po czym zaczął krzyczeć. Skierował pistolet w jej stronę, ale Nick szarpała jego kolana, próbując go przewrócić. Uderzył Nick pięścią w policzek, potem odwrócił się do Sherlock. Usiłował się cofnąć, ale nie zdążył i dostał kopniaka w zebro. Nie pozostał jej dłużny, natychmiast podbiegł do niej i chwycił ją za włosy. Ciągnął mocno. Sherlock krzyknęła z bólu i wściekłości i najpierw zadała mu pięścią cios w brzuch, potem z całej siły kopnęła go w krocze. Krzyknął, skulił się z bólu i pociągnął za spust pistoletu. Oddał dwa strzały. Nick rzuciła się do jego kolana i z całej

siły popchnęła go do tyłu. Kiedy upadł, Sherlock złapała go za nadgarstki i wykręciła je mocno. Upuściwszy pistolet, upadł na twarz. Sherlock wzięła broń. Nick rzuciła się na niego, bijąc po twarzy i szyi.

- Nie jestem żałosna, ty psychopato! I o nic bym cię nie błagała, ty sukinsynu! Teraz już nam nie uciekniesz i przez resztę swojego żalosego życia będziesz gnął w więzieniu - krzyczała z furją.

Sherlock stała nad nimi, powoli odzyskując czucie w rękach i nogach.

- To był całkiem niezły numer, Nick. Dobra robota.

- Prawda? - powiedziała Nick, uśmiechając się do Sherlock. Wtedy Dwight nagle wstał, chwiejnym krokiem podszedł do Nick i uderzył ją w tył głowy.

- Panu już dziękujemy, Dwight - powiedziała Sherlock i kopnęła go w głowę. Opadł z powrotem na pokład. Nick podniosła się.

- Ty łajdaku! - krzyknęła, wymierzając mu cios w brzuch, potem wstała i jeszcze kopnęła go w żebra.

Popatrzyła na Sherlock, uśmiechnęła się szeroko i otrzepała ręce.

- Niezłe jesteście. Sherlock przytuliła ją mocno.

- Jesteście dobre, Nick. Bardzo dobre.

- Nikt nas nie pokona - dodała Nick.

- Powiadomię Dillona - powiedziała Sherlock i podeszła do radia, które znajdowało się na łodzi. Skontaktowała się ze strażą przybrzeżną.

Dwadzieścia minut później funkcjonariusz straży przybrzeżnej zacumował swoją motorówkę przy pomoście na Wyspie Żurawi, z Savichem i Dane'em na pokładzie, w pełnej gotowości do skoku na łódź Rothmana. Wtedy zobaczyli Sherlock i Nick wychylające się z boku łodzi i machające do nich.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - powiedział z uśmiechem Savich. - Dzięki Bogu.

- Mogę znowu zacząć oddychać - powiedział Dane. - Cholera, w życiu się tak nie bałem. Popatrz tylko na nie, śmieją się od ucha do ucha. Czy to Rothman leży na pokładzie twarzą do ziemi?

- O, nie - odparła Nick. - To nie był senator Rothman. Przez cały czas mieliście rację. To była Albia, a to jest człowiek, który trzy razy próbował mnie zabić.

- Cztery razy - poprawiła ją Sherlock.

Dwight jęknął, próbując się podnieść, po czym opadł z powrotem na pokład.

- Hej, Dwight - krzyknęła do niego Nick. - To mam szczęście, czy nie?

Dwight nie odpowiedział. Z okrzykiem wściekłości poderwał się, wyciągnął nóż z buta i ruszył w kierunku Nick. Zamarła. Patrzyła na ostrze wymierzone w jej serce, kiedy nagle została przewrócona na pokład. Dane rzucił się na niego, schwycił go za nadgarstki i mocno ścisnął.

Dwight wykrzyknął mu prosto w twarz:

- Witam, agencie federalny. Raz już prawie cię dopadłem, następnym razem mi się uda.

- Raczej nie - powiedział Dane, pozwoił Dwightowi zbliżyć się i wtedy uderzył go kolaniem w pachwinę. Ten krzyknął z bólu i cofnął się. Dane wymierzył mu cios w brzuch i mocno popchnął na pokład. Usiadł na nim, uderzając jego głową o pokład. Ledwie słyszał krzyki Savicha. Kiedy zobaczył niewyraźny zarys noża, zdał sobie sprawę, że dał się ponieść wściekłości. Zszedł z Dwighta, a kiedy ten przykucnął i ponownie próbował go zaatakować, zwijając się przy tym z bólu, Dane kopnął go w szczękę. Osunął się na ziemię.

Tym razem już się nie ruszał. Wszyscy patrzyli, jak powoli wypuszcza z ręki nóż.

- Niezły cios - powiedział Savich do Dane'a, ściskając jego ramię.

Uśmiechnął się i patrzył, jak Dane odwraca się, podchodzi do Nick i powoli przytula ją do siebie. Trwali w tym uścisku dość długo.

- Wiesz co, Dillon? - powiedziała Sherlock. - Dziś po południu chcę w końcu kupić te wałki. Wystarczająco długo to odkładaliśmy, nie sądzisz?

Savich roześmiał się.

# EPILOG

Patrzyła, jak Dane kładzie białą lilię na grobie brata. Wyprostował się, ale głowę miał opuszczoną. Ruszał ustami, nie słyszała jednak, co mówił.

W końcu podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

- Michael kochał Wielkanoc, a ona kojarzyła nam się z liliami. - Zamilkł na chwilę. - Do końca życia będę za nim tęsknił. Ale przynajmniej został pomszczony.

- To nie wystarczy - powiedziała. - To po prostu za mało.

- Oczywiście, że nie wystarczy, ale zawsze to coś. Dziękuję, że ze mną przyszedłeś, Nicola.

- Proszę, nazywaj mnie po prostu Nick. Nie chcę, żeby ktokolwiek nazywał mnie Nicolą.

- Nie ma sprawy. Co ty na to, żeby zabrać inspektora Deliona na obiad?

- Podoba mi się ten pomysł. - Chwyciła jego wyciągniętą dłoń. Jeszcze raz odwrócił się, by spojrzeć na grób brata. Biała lilia lśniła na tle świeżej ziemi. Potem znowu spojrzął na nią i uśmiechnął się.

- Inspektor Delion powiedział mi o meksykańskiej restauracji „La Barca” w Lombard. Chodźmy tam - powiedziała Nick.

- Czy to znaczy, że do szczęścia potrzebne jest ci tylko tacos? - zapytał z uśmiechem.

W milczeniu szli w stronę wypożyczonego samochodu.

- Mam wieści od Savicha. Dziś rano odbyło się przesłuchanie Albi Rothman. Oczywiście twierdzi, że jest niewinna. I wiesz, co? Dwight Toomer nie mówi, że to ona go wynajęła, przynajmniej na razie. Zobaczymy, jak bezwzględny jest prokurator. Też będziesz musiała zeznawać, Nick. To nie będzie zbyt przyjemne.

- To prawda, ale może warto zrobić to dla Cleo.

- Minie sporo czasu, zanim sprawa trafi do sądu. Albia Rothman zatrudnia najlepszych prawników. Będą grać na zwłokę, robić uniki i złożą więcej apelacji niż prawnicy O.J. Simpsona. Ale to nastąpi. Pójdzie na dno. To nie wystarczy, ale to wszystko, co możemy zrobić. Co zamierzasz dalej robić, Nick?

- Wiesz, że złożyłam rezygnację na uniwersytecie.

- Tak, wiem - przyznał i uśmiechnął się na myśl o wielkiej paczce prezerwatyw, którą miał w teczce. Uśmiechał się dalej nawet, kiedy powiedziała:

- Myślałam o tym, żeby pojechać na wschód, może do Waszyngtonu, może tam są jakieś możliwości dla bezrobotnych wykładowców uniwersyteckich.

Przystanął, delikatnie pogładził jej policzek, wciągnął świeże morskie powietrze i powiedział:

- Myślę, że to świetny pomysł. Z twoim talentem do pakowania się w kłopoty, to dla ciebie rozsądne rozwiązanie być jak najbliżej największego posterunku w kraju.

- Mam nadzieję, że się mylisz. Nie planuję nawet dostać mandatu za złe parkowanie. Dane, a



pamiętasz swoje plany na najbliższe pięćdziesiąt lat?

- Tak, a potem będziemy negocjować resztę. Tak sobie pomyślałem, że kiedy Sean Savich dorośnie i może, jeżeli będziemy mieli córkę, mogliby się pobrać. Co o tym myślisz?

- Boże drogi. Jeszcze się nie pobraliśmy, a ty już wydałeś naszą córkę za mąż! Hm, a co do Seana, musimy omówić z Savichem i Sherlock szczegóły ceremonii ślubnej. Jak myślisz?

Roześmiał się, wziął ją za rękę i poczuł, jak wypełnia go fala szczęścia, ogromna i jasna. Jeszcze raz odwrócił się, by spojrzeć, jak biała lilia na grobie Michaela powiewa na wietrze.